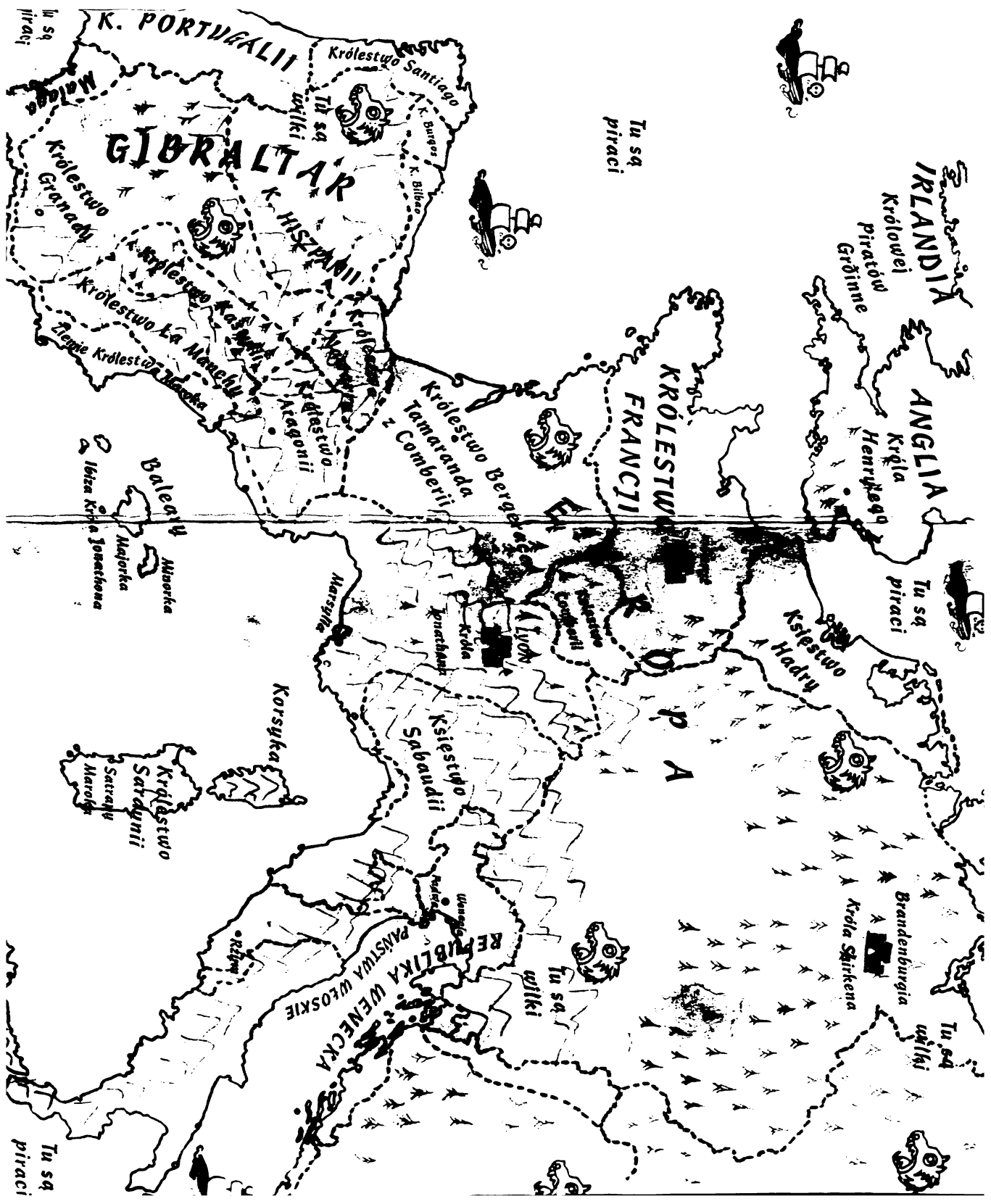


CELINE KIERNAN

# Zatruty tron

przełożyła  
Katarzyna Maciejczyk

Wydawnictwo Dolnośląskie



Tu są  
piraci

K. PORTUGALII

Królestwo Santiago  
K. Gales  
K. Biskaj

GIBRALTAR

Królestwo Granady

K. Hiszpanii

Królestwo Kastylii  
Królestwo La Maneki  
Ziemie Królestwa Nawary

Baleary  
Majorka  
Minaorka  
Ileza Kreta  
Jonekshona

Królestwo Bergans  
Tamaranda  
z Comberii

KROLESTWO  
FRANCJI

IRLANDIA

Królowei  
piratów  
Gróinne

ANGLIA

Król  
Henrykaga

Tu są  
piraci

Królestwo  
Hadry

P A

Korsyka  
Księstwo  
Sawundii  
Kryda  
Kratshah  
Kontshah  
Kontshah

Królestwo  
Sardynii  
Saryng  
Marok

REPUBLIKA  
WENECKA  
PAŃSTWA  
WIOSKIE

Tu są  
wilki

Króla  
Skitekna  
Brandenburgia

Tu są  
wilki

Tu są  
piraci

Tytuł oryginału  
*The Poison Throne*

Redakcja  
Barbara Majewska

Korekta  
Iwona Huchla

Redakcja techniczna  
EDYTOR





Copyright © Celine Kiernan 2008  
First published by The O'Brien Press Ltd., Dublin, Ireland, 2008  
Published in agreement with The O'Brien Press Ltd.  
Polish edition © Publicat S.A. MMXI

ISBN 978-83-245-8967-8


Wrocław

Wydawnictwo Dolnośląskie  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
oddział Publicat S.A. w Poznaniu  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl  
www.wydawnictwodolnoslaskie.pl

**TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA**  
Zapoznaj się z naszą ofertą w Internecie i zamów, tak jak lubisz:

	sklep@NajlepszPrezent.pl
	+48 61 652 82 80
	+48 61 652 82 00
	Publicat S.A., ul. Chlebowa 24, 61-003 Poznań

książki szybko i przez całą dobę • łatwa obsługa • pełna oferta • promocje



# Milczący kot

Straż nie chciała ich przepuścić. Nawet gdy Lorcan, ojciec Wynter, pokazał dokumenty i wyjaśnił, że są oczekiwani na dworze, wartownicy odmówili otwarcia bramy, okazując szyderczą wyższość i wzgardę. W końcu jeden ze strażników poszedł gdzieś, „żeby się wywiedzieć”. Tymczasem drzwi wartowni zamknęły się z hukiem, a podróżni zostali przed bramą.

Zdezorientowani czekali pod ciężkimi drzwiami wartowni już całą kwartę cieni – dwie godziny na zegarze Północy – a w Wynter powoli wzbierał gniew.

Opłaceni przez Shirkena przewodnicy towarzyszący im w podróży z Północy dawno już zniknęli. Wynter nie miała do nich o to pretensji. Ich zadaniem było przecież bezpiecznie przeprowadzić ją i Lorcana z jednego królestwa do drugiego, do ich domu, i zadanie to wykonali. Nie miała im nic do zarzucenia. Przez całą długą drogę na południe traktowali ich grzecznie i z szacunkiem. Nie miała wątpliwości, że to porządni, uczciwi ludzie. Jednakże przewodnicy nie byli ich przyjaciółmi i nie poczuli się do żadnej lojalności, poza zobowiązaniem wobec Shirkena, że wykonają zlecenie, za które im zapłacili.

Z pewnością obserwowali z góry, jak Wynter i jej ojciec zbliżali się do podnóża wzniesienia i przechodzili po grubych



balach zwodzonego mostu. Na pewno poczekałi, aż podróżni znajdą się bezpiecznie pod osłoną łuku bramy i zaraz potem zawrócili w stronę ciemnego sosnowego lasu, udając się w drogę powrotną.

Koń Wynter, Ozkar, poruszał się niecierpliwie u jej boku. Czuł zapach rozgrzanej słońcem trawy i chłodnej wody w fosie. Był głodny i spragniony, nic dziwnego, że parskał i grzebał w ziemi kopytem. Pociągnęła za wodze, żeby go uspokoić, i dyskretnie przestąpiła z nogi na nogę. Sama też była zmęczona, obolała od siodła i po prostu wyczerpana podróżą. W ciągu piętnastu lat swojego życia poznała dworski protokół aż za dobrze, stała więc nieruchomo, pozornie niewzruszona, jakby niekończące się czekanie w upale nie robiło na niej żadnego wrażenia.

Ten wyćwiczony, obojętny wyraz twarzy niczego nie zdradzał, ale w rzeczywistości jej cierpliwość już się kończyła. Jedyne, o czym teraz marzyła, to pozbyć się ciężkich butów i boso pobiec na łąkę, rzucić się w wysoką trawę i patrzeć w niebo.

Po długim pobycie w zimnej szarości Północy skwar i przejrzyste światło domu działały upajająco. Chciała się nimi nacieszyć. Chciała zaprowadzić ojca gdzieś na słońce, żeby letni upał przepędził mróz z jego kości. Ojciec roztropnie został w siodle. Siedział na koniu tak spokojnie, że Wynter zerknęła, czy przypadkiem nie zasnął. Nie spał, bo zauważyła jego oczy, błyskające w cieniu ronda kapelusza. Nie rozglądał się, wzrok miał skupiony, jakby sięgał spojrzeniem w głąb siebie, i po prostu siedział, czekając, aż pozwolą mu wrócić do domu. Wydawał się teraz przykurczony ze zmęczenia, a jego dłonie oparte na łęku siodła drżały jeszcze bardziej niż zwykle.

Wynter z niepokojem spojrzała na trzęsące się palce ojca. To przypadek starców, a nie trzydziestotrzyletnich rzemieślników, barczystych chłopów na schwał. Przestań się zamartwiać

nakazała sobie, odwracając wzrok i prostując plecy. – Musi się tylko porządnie wyspać i najeść, a zaraz będzie zdrów jak ryba.

Przesunęła kciukiem po opuszkach palców. Znajome blizny i pozbawione czucia odciski dodawały jej pewności siebie. Na tych dłoniach mogła polegać. Były dokładnie takie, jak dłonie ojca. Ręce na wagę złota, które zawsze zapewnią im utrzymanie. Odruchowo rzuciła okiem na pakunek z narzędziami ciesielskimi, przytroczony do siodła, i na drugi podobny przy siodle ojca. Wszystko było na swoim miejscu.

Niezauważalnie przestąpiła z nogi na nogę, szukając ulgi dla zmęczonych stóp, i po raz pierwszy w życiu załowała, że zamiast kobiecego stroju nosi chłopięce portki i kaftan. O ileż łatwiej byłoby poruszać nogami ukrytymi pod spódnicą. Z westchnieniem pożałowała tej chwili radości, gdy z entuzjazmem zeskoczyła z konia. Zrobiła to w przekonaniu, że wrota natychmiast staną otworem, a za nimi ukaże się rozradowany orszak powitalny. Cóż za dziecinna lekkomyślność. To przez nią sterczała teraz pod bramą jak kołek. Duma oraz protokół nie pozwalały jej wsiąść z powrotem na konia, zmuszona była więc czekać, niczym podrzędny paź, aż wartownik wróci i pozwoli im wejść.

Pod murem, delikatnie stawiając łapy, przemknął rudy kot. Wynurzając się z cienia, zalśnił jak iskierka. Na jego widok, zapominając o opanowaniu i dworskiej etykiecie, odwróciła głowę i uśmiechnięta śledziła jego kroki. Kot przystanął z jedną łapą uniesioną do białej piersi i spojrzał na Wynter jakby urażony. Całą swą postawą komunikował: Nie wierzę własnym oczom! Ośmielasz się na mnie patrzeć?

Dobrze jej znana kocia pogarda wywołała jedynie uśmiech na jej twarzy. Zastanawiała się, ile pokoleń kocich braci i siostr przyszło na świat w czasie jej pięcioletniej nieobecności. Przed wstąpieniem do terminu Wynter pełniła funkcję Królewskiej

Opiekunki Kotów i wszystkich swoich podopiecznych znała po imieniu. Zastanawiała się, czyim prapraprakocięciem jest ten tutaj.

Skłoniła głowę i szepnęła: „Bądź pozdrowiony, pogromco myszy”, spodziewając się zwyczajowej odpowiedzi: „Bądź pozdrowiona i ty, która mnie dostrzegłaś”. Zamiast tego w zielonych ślepiach ujrzała osłupienie i dezorientację. Kot czym prędzej czmychnął, połyskując w słońcu jak płomień. Przemknął przez most i zniknął wśród kamieni na przeciwległym brzegu fosy.

Obserwowała tę ucieczkę zdumiona: A to dopiero – kot obdarzony tak fatalnymi manierami i taką drażliwością! O co tu może chodzić?

Nagle rozległ się szcęk drzewi wartowni. W cieniu rzucałym przez drewnianą bronę\* pojawiła się ostra smuga słonecznego światła. Sierżant straży wytknął głowę na zewnątrz. Posłał im pozbawione szacunku spojrzenie, jakby zdziwiony, że wciąż tam tkwią. Wynter niepostrzeżenie przybrała maskę dworskiej obojętności.

Nie zaszczyciwszy ich nawet słowem, sierżant schował głowę i głośno zatrzasnął drzwi. Wynter zamarła, ale już po chwili do jej uszu dobiegł jękliwy dźwięk ciężkich łańcuchów pocieranych o kamień i nadzieja wróciła. Gdzieś za murami Mistrz Wrót kręcił olbrzymim kołowrotem, nawijającym łańcuchy na szpule.

Tak! – ucieszyła się. – Pozwolono nam wejść!

Powoli, powoli, światło słoneczne pożerało cienie pod bramą, a ciężkie wrota otwierały się coraz szerzej, ukazując oczom znużonych podróżnych wewnętrzne ogrody i posiadłości królewskie.

---

\* Krata, zamykająca wejście przez bramę w murze obronnym lub zamku, najczęściej wykonana z drewna i okuta żelazem [przyp. red.].

Mijając bramę, dostrzegli podskarbiego Herona, zmierzającego w ich stronę szeroką zwirową ścieżką w powiewnej służbowej szacie. Oficjalny strój sugerował, że dopiero co oderwał się od obowiązków. Potwierdzały to plamy atramentu, które Wynter dostrzegła na jego palcach. Pędził w ich stronę, a jego pomarszczoną, starczą twarz przepełniała radość. Wydawało się, że za chwilę uniesie się nad ziemię jak wielki przyjazny ptak, podleci do Lorcana i okryje go swymi opiekuńczymi skrzydłami wraz z koniem i całym dobytkiem.

– Lorcan! Lorcan! – wołał. Ta przyjacielska, nieoficjalna poufałość od razu rozwiała wszelkie trapiące Wynter obawy: Nie wszystko się tu jednak zmieniło – pomyślała z zadowoleniem.

Ojciec pochylił się w siodle i obdarzył starego przyjaciela serdecznym choć znurzonym uśmiechem. Podali sobie ręce. Wielka jak łopata dłoń ojca znalazła się w zwinnym, długopalcym uścisku Herona. Patrzyli na siebie w milczeniu, ich śmiejące się oczy nie potrzebowały słów.

– Heronie, przyjacielu – przemówił wreszcie Lorcan, a jego ciepły, lekko zachrypnięty głos sam w sobie wystarczyłby za uścisk.

Heron spojrzał na niego bystro, opuścił nieco głowę i uściśnął mu rękę jeszcze mocniej.

– Kazano wam czekać – stwierdził, zerkając ukradkiem na wartowników. W wyrazie jego twarzy było coś, co sprawiło, że Wynter też na nich spojrzała, a to, co zobaczyła, przyprawiło ją o dziwne ukłucie w sercu. Żołnierze otwarcie przyglądali się ich spotkaniu. Wylegiwali się przy tym, bezczelnie zbijając baki na służbie, i to w obecności samego podskarbiego. Przełknęła ślinę, czując, że zaschło jej w gardle, i znów obejrzała się na ojca i Herona, nadal wymieniających znaczące spojrzenia.

Nagle ojciec wyprostował się w siodle, demonstrując wszystkim swój imponujący wzrost i szerokość potężnych ramion. Jego twarz znieruchomiła, powieki nieco opadły,

przystaniając intensywną kocią zieleń oczu, a pełne, zwykle łagodnie uśmiechnięte wargi zacisnęły się w krzywym grymasie. Wynter nazywała to „maską” albo „peleryną”. Ten widok, choć imponujący, sprawiał jej przykrość, pomyślała więc zrezygnowana: Och, tato! Czy tutaj też musimy ciągnąć tę okropną grę? Nie mogła jednak powstrzymać ogarniającej ją dumy i uczucia dzikiej przyjemności, gdy obserwowwała, jak ojciec obraca się w siodle i całą siłę swojego władczego spojrzenia koncentruje na rozleniwionych strażnikach.

Lorcan przez chwilę jeszcze milczał, a strażnicy patrzyli mu w oczy jak równemu sobie, wciąż nie dostrzegając groźnej przemiany, jaka zaszła w prostym rzemieślniku. Siedział w siodle po królewsku, niewzruszony i tylko przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą, z rozmysłem wbijając wzrok w każdego po kolei, jakby chciał ich dobrze zapamiętać i dołączyć do listy przechowywanej w najciemniejszym zakamarku umysłu.

Jego długi cechowy warkocz zakołysał się na plecach. Lorcan nie ścinał go od siedemnastu lat, czyli odkąd został mianowany mistrzem w swoim fachu. Głęboki rudy odcień włosów, dopiero od niedawna poprzetykany pasmami siwizny, przywodził na myśl oskarżyciela, sędziego lub kata. Wynter spostrzegła, że na twarzach strażników zaczyna się malować niepewność, że ich plecy nagle prostują się i napinają. Choć Lorcan nie odezwał się jeszcze ani słowem, strażnicy – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – nagle przeobrazili się w jednostkę wojskową z prawdziwego zdarzenia, w wyprężonych na baczność żołnierzy.

– Przynieś mi stopień do zsiadania – rozkazał Lorcan, celowo zwracając się wprost do dowódcy. Sierżant Straży puścił się pędem przez trawnik i zniknął między zabudowaniami mniejszych stajni.

On nawet nie wie – zauważyła Wynter – kim jest mój ojciec, a już dwoi się i troi na jego rozkaz. Jakiś cieśla – który

mógłby być synem pastucha z nizin, bękartem rybaka albo podobnym byle kim – kazał mu przynieść stopień i proszę. Od razu pobiegł. Spojrzała na ojca z nieskrywanym podziwem. Oto co mógł zdziałać siłą jednego spojrzenia!

Sierżant powrócił w mgnieniu oka, trzymając stopień w wyciągniętych rękach, niczym dumny ojciec prezentujący światu swego pierworodnego. Ostrożnie postawił stopień przy koniu Lorcana i z szacunkiem usunął się na bok. Jeździec wyjął stopy ze strzemion i zsiadł. Jeśli sprawiło mu to ból, nie dał tego po sobie poznać. Nawet Wynter, wyczulona na tym punkcie, niczego nie dostrzegła.

– Zabierz nasze konie do głównej stajni i zostaw je pod opieką głównego stajennego. Powiedz mu, że należą do Lorda Obrońcy Moorehawke i jego uczennicy. Przekaż, że później przyjdę sprawdzić, czy dobrze się nimi zajmują.

Nawet jeśli te wymamrotane niedbale rozkazy zadały cios dumie sierżanta, ten nic po sobie nie pokazał, nie mrugnął też nawet okiem, gdy usłyszał, jaki tytuł nosi ten skromny cieśla. Zamiast tego dziarsko zasalutował i bez dalszych ceregieli przejął wodze od Lorcana.

Wynter domyśliła się, że ojciec będzie musiał teraz pójść z Heronem. Coś najwyraźniej się szykowało.

– Idź za nimi – powiedział, wskazując ruchem głowy na konie. – Dopilnuj narzędzi. Zjedz coś i odpocznij – dodał, kładąc dłoń na jej ramieniu. Gorąco pragnęła, by i on zrobił to samo – położył się, odpoczął i najadł – ale oboje założyli już swoje „maski”. Zamiast więc okazać mu troskę – jak córka ojcu, skinęła głową jak uczennica posłuszną mistrzowi. Stała, patrząc, jak ojciec i Heron odchodzą żwirową ścieżką, zapewne ku królewskim komnatom i zawiłościom wielkiej polityki.

# Duch Shearinga

Wszędzie panowała cisza. Było południe, środek lata, wszyscy pewnie odpoczywali albo zażywali ochłody nad rzeką, z drugiej strony pałacu. Wynter wiedziała, że ogrody ożyją dopiero późnym wieczorem, gdy temperatura stanie się bardziej znośna. Na razie cały teren wokół pałacu miała tylko dla siebie – rzadki przywilej w tym pogmatwanym świecie.

Zostawiła konie w przyjemnym półmroku stajennych bok-sów i szybko przemaszerowała przez rozedrgany od upału ce-glany dziedziniec. Jej kroki głośnym echem odbijały się od ścian budynków stajni. Krążące nad jej głową jaskółki cięły promienie słońca, dając sekundy cienia w drgającym żarem powietrza. Parskanie zadowolonych koni i słodki zapach obor-nika działały na nią kojąco.

Dom, dom, dom. Wszystko wokół niej śpiewało: jesteś w domu.

Przy żółtym gołębniku skręciła w lewo, kierując się na ścieżkę biegnącą wśród cienistych drzew i dalej, w cisową alejkę prowadzącą do ogrodów kuchennych. Powietrze było tam o wiele chłodniejsze i aż gęste od żywicznych aromatów. Powoli przemierzała senne, ocienione ścieżki i kolumnady, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, ciesząc się każdym zakrętem, każdym zakamarkiem, które kiedyś znała jak własną kieszeń.

Przez te wszystkie lata spędzone w szarości i mżawce Północy odczuwała niewypowiedzianą tęsknotę za domem. Jedyną ulgą były słodkie sny, w których każdej nocy wyczarowywała się dla niej ta właśnie ścieżka. Co noc wędrowała nią ze stajni do kuchni. I oto naprawdę nią szła, jej starsze już stopy kroczyły po śladach szczęśliwego dzieciństwa. Żałowała tylko, że nie ma tu z nią Raziego i Alberona, i może jeszcze kotów płaczących się jej pod nogami jak kiedyś – miękko niczym ciepły dym.

Mijając biały kamienny dziedziniec ze studnią, natknęła się na dwie dziewczyny. Ich twarze nie były jej znane lub może po prostu bardzo zmieniły się z wiekiem. Na jej widok ich swobodna pogawędka nagle się urwała. Wynter poprawiła pakunki z narzędziami na ramieniu i szła dalej miarowym krokiem. Dziewczyny obserwowały, jak się do nich zbliża, nie spuszczać z niej wzroku. Były chyba w jej wieku, może nieco młodsze – mogły mieć po trzynaście lat. Obie były dość pulchne, ich twarze ocieniały runda szerokich słomkowych kapeluszy. Wyższa pełniła najpewniej funkcję dziewczki wiadernej i właśnie wyszła po wodę do studni. Puste wiaderka postawiła na cembrowinie, a nosidło oparła na ramieniu. Druga, chyba młodsza, może zaledwie dziesięcioletnia, zajmowała się wypasaniem gęsi. Obie zmierzyły Wynter z góry do dołu. Tym, co zaintrygowało obie służące, wcale nie był jej męski ubiór, kobiety bowiem często podróżowały w portkach i kaftanach, a tego, że dużo czasu spędziła ostatnio w podróży, dowodził unoszący się wokół Wynter ostry zapach ogniska i końskiego potu. Nie chodziło też o to, że była tu obca; pałac i jego otoczenie roiły się przecież od nieznanomych. Tym, co tak przykuło ich uwagę, był jej czeladniczy strój.

Widziała, jak przyglądają się jej ubraniu, włosom ciasno związanym na karku, a zwłaszcza czerwonej tunice z wyszytym herbem cechowym cieśli. Po tym można było poznać, że



Wynter od czterech lat była pełnoprawną czeladniczką. Gdy spojrzały na buty, widok zielonych sznurówek sprawił, że obie uniosły brwi. Tylko najzdolniejsi czeladnicy mieli prawo nosić zieleni. Dostrzegły też medalion cechowy na jej szyi. Świadczył on, że miała prawo do otrzymywania zapłaty, a nie tylko wiktu i opierunku, przysługujących wszystkim czeladnikom.

Gdy ich spojrzenia znowu się spotkały, wyczuła kłębiące się w głowach dziewcząt domysły i nieufność. A to nowość – mówił ich wzrok. – Kobieta, która radzi sobie w męskim terminie. Niemal widziała, jak trybiki w ich umysłach pracują na pełnych obrotach.

Nagle starsza z dziewcząt posłała jej uśmiech, szczerzy, prawdziwy uśmiech z dołeczkami, i uprzejmie skinęła głową. Wynter spadł kamień z serca. Akceptacja! – ucieszyła się. Mijając je, posłała im krótki uśmiech i skinęła głową.

Opuszczając dziedziniec, usłyszała, że służące wróciły już do przerwanej rozmowy.

Znów znalazła się w błogosławionym cieniu alei, tym razem kasztanowej. Rozejrzała się z nadzieją i zaraz uśmiechnęła jeszcze szerzej, bo zauważyła tego, kogo spodziewała się w tym miejscu: ducha Shearinga.

Wychudły upiór połykiwał w cieniu. Wyglądał jeszcze żałośniej, niż go zapamiętała. Znoszony mundur klócił się z jego nieskazitelną żołnierską reputacją, rękawy i nogawki były wystrzępione i brudne. Snuł się pośród drzew pogrążony w zadumie, ze spuszczoną głową. Wynter przyspieszyła kroku, żeby go dogonić. W swej niekończącej się wędrówce zawsze podążał tą właśnie aleją, rozbłyskując co jakiś czas w mijanych plamach światła.

– Rory! – zawołała, biegnąc za nim. – Rory, to ja! Wróciłam!

Duch Shearinga podskoczył w miejscu i odwrócił się w jej stronę. Patrzył na nią i odnotowując wszystkie zmiany,

próbował połączyć zmienioną twarz i ciało z głosem. Wreszcie rozpoznał dawną przyjaciółkę i towarzyszkę zabaw, jego przeczysta postać zadrżała jak rozżarzone powietrze, blade usta powoli rozciągnęły się w uśmiechu, a dłoń zaczęła się unosić w geście powitania. Nagle jednak twarz mu stężała, a malującą się na niej radość zastąpił niepokój. Zaczął się wycofywać, gestem nakazując jej, by przystanąła. Wynter także przestała się uśmiechać. Duch zaś, wyraźnie wystraszony, rozejrzał się dookoła, czy nie są obserwowani.

Stała jak wryta, czując ogarniający ją chłód. Shearing się bał, był przerażony, że ktoś może ich zobaczyć razem! Nigdy nie widziała, żeby duch zachowywał się w ten sposób. Duchy, a już zwłaszcza Shearing, miały w nosie, co pomyślą o nich śmiertelnicy. Shearing nie dbał o ziemskie sprawy, ale przyjaźń była dla niego rzeczą świętą. Przynajmniej kiedyś, przed jej wyjazdem.

Zamarła w bezruchu. Shearing nadal rozglądał się, nasłuchując, czy są sami. Wreszcie odwrócił się do niej i ze smutkiem w oczach podniósł palec do ust. Tym gestem mówił: Ciiii. Nie jesteśmy bezpieczni. Po chwili zniknął, a jego żal jeszcze przez jakiś czas zdawał się odbijać echem w gorącym powietrzu.

Stała zamyślona na ścieżce z tłukącym w piersi sercem. Z odrętwienia wyrwało ją dopiero chrząknięcie. To dziewczka wiaderna szła do pałacu i próbowała ją wyminąć.

Wynter odsunęła się na bok, żeby ją przepuścić. Krople wody z rozkołysanych wiaderek spryskały zakurzone czubki jej butów. Służąca posłała Wynter zdziwione spojrzenie, wyraźnie zaskoczona zmianą w zachowaniu nieznajomej. Gdzie podziała się tamta chłodna pewność siebie? Co tak ją wzburzyło? Wynter wiedziała, że wieczorem w dormitorium służących będzie aż huczało od pytań i domysłów na jej temat.

Z trudem powściągnęła emocje, rozpogodziła twarz i uspokoiła oddech. Jeszcze raz skinęła dziewczynie głową i zaczęła,

aż ta zniknie za drzewami. Dopiero wtedy zaczęła na nowo myśleć o wszystkim, co ją tego dnia spotkało.

Duch Shearinga naprawdę nie chciał z nią rozmawiać. Miała wrażenie, że świat stanął na głowie, a ona bezskutecznie usiłuje utrzymać w nim równowagę. Co takiego się stało, że koty nie odpowiadają na grzeczne powitania, a duchy boją się zamienić kilka słów z przyjacielem?

W ciągu piętnastu lat swojego życia Wynter zdążyła już zrozumieć, że większość ludzi to istoty nieprzewidywalne i niegodne zaufania, lojalne tylko przy pomyślnych wiatrach. Ale duchy? Duchy i koty zawsze chadzają własnymi ścieżkami i choć nie można wymagać od kota, żeby komukolwiek służył, przynajmniej zawsze wiadomo, że można na nim polegać. Rudy kot na moście był wystraszony i zmieszany jej powitaniem tak samo jak duch Shearinga. To zachwiało podstawami jej świata, nagle poczuła się bardzo niepewnie.

Rozejrzała się zaniepokojona. W zasięgu wzroku nie było nikogo, mogła się czuć bezpiecznie. Wzięła głęboki wdech i na chwilę zamknęła oczy. Skupiła uwagę na należącym do ojca pakunku z narzędziami, który niosła na ramieniu, to dodało jej otuchy. Wyśluzone przebijaki i toporki, heble i dłuta, pieczołowicie zbierane przez dwadzieścia dwa lata najpierw przez czeladnika, potem przez mistrza. I jej własny, jeszcze nie tak okazały, pięcioletni zbiór. Rozstawiła stopy szerzej, zapierając się w ziemię. Pod butami poczuła twarde, pewne podłoże, a na twarzy delikatne podmuchy wiatru. Spośród szumiących liści kasztanowców dobiegało senne ćwierkanie wróbli, skrywających się przed upałem.

Między łopatkami popłynęła jej strużka potu, a ostry zapach podróżnych ubrań zaświdrował w nosie. Skupiła się na tych doznaniach, żeby wrócić do rzeczywistości, tak jak uczył ją ojciec. Nazywał to byciem tu i teraz. Powściągnęła emocje. Nakazała sobie przestać gonić za niewiadomymi i nie

rozważać, co wydarzyło się pod jej nieobecność. Wszystko wyjaśni się z czasem. Teraz skupiła się po prostu na byciu, na swym oddechu, na odczuwaniu ziemi pod stopami, drzew nad głową i ciężaru narzędzi na ramieniu.

Otworzyła oczy i pewne sprawy od razu stały się jasne. Po pierwsze, potrzebowała jedzenia. Po drugie, musiała odnaleźć Rازیego i Alberona, a po trzecie, może najważniejsze, musiała się wykąpać. Poprawiła pakunki, starając się zachować spokój, który teraz odczuwała. Zaczniemy od najprostszego, na resztę przyjdzie czas – zdecydowała. Odwróciła się i wolnym krokiem poszła w stronę kuchni.

# Razi

*M*a tyłach pałacu znajdowała się furta prowadząca na kamienne schody. Za nimi wśród wypielęgowanych drzew wiała się żwirowa ścieżka. Biegła przez strzeżony zwozdzony most prosto do gęstego, dzikiego lasu za murami. Król korzystał z tej furty, gdy miał ochotę bez towarzystwa licznej świty coś upolować lub powędkować. Nazywał ją „tylnym wyjściem”. Zwykł mawiać: Mam dość tego rządzenia. Chcę przetrwonić ten dzień jak dzikus.

Wynter często widywała króla, jak z wędkami lub łukami na ramieniu znikał z jej ojcem i kilkoma myśliwymi za starą furta. Teraz patrzyła w dół ścieżki, wspominając, jak z Razim i Alberonem przesiadywali na tych schodkach, obserwując mężczyzn wyruszających w drogę, nadąsani, że nie mogą przyłączyć się do wyprawy. Gdy zaczęły się wielkie zmiany, Razi, który ukończył już czternaście lat, także znikał z myśliwymi, a ona i Alberon musieli przywyknąć, że zostają sami. Ten widok wyjątkowo dobrze zapadł jej w pamięć: Razi odwraca się, spoglądając na nich z uśmiechem, żeby osłodzić im smutek rozstania.

– Przyniosę wam królika! – wołał i zawsze dotrzymywał obietnicy; czasami był to bażant albo kilka przepiórczych jaj. Zawsze przynosił coś na pocieszenie, jakby chciał wynagrodzić

Im rozłąkę. Zwłaszcza Alberonowi, który zwykle nie odstępował go na krok i bardzo dotkliwie odczuwał rozstanie.

Wiele razy słyszeli: będziecie mogli wziąć udział w polowaniu, gdy skończycie jedenaście lat. Ale nim do tego doszło, wszystko się zmieniło. Razi wraz z matką został posłany do Maroka; Alberon stał się więźniem tronu, wciąż u boku króla; a Lorcanowi i Wynter przyszło jechać na Północ, gdzie zimno i wilgoć tak bardzo nadwyrężyły zdrowie ojca.

Nagle podskoczyła, bo z zamyślenia wyrwał ją wysoki, modulowany jęk. Gdy zdała sobie sprawę, co słyszy, wybuchła śmiechem. Nie słyszała tego dźwięku od lat, dlatego nie od razu poznała, co to takiego. To młodzi Saraceni klęczeli w cieniu drzew i wznosili śpiewne modły do swojego boga. Wynter wspięła się na palce, chcąc dojrzeć w falujących szeregach Raziego, ale go nie dostrzegła. Może wcale nie powrócił do domu? Ta myśl sprawiła, że poczuła w środku ukłucie, szybko więc ją w sobie zdusiła. Przypomniła sobie, że Razi nigdy nie przepadał za modłami. Była pewna, że gdzieś tu jest, może w innej części pałacu.

Nagle poczuła zapach pieczonej baraniny, a jej żołądek skurczył się boleśnie. W tej chwili myślała tylko, by jak najszybciej znaleźć się w kuchni.

U szczytu kuchennych schodów stał posąg Zimnej Pani, melancholijnie spoglądającej w leśną ścieżkę. Mijając ją, zauważyła, że mimo upału – jak zwykle – jej twarz pokrywa szron, a z finezyjnie rzeźbionych palców zwisają małe sople. Wynter nigdy nie mogła się temu nadziwić.

Na postumencie, wokół rąbka kamiennej sukni, służące i mleczarze ustawiali dzbanki z mlekiem i kordialem, miśki masła i śmietany. Wynter przypominało to ofiary, jakie Śródziemianie składali swojej Dziewicy. Wyczuła też intensywny zapach cheddara. Była tak głodna, że jej usta natychmiast wypełniły się śliną. Niemalże biegiem pokonała ciemne

schody prowadzące w pełen aromatów mrok kuchni. Z zewnątrz wciąż dobiegały melodyjne modły Saracenów.

Kiedy jej oczy przywykły do półmroku, zauważyła, że obok niej przemknął kuchcik z koszem cebul. Nikt jednak nie zwracał na nią uwagi, mogła więc spokojnie z wysokości schodów przyrzeć się chaosowi kuchni. Tęskniła za tym miejscem. To tu mieściło się serce domu i prawdziwa dusza tego królestwa.

W kuchni można było znaleźć wszelkie możliwe kombinacje ras i religii występujące wśród poddanych króla Jonathona. Brązowi i biali, kremowi i żółci, wszyscy pospołu biegali, krzyczeli i pocili się. Nieustająca kakofonia wymieszanych języków i gwar, chaotyczne gesty i improwizowane pantomimy, wszystko to razem tworzyło wydajną, choć nieuporządkowaną całość. W jej parującym centrum, górującym nad resztą, Wynter dostrzegła Marni, wielką niczym niedźwiedzica, z potężnymi ramionami, olbrzymimi czerwonymi dłońmi i komiczną przypominającą kartofel twarzą. Była jak oko cyklonu, jak nieustająca w ruchu bogini kuchni.

Wynter wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na kredens uginający się od zapasów. Potem poszukała wzrokiem chłopca od rożna z drobiem. Na jego widok uśmiechnęła się z ulgą, uspokojona.

Chłopiec od rożna z drobiem zajmował najpośledniejsze miejsce w hierarchii każdej pałacowej kuchni. Do obracania lekkich rożnów z kurczakami i innym practwem angażowano najmłodszych kuchcików. Widywała przy tym zajęciu już nawet sześć-, siedmiolatków, nagich z powodu gorąca, czarnych od sadzy. Nieraz słyszała, jak kucharze głośno besztają ich za cofanie ręki przed gorącym tłuszczem, skapującym z mięsa. Przypomniła sobie, jak pewnego razu kucharz pałacowy ze Śródziemia okładał takie dziecko drewnianą chochlą. Podczas całego zajścia posiniaczony malec ani na chwilę nie przestał

kręcić różnem, choć ledwo już trzymał się na nogach, bojąc się, że jeśli przypali mięso, kara będzie jeszcze sroższa.

Zdaniem Wynter chłopiec od różna był najlepszym odzwierciedleniem tego, co można by nazwać „duszą pałacu”; zwykle przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpaczy.

Maluch w kuchni Marni wykonywał swoje zadanie rozemniany od ucha do ucha. Nie wyglądał na przymierającego głodem, był pulchny i wesoły. Jego małe dłonie chroniły rękawice, a szeroki metalowy dysk, zamocowany przy rączce różna, osłaniał go przed pryskającym tłuszczem. Choć cały lśnił od brudu, tłuszczu i potu, przynajmniej miał na sobie stosowny strój.

Właśnie pochylał się i zwrócił do kogoś, kto kuczał przy nim na podłodze. Wynter nie mogła dojrzeć, z kim rozmawia, ale osoba ta dała mu kawałek kredy. Chłopiec, wciąż kręcąc różnem, napisał nią coś na kamieniach posadzki.

Wynter przesunęła się w bok, żeby lepiej widzieć. Koło chłopca z pochyloną głową przykucnął ciemnowłosy mężczyzna. Miał na sobie błękitną szatę lekarza. Patrzył teraz na kredowy napis i powiedział coś, co sprawiło, że umorusana twarzyczka dziecka rozjaśniła się w uśmiechu pełnym dumy.

Podkuchenna przyniosła chłopcu kubek spienionego mleka, talerz sucharów i ser. Malec już sięgał po jedzenie, ale lekarz powstrzymał go jednym ruchem ciemnoskórej ręki. Zwrócił się do dziewczyny, a Wynter na widok jego profilu serce podskoczyło do gardła. Razi.

– Saro, czy przegotowałaś mleko, tak jak prosiłem?

Służąca kiwnęła głową, przestraszona.

– Przegotowałaś czy tylko podgrzałaś? Zaczekałaś, aż znacznie wrzeć, a potem odszumowałaś, żeby rozproszyć złe humory?

Dziewczyna znów potaknęła i dygnęła, jakby to dygnięcie było ostatecznym potwierdzeniem jej prawdomówności. Razi,



wciąż odwrócony do Wynter plecami, puścił dłoń dziecka, ale wciąż przy nim klęczał i obserwował, jak mały opycha się jedzeniem. Nawet podczas tej absorbującej czynności malec nie przestawał obracać różną z idealną prędkością, taką, żeby mięso się piekło, ale nie przypalało. Widocznie ruch ten całkowicie wszedł mu już w nawyk.

Gdy jej przyjaciel podniósł się z kolan i odwrócił, Wynter uświadomiła sobie, że nie ona jedna urosła. Spodziewała się, że gdy jako piętnastolatka – wysoka i z długimi nogami – wróci do domu, będzie mogła wreszcie równać się z czternastoletnim chłopcem, którego tu zostawiła. Nareszcie zmierzy się z nim w jeździe konnej, pływaniu czy chodzeniu po drzewach.

Ale Razi też się zmienił. Teraz stał przed nią, strzepując sobie kredę z ciemnych dłoni, wysoki dziewiętnastoletni mężczyzna. Jego twarz stała się wyrazista, kości policzkowe i nos mocniej się teraz na niej odznaczały. Za to oczy, chociaż skryte pod półprzymkniętymi powiekami, były tak samo wielkie jak kiedyś. Gładko ogolony, co chwila z niecierpliwym westchnieniem odgarniał z czoła niesforne, wymagające już podcięcia loki. W błękitnej lekarskiej szacie było mu bardzo do twarzy. Wynter ogarnęła duma, że jej przyjaciel ukończył studia, mimo że przyszło im żyć w tak ciężkich czasach. Alberon musi być z niego taki dumny – pomyślała.

Razi znowu odgarnął włosy i rozejrzał się wokół, jakby usiłował sobie przypomnieć, czym miał się teraz zająć. Jego wzrok natrafił na Wynter i powędrował dalej, ale po chwili wrócił ze zdwojoną uwagą. Podniosła brew i uśmiechnęła się: Tylko spróbuj mnie nie poznać, Razi Kingssonie. Ani mi się waż nie rozpoznać mojej twarzy!

– Wynter! – wykrzyknął na cały głos. Wszyscy aż podskoczyli, a niektórzy pochowali się po kątach, sądząc, że to huk armatniego wystrzału. W gwarnej przed chwilą kuchni zapadła cisza. – Wynter!?! – wrzasnął znowu, rozkładając szeroko ręce.

Głos Raziego, wypowiadający jej imię, sprawił jej taką radość, że wybuchła śmiechem, a zaraz potem się rozpłakała.

Wystarczyło jej przytomności umysłu, żeby zrzucić z pleców narzędzia, zanim Razi zdołał przepchnąć się przez ciżbę i z całej siły ją uściskać. Zakręcił nią dzikiego młynka, aż zabrakło jej tchu. Zgromadzeni wokół nich, śmiejąc się, osłaniali przedmioty, które znalazły się w zasięgu jego łopoczącej szaty.

Ależ on silny! – pomyślała zaskoczona, gdy uniósł ją jak piórko. Ten nowy Razi zwodził otoczenie gracją, pod którą skrywała się siła. Na pierwszy rzut oka zdawał się wręcz chudy. Musiał dużo pracować z końmi – pomyślała, rozpoznając ten smukły typ sylwetki, jaką daje częste przebywanie na padoku.

Odsunął ją na długość wyprostowanego ramienia. Śmiejąc się, zawisała mu na rękach jak kocię, trzymana pod łokcie, z nogami majtającymi w powietrzu. Zmierzył ją wzrokiem, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z takiej odległości mogła dostrzec złote plamki na jego ciemnych tęczęwkach. Zauważyła też małe zmarszczki wokół oczu i ust. Ostre afrykańskie słońce i pięć lat życia w niepewności wyraźnie odcisnęły piętno na jego młodej twarzy. Razi. To naprawdę on. Tu i teraz.

– Witaj, starszy bracie – powiedziała trzęsącym się głosem, a on przytulił ją uradowany. Ścisnął ją tak mocno, że musiała klepnąć go po plecach, aby dać znać, że nie może oddychać.

W końcu odsunęli się od siebie, roześmiani, z trudem łapiąc powietrze. Razi wciąż trzymał rękę na jej ramieniu, jakby się bał, że odleci.

– Stoicie mi na drodze, urwipołcie. – Ochryplym głosem zakomunikowała Marni. Odwrócili się uśmiechnięci ku jej wesołej twarzy i rozwichrzonej rudej czuprynie. Skrzywiła się, ale nie mogła długo udawać, więc już po chwili także rozpromieniła się w szczerbatym uśmiechu. Zaczęła ich poklepywać z taką siłą, że chichocząc, zderzyli się jak kręgle. – Ten twój tatko cały czas chce zrobić z ciebie chłopaka, co? – mruknęła, spoglądając na strój

Wynter. – No cóż – dodała, nie kryjąc aprobaty dla nowoczesnych metod wychowawczych Lorcana. – Lepsze to, niż wydawać cię za jakiegoś zgrzybiałego wielmożę.

Marni usadziła ich w rogu kuchni, z dala od gwaru. Zastawiła stół naczyniami, podała chleb, ser, kurczaka na zimno, sałatę, musztardę. Stawiając na stole dwa kubki z zimnym mlekiem, napotkała pytający wzrok Raziego. – Jest przegotowane! – krzyknęła niecierpliwie, unosząc oczy w górę. – Broń mnie, Panie Boże, jeśli są w nim jakieś humory – i poczłapała w głąb kuchni, wycierając ręce w fartuch i spoglądając spode łba na kuchcika, który kroił coś za cienko. Razi uśmiechnął się i nałożył sobie kawałek kurczaka, tymczasem Wynter wznosiła już na swoim talerzu górę z chleba, kurczaka i sera.

Razi jadł powoli. Najpierw pociął mięso na równe, cienkie paski, potem zaczął przesuwac je po talerzu. Spoglądał ukradkiem na kopę jedzenia, którą wpychała w siebie Wynter, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. W jego wielkich oczach zabłyśły radosne iskierki. Wynter, zajęta wyłącznie jedzeniem, cały czas podchwytывała jego wzrok. Było jak za dawnych lat, kiedy samymi spojrzzeniami potrafili doprowadzić się do ataków śmiechu.

– Przestań! – ostrzegła z pełnymi ustami, plując okruchami chleba. – Bo się zakrzusze!

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem zrobił minę niewiniątka, która tylko pogorszyła sytuację, bo nagle oczy Wynter zrobiły się szkliste, jakby miała się za chwilę rozpłakać. Nic dziwnego, uśmiech Raziego, pełny brzuch i kojący rytm kuchni – wszystko to sprawiło, że czuła się po prostu szczęśliwa.

Odetchnęła głęboko i spojrzała na Raziego. W jego twarzy dostrzegła podobne emocje. Oboje, jak oparzeni, jednocześnie odwrócili wzrok i zaczęli z przesadną uwagą przyglądać się skomplikowanym kuchennym operacjom. Marni zerknęła na nich z nieskrywaną czułością, ale już po chwili besztala węglarczyka, który wszedł jej w drogę.

– Razi, gdzie jest Alberon? – spytała cicho, zerkając na niego kątem oka. Wiedziała, że wszelkie pytania, o ile w ogóle mogły paść, powinny być zadane delikatnie, z wyczuciem, żeby przypadkiem nie rozdrapać starej rany albo nie wyjawić sekretu, który lepiej zostawić w spokoju.

Razi odchrząknął i pokręcił głową.

– Nie wiem, gdzie jest Albi, siostrzyczko. Tutaj go nie ma. Ojciec mówi... Mówi, że posłał go na wybrzeże, na przegład floty.

Ich oczy znów się spotkały na chwilę, lecz z jego twarzy zdążyła wyczytać, że w to wątpił. Wyobrażenia od razu podsunęła jej najgorsze. Ze strachu zaczęło ścisnąć ją w gardle.

Dlaczego Alberon, prawowity syn i jedyny następca króla, został posłany tak daleko, w tak niespokojnych czasach? – zastanawiała się. – Czy król miał powody, by okłamywać Raziego, swojego pierworodnego, co prawda z nieprawego łoża, ale kochanego i darzonego najwyższym zaufaniem? Wynter nie znała odpowiedzi, ale w sercu czuła zimny strach i niepokój ogarniający ją jak choroba.

Rozejrzała się po kuchni, po spoconych, strudzonych twarzach. Pod tą znajomą scenerią kłębiły się ciemne, wzburzone wody dworskiego życia. Wartki, zdradliwy nurt mógł porwać każdego. Musimy uważać – pomyślała. – Musimy być ostrożni.

Cisnęło jej się na usta tak wiele pytań, ale na dworze niektórych z nich nie wolno było zadawać nawet staremu przyjacielowi, w każdym razie nie w zatłoczonej kuchni.

Razi siedział spięty i poruszony. Pocierał dłonie, starając się rozładować ogarniające go napięcie. Wynter chwyciła go za rękę i przytrzymała. Bała się, że swym zdenerwowaniem może ich zdemaskować.

Za plecami Raziego, na półce pod wysokim oknem, studziła się taca ciastek z konfiturą. Na oczach Wynter Głodny Duch pochwycił dwa z nich i zaczął pożerać, kęs po kęsie,

aż zupełnie zniknęły w niewidzialnych ustach. Z uśmiechem szturchnęła Raziego i zerknęła na Marni, szykując się na jej wybuch złości, który zawsze towarzyszył wybrykom uprzykrzonego ducha. Zaraz polecą talerze i posypią się przekleństwami! – pomyślała. Wojna toczona przez Marni z Głodnym Duchem zawsze ją śmieszyła.

Razi podniósł wzrok, żeby zobaczyć, co Wynter mu pokazuje, i jego ciemna twarz nagle pobladła. Wynter zauważyła to, ale jej uwagę znowu przykuła Marni, która właśnie spostrzegła kolejne dwa ciastka unoszące się w powietrze i znikające w chmurze okruszków. Po twarzy kucharki przebiegł wściekły grymas. Jej dłoń zacisnęła się na chochli, a całe ciało aż trzęsło się od tłumionych emocji. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, olbrzymka odwróciła się na pięcie i choć jej twarz wciąż wykrzywiała złość, udała, że niczego nie zauważyła, a duch spłaszczował resztę ciastek.

Wynter spojrzała pytająco na Raziego, który głośno odetchnął z ulgą, obserwując oddalającą się Marni.

– Spotkałam po drodze Rory’ego – powiedziała bardzo cicho, tak żeby jej słowa dotarły tylko do uszu przyjaciela. Razi odwrócił się gwałtownie w jej stronę, zaciskając pięści, aż cofnęła się wystraszona gniewem, który błysnął w jego oczach.

– Odezwał się do ciebie? – syknął groźnie.

Pokręciła głową.

– Nie, nie chciał. Ja...

Złość Raziego momentalnie ustąpiła miejsca niepewnej uldze, tej samej, z którą obserwował Marni pozwalającą duchowi na pożeranie ciastek. Zgarbił się nad stołem i przyłożył dłoń do czoła. Wyglądał, jakby zabrakło mu tchu. Dopiero gdy wyszeptał: To dobrze. Porządny gość z tego Rory’ego – Wynter zdała sobie sprawę, że nie zdenerwował się na nią, tylko na Rory’ego Shearinga. Myśl o rozmowie z duchem całkowicie wyprowadziła go z równowagi.

– Razi, co tu się dzieje?

Podniósł wzrok, nie patrząc na Wynter.

– Razi?

Przekrzywił głowę, opierając policzek na dłoni. Wynter zdała sobie sprawę, że osłania w ten sposób usta, by coś powiedzieć.

– Wynter. Duchów już nie ma – powiedział z naciskiem, patrząc jej w oczy tak głęboko, jakby właśnie przekazał jej coś, co było kwestią życia i śmierci. – Tak zarządził ojciec, więc tak musi być.

Wynter zaśmiała się z niedowierzaniem, ukradkiem rozejrzała po kuchni i nachyliła bliżej, wpatrując się w niego badawczo.

– Co...?

– Posłuchaj mnie. Duchów nie ma. Każdy, kto twierdzi inaczej, kto ma konszachty... idzie na szafot. Rozumiesz?

Na te słowa odsunęła się, prychając z odrazą i niedowierzaniem.

– Razi, to wcale nie jest zabawne. Nie wiem, jak mogłeś pomyśleć, że to będzie zabawne...

Chwycił ją za rękę i znów przyciągnął do siebie.

– Mówię zupełnie poważnie.

Wyrwała mu rękę i zaczęła masować sobie nadgarstek.

– To pewnie plotki i tyle. Razi, rusz głową! To wrogowie twojego ojca rozgłaszają te kłamstwa. Król nigdy by...

– Którędy tu jechałaś? Przez góry i lasy, tak? Po drodze mijalaś tylko małe przysiółki i osady drwali, mam rację?

Potaknęła bez przekonania, wciąż pocierając piekący nadgarstek.

– Ja wracałem do pałacu drogą od strony portu, głównym traktem. Przejeżdżałem przez wszystkie większe miasta. Szubienice stoją na każdym rozstajach. Są też klatki. Ojciec wprowadził je na nowo, a ludziom najwidoczniej nie trzeba dwa razy powtarzać, żeby robili z nich użytek.

Szubienice?! Szubienice i klatki, których stosowania zakazano tego samego dnia, którego Jonathon wstąpił na tron?! Nie, nie, nie.

Podczas podróży na Północ Wynter nawykła do pojawiającego się nagle w powietrzu smrodu gnijącego mięsa, nie dziwiło jej też, że za rogiem może nagle natrafić na wymęczone zwłoki w klatce kołyszącej się na wietrze. Nigdy, przenigdy nie sądziła jednak, że zobaczy to tutaj.

Nawet na samym początku powstania, gdy grupa lordów nakłaniała króla do wprowadzenia inkwizycji, Jonathon był nieugięty. Przekonywał: zaprowadzanie porządku przy użyciu tortur to najłatwiejszy sposób na wzniecenie w sercach ludzkich nienawiści, a nie szacunku. Rewolucje nikogo nie uszczęśliwiają. Ludzie szczęśliwi nie uciekają się do zamachów stanu. Więcej serc zdobędzie się sprawiedliwością niżeli batem.

– Och, Razi – szepnęła. – Co tu się stało? – Przyszło jej do głowy coś jeszcze, więc spojrzała na niego badawczo. Wzdrygnął się, jakby przeczuwał, o czym myśli. Przełknęła ślinę, bo nagle zaschło jej w gardle, i spytała: – Gdzie są moje koty? Na moście spotkałam jakiegoś nieznajomego kota, a on nawet nie odpowiedział na moje powitanie. – Serce jej zamarło, bo Razi odwrócił głowę. Najwidoczniej nie mógł spojrzeć jej w oczy i zaczął rozglądać się po kuchni, jakby szukał właściwych słów, żeby przekazać jej straszną nowinę.

– Nikt tu już nie rozmawia z kotami, siostrzyczko. Proszę, nikomu nawet o tym nie wspominać. – Znów spojrzał jej w oczy i powtórzył z naciskiem. – Proszę.

– Dlaczego? – szepnęła, ale niemal natychmiast podniosła rękę, żeby nic nie mówić. Właściwie nie chciała wiedzieć. Królestwo Jonathona było ostatnim spośród krajów Europy, w którym koty wciąż rozmawiały z ludźmi. Wszędzie indziej strach i uprzedzenia położyły się cieniem na wzajemnej więzi i ograniczyły ją do minimum. Na Północy Wynter tęskniła za

wieloma rzeczami, między innymi właśnie za kotami i dziwnymi rozmowami, jakie można było z nimi prowadzić. Wbiła wzrok w blat stołu i zacisnęła wargi. Razi czekał cierpliwie, aż odezwie się pierwsza. W końcu spytała:

– Co się stało?

Ujął jej dłoń, tym razem łagodnie.

– Nie znam całej historii. Prawdę mówiąc, niewiele wiem. Ojciec wmówił sobie, że zamkowe koty... no, że znają różne sekrety i wiedzą coś takiego, o czym jego zdaniem wiedzieć nie powinny. Chyba bał się, że zdradzą komuś ten sekret.

Żachnęła się na samą myśl, że kot mógłby nie dotrzymać tajemnicy. Razi spojrział na nią ze smutkiem i ścisnął jej rękę.

– Och, Razi, o co ci chodzi? Po prostu powiedz.

– Kazał je wszystkie otruć.

Jęknęła tak głośno, że zaniepokojona Marni nagle spojrzała w ich stronę. Wynter usiłowała wyrwać rękę z uścisku Raziego, ale trzymał ją mocno, a teraz sięgnął też po jej drugą dłoń i przyciągnął w taki sposób, że musiała odwrócić się w jego stronę.

– Ciii – uspokajał ją cicho, ale stanowczo. – Ciii. – Jego oczy mówiły: Pamiętaj, gdzie jesteś. Pamiętaj, kim oboje jesteśmy.

Pogrążona w bólu, szarpała się w jego mocnym uścisku. Podniosła twarz do góry, pozwalając płynąć łzom. Nie – myślała. – Tylko nie to.

– Przykro mi.


– Nawet Szarą Matkę?

Skinął głową.

– Nawet Maślanego Ozorka? Dymnego Simona? Koriolana?

Każde z tych ukochanych imion zostało potwierdzone kiwnięciem, a potem, gdy ciągnęła wyliczankę dalej, Razi pełen współczucia i smutku już tylko pochylił głowę. Cały czas trzymał ją przy tym za rękę, jakby była jego więźniem.



 ość już tego, moja panno! Puść ją, chłop-  
cze! Wyglądasz, jakbyś chciał ją aresztować  
– usłyszeli głos Marni, który zabrzmiał stanowczo i surowo.  
Stała nad nimi tak, by osłonić ich przed ciekawskimi  
spojrzeniami. Nawet przez myśl im nie przeszło, żeby nie  
posłuchać. Razi puścił Wynter jak oparzony, a ona gwał-  
townie wciągnęła powietrze i otarła łzy. Marni podała jej  
mokrą ściereczkę, wciąż nie spuszczać z niej wzroku, cały  
czas ustawiając się tak, żeby ją zasłonić. Wynter przyciskała  
ściereczkę do twarzy, wdzięczna, że może dyskretnie ochłó-  
dzić palące policzki.

Marni z miną jak gradowa chmura patrzyła to na Wynter,  
to na Razięgo. Oboje dorastali pod jej opieką, płacząc się  
w kuchni pod nogami jak zbłąkane szczeniaki. Matka Razięgo  
nie wykazywała większego zainteresowania swoim dzieckiem,  
obchodziło ją tylko to, że dzięki synowi znalazła się bliżej  
tronu. Alberon i Wynter również nie zaznali takiej miłości, bo  
obie ich matki zmarły w połogu. To ta wielka, ospała niedź-  
wiedzica Marni wychowała całą trójkę. Była im opoką i pocie-  
szycielką, ale nie miała dla nich zbyt wiele typowej matczynej  
czułości czy delikatności. Miłość Marni objawiała się opie-  
kuńczością, ale i twardą ręką; kochała ich tak, jak zwierzęta

kochają swe młode. Byli jej niedźwiadkami – żeby przeżyć, musieli być twardzi.

– Och, Marni... Moje koty... Duchy...

– Moje dziecko, zanosi się na coś znacznie gorszego niż zabite koty i uciszone duchy. Nie zapominaj, kim jesteś. Weź się w garść – powiedziała ściszym głosem. Głośno postawiła na stole dwa drewniane kubki. – Wypijcie to do dna – nakazała. – Ty też, chłopcze! Dźgnęła Raziego palcem i dodała. – Ten twój saraceński bóg nie porazi cię gromem z jasnego nieba za kilka łyków kordiału z białego wina.

W jej miotającym gromami wzroku wyraźnie odczytali pytanie: Opanowaliście się już? Potaknęli w odpowiedzi, a Marni po chwili znów znalazła się w samym centrum kuchennego rozgardiaszu.

Gdy jesteś zła lub smutna, wystrzegaj się alkoholu – tyle dowiedziała się o piciu od ojca. Mówił jeszcze: Wino służy przyjemnościom, nie troskom. Mimo to szybko uporała się z kordiałem. Gardło paliło ją od tłumionych łez, a napój był chłodny, słodki i prędko uśmierzał ból. Razi posłusznie wyszczył swoją porcję, po czym zastygł obok niej jak głaz.

W długim milczeniu, które zapadło przy stole, Wynter poczuła, jak alkohol uderza jej do głowy i zaczęła żałować, że tak szybko wypita zawartość kubka, nabrała nawet podejrzeń, że w napoju było więcej wina niż kordiału.

Alkohol, gorąco panujące w kuchni i obecność Raziego u jej boku w połączeniu z długą podróżą i licznymi wstrząsami sprawiły, że nagle poczuła się nieprawdopodobnie wprost zmęczona. Gdyby nie obawa przed kompromitacją w oczach służby, mogłaby zaraz położyć głowę na stole, wśród okrucichów, i zasnąć.

– Razi – wymamrotała, z trudem dobierając słowa – wyjdźmy na zewnątrz. Chodźmy... chodźmy popływać nad rzekę.

Tam znaleźliby jakieś miejsce w cieniu, pod wierzbami, i Wynter wreszcie mogłaby zrzucić ciężkie buty. Mogłaby zebrać się do bielizny i zasnąć jak zabita, a Razi strzegłby jej tak jak kiedyś, gdy byli mali.

Pokręcił się na krześle i wzruszył ramionami.

– Nie mogę, siostrzyczko. Czekam na kogoś.

Choć w jego głosie słychać było żal, poczuła niespodziewane i dotkliwe ukłucie zazdrości.

– Na kogo? – spytała, ale nie odpowiedział, bo jego uwagę przykuł nagle wrzask Marni.

– Gdzieś ty była, u diabła?

Dziki ryk, jaki wydała z siebie olbrzymia kucharka, sprawił, że wszyscy ucichli, kierując spojrzenia na przedmiot jej furii.

Po schodach sunęła chyłkiem pulchna, niska służąca, zaróżowiona i zgrzana. Na jej twarzy wyraźnie malowało się poczucie winy. Zwinnie przemknęła w stronę blatu zastawionego talerzami, robiąc unik przed wygrażającą jej olbrzymią pięścią Marni. Wciąż zarumieniona, wmieszała się w grupę służących, chwyciła ściereczkę i butelkę słodkiego olejku i zaczęła natłuszczać drewniane talerze na następny posiłek. Jej towarzyszki od razu wszczeły żywioną rozmowę, cichą, ale gęsto przetykaną chichotami.

Wynter miała właśnie ponowić pytanie skierowane do Raziego, lecz zauważyła kolejną osobę wchodzącą po schodach. Przyszło jej do głowy, że król zatrudnił trupę kuglarzy, i oto któryś z nich wchodzi do kuchni, żeby otrzymać posiłek. Patrzyła, jak postać sunie po schodach, lekko niczym kot w butach z miękkiej skóry. Buty akrobaty – pomyślała. – Obnosi się z nimi z bezczelną pewnością siebie, jak ktoś, kto ma poczucia przynależności do większej grupy. Tak właśnie wyglądają mężczyźni czujący mur silnych braci za swymi plecami. Po tym tutaj nigdy nie byłoby wiadomo, czy zamierza cię oczarować, czy też poderżnąć ci gardło i jaki ma po temu powód. Można by go przeszukiwać tygodniami, a i tak

nie znalazłoby się wszystkich ostrzy, jakie skrywał za tym  
uśmiechem. Mogła sobie wyobrazić, że jego kompani wysoko  
cenią sobie te talenty, ale tutaj, w kuchni, się nie przydadzą.  
W przeciwieństwie do większości innych zamkowych kuchni  
ta karmiła i poila wszystkich przyjezdnych. On jednak o tym  
nie wiedział, więc Wynter ciekawa była, jak też poradzi sobie  
z dzikim żywiołem w osobie Marni.

Oparła głowę na dłoni i ziewnęła; była potwornie zmę-  
czona. Śledziła nieznanego zamglonym wzrokiem, czekając,  
aż podeszcie do kucharki. W połowie schodów zatrzymał się,  
aby odgarnąć długie włosy za uszy i z góry rozejrzeć się po  
kuchni, a Wynter miała chwilę, by mu się lepiej przyjrzeć.

Był całkiem młody, mógł mieć osiemnaście, może dzie-  
więtnaście lat. Szczupły, obdarzony kocią gracją, mniej więcej  
o głowę niższy od Raziego. Jego wąską i młocznobiałą twarz  
ocieniały czarne proste włosy. Rozglądał się wokół bez skrepo-  
wania, nawet nie udając pokory.

Bezczelny – podsumowała w myślach Wynter. – I niebez-  
pieczny. Bardzo niebezpieczny dla siebie i innych, bo nie wie,  
gdzie jego miejsce.

Odszukał wzrokiem Marni, która bez wątpienia zaraz ze-  
trze mu z gęby ten uśmieszek i pokaże, gdzie raki zimują.  
Wynter czekała, aż nieznanomy przywdzieje maskę dworskiej  
uniżoności, ale ku jej zaskoczeniu wzrok mężczyzny obojętnie  
przesunął się po wielkiej kucharce i spoczął na zarumienionej  
służącej, która weszła do kuchni chwilę przed nim.

Gdy towarzyszki dziewczyny zaczęły dawać sobie znaczące  
kuksańce, po plecach Wynter przepłynął chłodny dreszcz zro-  
zumienia. Zauważyła, że służąca ukradkiem posłała mu spoj-  
rzenie, on uśmiechnął się, ona zaś pochyliła głowę, uradowana  
i cała w pąsach. Stadko pozostałych służących zachichotało.  
Teraz nie było już wątpliwości, gdzie była przed chwilą i dla-  
czego spóźniła się do pracy.

Wynter wolno wyprostowała się na krześle, a początkowa niechęć przybrała na sile, przechodząc w gniew. Młody szubrawiec puścił do służącej oko i wysunął czubek języka, w sposób tak sugestywny, jak i obrzydliwy.

O, czeka cię wstrząs nie lada – pomyślała ze złością. – Może nawykłeś do innych obyczajów, ale tutaj kobiety to nie zabawki.

Odruchowo zacisnęła dłonie w pięści i już miała zwrócić się do Razięgo, ale się powstrzymała, bo nieznajomy nagle spojrział w ich stronę. Młodzieniec skinął głową w geście powitania i ruszył w ich kierunku.

Pewnie szuka porady medycznej i spostrzegł szatę lekarza – doszła do wniosku Wynter – Może ktoś z jego trupy ma gorączkę albo skarży się na jakiś ból. Już ja mu pokażę, co to ból...

Najeżyła się, gotowa do ataku, bo mężczyzna przeszedł już całą kuchnię, ale ku jej zaskoczeniu Razi powitał go z uśmiechem, unosząc ramiona:

– Gdzież to się podziewał nasz podrywacz? Jeszcze się dograsz. Beczka smoły już czeka.

Błogo nieświadom słów Razięgo, mężczyzna sunął przez kuchnię, zręcznie torując sobie drogę. Zbliżając się do ich stołu, uśmiechnął się krzywo. Czy to na niego czeka Razi? – pomyślała Wynter z niedowierzaniem. – Na tego parszywca? Czy ten świat stanął na głowie?

Młodzieniec w końcu znalazł się przy nich, a Wynter odruchowo aż otworzyła ze zdumienia usta, widząc jak nonszalancko opiera się plecami o ścianę przy ich stole. – Raaziii – powiedział na powitanie nieznajomy, przeciągając sylaby tak, że zwykłe imię zabrzmiało nagle sugestywnie i nieprzyzwoicie, w tym samym czasie też zlustrował Wynter od stóp do głów z nieskrywanym zainteresowaniem. Znała już taki wzrok, spojrzenia takie towarzyszyły jej, odkąd nabrała kobiecych kształtów. W odpowiedzi

powstała mu wyniosłe, pełne pogardy spojrzenie, jeszcze chłodniejsze niż zwykle w takich sytuacjach.

- Christopher – powiedział Razi z podobnie sugestywnym naciskiem, a Wynter z zaskoczeniem spostrzegła, że przyjaciel wygląda na rozbawionego.

Christopher, tak? – pomyślała. – No cóż, Christopher, widziałam już wielu takich jak ty. W myślach przeciągnęła to lmię podobnie jak Razi, jednak bez cienia sympatii, jaką wyraźnie usłyszała. Zorientowała się, że świdruje nieznanomego wzrokiem, nawet nie starając się ukryć rozwścieczenia. Na dworach na każdym kroku spotykło się ich – ludzi, którzy uczepliali się innych, żeby ich wykorzystać. Znajdowali sobie kogoś blisko tronu i udawali przyjaźń, zwykle separując ofiarę od bliskich, po czym wysysali do cna. Tyle że Razi nie był głupi. Wynter wiedziała jednak, co strach, izolacja i tęsknota potrafią zrobić nawet z najmądrzejszym. Będę cię mieć na oku – postanowiła, gdy młody mężczyzna posłał jej lubieżny uśmiešek. – Już ja wiem, co sądzić o takich jak ty.

Ledwo otworzyła usta, by powiedzieć coś uszczypliwego na temat sytuacji ze służącą, Razi odezwał się pierwszy. Beztroska sympatia w jego głosie i radość na twarzy sprawiły, że Wynter poczuła dziecianną zazdrość, aż przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać łzy, które napłynęły jej nagle do oczu. Pomyślała, że naprawdę się upiła.

Odsuń się, odsuń się – nakazywała sobie w myślach natarczywie, prostując plecy i oddychając głęboko, żeby oczyścić umysł. – Niechaj nie przemawia przez ciebie wino, bo skutki tego będą opłakane. Siłą woli skupiła się na rozmowie i na tym, by nie skoczyć na Christophera, nie wyprosić go z kuchni kopnięciem w zadek.

Przestań patrzeć na mojego przyjaciela w taki sposób – rugała go w myślach. – To nie twój przyjaciel.

Razi mówił coś cicho do Christophera, który pochylił się

nad nim z pobłażliwym uśmiechem i dłońmi splecionymi za plecami. Wynter zauważyła, że nowy znajomy ma skośne szare oczy, a rzęsy tak gęste i czarne, że wyglądają jak umalowane.

– Jeśli zrobisz któreś dziecko, rozpustniku, Marni osobiście zawlecze cię do ołtarza, a ja w noc poślubną sam otulę cię kołdrą.

Wynter spodziewała się, że chłopak rozłoży ręce i będzie udawał niewiniątko lub przyjmie pozę zblazowanego świątowca. Tymczasem na jego twarzy pojawiło się szczere zdziwienie.

– Chyba nie sądzisz, że potrafiłbym sprowadzić zgubę na jakąś pannę?

Razi uśmiechnął się i lekko pokręcił głową, a Christopher znów pokazał zęby jak zadowolony z siebie kocur.

– A poza tym – ciągnął, znów spoglądając w stronę dziewczek – daję im tylko to, o co mnie proszą, i nigdy nie pcham się tam, gdzie nie jestem mile widziany, że się tak wyrażę. Już kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że są sposoby na uniknięcie takiego kłopotu, w końcu jesteś lekarzem i tak dalej... no wiesz... – wymruczał, wpatrzony w rząddek rozchichotanych służących. – Na tym świecie i tak jest już za wiele bękartów.

Razi uniósł kąciki ust w leciutkim uśmiechu, ale Wynter poczuła się zraniona w jego imieniu. Znów się nastroszyła.

– Niejeden spośród tych bękartów jest wart sto razy więcej od ciebie – rzuciła ostro i zdziwiła się, że Christopher nie padł jak rażony gromem pod ostrzem jej słów.

Wbił w nią szare spojrzenie i uśmiechnął się lekko.

– Nie chciałem cię urazić, chłopcze. Jedyne bękart w tym towarzystwie stoi przed tobą. Mówiąc to, zgiął się w lekkim ukłonie.

A więc założył, że odebrała to jako przytyk skierowany do siebie, i dawał jej do zrozumienia, że sam jest dzieckiem z nieprawego łoża. Mało brakowało, by w ogromnym wzburzeniu,

Jakie ją ogarnęło, palnęła: Moi rodzice na szczęście byli małżeństwem! Słowa te same cisnęły się jej na usta, ale szybko wzięła się w garść. Przez swą urażoną dumę nie tylko zraniłaby Ruziego, ale też ujawniłaby uprzedzenia, o jakie dotąd nawet sobie nie podejrzewała.

Uważaj – przykazała sobie, zbierając myśli – *wino* mąci ci w głowie.

– Twój młody przyjaciel wygląda na zmęczonego. – Usłyszała jakby w oddali melodyjny głos Christophera. – Czemu nie zaprowadzisz go do łóżka?

– Och, na miłość boską! – wykrzyknęła, waląc dłonią w stół, a drugą przyciskając do skroni. – Doskonale wiesz, że nie jestem chłopcem! Przestań odgrywać błazna, brak ci po temu talentu i rozumu!

Poczuła, że chłopak się prostuje, i pomyślała: A, mam cię! Cierpisz z powodu swej dumy, ty bufonie. Twoja pycha przesłania ci świat.

– Po prostu nie chciałem zepsuć twojego kamuflażu, złośnico. – Głos miał zimny jak stal. – Chyba powinnaś jeszcze nad nim popracować. Z tymi krągłościami nigdy nie będziesz uchodzić za chłopca.

Podniosła brodę i skrzywiła usta w grymasie, który – miała nadzieję – wyrażał drwiące lekceważenie.

– To nie żadne przebranie – powiedziała. – Jestem dokładnie tym, na kogo wyglądam.

– Smarkaczem, który zarabia na życie, strugając patyki? – każde słowo ociekało sarkazmem, a Wynter piorunowała go wzrokiem.

– Zrzeszonym czeladnikiem po czteroletnim terminie, uprawnionym do noszenia zieleni.

Nic mu to nie mówiło. Widziała, jak bezskutecznie usiłuje zrozumieć sens jej słów. Skąd ty się wzięłeś? – pomyślała nagle. – Skąd jesteś, że nie znasz hierarchii cechowej w rzemiośle



tak popularnym jak ciesielstwo? Nawet najędzniejszy zbieracz łajna z najmniejszego księstwa świata znałby te stopnie i funkcje na pamięć. U dworzanina nieznaną oznak rangi zawodowej równała się jednoczesnej ślepoty, głuchocie i niemocie.

Wyprostowała się i spojrzała na niego uważnie. A zatem to przybysz z daleka, nieobeznany z życiem na dworze. To czyniło go najbardziej niebezpiecznym rodzajem durnia – ambitnym prostakiem. Widywała na dworze takich ludzi, jak idą przez życie, zostawiając po sobie krwawy ślad. Właśnie oni – świadomie czy nie – stanowili zarazę, która toczyła całe państwa, a zamęt, śmierć i korupcja szły za nimi krok w krok.

Najwidoczniej wyczuł jej niechęć, bo hardo podniósł głowę. Razi poruszył się niespokojnie, ale nawet na niego nie spojrzała. Wbiła wzrok w Christophera, który niespodziewanie przechylił głowę i uśmiechnął się, ukazując dołeczki w policzkach. Jego oczy rzuciły rozbawione błyski, a Wynter niechcący dała się wciągnąć w niedorzeczny pojedynek na spojrzenia.

Jak do tego doszło? – myślała rozdrażniona i zbyt dumna, by się wycofać. – Jak mogłam pozwolić temu matołowi zapędzić się w kozie róg? W końcu był tylko jedną z much krążących nad kupą łajna, jaką stanowiła wielka polityka. Powinna bez najmniejszego wysiłku odgonić go od Razięgo, tymczasem dała się wmanewrować w dziecinną grę.

Razi odchrząknął.

– Dzieci, dzieci – napomniał ich kpiąco, ale w jego ciepłym głosie słychać było zakłopotanie.

– Kiedy twoja trupa wyjeżdża? – spytała zimno. Nie spuszczać z niego wzroku, dostrzegła w jego twarzy zdziwienie. Pokręcił głową i zmrużył podejrzliwie oczy.

– Co masz na myśli?

Machnęła ręką, obejmując tym gestem jego strój. Oczami bezwiednie powędrowała za swoją dłoń. A niech to! Przegrałam! – pomyślała. On jednak niczego nie zauważył.

– Jesteś kuglarzem, tak? Jakimś akrobatą albo może muzykiem?

Usłyszała, jak Razi wciąga z sykiem powietrze. Christopher zamarł z nieodgadzionym, kamiennym wyrazem twarzy.

– Christopher Garron jest moim hipiatrą. – Głos Raziego brzmiał dziwnie twardo. – W czasie naszej trzyipółletniej znajomości dowiedziałem się od niego o koniach i opiece nad nimi więcej, niż mógłbym sobie wymarzyć.

Trzyipółletniej? Znali się od tak dawna? – zdziwiła się. Po sylwetce Raziego poznała, że konie stały się jego pasją. Musieli więc spędzać razem dużo czasu. Ponad trzy lata wspólnej pracy, którą obaj ukochali. Tymczasem ja gniłam samotnie w wilgoci Północy – pomyślała z wyrzutem, ale zdusiła w sobie tę zjadliwą myśl, niesprawiedliwą zarówno dla niej, jak i dla Raziego. Czy naprawdę mogła mieć mu za złe, że znalazł sobie nowego przyjaciela? Czyż sama nie tęskniła za przyjaźnią? Nie – stwierdziła – ja tęskniłam za domem. Za domem, Razim i Alberonem – nikim innym. Poza tym nigdy nie wybrałabym na przyjaciela kogoś takiego jak ten... ten niebezpieczny libertyn.

Bijąc się w ten sposób z myślami, coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że głównym powodem jej nieufności wobec Christophera Garrona jest sam fakt, iż przyjaźni się z Razim. Była tak zazdrośna, że mogłaby teraz dźgnąć go prosto w serce.

Kiedy Christopher znowu się odezwał, w jego głosie zabrzmiał melodyjny, północny akcent. Wciąż patrzył na nią chłodno, w twarzy nie drgnął mu żaden mięsień. Dołeczki zniknęły.

– Zgadłś. Co za spostrzegawczość. Jestem muzykiem. Nie mam sobie równych w całej Krainie Północnej. W Hadrze, skąd pochodzę, słynę z gry na gitarze i skrzypcach. Tutaj opiekuję się końmi Raziego, bo to umiem i kocham, ale moje serce ciągle rwie się ku czemuś innemu.

Później, gdy leżała już w łóżku, usiłując zasnąć, przypomniała sobie te słowa. Wyraz jego oczu wciąż nie dawał jej spokoju: jestem muzykiem. Nie – byłem, lecz jestem. Jakby muzyka wciąż go paliła w środku, nie znajdując ujścia.

– Wbrew twym domysłom, nie jestem przebierańcem. Ja nie muszę udawać kogoś innego, by zwrócić na siebie uwagę – powiedział cierpko, patrząc na jej strój. – I choć wiem, że niektórzy mężczyźni lubią takie gierki, nie sądzę, aby nasz przyjaciel do nich należał.

Razi znów wydał z siebie stłumione syknięcie.

– Christopher – szepnął ostrzegawczo.

Podniosła dłonie, pokazując mu wszystkie zgrubienia, blizny i odciski.

– To nie strój czyni mnie tym, kim jestem. To nie bliska więź z rodziną panującą zapewnia mi chleb. Sama sobie radzę. To są ręce rzemieślnika, które mówią same za siebie.

Podsunęła mu je pod nos. Ten gest również nie dawał jej spokoju w nocy. Dlaczego właśnie tak? Dlaczego w ten właśnie sposób chciałam dowiedzieć swojej wartości? – zastanawiała się.

Christopher stał, wpatrując się w nią bez słowa nieprzeniknionym spojrzeniem szarych oczu.

– Rozumiem. Myślisz, że wykorzystuję naszego wspólnego przyjaciela – powiedział zimno. – Zapewniam cię, że tak nie jest. Może tobie odpowiada ta uszmiękowana dworska farsa, ale ja czuję się tu jak kot, któremu kazali tańczyć...

– Dostyc już – przerwał im Razi i choć nie podniósł głosu i w stół uderzył lekko, oboje i tak podskoczyli przestraszeni tak ostrą reakcją. – Może po prostu wstanę i pozwolę, żebyście zaznaczyli na mnie swój teren jak psy! Wynter, ty weź lewą nogę, Christopher, ty dostaniesz prawą! Wtedy wszyscy będziemy wiedzieli, na czym stoimy, a ta przeklęta... rywalizacja wreszcie się skończy!

Zniecierpliwiony posłał obojgu pełne wyrzutu spojrzenie.

Trafił w sedno, wprawiając oboje w zakłopotanie. Całe powietrze z nich uszło, jak z nadmuchanych świńskich pęcherzy.

– Chciałbym, żebyście się zaprzyjaźnili! – powiedział łagodnie. – Żebyście się po prostu polubili. Może przynajmniej spróbujcie?

Wynter spojrzała na Christophera. W jego oczach czaiła się niepewność i uraza. Ją samą wciąż trawiła gorzka zazdrość i całkiem uzasadniony lęk, że Christopher ma na Raziego zły wpływ. Bo, do ciężkiej zarazy, naprawdę miał, ale ze względu na Raziego uniosła się na krzesło i wyciągnęła do Christophera rękę.

Zawahał się, na co natychmiast zareagowała nową falą złości, cofnięciem ręki i morderczym spojrzeniem. Christopher wydał z siebie pełne frustracji stęknienie i rozejrzał się niespokojnie. Ociągając się i nie patrząc na nią, wyciągnął obie ręce, nie żeby ją uściskać, ale żeby je pokazać. Wynter wciągnęła głośno powietrze i odsunęła się nieznacznie.

Choć nieobce jej były rany, blizny i potworne deformacje, jakie niosła za sobą wojna i ciężka praca, te ręce spowodowały, że przeżyła wstrząs. Kłóciły się z jego beztroską, nonszalancką gracją. Z podziwem uzmysłowiła sobie, że odkąd się tu zjawił, trzymał je w ukryciu, a ona niczego nie podejrzewała.

To złodziej – pomyślała wstrząśnięta. – Na Północy tak właśnie karano za kradzież. Nigdy jednak nie widziała, aby potraktowano kogoś równie brutalnie, zostawiając tak okropne blizny, i to na obu dłoniach. Wpatrywała się w straszliwe ślady ran, jakby w oczekiwaniu, że przemówią albo ulegną jakiejś przemianie.

– Nie jestem złoczyńcą – mruknął, zupełnie jakby czytał w jej myślach, widać przyzwyczajony do takiej reakcji. Miał ładne, silne dłonie o szczupłych i zwinnych palcach. – To naprawdę muzyk – pomyślała bez satysfakcji – to oczywiste.

Każdej dłoni brakowało środkowego palca. Prawy został ucięty w miarę równo, przy stawie, choć płatanina płytkich blizn i rowków na wierzchu dłoni świadczyła, że nie poddał się bez zacieklej walki. Ostrze noża musiało ślizgać się i jeździć po całej ręce, raniąc skórę wszędzie wokół. Rana na lewej dłoni była po prostu koszmarna, stanowiła pamiątkę okrutnej kazi. Z palca ostał się tylko krótki, sękaty kikut, krzywy i skrzywiony, jakby oprawca usiłował dosłownie wykręcić go ze stawu. Długa, biała wstążka blizny biegła po wierzchu dłoni i znikwała pod mankietem koszuli, czysta i precyzyjna, jakby ktoś przeciął ropień, który utworzył się w tym miejscu na skutek infekcji.

Wynter nic nie mogła poradzić, że jej pierwszą myślą było: Teraz ma nade mną przewagę. Cokolwiek powiem, wyjdę na prymitywną ignorantkę. Drugą myślą również nie mogłaby się przed sobą poszczycić: Masz talent, Christopherze, do robienia sobie wrogów. Ten, kto to uczynił, chciał zadać ci prawdziwy ból.

Zerknęła na niego, spodziewając się ujrzeć triumf, i czekała, aż zacznie wykorzystywać swoją przewagę. Miał ją teraz w garści i mógł pograżyć w oczach Razięgo. Jednak w jego uśmiechu dostrzegła tylko nieśmiałe przeprosiny. Ścisnęło ją w gardle. On naprawdę nie zna zasad tej gry – pomyślała.

Stojący przed nią szczupły, blady chłopak nie był świadom jej małostkowych myśli. Musiała wpatrywać się w niego dość długo, bo w końcu zapytał:

– Czy w dalszym ciągu chcesz podać mi rękę?

Och, Christopher – pomyślała ze współczuciem. – Zjedzą cię tutaj. Możliwe, że jak oś staniesz im w gardle, ale i tak nie przeżyjesz. Po chwili, już chłodniej, dodała: Ale nie pozwolę ci pociągnąć za sobą Razięgo.

Wstała z gracją i podała mu rękę. Uścisnął ją bez dalszych ceregieli, patrząc prosto w oczy, kiwając wesoło głową i znów ukazując światu dołeczki.

– Na imię mam Wynter. Witaj, Christopherze Garronie.  
Niechaj Bóg błogosławi cię i twą ścieżkę – wypowiedziała  
zwyczajową formułę.

Razi uśmiechnął się radośnie.

C o u Lorcana? Jak się miewa? – spytał Razi, uważnie obserwując jej reakcję. Było to jedno z tych niejasnych pytań, które mogły znaczyć wszystko i nic, zależnie od odpowiedzi, jakiej się udzieliło. To, jakim torem potoczy się rozmowa, zależało od zapytanego. „Jak się miewa?” można by zrozumieć „Czy żyje? Czy zachował swoją godność, rozum, zdrowie?”. Mogła uciec od tej wieloznaczności, odpowiadając: Dobrze. Każdemu poza Razim udzieliłaby takiej właśnie odpowiedzi.

Ale pytanie zadał właśnie on, więc odpowiedziała:

– Z moim ojcem nie jest dobrze, bracie. Lękam się o jego życie.

Na twarzy Raziego pojawił się wyraz troski. Cała trójka wspinała się właśnie schodami dla służby, bo Christopher i Razi postanowili pokazać Wynter swoje ukochane konie. Znużona, wzruszyła tylko ramionami na zgodę. Miała nadzieję, że będą na tyle pochłonięci swymi sprawami, że zdoła niepostrzeżenie położyć się gdzieś na sianie i chwilę zdrzemnąć. Christopher szedł kilka kroków przed nimi, dając im trochę czasu dla siebie. Nie jest więc taki tępy – pomyślała, zauważając, że dzieląca ich odległość jeszcze się zwiększyła.

– Czy twój ojciec pozwoli mi się zbadać? Może powinienem mu to zaproponować?

– O nie – jęknęła. – Proszę cię, Razi, nawet mu o tym nie wspominał. On panicznie boi się okazać jakąkolwiek słabość.

– Wcale mu się nie dziwię – mruknął, a jego brązowe oczy pociemniały jeszcze bardziej. – Gdzie on teraz jest? Może mógłbym chociaż na niego zerknąć i wy badać humory na odległość.

Wynter westchnęła i przetarła piekące ze zmęczenia oczy. Razi przytrzymał ją za łokieć i nachylił się nad nią.

– Wyn, powinnaś się położyć, przecież ty jesteś wykończona. Może lepiej odprowadzimy cię do twoich komnat, damy ci się wykapać i odpocząć. Zachowałem się samolubnie...

Śmiejąc się, pokręciła głową i podniosła rękę, żeby go uciszyć.

– Razi, nawet gdybym miała komnatę, w której mogłabym się przespać, nie zniósłabym myśli, że tak szybko muszę się z tobą rozstać. Położę się na jakimś worku z sianem, a ty i twój kolega pobawicie się z końmi, dobrze?

Pokiwał głową na zgodę.

– Ojciec jest z Heronem – dodała. – Pewnie udali się do króla.

Razi zaśmiał się cierpko.

– A więc ten szczywany lis dopadł go pierwszy, tak? To mnie wcale nie dziwi.

Przystanęła zmrózona tonem jego głosu i zatrzymała go ruchem ręki. Christopher również przystanął kilka stopni przed nimi i odwrócił się, by na nich zaczekać.

– Razi, czy Her... – zerknęła na Christophera, który nawet nie próbował ukryć, że również jej słucha. Zniżyła głos do szeptu.

– Czy Heron jest naszym przyjacielem?

Razi przygryzł wargę ze zniecierpliwienia lub z niepewności – Wynter nie potrafiła zgadnąć – i spojrział na nią znacząco. Kiedy przemówił, specjalnie uniósł głos na tyle, by usłyszał go też stojący nieco dalej Christopher.



– Siostrzyczko, w tym zamku mam pewność tylko co do dwojga przyjaciół i oboje stoją wraz ze mną na tych schodach. Rozumiesz?

Christopher odwrócił się i zaczął cicho pokonywać kolejne stopnie. Wynter patrzyła za nim, aż zniknął za rogiem. Słowa Raziego nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Nie miała więc pojęcia, czy w ogóle zrozumiał, jaką odpowiedzialnością Razi go obarczył. Obarczył ich oboje.

– Życie na dworze da mu w kość – powiedziała, spoglądając Raziemu prosto w oczy. – Nie jest do niego stworzony. Jest zbyt bezpośredni. Zginie tutaj.

Wiedziała, że zrozumiał ją w lot. Zażenowany odparł: – Nie pozwolę na to, bo nie zamierzam zagrzać tu długo miejsca, siostrzyczko. Ruszam dalej.

Nogi się pod nią ugięły. Musiała się powstrzymać, żeby nie chwycić go z całej siły i nie krzyknąć. Czuła, że serce podeszło jej do gardła. Gdy wróciło na miejsce, było jak bryła ołowiu zatruwającego jej ciało. Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Zamierzam wyjechać stąd jak najszybciej – mówił dalej. – Wybieram się do Padwy, będę tam wykładał na uniwersytecie. Przyznali mi stypendium i będę mógł poświęcić się nauce. Czy to nie wspaniałe? Pragnę osiąść tam na stałe, wybudować dom, a Christopher zajmie się hodowlą moich koni... Chciałem zapytać, czy...

– Razi! – Christopher wypadł zza rogu i zaczął zbiegać do nich po schodach. Gdy zwrócili się w jego stronę, zawahał się, dostrzegając zmieszanie Raziego i ocierającą łzy Wynter. Podniósł przeproszająco rękę i cofnął się, ale cały czas patrzył na nich ponaglająco.

– Nadchodzi Podskarbi z jakimś innym wielkim rudym typem.

– Tata! – odepchnęła Christophera na bok i pomknęła po

schodach do ojca. Szybko pokonywała kolejne stopnie, musiała coś zrobić z tą skumulowaną w niej energią.

Ojciec i Heron spokojnym krokiem mijali właśnie zakręt. Na widok młodych ludzi przystanęli na schodach, czując skrępowanie, bo na twarzach całej trójki najwyraźniej malowało się napięcie.

Wynter chciała rzucić się ojcu w ramiona i zawołać: Razi wyjeżdża! Chce nas wkrótce opuścić! Zamiast tego podeszła tylko kilka kroków, statecznie i elegancko, i skłoniła się sztywno, przełykając łzy.

– Bądźcie pozdrowieni, szlachetni panowie. Jak miewa się nasz miłościwy król?

Wzrok Herona powędrował nad jej ramieniem w kierunku Raziego.

– Jego Królewska Mość życzy sobie twojej obecności, panie. Chce omówić ważne kwestie z tobą i Lordem Obrońcą Moorehawke w swoich komnatach.

Razi posłusznie ruszył w górę, ale Wynter, wydając cichy jęk sprzeciwu, zapytała:

– Ojczel! Nic nie zjesz? Nie odpoczniesz?

Wzruszył niecierpliwie ramionami, lecz Razi przystanął, przez dłuższą chwilę potrzął badawczo na Lorcaną, a potem, tonem nieznośnym sprzeciwu, zwrócił się do Herona.

– Na razie nie udało ci się mnie znaleźć. Proszę szukać dalej, a w tym czasie Lord Obrońca zejdzie do kuchni na porządną posiłek.

Heron przez chwilę wpatrywał się w Raziego, Wynter dostrzegła, że coś zaczyna świtać przyjacielowi w głowie, który odwrócił się wolno w stronę jej ojca i obejrzał go badawczym wzrokiem, analizując każdy szczegół. Lorcan zmrużył oczy, spojrzął na Raziego i przemówił tonem nieznośnym sprzeciwu.

– Panie, dziękuję za okazaną mi łaskawość, ale nie trzeba

mi jeszcze odpoczynku. Jeśli tylko ty jesteś gotów, udajmy się do Jego Wysokości.

Odchodząc, posłał Wynter krótkie spojrzenie i dodał: – Dziecko, wróć, jak tylko król i obowiązki na to pozwolą. Ty zaś wykap się, przebierz i odpocznij, bo o zachodzie słońca czeka nas uczta. Po czym ruszył po schodach w górę.

Buty Lorcana głośno stuknęły o kamienne stopnie, a warkocz ciężko kołysał się na plecach. Zapach końskiego potu i dymu unosił się w powietrzu jeszcze długo po jego odejściu.

Razi spojrział bezradnie na Wynter. Zanim ruszył za Lorcanem, zdążył jeszcze zerknąć znacząco na Christophera i ruchem głowy nakazać mu: opiekuj się nią. Christopher przytaknął. Wynter miała ochotę zepchnąć go ze schodów. Opiekować się nią, też coś! Lepiej niech sam się sobą zaopiekuje. To jemu najprędzej ktoś poderżnie gardło w drodze do wychodka.

Heron jeszcze chwilę zwlekał z odejściem.

– Garron – powiedział – Lord Obrońca i jego córka zostali zakwaterowani w komnatkach sąsiadujących z pokojami twojego pana. Dopilnuj, żeby wielmożnej panie niczego nie brakowało.

Christopher w odpowiedzi bezczelnie zadarł brodę, a oczy Herona błysnęły złowieszczo. Powinieneś się uklonić, matule – pomyślała Wynter. Podskarbi powstrzymał się jednak od jakichkolwiek uwag. Posłał mu jedynie drwiący uśmiech i szybko ruszył za Razim i Lorcanem.



Wynter odebrała narzędzia zostawione pod opieką Marni i bez słowa pomaszerowała do stajni. Christopher towarzyszył jej cały czas, zadziwiająco cichy. Spodziewała się częściej gadaniny, wypytywania albo zalotów. A on, zamyślony, po prostu trzymał się u jej boku.

Gdy dotarli do stajni, zniknął na chwilę, by zaraz powrócić z dwoma paziami do pomocy. Z zadowoleniem i godną podziwu sprawnością zakrzętał się wokół bagaży, które zostały zabrane i przeniesione do nowej siedziby, a Wynter nareszcie miała gdzie złożyć głowę i odetchnąć. W każdym razie na tyle, na ile pozwalało dworskie życie.

Stała na środku salonu i rozejrzała się. To była naprawdę piękna komnata. Duży pokój miał dwa wyposażone w okienne okna z widokiem na gaj pomarańczowy. Kolorowe ściany ozdobiły wielobarwne gobeliny pochodzące z królewskich zbiorów. Dalej był niewielki pokój wypoczynkowy, a za nim dwie przestronne sypialnie, skąpane teraz w świetle zachodzącego słońca. Wynter ucieszyła się, widząc, że król rozkazał przenieść tu wszystkie meble z ich starego domu; jej sosnowe łóżko z piękną moskitierą i baldachimem, umywalnię i kufer, ozdobiony przez ojca płaskorzeźbami. Wszystkie sprzęty z sypialni Lorcana też były na miejscu, a w salonie stały cztery fotele o zaokrąglonych siedziskach i oparciach, wraz z poduszkami haftowanymi przez matkę Wynter. Wszystko śliczne, swojskie i tak dobrze znane.

Ale dlaczego tutaj? – pomyślała z ciężkim sercem – a nie w ich ukochanym, starym domku, w cieniu orzechów, nad strumieniem pełnym pstrągów, przy łące? Tam, gdzie mogli żyć z dala od dworskich intryg i od królewskich oczu. Gdzie Wynter mogła wyskoczyć rano z łóżka i boso, w samych portkach, iść łowić ryby na śniadanie. Przez cały dzień w powietrzu unosił się tam intensywny zapach drewnianych wiórów i żywicy z warsztatu ojca. A teraz każdy ich krok dyktować będą protokoły, polityka i etykieta. Najwyraźniej król chciał mieć ich na oku. Nie ufał im.

– Nie podobają ci się te komnaty?

Cichy głos Christophera wyrwał ją z zamyślenia, odwróciła się więc tak szybko, że aż zakręciło jej się w głowie. Stał oparty

o framugę drzwi wejściowych. – Są piękne – odpowiedziała, odzyskawszy równowagę, z nadzieją, że zabrzmiało to szczerze. – Naprawdę bardzo ładne.

Nie wyglądał na przekonanego.

– No proszę – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. – A Razi twierdził, że na pewno ci się nie spodobają. Mówił, że będziesz się tu czuć jak w więzieniu. Stawał na głowie, byście odzyskali ten wasz ładny domek nad strumieniem.

Wzruszyła się – tyle miłości i zrozumienia ze strony Raziego. Do oczu napłynęły łzy, których nie mogła dłużej powstrzymać. Zakryła twarz rękami i zaniosła się płaczem.

Na szczęście Christopher nie próbował jej pocieszać, pozwolił jej wypłakać cały żal. Wreszcie wyprostowała się, otarła łzy i głośno sięknęła nosem. W drzwiach nie było nikogo, ale z korytarza dochodziły podniesione głosy. Usłyszała wykwinętą mowę jakiegoś dworzanina i północny akcent Christophera.

– ...to moja praca – upierał się dworzanin. – To ja mam je roznosić!

– Dawaj je, przekłety famulusie, albo jak mi Bóg miły obedrę cię ze skóry. – Cichy, wściekły głos Christophera świszczał jak bat.

– To moja praca...

Głośne plaśnięcie i okrzyk bólu poprzedził pełną napięcia ciszę. Głos Christophera był teraz spokojny.

– Oddasz je wreszcie, czy mam wszystko rozrzucić, żebyś musiał biec po nowe?

Na kamiennej posadzce coś zabrzęczało, ktoś burknął coś z niezadowoleniem, a po chwili Wyner usłyszała ciche, oddalające się kroki. Christopher wszedł do pokoju, niosąc ostrożnie trzy duże dzbany z gorącą wodą. Cały czas unikał jej wzroku.

Ominął ją i skierował się do sypialni, chlapiąc po drodze wodą. Dwa dzbany postawił przy umywalni, a zawartość trzeciego wlał do metalowej miski. Z kieszeni wyjął kostkę mydła

I umieścił ją w mydelniczce. Znow wyszedł i po chwili wrocił z naręczem dużych bawełnianych ręczników.

– No tak... – bąknął tylko, wciąż na nią nie patrząc. – Dam ci znać odpowiednio wcześniej, żebyś zdążyła przebrać się do uczty, chyba że do tego czasu wróci twój ojciec – oznajmił, zamykając za sobą drzwi.

Ze zmęczenia drżała na całym ciele, jak świerszcze koncertujące w gorący dzień. Wpadające do pokoju promienie zachodzącego słońca wydawały się ciężkie od zapachu kwiatów i owoców pomarańczy, zamknęła więc oczy, by nacieszyć się ciepłem i samotnością.

Powlokła się do sypialni, zarygłowała drzwi i rozebrała się, zostawiając na podłodze śmierdzącą stertę brudnych ubrań. Na stosie ręczników leżała gąbka, szczoteczka do paznokci, obcinak i grzebień, wszystkie z wygrawerowanym herbem Rازیego.

Powoli, odrętwiałymi ze zmęczenia palcami, zaczęła rozpuszczać włosy, odwijając skórzane paski, które trzymały je w ryzach. Opadły jej na łopatki ciężkimi kasztanowymi falami. Włosy były tłuste i sztywne od brudu, więc prawie cały pierwszy dzban wody zużyła na doprowadzenie ich do porządku. Myła je i spłukiwała, a na koniec znow zanurzyła je i rozczesała pod wodą. W ten sposób dużo łatwiej było je rozplątać. Zawinęła w ręcznik i wreszcie wyprostowała się, jednym ruchem przerzucając długi, gruby zawój na plecy.

Wylała brudną wodę za okno i napełniła misę zawartością drugiego dzbana. Szorowała całe ciało z trzymiesięcznego brudu. Zapach róż, pomarańczy i cytrynowego mydła koił ją, wypełniając cały pokój.

Miała tylko jedną czystą nieużywaną od wyjazdu z pałacu Shirkena, koszulę, do tego przesiąkniętą stęchlizną i wilgocią, którą na Północy prędzej czy później wszystko pachniało.

Zdjęła ręcznik i spłótła włosy w długi warkocz, który upchnęła

pod nocny czepek. Położę się tylko na chwilę – pomyślała, wczługując się pod osłaniającą łóżko moskitierę i kładąc na chłodnych, pachnących lawendą prześcieradłach. – Nie zasnę, dopóki tata nie wróci bezpiecznie... , ale zanim zdążyła dokończyć tę myśl, już spała.



Stała na polu maków, które ciągnęło się aż po błękitny horyzont. Ruszyła przed siebie, a kwiaty barwiły na czerwono jej bosc stopy i rąbek sukienki. Z oddali dobiegał wysoki, płaczliwy krzyk, jakby mewy, która zaplątała się w sieć. Rozejrzała się, bo dźwięk ten chwycił ją za serce. Sok z rozdeptanych maków zaczął ją parzyć, a gdy spojrzała w dół, okazało się, że kwiaty wcale nie są czerwone, tylko białe i poplamione krwią. Zbliżała się do miejsca, z którego dochodził krzyk. Wreszcie wbiegła na szczyt wzgórza i spojrzała na niewielką dolinę. Wokół szczątków jakiegoś martwego zwierzęcia zgromadziły się wilki, warcząc i szarpiąc kawałki padliny. Było ich tak dużo, że niemal nie widziała ofiary, ale zaczęła się domyślać, że to właśnie ona tak upiornie jęczy. – Biedactwo, najwidoczniej wciąż jeszcze żyje – pomyślała.

Sięgnęła po łuk, który znalazł się obok niej na ziemi i wycełowała, z zamiarem skrócenia zwierzęciu cierpień. Nie uda mi się napiąć cięciwy. Ten łuk jest dla mnie za duży – zmartwiła się. A jednak udało się, odciągnęła ją aż do policzka.

Cierpliwie czekała, aż ujrzy choć fragment ciała tego biednego stworzenia, które wciąż okropnie krzyczało, tryskając wokół krwią i plamiąc maki. Gdy wilki odsunęły się, walcząc między sobą o jakiś kawałek mięsa, dostrzegła niebieską szatę i rękę podniesioną w geście obrony przed ostrymi zębami.

Och – zauważyła z pewną obojętnością – to Razi.

Chwyciła nieco mocniej łuk, wypuściła powietrze i zwolniła

ciężką. Strzała poleciała z wysokim, jęklwym świstem. Miała do przebycia długą drogę, Wynter śledziła, jak tnąc powietrze, obraca się i delikatnie chwieje na boki. Gdy dotarła do celu, wilki zniknęły. Został tylko leżący wśród maków Razi, samotny i zakrwawiony. Trafiała go z głośnym, głuchym stuknięciem, jakby serce Raziego było z drewna, a całe jego ciało aż podskoczyło od uderzenia.

Dźwięk rozchodził się po całej dolinie, wielokrotnie powtórzony przez echo. Oczy Raziego otworzyły się. Były szare i mroczne, bo to wcale nie był Razi, tylko Christopher Garron. Uniósł głowę z zakrwawionymi włosami i posłał jej pytające, pełne bólu spojrzenie.

– Wynter – powiedział, a echo wciąż rozbrzmiewało w dolinie. Upuściła łuk, patrząc z przerażeniem na jego zakrwawione usta i oskarżycielskie oczy.

– Wynter – powtórzył, jego głos zamierał, oddalał się, a krew wyciekała na kwiaty.

– Wynter.



– Wynter!

Obudziła się, głośno wciągając powietrze.

Cienie stały się dłuższe, ale na zewnątrz wciąż było widno. Nie mogła spać dłużej niż dwie godziny. Christopher wołał ją po imieniu i pukał do drzwi sypialni cicho, ale natarczywie.

– Wynter, idź tu Razi i twój ojciec. Twój ojciec chyba nie czuje się najlepiej.



# Szwankująca machina

Wygrzebała się z łóżka i podbiegła do drzwi, otworzyła je i ruszyła dalej, odpychając Christophera, który znalazł się na jej drodze.

– Gdzie oni są? – zapytała, rozglądając się gorączkowo.  
– Co z moim ojcem?

Christopher położył palec na ustach i głową wskazał na drzwi salonu. Niewiele myśląc, Wynter ruszyła przez pokój, ale po chwili zdała sobie sprawę, że drzwi wejściowe są uchylone i każdy może przez nie zajrzeć, a ona przecież ma na sobie tylko cienką koszulę i czepek. Przystanęła niepewnie, a Christopher wyszedł na korytarz sam, nie zważając, że została w tyle. Staął za drzwiami i bez skrępowania zaczął się rozglądać.

Czy on postradał rozum? – przeraziła się.

– Christopher – syknęła zza drzwi, ukryta przed ciekawskimi spojrzeniami. – Nie możesz tak stać i się gapić!

– Czemu nie? – szepnął. – Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– Tutaj wszyscy zwracają uwagę na wszystko – powiedziała ze złością, wymachując rękami, ale on w dalszym ciągu patrzył w głąb korytarza, marszcząc lekko brwi.

– Co się dzieje? – spytała. – Widzisz mojego ojca?

Posłał jej krótkie spojrzenie i zaraz wrócił do swych obserwacji.

W jego oczach dostrzegła niepokój, a na twarzy niepewność, jakby nie wiedział, w jaki sposób wyjaśnić jej tę sytuację. W końcu mruknął coś niecierpliwie, chwycił ją za ramię i pociągnął za drzwi.

– Popatrz – szepnął.

Lorcan i Razi stali w miejscu, gdzie łączyły się dwa korytarze, jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stóp od Wynter i Christophera. Pograżeni byli w zażartej dyskusji z Heronem i trzema innymi radcami w czarnych szatach. Przez chwilę Wynter nie pojmowała, o co Christopherowi chodzi. Ojciec wcale nie wyglądał na chorego. Uważnie przysłuchiwał się rozmowie, a Razi żywo gestykulował i wyklócał się o coś z pozostałymi mężczyznami, wyglądającymi na mocno zniecierpliwionych.

Nagle dostrzegła, że ojciec stoi niezwykle sztywno, z rękami kurczowo przyciskanymi do boków i wielkimi dłońmi zaciśniętymi w pięści. Zorientowała się, że tak naprawdę wcale nie słuca, lecz po prostu usiłuje ustać na nogach, z wyrazem ponurej determinacji na twarzy. Razi dyskretnie położył mu dłoń na plecach między łopatkami. Dostrzegła, że mięśnie jego ręki napięły się, a ramię, niepostrzeżenie dla pozostałych, podparło Lorcana.

Przestraszona Wynter pisnęła cicho. Chciała do nich podbiec, ale Christopher uszczypnął ją w ramię, szybko zakryła więc usta dłonią, zmuszając się do milczenia.

Wtem Razi władczym gestem podniósł rękę, nakazując radnym oddalić się. Ich twarze stężały w gniewie, a Heron uśmiechnął się gorzko. Gdy Razi rozkazywał, musieli jednak słuchać, odeszli więc skwaszeni, kłaniając się z niechęcią.

Zaczekali aż ostatni z radnych zniknie im z oczu, po czym Razi odwrócił się do Lorcana, tłumacząc coś szybko i przechylając głowę z zatroskaniem. Lorcan zachnął się i uwolnił od podtrzymującej go ręki. Zrobił dwa czy trzy sztywne kroki

w kierunku Wynter i Christophera, spoglądając na nich ponuro, ale kolana szybko odmówiły mu posłuszeństwa i Razi musiał go przytrzymać. Zachwiał się pod niemałym ciężarem i zawołał Christophera, który już i tak pędził korytarzem.

Patrzyła, sparaliżowana strachem, jak obaj biorą ojca pod boki i prowadzą do komnat. Gdy minęli ją przy wejściu, jeszcze raz sprawdziła, co dzieje się na korytarzu, po czym zamknęła drzwi na zasuwę, żeby ustrzec się spojrzeń ciekawskich.

Gdy znaleźli się w środku, z Lorcana opadły resztki sił. Dwaj niżsi od niego mężczyźni mieli spore trudności, ciągnąc go dalej. W końcu umieścili go w jednym z foteli, a Razi położył mu pod głowę poduszkę.

– Wpuście tu więcej światła – polecił – i przynieście wody. Christopher, idź po moją torbę. Wynter, przynieś jakiś stołek pod stopy i zdejmij mu buty. Christopher, moja torba.

Lorcan był tak słaby i bezradny, że Wynter myślała, iż zemdleje, ale gdy klęcząc u jego stóp, spojrzała w górę, dostrzegła otwarte, rozbiegane oczy. Otworzył szeroko usta, jego klatka piersiowa ciężko unosiła się i opadała, jakby z trudem łapała powietrze. Przyglądała mu się badawczo, rozwiązując sznurówki jego ciężkich butów i ściągając je z lodowato zimnych stóp. Ułożyła mu nogi na stołku okrytym poduszką i zaczęła je rozcierać, żeby się ogrzały.

– Razi, on jest taki zimny – powiedziała.

– Mhm – mruknął Razi. Rozpiął Lorcanowi koszulę aż do pasa i poluzował troczki spodni. Na twarzy ojca perliły się wielkie krople potu, rude kędziory na szerokiej piersi i brzuchu były mokre i pozlepiane. Razi przycisnął ucho do jego klatki piersiowej i słuchał uważnie. Gdy Wynter próbowała się odezwać, uciszył ją jednym ruchem ręki, którą potem, nawet nie patrząc, zaczął głaskać ją po policzku. Po chwili położył dłoń na brzuchu Lorcana i mocno nacisnął. Ten jęknął, próbując się odsunąć.

– Dobrze już, przyjacielu. Już dobrze – uspokajał Razi uchem wciąż przyciśniętym do piersi Lorcana. Znów ucisnął mu brzuch, tym razem w innym miejscu, z tym samym skutkiem. – Spokojnie, Lorcan. Spokojnie. – Wyprostował się, potarł twarz dłońmi i spojrzał na Wynter chłodnym, skupionym wzrokiem. Widać było, że nad czymś się zastanawia.

Christopher wrócił i szybko zaryglował za sobą drzwi. Położył torbę Raziego przy fotelu.

– Posłałem po wodę – powiedział cicho.

Razi pochylił się nad Lorcanem i szepnęła mu coś do ucha. Lorcan, wyraźnie wstrząśnięty, rozejrzał się dookoła, jakby szukając ratunku, ale Razi patrzył na niego nieustępliwie, więc niepewnie kiwnął głową. Razi poklepał go po ramieniu, po czym, ku przerażeniu Wynter, wsadził ojcu rękę w spodnie i zaczął mocno uciskać palcami krocze. Lorcan zacisnął powieki i odwrócił głowę z bólu i z zakłopotania. Wynter też się odwróciła, zaczerwieniona ze wstydu.

Gdy odważyła się zerknąć znowu, Razi w skupieniu obmacywał ojcu szyję, po obu stronach żuchwy. Lorcan doszedł już nieco do siebie i próbował unieść głowę i ramiona z poduszki. Z niemym wyrzutem spojrzał na Christophera i zaczął naciągać na siebie koszulę. Razi przeszkodził mu, chwytając go za nadgarstek.

– Jeszcze tylko chwila. To już nie potrwa długo – zapewniał. Pogrzebał w torbie i wyjął z niej krótką trąbkę z gładkiego drewna. Ogrzał ją sobie na brzuchu, przycisnął do piersi Lorcana i przyłożył ucho do drugiego końca, słuchając w skupieniu. – Oddychaj najgłębiej, jak możesz, przyjacielu. A teraz postaraj się zatrzymać powietrze w płucach. – Lorcan z wysiłkiem wciągnął powietrze, ale wydawało się, że nie jest w stanie wstrzymać oddechu. Dyszał ciężko, głowa opadła mu do tyłu, a jego skóra znów pokryła się potem.

W końcu Razi usiadł na piętach, wytarł ręce w podany przez

Christophera, pachnący cytrynami ręcznik i posłał Lorcanowi poważne spojrzenie.

– Lorcanie, chciałbym porozmawiać, o ile będziesz ze mną szczery.

Lorcan zerknął na Wynter i Christophera. Razi skinął ze zrozumieniem głową.

– Jeśli chcesz, twoja córka i Christopher Garron mogą zaczekać na zewnątrz. To dotyczy tylko ciebie.

Widać było, że Lorcan bierze tę propozycję pod rozwagę, ale w końcu zrezygnował bez słowa, kręcąc głową. Zdjął nogi ze stołka i ciężko dysząc, zaczął się podnosić. Twarz wykrzywił w bolesnym grymasie. Razi poderwał się, żeby mu pomóc i poprawić poduszki, ale odepchnął go i usiadł, jak tylko mógł najprościej, o własnych siłach. Mocno chwycił się poręczy fotela – to jego sposób na ukrycie drżenia dłoni – i popatrzył na Raziego spode łba.

– Mów – rozkazał.

Razi dał znak Wynter i Christopherowi, prosząc, by odeszli. Usiedli z tyłu, po obu stronach kominka, starając się wtopić w tło arrasów.

– Czy w czasie twojego pobytu na Północy dopadła cię gorączka albo dłuższa choroba?

Słowa Raziego były ciche i łagodne, ale miały w sobie też coś stanowczego, jakąś pewność, która zdawała się uspokajać Lorcaną.

Przytaknął.

– Przeszło dwa lata temu. Gorączka. Dała mi niezłego łupnia.

Razi uśmiechnął się.

– Długo się po niej zbierałeś?

Lorcan znów kiwnął głową. Po chwili podniósł w górę zmartwiony wzrok.

– Panie – powiedział – mamy do omówienia ważniejszą sprawę.

– Nie, przyjacielu – uciszył go Razi – Mamy do omówienia tylko sprawę twojego zdrowia, nic ponadto. Takie mam życzenie.

Lorcan zacisnął wargi i spojrzął w bok. Razi stuknął go w kolano, żeby znów zwrócić na siebie uwagę.

– Ta gorączka – zaczął – osłabiła cię? Łatwo się po niej męczyłeś? Może miałeś kłopoty z utrzymaniem równowagi? Doskwierały ci bóle w biodrach? W ramionach?

Lorcan znów potwierdził, a Razi zacisnął wargi i położył mu rękę na kolanie.

– Myślę, Lorcanie, że ta gorączka zostawiła humory w płynach twojego ciała. Czuję je właśnie tutaj, tutaj i tutaj.

– Wskazał kolejno jego krocze, pachy i żuchwę.

Lorcan wzruszył ramionami.

– Tak. Lekarze na Północy mówili mi to samo. Ale puścili mi krew, twierdząc, że to powinno mnie oczyścić...

Razi aż zazgrzytał zębami i zacisnął dłonie w pięści.

– I od tego czasu puszczali ci ją regularnie, prawda? – Lorcan pokiwał głową. – Tak myślałem. Zalecili ci też środki przeczyszczające? – Lorcan odnalazł wzrokiem Wynter, zaczerwienił się i kiwnął głową. Razi wyglądał, jakby usiłował się pozbierać. Spostrzegła, że z trudem rozluźnia ręce. – No dobrze. Obiecaj mi, że już nigdy więcej nie pozwolisz żadnemu lekarzowi na pijawki i środki przeczyszczające. Nalegam!

Lorcan wyglądał na skołowanego. Zmarszczył czoło, spojrzął na Raziego pytająco i oblizał suche wargi.

Tylko nie proponuj mu wody – myślała Wynter, wiedząc, że ojciec nigdy nie podniesie kubka do ust, by nie zdradzić się z drzeniem dłoni.

– Wypij to – nakazał Razi. Ku jej zaskoczeniu Lorcan zaczął sączyć płyn z kubka, który Razi podsunął mu do ust i przytrzymał.

– Ci inni lekarze... – Lorcan odchrząknął – ci inni lekarze

mówili, że to przyniesie pożytek mojemu ciału... uwolni krew z trucizn.

Razi zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią, w końcu rzekł tylko:

– Myślę, że wytoczyli z ciebie wystarczająco dużo trucizn. Gdyby ta kuracja trwała dłużej, mógłbyś... moim zdaniem, twoje ciało zaczęłoby tracić swoje korzystne humory – ze szkodą dla zdrowia. Tak więc koniec z puszczaniem krwi i przeczyszczaniem. Zgoda?

Lorcan podniósł na niego zielone oczy, a Wynter pomyślała, że nigdy wcześniej nie widziała go tak bezbronnym i otwartym.

– Zgoda. Ale czy można coś z tym zrobić, panie?

– Musisz wypocząć.

Słyszając to, ojciec przewrócił oczami i zaczął się odsuwać. Razi pociągnął go za rękaw i dodał surowo:

– Lorcanie, ja nie żartuję, musisz wypocząć. W ogóle powinienes często odpoczywać, dobrze jeść i unikać zmartwień.

Na te słowa ojciec wybuchnął śmiechem, prawdziwym, zdrowym śmiechem, od którego szybko zabrakło mu tchu, aż zgiął się wpół, wciąż jednak nie przestając się śmiać. Jego rozbawienie było tak zaraźliwe, że Razi i Christopher zaczęli mu wtórować. Nawet Wynter uśmiechnęła się półgębkiem. Unikać zmartwień. Ha, dobre sobie.

– Ach – westchnął Lorcan, ostrożnie prostując plecy i znów chwytając się poręczy fotela. – Śmiech to najlepsze lekarstwo!

Razi wziął głęboki wdech i spojrzał mu prosto w oczy. Słowa, które następnie padły z jego ust, starły uśmiech z twarzy Lorcana. – Humory zgromadziły się w twoim sercu, drogi przyjacielu. Słyszę je tam, słyszę, jak zakłócają przyływy i odpływy w twoim ciele. Z taką przypadłością nie ma żartów. Musisz stosować się do moich zaleceń. To sprawa życia i śmierci.

Wynter poczuła, że słowa te przeszły na wylot i jej serce. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie kładła się na piersi ojca i słuchała miarowych pomruków tej maszyny, która zdawała się jej wtedy niezawodna i wieczna. Kołysała ją do snu, powtarzając, że wszystko już dobrze, już dobrze, już dobrze.

Lorcan zerknął na Raziego, a potem na Wynter. Jego oczy błyszczały wesoło, gdy uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Przecież wiedzieliśmy to już od dawna, prawda, kochanie? Puścił nawet do córki oko, a ona spróbowała odwzajemnić się uśmiechem.

Odkąd tylko Wynter sięgała pamięcią, ojciec zawsze dokładał wszelkich starań, żeby nauczyć ją samodzielności, na wypadek gdyby go kiedyś zabrakło. Znakomicie poradził sobie z tym zadaniem. Ale mimo to, mimo tych rozmów, rozważań i przygotowania do życia w pojedynkę, Wynter nie pogodziła się z jego odejściem. Nie potrafiła sobie wyobrazić dalszego życia w świecie pozbawionym jego serdecznego ciepła.

Razi wstał z kolan.

– No dobrze – powiedział. – Teraz pozwolisz, że Christopher i ja pomożemy ci w kąpeli i położymy cię do łóżka, żebyś wypoczął przed ucztą. Lorcan już otwierał usta, żeby zaprotestować, oburzony tą propozycją, lecz zanim zdążył się odezwać, Razi rzucił ostrzegawczo: – Lorcan! Nie możesz tego zrobić sam. Choć raz w życiu przełknij dumę i zdaj się na nas. Zaaplikuję ci eliksir, dzięki któremu zapadniesz w krótki, ale głęboki sen. Po obudzeniu poczujesz się jak nowo narodzony, a jeśli nie będziesz się przemęczał i denerwował, ufam, że przetrwasz te piekielne harce bez szwanku.

Lorcanowi nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić. Rzucił córce smętne spojrzenie i pozwolił obu mężczyznom zaprowadzić się do sypialni. Wynter przez dłuższy czas siedziała samotnie w fotelu, słuchając pomruku niskiego dudnienia męskich głosów i obserwując wędrówkę promieni słońca



po ścianach pokoju. Gdy ojciec w końcu zasnął, Christopher i Razi przyszedli się z nią pożegnać. Razi pocałował ją i obiecał, że wróci przed ucztą.

Z nadejściem zmroku zapach pomarańczy w ogrodzie pod oknami ustąpił wieczornym woniom wiciokrzewu i lilii. Na korytarzu wzrósł ruch i gwar. Wraz z wieczornym ochłodzeniem ludzie zaczęli się ożywiać. Niektórzy wracali już znad rzeki, żeby zacząć przygotowania do uczty.

Wynter czuła pustkę w głowie. Wszystko, o czym mogłaby pomyśleć, zdawało się nie mieć teraz sensu. Pozwoliła, żeby czas płynął przez nią, zupełnie jak podczas snu.

Wstała z fotela na długo przed przyjściem Raziego. Powlokła się do swojej komnaty, żeby znaleźć jakieś ubranie. Miała dwa płaszcze, jeden cienki, drugi gruby. Dwa oficjalne, rzemieślnicze uniformy, z których jeden wciąż leżał na podłodze. Oprócz tego w jej torbie podróżnej był gruby strój do pracy, trzy pary spodni, trzy koszule, dwa czepki nocne, cztery pary wełnianych pończoch, jedna para bawełnianych, dwie zmiany bielizny i sukienka z miękkiej wełny. Żadne z tych ubrań nie nadawało się na ucztę, a już zwłaszcza taką z udziałem króla.

Podeszła do kamforowego kufra matki, który Razi wstawił do jej sypialni. Kiedy go otworzyła, zrozumiała intencje przyjaciela.

Zaczęła wyjmować suknie matki owinięte w lawendowy papier, przełożone warstwami kulek z suszonych płatków róż, lewkonii i kwiatów pomarańczy. Z zaskoczeniem odkryła, że były porządnie przewietrzone. Przez te wszystkie lata ktoś zadawał sobie trud, żeby co jakiś czas rozprostowywać je i odświeżać. Może Marni? Albo jakaś służąca, która darzyła matkę szczególną sympatią.

Nagle ją olśniło. To nie ze względu na pamięć o jej matce ktoś zajmował się tymi sukniami! Najprawdopodobniej do niedawna należały już do kogoś innego, na przykład do jakiejś pałacowej

pokojówki. Biedna dziewczyna – nagle została zmuszona do oddania całej garderoby prawowitej właścicielce. Od dzisiaj trzeba będzie uważać na nożyczki w ciemnościach i szpilki w zupie – pomyślała, rozkładając piękne kreacje na łóżku.

Miała nadzieję, że poprzednia właścicielka nie poddała ich jakimś większym przeróbkom. Ojciec twierdził, że wzrostem i figurą bardzo przypominała matkę, więc suknie powinny dobrze na niej leżeć.

Mama miała dobry gust – pomyślała, gładząc palcami bogaty materiał jednej z nich. Wszystkie były skrojone na dawną modłę, odznaczały się czystymi, wyrazistymi liniami. Proste, odcięte tuż pod biustem spódnice gładko spływały do ziemi. Długie, szerokie rękawy miały podszewki i lamówki w kontrastowych barwach. Każdą z sukien dopełniała obcisła koszula z długimi rękawami, którą zakładało się pod spód. Piękne kolory i elegancka prostota wszystkich sukienek bardzo przypadły Wynter do gustu. Nowa moda, którą zaobserwowała na dworach Północy, sprowadzała się do mnóstwa wstążek, upięć, pelerynek i okrągłych kapelusików przypinanych z tyłu głowy. Pomyślała, że w strojach matki byłaby tam uznana za niemodną brzydulę. A przy tym karlicę. Z natury bowiem była niewysoka, a wśród kobiet i mężczyzn folgujących najnowszej modzie na wysokie korkowe obcasy i koturny rzucałaby się w oczy jeszcze bardziej.

Zachichotała, bo oczyma wyobraźni ujrzała Raziego dodającego sobie kolejnych centymetrów do swojego i tak już absurdalnego wzrostu i Christophera z tą jego kocią gracją, drobiącego kroczyki na obcasach. Przypuszczała, że raczej nie ulegną tej modzie. A Albi, może on... Zdusiła w sobie wszelkie myśli o Albi, choć na obcasach prezentowałby się przekomicznie. Jest tak wielki, zwalisty i rozdokazywany... choć może należałoby mówić „był” – pomyślała, i znowu skoncentrowała się na sukniach.

Nie zastanawiała się długo nad wyborem, włożyła suknię z szarozielonej satyny, haftowaną w blade różyczki, z jasnoróżową lamówką wokół mankietów. Rękawy pasującej do sukni koszuli sięgały nadgarstków, a materiał nad stanikiem marszczył się ozdobnie. Z zaskoczeniem stwierdziła, że strój w ogóle nie ograniczał jej ruchów. Był wygodny i przewiewny.

Zaczęła zastanawiać się nad uczesaniem. Mogłaby upchnąć włosy pod jedną z wyszywanych perłami siatek należących niegdyś do matki albo zwinąć je czy upiąć, ale do tego miała dwie lewe ręce, więc tylko rozczesała długi warkocz i pozwoliła lśniąca puklom opaść na ramiona.

Coś ty za jedna? – pomyślała, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała jak lalka, z bladą twarzą upstrzoną konstelacjami piegów, okoloną falującym morzem włosów, z dłońmi – zwykle zajętymi jakąś pracą – splecionymi elegancko na podłku i ramionami spowitymi w różany jedwab. Przesunęła rękami po spódnicy, czując, jak odciski zahaczają i szarpią materiał. Brakowało jej sztyletu, który zawsze nosiła, ale w tym wytwornym stroju nie było gdzie go ukryć. Uniosła spódnicę, pod którą ukazały się jej wysłużone, filcowe kamasze. Uśmiechnęła się od ucha do ucha. To właśnie jesteś cała ty – stwierdziła – spracowane dłonie i zniszczone buty ukryte pod satynową suknią. Spojrzała swemu odbiciu prosto w oczy. Nie zapominaj o tym – nakazała sobie.

Właśnie miała budzić ojca, gdy Razi i Christopher zapukali do drzwi. Odsunęła rygiel i zrobiła krok do tyłu, żeby ich przepuścić. Razi stał w drzwiach, z ręką zwiniętą w pięść i uniesioną, by zapukać ponownie, a Christopher opierał się o przeciwną ścianę, jakby planował zaczekać na zewnątrz. Na jej widok Raziemu opadła szczęka, a Christopher oderwał się od ściany i przyglądał się, przechylając głowę z zagadkowym wyrazem twarzy.

Wynter nerwowo wygładziła włosy.

– Niedobrze?

Razi najpierw pokręcił głową, potem pokiwał, zamrugał i zaczął mamrotać coś pod nosem. Christopher zlustrował ją od stóp do głów i rzucił:

– Ujdzie.

Gdy weszli razem do salonu, Lorcan zaskoczył ich, ukazując się w drzwiach swojej komnaty ubrany i gotowy do wyjścia. Widok córki wyraźnie go zaskoczył. Przerwał wciąganie na dłoń zamszowej rękawiczki, spojrzał na jej twarz, potem na włosy, suknię.

– Izzy...? – szepnął. Po chwili zdezorientowanie ustąpiło smutnemu uśmiechowi. – Wynter! Zaraz jednak posłał jej swój szeroki i słoneczny uśmiech.

Ojciec ma takie blade usta – pomyślała, ale będzie dobrze. Na pewno. Wszystko będzie dobrze.

# Niebezpieczeństwa subtelności

Christopher zachowuje się tak, jakby sądził, że też został zaproszony – powiedziała Wynter sciszonym głosem. Szła z Razim za tłumem zmierzającym do sali balowej. Christopher trzymał się z tyłu, pochłonięty dyskusją o muzyce z ojcem Wynter, który z wielkim zapałem, choć ze znacznie mniejszym kunsztem, grał na flecie. Wynter nie chciała ponownie go urazić i ryzykować kolejnej ostrej wymiany zdań. Uważała, że jeśli sądził, iż na takich ucztach może bywać byle kto, to obowiązkiem Raziego jest dyplomatycznie mu to wyjaśnić.

Razi pochylił kędzierzawą głowę i rozbawiony odparł: – To dlatego, że został zaproszony.

Wyprostował się, żeby zobaczyć jej reakcję. Wynter starała się nie okazać zdziwienia, ale bez skutku, bo Razi radośnie zarechotał.

– Lordowie będą mieli się z pyszna.

Wynter jęknęła.

– Och, Razi, nie! Tylko mi nie mów, że będzie siedział przy stole lordów! Każą go za to otruć!

– Nie mów tak nawet w żartach, siostrzyczko. Cztery ostatnie wieczory przesiedział przy stole dla gminu. To wielki zaszczyt.

– Wielki zaszczyt – wymamrotała, zerkając na samego zainteresowanego, który właśnie opisywał coś jej ojcu, gestykulując szeroko i bez śladu skrępowania. Ojciec zaśmiał się. Christopher uniósł brwi i na chwilę zamilkł, udając urazę, ale zaraz znów zaczął pleść androny. Wynter skrzywiła się.

– Wielki zaszczyt, bez wątpienia.

– Mówi, że zaraza z tymi bankietami – westchnął Razi.

– Trudno mi się z tym nie zgodzić. Nienawidzę tego wszystkiego, zwłaszcza że tak długo miałem z tym spokój. Ojciec...

– przerwał, żeby kiwnąć głową mijanemu dworzaninowi i ukłonić się grupce dam, które zamarudziły gdzieś na boku, po czym rozmyślił się i nie podjął dalszych zwierzeń dotyczących króla.

– W Maroku nie miałeś swojego dworu?

Serdeczny uśmiech przeszedł w smutne skrzywienie warg. Na chwilę odpłynął myślami w dalekie ciepłe, pachnące przyprawami miejsce. – Miałem tam normalny dom, Wyn. To było cudowne! I właśnie tego chcę w Padwie. Prawdziwego domu, z prawdziwą rodziną, prawdziwymi przyjaciółmi, chcę...

– Jesteśmy na miejscu, panie – przerwał mu Lorcan, wynurzając się nagle zza ich pleców.

– Ach tak. – Razi spojrział na drzwi wiodące do komnat królewskich, gdzie przed ucztą zbierała się rodzina i osoby z najbliższego otoczenia panującego. Razi i ojciec Wynter musieli się tutaj odłączyć, żeby wejść do sali bankietowej wraz z królem.

Lorcan pochylił się i cmoknął Wynter w policzek, uściśnął jej ramię, po czym przepuścił Raziego przodem. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Przez chwilę na nie patrzyła, a potem, rozglądając się bez celu, spostrzegła, że Christopher bacznie ją obserwuje. W jego policzkach na sekundę ukazały się dołeczki uśmiechu.

– Ja idę tędy – powiedział, wskazując długi korytarz

prowadzący do drzwi dla gminu. W jego oczach dostrzegła troskę: Wszystko w porządku? Chcesz, żebym został?

Odetchnęła głęboko i wyprostowała się.

– Baw się dobrze, Christopherze, i niech ranek zastanie cię w zdrowiu.

Znów te przekłete dołeczki, ale tym razem przynajmniej porządnie się uklonił. Nawet jego plecy wyglądały na rozbawione, gdy szedł korytarzem – pomyślała, spoglądając, jak się oddala.

W sali było już dość tłoczno, zwłaszcza przy stołach lordów, stojących po obu jej stronach. W głębi, najdalej od królewskiego podestu, stał stół dla gminu. Zasiąść przy nim mieli ludzie nieutytułowani – służący i mniej ważni dworzanie – którzy zaskarbili sobie szczególne względy króla. Spowity w biel i szkarłat królewski podest miał dwa poziomy. Wyższy przeznaczony był dla króla, królowej i następcy tronu. Na niższym znajdował się długi stół dla radnych i wielmożów cieszących się największą przychylnością władcy oraz dla pozostałych członków królewskiego rodu, jeśli przebywali oni akurat na dworze. Król będzie osamotniony, pomyślała Wynter, skoro królowa nie żyje, następca tronu gdzieś przepadł, a Razi wedle protokołu musi siedzieć na niższym poziomie.

– Czy życzysz sobie zostać odprowadzona na swoje miejsce?

– usłyszała za plecami. To paż proponował jej pomoc. Na to zwyczajowe pytanie należało koniecznie odpowiedzieć „tak”, bo inaczej nie wiedziałoby się, jakie miejsce przeznaczył dla nas król.

Usadzono ją blisko szczytu lewego stołu lordów – bardzo dobre miejsce. Dalsze krańce stołów zawsze zapełniały się szybko, bliższe wolniej, bo zarezerwowane były dla uprzywilejowanych.

Do sali zaczęli napływać goście z gminu. Przy stole dla gminu nie panowała żadna hierarchia, nie było paziów, więc

stałe dochodziło do zabawnych przepychanek i zamiany miejsc. Wszyscy musieli usiąść przed wejściem królewskiej świty, żeby razem wstać i pozdrowić króla. Jeśli ktoś się spóźnił, nie wpuszczano go do sali.

Wynter dostrzegła Christophera, który wszedł pewnym krokiem i zaczął przedzierać się przez tłum, kiwając głową i uśmiechając się do tych nielicznych gości, których zdawał się znać. Kierował się prosto w stronę pięknej kobiety o ciemnych włosach i czerwonych ustach, spoglądającej żywo na wszystkie strony. Wynter prychnęła, gdy nachylił się i szepnął jej coś do ucha, znów ukazując dołeczki. Czarnowłosa przesunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie stołu powiedział coś i wybuchnął śmiechem, na co Christopher również się roześmiał i usiadł, poprawiając tunikę.

Sala była już prawie pełna, robiło się coraz bardziej gorąco. Służba obsługująca wachlarze pociągnęła za liny i wielkie umieszczone pod sufitem skrzydła poruszyły się, chłodząc zgromadzonych. Zaczęto roznosić kubki z mrożonym kordialem truskawkowym. Królewskiego orszaku wciąż nie było widać.

Wynter wypita mały łyk kordiału, a muzykanci na galerii cicho zaintonowali jakiś minnesang, odruchowo zerknęła na Christophera. Nie widziała jego twarzy. Siedząca obok ślicznotka spojrzała w tym momencie na jego dłonie i odsunęła się, zaskoczona. Gdyby siedziała przy stole lordów, nie padłoby ani jedno słowo na ten temat, ale kobieta szybko postarałaby się o zmianę miejsca. Była jednak plebejuską, więc zwyczajnie trąciła Christophera w ramię i pytającym gestem wskazała na brakujące palce.

Christopher podniósł ręce, jakby chciał powiedzieć: Co, to? Posłał kobiecie swobodny uśmiech i żywo wdał się w jakieś skomplikowane wyjaśnienia zakończone podniesieniem brwi i wymowną pauzą. Jego sąsiadka przez moment wyglądała na



wstrząśniętą, a potem oboje jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Kobieta aż ocierała z oczu łzy, w końcu wciąż rozśmiana, sięgnęła po kubek. Christopher nachylił się i szepnął jej coś do ucha, powodując, że okryła się różowym rumieńcem. Scena ta sprawiła, że Wynter zniesmaczona skierowała uwagę na inną znajomą twarz.

Andrew Pritchard właśnie zajmował miejsce dwa nakrycia dalej. Skinęli sobie na powitanie głowami, po czym Pritchard zajął się rozmową ze swoim sąsiadem.

Nagle w królewskich drzwiach ukazał się paź. Cała sala zamarta w napięciu. Czy to już król i jego orszak? Chłopiec jednak ostrożnie zamknął drzwi za sobą i ruszył między stoły. Tłum wyraźnie się odprężył, szmery rozmów rozbrzmiały na nowo.

Pewnie przysłał go któryś z radnych – wywnioskowała Wynter, śledząc, dokąd idzie... Gdy stało się jasne, że chłopiec zmierza do stołu gminu, żołądek podszedł jej do gardła. Nie ona jedna była zainteresowana drobną figurką pazia przeciskającego się przez tłum gości. Nikt nie zdołałby wejść królewskimi drzwiami i pozostać niezauważony. Spora część zgromadzonych zarejestrowała – z mniejszym lub większym zainteresowaniem – że paź podszedł do stołu dla gminu i dotknął ramienia Christophera Garrona.

Wynter nie mogła usłyszeć przyniesionej przez pazia wiadomości, dostrzegła jednak zmieszanie Christophera. Przełknęła ślinę i zdenerwowana pochyliła się do przodu, gdy paź niecierpliwym gestem nakazał mu wstać. Wyraźnie zdumiony, lecz posłuszny przyniesionym przez posłańca nakazom, Christopher ruszył do stołu dla lordów.

No nie! Czy król postradał rozum? Czyżby oszalał do tego stopnia, że rozkazał Christopherowi usiąść pomiędzy lordami? Czy aż tak bardzo go znienawidził, że postanowił rzucić go wilkom na pożarcie?

Patrzyła z przerażeniem, jak paź prowadzi zawstydzonego

mężczyznę przez szeroki pas ziemi niczyjej pomiędzy terytoriami gminu i wielmożów.

Nie zostawiaj go! – pomyślała. – Nie każ mu szukać swojego miejsca.

Doskonale jednak wiedziała, że paż właśnie taki ma zamiar. Służący, bardziej niż ktokolwiek inny, nie potrafią ścierpieć czegoś takiego, jak naruszenie protokołu i dworskiej hierarchii.

Niestety, tak jak przypuszczała, paż doprowadził Christophera do szczytu stołu, nieokreślonym machnięciem ręki wskazał mu ławę i oddalił się z godnością, stukając obcasami w niemal zupełnej ciszy, jaka nagle zapadła na sali. Christopher stał niepewnie przy końcu długiego rzędu wymownie zwróconych ku niemu pleców, a cała jego bezczelna pewność siebie zniknęła jak sen moty. Zauważył, że mniej więcej dziesiąte od brzegu miejsce na ławie było wolne, więc z ulgą ruszył w jego kierunku. W miarę jednak jak szedł wąskim przejściem pomiędzy ławą a ścianą, bielnicy zaczęli się przemieszczać, w taki sposób, że gdy się znalazł u celu, wolne miejsce zniknęło niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przystanął na chwilę, wpatrując się w sztywne plecy, które zajęły jego siedzenie. Potem powoli ruszył do kolejnego wolnego miejsca, choć świadomość tego, co miało zaraz nastąpić, paliła mu policzki. I rzeczywiście, gdy do niego dotarł, miejsca już nie było.

Raz, drugi i trzeci Christopher próbował usiąść, ale lordowie wciąż przesuwali się sprytnie z miejsca na miejsce, dziecinnie zabawiając się jego kosztem. W końcu zatrzymał się zesztywniały i czerwony z wściekłości.

Wyjdzie – pomyślała Wynter. Jeśli teraz odwróci się na pięcie i wyjdzie, jego życie na dworze będzie można uznać za skończone. Nie ma mowy, żeby uszedł z życiem, jeśli zrobi królowi taki afront.

Oczywiście tego właśnie chcieli lordowie. Gdyby teraz

wyszedł, oznaczałoby, że wzgardził wielkodusznością króla. Nie miałby po tym szans na pozostanie na dworze. Może dla nas wszystkich lepiej by było, gdyby tak właśnie się stało – zastanawiała się Wynter, w napięciu obserwując rozwścieczonego młodzieńca. – Lepiej dla niego, lepiej dla Raziego i lepiej dla mnie.

Zamknęła oczy, nakazując sobie w duchu: Pozwól mi odejść. Po chwili otworzyła je i chwyciła nóż ze swego nakrycia. Zdała sobie sprawę z okrucieństwa całej sytuacji. Jak gdyby nigdy nic położyła dłoń na wolnym siedzeniu obok i wychyliła się tak, żeby Christopher dostrzegł ją za rzędem wyprostowanych i wzgardliwych pleców. Zapraszającym gestem wskazała mu miejsce.

Zobaczył ją od razu, trudno byłoby ją przeoczyć, z tak ogromną masą rudych włosów zjawiała mu się nagle w polu widzenia. Zauważyła jego wahanie i niepewność. Myśli, że też chce go oszukać – skonstatowała wstrząśnięta – myśli, że każe mu przyjść aż tutaj, a potem przesiądę się jak cała reszta. Dała po sobie poznać, że jego podejrzenia są dla niej przykre. Widok jej miny wreszcie go przekonał.

Ruszył wolno wzdłuż ławy, sztywno przyciskając ramiona do boków, z twarzą wciąż wyrażającą na przemian wściekłość i zażenowanie, a lordowie, których mijał, tręcali się łokciami, wiercili się i przesuwali z miejsca na miejsce, pilnując, żeby nie ostało się żadne wolne siedzenie.

Gdy nadeszła chwila, że i Andrew Pritchard miał przesunąć się na wolne miejsce obok niej, jego biodro spotkało ostry czubek noża do mięsa, który Wynter trzymała w ręce. Zaskoczony posłał jej szybkie spojrzenie, na które odpowiedziała jednym groźnym błyskiem zielonych oczu. Gwałtownie odskoczył z powrotem, robiąc miejsce Christopherowi, który zaraz położył nogi przez ławę i spoczął na jednym z najlepszych miejsc na sali.

Przez chwilę ciszę wypełniał tylko minnesang, aż wreszcie  
koniadnicy wrócili do przerywanych rozmów. W sali rozległ się  
dawny gwar, ale teraz brzmiał jakoś złowieszczo i mrocznie.  
Jedni szepotali, inni tręcali się łokciami, jeszcze inni jawnie się  
gapiłi. Christopher i Wynter znaleźli się pod obserwacją gości,  
na którym owady przyszpilone w gablocie.

Christopher odchrząknął i kazał nalać sobie kordiału.  
Jeden ze służących go nie dostrzegł. Westchnął.

Niezdolny klimat panuje na tych waszych wyżynach.  
mruknął. – Aż ziąb człowiekowi przechodzi po plecach.

Trzeba było lepiej się przygotować – powiedziała chłodno.

Niebezpiecznie jest pływać w nieznannej rzece. – Nie patrząc  
na niego, przysunęła mu kubek z własnym kordiałem, a on  
upił łyk, nie podziękowawszy.

– Przyjaciel mnie namówił. Wygląda na to, że skłamał,  
twierdząc, że woda jest w porządku. Jednym palcem przesunęła  
kubek w jej stronę i posłał tęskne spojrzenie ciemnowłosej  
kobiecie o czerwonych ustach, która ostentacyjnie unikała jego  
wzroku, odwracając głowę tak mocno, że aż było to śmieszne.  
Znowu westchnął.

– Szkoda – mruknął.

Wynter zerknęła szybko na jego dawną sąsiadkę.

– Niezgorzej tam sobie radziłeś. Czym ją tak wtedy rozba-  
wiłeś?

Patrzył na nią przez chwilę i zdawał się myśleć nad odpo-  
wiedzią, ale potem wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

– Tobie nie wydawałoby się to zabawne.

– Odnoszę wrażenie, że lubisz zabawiać kobiety – powie-  
działa z przekąsem.

Znów przelotnie ukazały się dołeczki, a Christopher spoj-  
rzył po sali. Wszyscy starali się unikać jego wzroku.

– Cóż, odnoszę wrażenie, że tutejsze kobiety złąknione są  
czułości.

Wynter prychnęła i nie zdając sobie sprawy, że wypowiada te słowa na głos, mruknęła: Christopher co ty tu robisz? A raczej chciała zapytać: Czego ty właściwie chcesz, co starasz się tutaj osiągnąć?

– Sam chciałbym to wiedzieć...

Odwróciła się do niego, zaskoczona taką odpowiedzią. Zawarty w tych słowach nieoczekiwany smutek sprawił, że zamysliła się, patrząc na jego twarz.

– To przecież istne piekło. Nie rozumiem, dlaczego Razi wciąż tu tkwi. – Ciągnął dalej cicho, konfidencjonalnym tonem. – Ale cieszę się, że tu z nim przyjechałem i że wreszcie jesteś. – Rozejrzył się po sali. – Przecież to istne gniazdo sępów – dorzucił.

Wynter nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Nie spodziewała się, że usłyszy z ust Christophera coś podobnego. Jego tymczasem pochłonęło coś na drugim końcu sali.

– Wiem, że nie najlepiej wyznaję się na tych sprawach – powiedział, wskazując przed siebie – ale czy to nie dziwne, że już podają do stołu, choć świta królewska nie zajęła jeszcze swoich miejsc?

Rzeczywiście, kilku bardzo zakłopotanych służących wносиło przez dwuskrzydłowe drzwi wielkie półmiski z drobnym ptactwem, od którego tradycyjnie rozpoczynała się każda uczta. Po sali przeszedł niespokojny pomruk. Ktoś przy stole dla gminu powiedział: „Hańba! Po prostu hańba!”, tak głośno, że nawet któryś z lordów od razu to podchwycił, dodając: „Właśnie!”.

Wynter wpatrywała się z niepokojem w królewskie drzwi. Co mogło ich zatrzymywać? Nie chciała pokazać po sobie strachu, który nagle ją ogarnął. Co robić? Czy powinni zacząć bez króla? To może go urazić. Czy znajdzie się ktoś na tyle lekkomyślny, kto jako pierwszy skosztuje mięsa, co zgodnie z tradycją należało do przywilejów stołu królewskiego? Skoro jednak

Ważenie znalazło się już na stole, a nikt go nie tknie, czy nie zostanie to uznane za jeszcze gorszy afront niż odstąpienie od protokołu uczyty i rozpoczęcie posiłku bez króla? Widziała, że z podobnymi wątpliwościami zmagają się wszyscy wokół. Wszyscy, z wyjątkiem Christophera, który właśnie szukał czegoś pod swoim talerzem i rozglądał się z osłupiałą miną.

Gdzie jest mój nóż? – zastanawiał się na głos.

Wynter zmarszczyła czoło. Gdy siadała, nóż był na miejscu. Spojrzała, że Andrew Pritchard posyła swojemu sąsiadowi triumfalny uśmiech. Odchyliła się nieco do tyłu. Wzdłuż stołu przebiegała właśnie fala cichego poruszenia, lordowie po kolei podawali sobie coś z rąk do rąk, aż siedzący na samym końcu stołu Simon Pursuant przywołał jednego ze służących i podał mu ten właśnie „dodatkowy” nóż. Zdziwiony chłopiec zadał grzecznie jakieś pytanie, na co Pursuant wzruszył tylko ramionami i wymijająco machnął ręką, co miało oznaczać: pewnie dostałem dwa przez pomyłkę. Wynter z wściekłością zacisnęła wargi. Co za głupia dziecinada i małostkowość.

Królewskie drzwi otworzyły się znowu i wszyscy zwrócili oczy na młodego pazia, który wspiął się na drugi poziom królewskiego podestu i ogłosił wysokim, drżącym ze zdenerwowania głosem:

– Jego Królewska Mość, miłościwie nam panujący król Jonathon, prosi, abyście raczyli się jadłem, gdyż jego zatrzymały... yyy... – Dziecko obejrzało się nerwowo, a ktoś zza uchylonych drzwi szybkim syknięciem podsunął mu dalszy ciąg. – Sprawy wagi państwowej. Nie chcąc, aby ukochani poddani musieli cierpieć głód pod jego nieobecność, prosi, abyście częstowali się drobiem i... i zapewnia, że niebawem do was dołączy.

Paź skończył przemowę i czym prędzej uciekł. Decyzja, kto rozpocznie ucztę, spadła na barki zasiadających u szczytów stołów dla lordów, Francisa Coltumera i Laurence’a Theobalda. To

do nich przyszło po dwóch służących z półmiskami. Francis i Laurence, stare wygi, spojrzeli na siebie, obaj skinęli głowami i jednocześnie nadziali na widelce po najmniejszym ptaszku. Gdy obaj umieścili drób na talerzach i zaczęli delikatnie skubać mięso, w sali rozległo się westchnienie ulgi.

Ciche, niepewne rozmowy znów zaczęły wtórować muzyce dobiegającej z galerii, a półmiski przenoszono od jednego gościa do drugiego. Christopher wciąż oddawał się poszukiwaniom zaginionego noża, teraz zniknął pod stołem, żeby zajrzeć pod ławę.

– Christopher – syknęła Wynter, kątem oka dostrzegłszy, że półmisk zbliza się w ich stronę. – Christopher! – Kopnęła go po omacku, aż podskoczył, waląc głową w stół i klnąc po hadryjsku.

Usiadł, masując sobie czoło, i uśmiechnął się z zachwytem, gdy pachnąca góra drobiu znalazła się tuż pod jego nosem.

– O rety – westchnął, oblizując wargi.

– Powiedz, który byś chciał – szepnęła Wynter – ja...

Ale zanim zdążyła dokończyć, sięgnął błyskawicznie do cholewy i wyciągnął z niej najdłuższy, najgroźniej wyglądający sztylet, jaki kiedykolwiek Wynter widziała. Nałożył nim sobie ładnego, tłustego kurczaka i zerknął na zaskoczoną sąsiadkę.

– Podać ci coś? – spytał, błogo nieświadomy mieszanki oburzenia i popłochu, jaką wywołał u współbiedników.

Oderwała wzrok od rzędu skwaszonych twarzy widocznych nad jego ramieniem i starając się zachować powagę, odrzekła:

– W takim razie poproszę o kuropatwę.

Mimo obrażeń dłoni zdawał się nie mieć żadnych trudności z krojeniem mięsa. Wynter obserwowała z zaciekawieniem, jak precyzyjnie oddziela je od kości. Dopiero gdy znów przemówił, zdała sobie sprawę, że się zagapiła.

– Bardzo skuteczna zemsta, nie sądzisz? – powiedział spokojnie, maczając okaleczone palce w miseczce z wodą i wycierając je

w werwetkę. – Pomyślana tak, żeby odebrać mi wszystko, czym jestem, ale nie tak, by pozbawić mnie przy tym zdolności do pracy.

Jedząc, nie patrzył na nią, tylko błędził wzrokiem po sali. Wintter zaś rozmyślała: To nie jest zabawna historyjka, którą uraczył tamtą kobietę. Mówi mi coś, o czym nie opowiada się byle komu. Dlaczego? Powiedział zemsta – nie kara. Zemsta. Musiałeś komuś mocno zależeć za skórę, że tak cię okaleczył. Może to mąż lub brat jakiejś kobiety?

Przypomniała sobie jednak, że Razi ze śmiechem wspominał o beczcze smoły, i uznała, że raczej nie stroiłby sobie takich kartów, gdyby to istotnie rozwiązanie było powodem nieszczęścia Christophera.

Drzwi królewskie ponownie się otworzyły. Znowu pojawił się w nich młody paź, który pomknął przejściem między ławą i ścianą, najwyraźniej zmierzając na drugi koniec sali.

Christopher wyciągnął rękę i chwycił chłopca za rąbek tuniki, zatrzymując go. Wynter jęknęła i popatrzyła po sąsiadach zmieszana.

– Och, Christopher – szepnęła – tak się nie robi!

Christopher przyciągnął wystraszone dziecko do siebie i syknął mu do ucha:

– Co się tu wyprawia, pędraku?

Jego hadryjski akcent nagle stał się mocniejszy. Dziecko wyrывało się i lękliwie rozglądało na wszystkie strony.

– Nie mogę powiedzieć, wasza wielmożność. Przecież wiecie.

– Nie jestem wielmożą, pędraku. Po prostu tu mnie posadzili. Jak miewa się mój pan, lord Razi? Czy dobrze?

– Christopher! – Wynter położyła mu dłoń na ramieniu, ale on nie zwracał na nią uwagi, tylko przyciągnął wyrывającego się chłopca jeszcze bliżej. Wszyscy wokół gapili się i nadstawiali uszu. Potężni strażnicy stojący po obu stronach sali też zauważyli, że coś się dzieje.



– Christopher! Jak tak dalej pójdzie, skończysz w lochu!

– Nie mogę, panie! – głos przerażonego dziecka osiągnął częstotliwość pisku nietoperza. – Muszę przekazać wiadomość, panie! Puść mnie!

– Dla kogo ta wiadomość?

Chłopiec rozejrzał się ze strachem. Strażnicy już nadciągali, ale nadal byli bardzo daleko.

– Dla imć Garrona, panie. Przy stole dla gminu. To bardzo ważne. Puść mnie, proszę.

Christopher, zaintrygowany, rozluźnił uścisk, a dziecko już miało się wyrwać, ale tym razem Wynter chwyciła je za tunicę.

– To właśnie jest Christopher Garron, chłopcze. Przekaż mu swoją wiadomość.

Dziecko jęknęło z rozpacz i przerażenia.

– Nie, pani! Imć Garron siedzi przy stole dla gminu. Och, pani, proszę cię, to niezmiernie ważne. Wielmożny Razi nakazał mi najwyższy pośpiech.

Christopher uniósł się z miejsca, na jego twarzy malował się prawdziwy, nieopanowany gniew. Chłopiec aż skulił się ze strachu. Christopher podniósł głos.

– To ja jestem imć Garron, pędraku. A teraz przekaz mi tę przeklętą wiadomość.

Strażnicy byli tuż-tuż, ale zanim zdążyli zareagować, mały paż wreszcie objął wzrokiem całą postać napastnika. Włosy, skośne szare oczy i na końcu dłonie – najważniejsze. Dziecko głośno wciągnęło powietrze i padło na kolana.

– Och, panie mój! Wybacz mi! Przybywam za późno!

Strażnicy, wyglądający na mocno skołowanych, odstąpili, gdy stało się jasne, że mały paż odnalazł tego, kogo szukał.

Christopher poderwał go z klęczek i potrząsnął za ramię.

– Nie jestem twoim panem, dzieciaku! Jak brzmi ta wiadomość? Czy lord Razi miewa się dobrze?

– Wielmożny pa... imć Garronie. Lord Razi posyła mnie... posyła ... – dziecko miało w oczach łzy. Wynter była zdumiona, widząc, jak nieporuszony pozostał Christopher. Wpatrywał się gniewnie w biednego malca, koncentrując się tylko na uzyskaniu wiadomości. – Aby ci powiedzieć... żebyś nie... och, panie mój! Mówi, żebyś nie przyjmował zaproszenia do stołu lordów! Masz mieć widok na obie strony sali, żebyś był jego oczami!

Christopher, klnąc paskudnie, odepchnął dziecko od siebie i spojrzął z wściekłością na przejście dzielące stoły. Wynter przez chwilę bała się, że będzie próbował wziąć szturmem królewskie komnaty. On jednak znów pochwycił chłopca za rękaw i warknął mu do ucha:

– Powiedz lordowi Raziemu, że już za późno! Powiedz, że utracił swoje oczy! I spytaj, co mam zrobić. Słyszysz mnie? Spytaj go, co mi rozkaże! – Z tymi słowami popchnął pazia w stronę korytarza, tak że pierwszych kilka kroków chłopiec przejechał po podłodze, a dalej puścił się pędem.

Wynter usiadła bokiem, obserwując Christophera, który wciąż stał, patrząc z uwagą, jak paż znika za królewskimi drzwiami. Jego twarz miała kamienny, wręcz bezwzględny wyraz. Całą uwagę skupiał na tym, czy dziecko przejdzie przez drzwi. Nic innego dla niego nie istniało. Wynter nagle opadły łuski z oczu. Zupełnie jakby Christophera niespodziewanie oświetlił promień światła, zmieniając go całkowicie w jej oczach.

Christopher Garron niczego tu nie szukał. Wcale nie łaknął luksusów, jedzenia, a nawet kobiet. Wynter zrozumiała już, dlaczego Razi nakłonił go do przyjścia na ucztę. Christopher był przyjacielem Raziego. Kochał go, a Razi mu ufał. Ufał, że będzie go osłaniał i bronił. Że ocali mu życie.

Patrząc na Christophera, dostrzegła samą siebie. To, że oboje byli gotowi oddać za Raziego życie, napawało ją lękiem, a zarazem ufnością.

# Straszna uczta

**P**aż nie zdążył przekazać wiadomości lordowi Raziemu. Kiedy tylko jego drobna sylwetka zniknęła w królewskich komnatach, przez te same drzwi zaczęli wkraczać do sali pierwsi radni. Wynter dostrzegła, że chłopiec przykleił się do ściany, aby przepuścić mijających go mężczyzn w czarnych strojach. Na jego drobnej twarzyczce malowała się rozpacz, że znów nie może wypełnić powierzonego mu zadania.

Szykowało się coś strasznego, tylko głupiec by tego nie dostrzegł. Na twarzach sześciu przygarbionych radnych, którzy weszli do sali balowej, widać było dziwną mieszankę strachu i oburzenia. Strażnicy maszerujący za nimi zdawali się nie tyle ich bronić, ile zapędzać do stołu. Nagle na widok połyskujących metalicznie włóczni zaschło jej w ustach; na ostrzach nie było skórzanych osłon – zauważyła.

Wolno chwyciła Christophera za rękę i zdecydowanym ruchem pociągnęła go w dół.

– Siadaj – powiedziała bardzo cicho. – Siadaj i nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów.

Ich oczy na moment się spotkały, jego dzika furia przeciwko jej wyćwiczonej powściągliwości, która zdawała się przekonywać: Zaufaj mi, Christopherze, to nie czas na heroiczne zrywy. Powoli wrócił na swoje miejsce i oboje się

odwrócili, mogąc już tylko bezsilnie obserwować dalszy bieg wypadków.

W drzwiach ukazał się ojciec Wynter – teraz to Christopher musiał położyć dłoń na jej ramieniu, by ją uspokoić. Bez słowa ścisnął je tak mocno, że skrzywiła się z bólu. Puścił dopiero wtedy, gdy zdołała opanować nierozważne myśli, choć w dalszym ciągu nie potrafiła ukryć niepokoju.

Lorcan został dosłownie wypchnięty z królewskich komnat. Olbrzymi strażnik sunący za nim musiał ponaglić go drzewcem włóczni, a potem całym swym potężnym ciałem zablokował mu drogę powrotu. Ojciec Wynter zaraz po przekroczeniu progu odwrócił się i usiłował wycofać z sali, z determinacją napierając na strażnika. W trakcie tych niemych zapasów zgromadzeni na sali ludzie zaczęli podnosić się z miejsc.

Strażnicy ustawieni pod ścianami zerkali na siebie wyciekując. W powietrzu aż iskrzyło. Wiedziała, że napięcie, które czuła na karku i plecach, udziela się całemu zgromadzeniu. Także Christopherowi, który gotów był lada moment wybuchnąć.

Zacięta próba sił pomiędzy Lorcanem a strażnikiem raportownie się skończyła, gdy ktoś ukryty za drzwiami nagle przemówił. Lorcan wyciągnął szyję, żeby spojrzeć nad potężnym ramieniem strażnika; było jasne, że uważnie słucha. Całym sobą wołał: Powiedz mi, co mam robić! Wszyscy zgromadzeni na sali zdawali się wstrzymywać oddech.

Lorcan zgarbił się. W ostatnim akcie desperacji pchnął niewzruszonego strażnika jeszcze raz, rzucając mu jakąś obelgę, ale był to tylko wyraz bezsilnego gniewu. Nie pozostało mu nic innego, jak odwrócić się na pięcie i ruszyć na swoje miejsce przy dolnym podeście.

Nastąpiła dłuższa chwila spokoju, podczas której Wynter dostrzegła, że Christopher dyskretnie wyciera swój sztylet i wsuwa go z powrotem do buta. Ojciec usiadł, wpatrując się tępo w swoje zaciśnięte pięści. Nawet nie próbował jej odszukać. Po

chwili spokoju przy królewskim wejściu na nowo zapanowało poruszenie. Do sali wchodzili pozostali radni. W przeciwieństwie do pierwszej szóstki tych ośmiu bynajmniej nie kulilo się ze strachu. Weszli razem, zgodną grupą, z twarzami wyrażającymi zdecydowanie. Zamiast zająć swoje miejsca, ustawili się na niższych stopniach, skutecznie blokując dostęp do dolnego poziomu podestu. Stali jak niewzruszony czarny mur, ramię w ramię, wbijając wzrok w królewskie drzwi. Wypisz wymaluj sępy, jak wcześniej trafnie określił ich Christopher – z tymi bladymi, wychudłymi twarzami, w ciasno przylegających czarnych czapkach.

W końcu w drzwiach ukazał się Razi. Zamiast stroju lekarza miał na sobie szkarłatną pelerynę i czarne spodnie, których wymagała uroczysta wieczerza. Jego eskorta trzymała się niepokojąco blisko. Strażnicy cały czas napierali od tyłu, zmuszając go do kolejnego sztywnego kroku, noga za nogą. Błądził wzrokiem, uparcie unikając skierowanych na niego spojrzeń. Każdym ruchem komunikował, że wolałby być gdzie indziej. Wynter widywała już takie zachowanie, zwykle u skazańców wchodzących na szafot. Wyczuła, że Christopher zamiera.

– Co się dzieje? – szepnął. – Wygląda jak zaszczute zwierzę.

To prawda. Ten spłoszony wzrok i załęczniona twarz bez wyrazu. Zupełnie jakby tylko czekał na właściwy moment, żeby zerwać się i uciec. Głośno przełknęła ślinę, uspokoiła dłoń i spróbowała rozpoznać twarz.

Razi zbliżył się do nieporuszonego muru radnych. Naparł na nich ramieniem, nie patrząc w ich stronę, rozpaczliwie usiłując przedrzeć się na swoje miejsce obok Lorcana. Niestety, strażnicy za jego plecami wciąż popychali go naprzód, a radni nie ustępowali. W ten sposób Razi został wepchnięty na schody prowadzące na górny poziom. Potknął się na pierwszym stopniu, a Wynter dostrzegła, że podnosi wzrok i spogląda na ostatniego z radnych. Podskarbiego Herona.

Strach, ból i złość mieszające się w oczach Raziego sprawiły, że Wynter z wściekłością uniosła się z miejsca. Zauważyła też, że i Christopher w tym samym momencie zrywa się na równe nogi. Ich gwałtowna reakcja przeszła jednak bez echa, bo w tej właśnie chwili do sali wkroczył sam król. Tym jak jeden mąż poderwał się z miejsc w tradycyjnym pozdrowieniu. Król Jonathon, wspaniały jak zwykle, żwawo minął żołnierzy, radnych oraz swego nieślubnego syna i ruszył po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Cała sala odetchnęła z ulgą, ludzie unieśli kielichy i zakrzyknęli „Niech żyje!”.

Król zdecydowanym krokiem zbliżył się do tronu górującego nad wyższym podestem i uniósł rękę w podziękcie za okazane mu oddanie. Siadajcie, siadajcie – nakazał gestem, co też natychmiast uczyniono. Wynter i Christopher także zajęli swoje miejsca. Wszyscy dziwili się jednak, dlaczego król cały czas stoi, a połowa jego radnych blokuje przejście na dolny podest, podczas gdy druga połowa siedzi sztywno na swoich miejscach. I dlaczego lord Razi wciąż tkwi u dołu schodów, skoro powinien był usiąść razem ze wszystkimi po przywitaniu króla?

Jonathon skinął na żołnierzy, którzy znów zdecydowanie natarli na Raziego. Wynter zobaczyła, że jej przyjaciel wciąż z zaciętym wyrazem twarzy usiłuje stawić im opór, ale jedyne, co mógł, to albo odmówić wszelkiej współpracy, paść na podłogę i pozwolić się zaciągnąć, albo ugiąć się pod ich naporem. Noga za nogą powłókł się więc po schodach na królewski podest.

Wszyscy patrzyli w napięciu, jak królewski bastard zostaje zagoniony pod tron. Nawet muzycy przestali grać. W tej martwej ciszy Wynter usłyszała głośny i nierówny oddech Raziego. Słyszała też skrzypienie jego butów, gdy zapierał się, nie chcąc podejść bliżej. Ale strażnicy wciąż napierali, popychając go do przodu, aż w końcu musiał zrobić kolejny krok.

Podprowadzili go do trzeciego tronu. Na miejsce Alberona, prawowitego następcy tronu. Do uszu Jonathona dobiegł zdławiony szloch Raziego, gdy żołnierze chwycili go za ramiona. W martwej ciszy zabrzmiał wyraźnie i donośnie, król więc skinął z niecierpliwością na muzyków, by zaczęli grać. Po sali popłynął jakiś okropnie skrzekliwy dysonans. Być może palce muzyków także sparaliżował szok. Król rozwścieczony krzyknął coś niezrozumiale. Wtedy galeria muzyków rozbrzmiała lekką, skoczną nutą, a Jonathon zwrócił gniewny wzrok na syna.

Razi patrzył na niego z takim bólem, przerażeniem i błaganiem w oczach, że Wynter krajało się serce. Ale Jonathon był nieugięty i gdy nakazał gestem „w dół”, dwie potężne, posłuszne żołnierskie łapy na każdym z ramion Raziego napały w dół. I oto bastard Razi siedział na miejscu Alberona jako nowo mianowany, nieodwołalny pretendent do tronu.

Pojawili się służący z wielkimi półmiskami łososa pieczonego z czosnkiem, koperkiem i marynowanym ziarnem gorczycy. Zapach był cudowny, lecz tłum nie zareagował bynajmniej szmerem zachwytu. Wszyscy siedzieli jak trusie, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, a król, nic sobie z tego nie robiąc, wziął przysługującą mu pierwszą porcję.

Służący stali na dolnym podeście, tuż za plecami ojca Wynter, wysoko unosząc półmisek. Jonathon pochylił się i sięgnął po różowe mięso. Gdy królewski talerz był już pełny, rytuał nakazywał obsłużyć kolejne osoby w dworskiej hierarchii. Ponieważ Alberona nie było, a królowa nie żyła, służący zazwyczaj przechodzili na niższy podest, żeby obsłużyć Lorcana i Raziego. Potem przychodziła kolej na radnych, następnie lordów, a na końcu na gmin. Teraz jednak nikt nie kwapił się, żeby częstować Raziego, siedzącego na miejscu Alberona, bo pogorszyłoby to tylko obecną sytuację. Oznaczałoby bowiem coś, czego nikt ze zgromadzonych nie chciał przyjąć do wiadomości.

Król nakazał im ruszyć dalej, lecz obaj służący trwali niepewnie w miejscu, a Razi zacisnął dłonie na blacie stołu. Król spojrzął gniewnie i machnął ręką, żeby w następnej kolejności poczęstowali Raziego. Służący zamrugali niepewnie, porażeni ogromem zdrady wobec prawdziwego następcy tronu. Jonathon huknął na nich, unosząc się z miejsca i wymachując groźnie nożem. Obaj mężczyźni cofnęli się chwiejnie, omal nie tracąc przy tym równowagi, po czym zrobili krok w bok i podsunęli półmisek pod nos nieszczęśliwego Raziego, który zamknął oczy i odwrócił głowę.

Król mruknął coś, nie patrząc nawet w jego stronę, i zaczął jeść. Słowa, które skierował do niego Razi, wprawiły go w jeszcze gorszy humor. Nachylił się i warknął coś synowi do ucha. Razi odwrócił głowę z morderczym błyskiem w oku i przez zęby rzucił kilka słów w odpowiedzi.

Ojciec i syn przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym król sięgnął do półmiska, nabrał garść rybiego mięsa i cisnął je prosto na talerz syna, po czym odwrócił się, jakby to miało oznaczać koniec dyskusji. Ze skwaszoną miną skinął na służących, żeby ponieśli półmiski dalej, opłukał ręce w miseczce z wodą i ponownie zabrał się do jedzenia.

Tak właśnie toczyła się ta straszna uczta. Przy każdym nowym daniu Jonathon sięgał ręką i nakładał kolejną porcję na przepelniony talerz syna, aż stół wokół Raziego pokryły plamy najróżniejszych sosów, musów i tłuszczu. Razi skończył wciśnięty w oparcie w zgardliwie odwróconą twarzą. Król zjadał wszystko, co mu podawano, przez cały czas lustrując wzrokiem swych zaniepokojonych poddanych. Gdy jego wzrok padał na kogoś, kto nie jadł albo wyglądał na zmartwionego, rozkazywał mu wyjaśnić przyczyny złego humoru. Wkrótce więc wszyscy uśmiechali się z determinacją i jedli, aż im się uszy trzęsły.

Tylko Lorcan, Wynter, Christopher i trzech radnych



przyłączyło się do demonstracyjnej głódówki Razięgo, ale ich akurat król ignorował.

Wreszcie wniesiono owoce i sery. Obrzydliwy talerz Razięgo został uprzątnięty, a blat stołu wytarty do sucha. Przed nim i królem postawiono wysokie szklance ze słodkim winem deserowym. Wynter zaczęła podejrzewać, że Razi popadł w jakiś trans, bo zdawał się nie dostrzegać niczego, co się wokół niego działo. Siedział nieruchomo jak posąg, z rękoma wspartymi o poręczę tronu Alberona, ze wzrokiem wbitym w świeżo oczyszczony stół i z twarzą bez wrażeń.

Od drugiego dania Christopher i Wynter nie odezwali się do siebie ani słowem. Oboje machnięciami ręki dziękowali za kolejno wnoszone potrawy, ale wysączyli po kilka kubków truskawkowego kordiału. Wynter całą uwagę skupiała na podeście królewskim, niespokojnie obserwując na przemian Razięgo i ojca, który, odkąd usiadł na swym miejscu, nawet nie drgnął. Christopher natomiast przez cały czas lustrował wzrokiem zgromadzonych, badając ich reakcje, śledząc ruchy i w miarę możliwości podsłuchując rozmowy.

To już prawie koniec – pomyślała Wynter. – Przecież po tym wszystkim Jonathon z pewnością nie będzie tak okrutny, żeby zmuszać ludzi do tańców.

Król jednak uniósł się na tronie i klasnął, co oznaczało, by odsunąć stoły pod ściany. Muzykanci zaintonowali *Gara-a-ronde*. Po sali przetoczyła się burza nieszczerych oklasków i wszyscy wstali do tańca.

Christopher i Wynter wstali ze swoich miejsc i korzystając z okazji, przesunęli się w stronę tronu. Trzymali się razem w nadziei, że przynajmniej jednemu z nich uda się przedrzeć przez barykadę radnych i strażników otaczającą ich przyjaciela. Razi i król pozostali na swoich miejscach. Jonathon rozsiadł się wygodnie na tronie, pijąc i spoglądając na tłum biesiadników, a Razi cały czas trwał w tej samej pozycji.

Kiedy Wynter i Christopher zaczęli przechadzać się wzdłuż kordonu straży, Razi na krótką chwilę podniósł wzrok i ich dostrzegł. Kamień spadł jej z serca, bo zdała sobie sprawę, że przez cały czas czekał, aż podejda odpowiednio blisko. Spostrzegła, że Christopher staje przed nim na baczność. Razi kiwnął głową i bezgłośnie wymówił: Zostań. Christopher odwrócił się, nie dając nic po sobie poznać, i wciąż przechadzał się, pozornie bez celu, od niechcienia obserwując tłum, ale Wynter wiedziała już, że nie zostawi on przyjaciela w potrzebie.

Po chwili Razi przeniósł wzrok na nią. Nie mieli dużo czasu, ale pozwolił sobie na chwilę słabości, bo jego spojrzenie zmiękło, a brwi uniosły się smutno. Przetyknął ślinę i mrugnął, a jego twarz znów bardzo spoważniała.

– Lorcan – powiedział bezgłośnie, wskazując wzrokiem królewskie drzwi. Stały otworem, zupełnie niestrzeżone. Rzuciła na nie okiem, a potem znów spojrzała na Raziego, ale on już spuścił wzrok, za to król przypatrywał się jej podejrzliwie. Wykonała zgrabny piruet i wmieszała się w tłum, zamierzając dotrzeć do królewskich komnat okrężną drogą.

Lorcan był sam. Musiał wykorzystać zamieszanie, które powstało pod koniec posiłku, i wymknąć się niepostrzeżenie. Znalazła go wciśniętego w odległy kąt pokoju. Opierał się plecami o ścianę, skulony i zaszczuty jak zwierzę. Gdy zamajaczyła mu w polu widzenia, podniósł wzrok i skrzywił się z żalem. Oddychał z trudem, przyciskając rękę do piersi.

– Kochanie – wydyszał – mam... kłopoty.

Nie krzyknęła, nie zaczęła histeryzować. Po prostu podszła, chwyciła go za ramiona i pomogła wstać.

– Jesteś w stanie iść? Zdołasz dojść do naszych komnat?  
– spytała, patrząc w jego spoconą twarz.

– Lord Razi...?

– Christopher się nim zajmie.

Na te słowa podniósł z powątpiewaniem brew. Przyłożyła

mu rękę do piersi, wyczuwając pod nią przyspieszony, nieregularny puls.

– Tato – powiedziała. – Razi mu ufa. A ja ufam Raziemu. Sam zdecydował, że tak będzie najlepiej. A teraz proszę cię, wracajmy do siebie.

Muzyka dobiegająca z sali stała się głośniejsza. Wynter słyszała dźwięki gig i innych tańców ludowych. Tancerze pewnie wirowali jak bąki. Musiało być tam nieznośnie gorąco, a napięcie dodatkowo dawało się wszystkim we znaki. Lorcan wsparł się na jej ramieniu, zachwiała się, lecz wspólnymi siłami ruszyli w mrok chłodnego korytarza. Odgłosy zabawy powoli cichły za ich plecami.

– Kochanie... ko... chanie... – nagle ścisnął jej ramię i zgiął się wpół. – Muszę przystanąć. Tylko na chwilę.

Wepchnęła go w pierwsze otwarte drzwi i oparła o ścianę. Znaleźli się w przedpokoju niewielkiej komnaty, jedynym źródłem światła były pochodnie na korytarzu.

– Tato, czy wszystko w porządku?

Jego oczy błyszczały w mroku, strudzony oddech świszczął niepokojąco. Lorcan oparł głowę o ścianę, poklepał córkę uspokajająco po ręce i kiwnął głową.

Mieli chwilę na złapanie oddechu, ale zaraz muszą ruszać dalej. Rozejrzała się czujnie, zdając sobie sprawę, jak bardzo byli teraz bezbronni. Wciąż słyszała odległe odgłosy balu, uszli tyle, co nic.

Nagle rozległy się krzyki. Muzyka ucichła, Wynter i Lorcan jednocześnie spojrzeli w stronę drzwi, intensywnie nasłuchując. Po chwili krzyki przerodziły się we wrzaski, brzmiało to jak pijacka burda w gospodzie. Potem rozległ się tupot nóg, a na końcu najstraszliwszy dźwięk: trąbki zagrały „Straż, do bronii” – alarm, który oznaczał, że ktoś ośmielił się podnieść rękę na króla!

# Zamachowiec

Wynter i Lorcan zamarli w ciemnościach, słysząc zbliżające się szybkie kroki. Obok drzwi przemknął młody mężczyzna. Wynter natychmiast wybiegła na korytarz, chcąc wołać strażę, ale cofnęła się na odgłos kolejnych kroków.

Obok niej śmignął Christopher Garron. Przeleciał jak błyskawica. Wynter wyskoczyła za drzwi nie do końca pewna, czy naprawdę go widziała.

Uciekający mężczyzna był już przy końcu korytarza. Obejrzał się przez ramię i na widok biegnącego tuż za nim Christophera zrobił przerażoną minę. Christopher rzucił się do skoku i kopnął go w locie, trafiając stopami między łopatki. Obaj upadli w bezładnej płataninie rąk i nóg.

Po chwili obok Wynter przebiegł jeszcze ktoś, ale jej uwagę pochłonęła prawdziwa furia w osobie Christophera Garrona. Jeszcze w powietrzu, zanim upadł, odzyskał równowagę i nim uciekający zdołał się zorientować, Christopher był już na nim. Najbardziej zaskoczyło ją zacięte milczenie Christophera i absolutna precyzja, z jaką wymierzał cios za ciosem. Najpierw zdzielił mężczyznę pięścią między oczy, tak że jego głowa uderzyła o posadzkę, natychmiast go obezwładniając. Ale nie przestał na tym. Uniósł pięść, jak tylko mógł wysoko – właśnie ten widok Wynter wspominała później; tę pozę, a potem

moment uderzenia. Każdy kolejny cios dzielił się na moment, gdy Christopher z zaciętą, pełną nienawiści twarzą, odciągał ściśniętą pięść, a potem moment, gdy pięść ta lądowała na twarzy młodzieńca. Z ust, nosa, a nawet z oczu przeciwnika płynęła krew. Krew, uderzenie i znowu krew. Po zachowaniu Christophera widać było, że ma tylko jeden cel – zatłuc na śmierć człowieka, który leżał pod nim, bezwładny i nieruchomy już od pierwszego ciosu, może nawet martwy.

Osoba, która przemknęła obok niej, zatrzymała się przy Christopherze, a Wynter dopiero teraz z zaskoczeniem stwierdziła, że to Razi. Krzyknęła cicho, widząc na jego prawym rękawie połyskującą krew. Dłoń także miał zakrwawioną. Rzucił się na kolana obok miotającego kolejne ciosy Christophera. Z jednej ręki wciąż kapała mu krew, lecz drugą chwycił przyjaciela w pól i odciągnął od ofiary.

– Wystarczy! Wystarczy! Christopher! – krzyczał Razi.  
– Potrzebny jest nam żywy! Potrzebny jest nam żywy! Chris! Przystań! – Ciągnął go tak mocno, że obaj zatoczyli się i upadli. Christopher wciąż milczał jak grób.

Wreszcie na korytarzu pojawili się strażnicy. Pomogli Raziemu i Christopherowi wstać, a pobitego podnieśli z ziemi i zakuli w kajdany. Razi warknął na nich, gdy próbowali rozłączyć go z oszołomionym Christopherem, który tylko stał i wlepił w niego nieobecny wzrok. A potem – o zgrozo! – Christopher rzucił się na strażników.

Wykrzykując coś po hadryjsku, z twarzą czerwoną ze złości, skoczył i uderzył w głowę jednego z nich.

– Gdzie wtedy byłeś?! – krzyczał. – Gdzie byłeś, zatracony sukinsynu?

Pierwszy ze strażników nie zdążył jeszcze upaść, a Christopher skoczył już do kolejnego i z okrzykiem wściekłości dzielił go kolaniem w krocze. Pozostali strażnicy ruszyli na niego z wrzaskiem, ale Razi stanął im na drodze, krzyząc:

– Odejdźcie! Precz! Niech was wszystkich zaraza! Zabierzcie  
miecia i odejdźcie!

Na szczęście usłuchali. Christopher, Wynter i Razi zostali  
kami. Dysząc, rozglądali się ze zdumieniem, jakby to wszystko  
im się śniło.

– Razi – powiedziała Wynter, chwytając go za rękę – ty  
krwawisz.

Ale Razi nie słuchał. Patrzył w skupieniu na Christo-  
phera, który z kolei przyglądał się jaskrawym plamom  
i zawijasom krwi zdobiącym podłogę w miejscu, gdzie od-  
była się jatka.

– Christopher – Razi delikatnie położył mu dłoń na ra-  
mieniu.

Christopher natychmiast zwrócił się w jego stronę. Spojrzał  
na wiszące bezwładnie i ociekające krwią ramię Raziego.  
Rzucił okiem na jego pierś, drugie ramię. Wreszcie spojrzął  
mu w twarz, zamrugał i wziął głęboki oddech, jakby właśnie  
wynurzył się z zimnej wody.

– Nic mi nie jest, Christopherze – szepnął Razi.

– Widziałem, jak padasz na ziemię. Ten parszywy gnojek  
rzucił w ciebie nożem. Widziałem, jak upadasz. Na Fritha,  
Razi! Krew po prostu z ciebie trysnęła!

Razi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Przyśniło ci się, przyjacielu. Nie trysnąłem żadną  
krwią.

Christopher nagle chwycił go za szyję i przyciągnął do sie-  
bie, tak że czoło Raziego spoczęło na jego ramieniu. Potem  
uściskał go krótko, ale z uczuciem. Powiedział: – Nigdy więcej  
tego nie rób, głupku. – Uderzył go parę razy dłonią w plecy.  
Wynter podejrzewała, że w zamierzeniu miały to być przyja-  
cielskie klepnięcia, ale strach i wściekłość, które jeszcze nie  
opadły z niego po walce, zmieniły je w solidne ciosy. Po chwili  
obaj odsunęli się od siebie.

– Trzeba to będzie zszyc – stwierdziła Wynter, otocząc Razię ramieniem, na chwilę odwzajemnił jej uścisk.  
– Zabierzemy teraz ciebie i mojego ojca do naszych komnat.

Tymczasem korytarzem nadchodzili kolejni strażnicy, a wraz z nimi król z gniewną, a zarazem niespokojną miną. Razię posłał przyjaciołom krótkie, wymowne spojrzenie i utykając, ruszył w stronę króla, żeby całą jego uwagę skupić na sobie, chroniąc dwójkę buntowników, którzy wzgardzili jedzeniem na królewskiej uczcie.

– Zaprowadź Lorcanę do pokoju, siostrzyczko – szepnął Razię na odchodnym. – Zobaczymy się, gdy czas pozwoli. – I już go nie było. Strażnicy i radni wraz z królem otoczyli go ciasno i poprowadzili korytarzem.



Lorcan siedział w ciemnym kącie przedpokoju. Wynter zauważyła, że knykcie jego zaciśniętych palców połyskują białawo na oparciach fotela. Usadził się tak, żeby sprawiać wrażenie silniejszego, niż jest, na wypadek gdyby go tu odkryto – pomyślała z dumą.

Poradził sobie znakomicie. Siedział prosto z zaciśniętymi dłońmi, jego długie rude włosy spływały na ramiona, a zielone oczy lśniły w mroku. Wyglądał jak tygrys albo przyczajony w jaskini smok. Wyniosły i nieprzystępny. Nie podnosząc głosu, odezwała się do niego serdecznie, tonem, na jaki pozwalali sobie, gdy byli sami.

– Tato, wszystko już w porządku. Christopher pokonał zamachowca. Strażnicy wtrącili go do lochu.

– Żywego?

Głos Lorcany był ochrypły, jakby gardło wypełniał mu żwir. Uklękła przy jego fotelu i okryła jego dłoń swoimi, zaskoczona jej zimnem.

– Żywego – rzucił ukryty w mroku Christopher. Wynter poczuła, że Lorcan cały zadrżał z zaskoczenia.

– Chciał dosięgnąć króla czy chłopaka? – dopytywał, nadal zwracając się do Wynter, która uśmiechnęła się do niego kpiarsko. Sam fakt, że Razi darzy Christophera zaufaniem, nie wystarczył, żeby i Lorcan od razu zaczął wierzyć hadryjskiemu przybłędzie! Spojrzała na Christophera przyczajonego za jej plecami, uniesieniem brwi przekazując mu pytanie.

– Celował w Razięgo – odrzekł. – Rzucił nożem przez całą salę, o mało nie odciął mu ręki.

Teraz, gdy walka już się skończyła, Wynter słyszała w jego głosie znużenie. Mimo ciemności widziała, jak przyciska swoje pokiereszowane dłonie do piersi, jakby go bolały. Nic dziwnego – pomyślała – przecież stłukł go na krwawą miazgę.

– Christopherze, czy pomożesz mi zaprowadzić ojca do pokojów? – spytała.

Lorcan mruknął coś niechętnie, ale przecież nie był głupi. Pozwolił sobie pomóc i cała trójka wspólnymi siłami dotarła do celu.

Doprowadzili go pod same drzwi sypialni z zamiarem położenia do łóżka, ale na progu zdecydowanie wyzwolił się z ich objęć i chwiejnym krokiem wszedł sam, zatrząskując za sobą drzwiami.

– Mogę coś jeszcze dla was zrobić? Może przynieść wody albo coś do jedzenia? Postawić przed waszymi drzwiami strażnika? – dopytywał Christopher, jedną nogą stojąc już za drzwiami. Widać było, że martwi się przede wszystkim o Razięgo. Wynter pokręciła tylko głową. Wolą, żeby już poszedł i zajął się jej przyjacielem. Chciałaby iść z nim, ale wiedziała, że nie może.

– Posłuchaj – powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. Odruchowo się odsunął. – Posłuchaj mnie! – syknęła. Z trudem przystanął nieruchomo. – Nie skradaj się po kątach. Jeśli



przyłapie cię na tym któryś z wielmożów, czeka cię śmierć. Oni naprawdę chcą cię zabić. Jesteś stronnikiem Raziego, nie pasujesz tu i jesteś dla nich... niebezpieczny. Jeśli będziesz się skradał i przemykał tylnymi korytarzami, zabiją cię, a potem będą się tłumaczyć, że wzięli cię za zamachowca. I taki będzie twój koniec. Nie kryj się, niech wszyscy cię widzą. Rozumiesz?

Przez chwilę patrzył na nią spode łba, ale spytał:

– Pozwolą mi się z nim zobaczyć?

Wzruszyła ramionami.

– Możesz spróbować. Wszystko zależy od tego, czy starczy mu sił, by postawić na swoim. Jeśli tak, to nawet król pozwoli cię wpuścić. Zachowuj się głośno, bądź bezczelny i nachalny, niech Razi cię usłyszy. Niech wie, że przyszedłeś.

Kiwnął głową i odwrócił się, żeby wyjść.

– Christopherze. – Wynter zatrzymała go raz jeszcze.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Cieszę się, że tu jesteś.

Poczuła, jak zadrgały mu mięśnie przedramienia pod jej ręką, a po chwili już go nie było. Oddalił się bezszelestnie.



Wrócił o północy, czyli – według miejscowego zegara – o zmianie cieni. Wynter spędziła wiele godzin w fotelu przy oknie, wdychając balsamiczny zapach gaju pomarańczowego, ubrana w przewiewną koszulę i szlafrok matki. Ojciec zapadł w sen tak głęboki, że aż zaczęła się o niego niepokoić. Co jakiś czas kładła mu dłoń na piersi, by poczuć jej unoszenie się i opadanie.

Usłyszała kroki Christophera. Wyskoczyła z fotela i odryglowała zamek, nim zdążył zapukać do drzwi. Stał na korytarzu z tacą w dłoni i nieodgadnionym wyrazem twarzy. Poczuła zapachy opiekane go chleba, masła, gorącego mleka i cynamonu.

– Mój pan, lord Razi, przesyła ci pozdrowienia i kolację, pani. – Spojrzała nad jego ramieniem i stwierdziła, że na korytarzu aż roi się od strażników. Dziesięciu czy dwunastu roślących mężczyzn ustawiło się na baczność na całej długości ściany. Nie doczekam się tu prywatności – westchnęła.

– Wejdźcie, panie Garronie, i postawcie tacę.

Chciała zamknąć drzwi, ale Christopher powstrzymał ją, lekko kręcąc głową. Teatralnym krokiem podszedł do stołu i postawił tacę tak, żeby cały czas znajdować się na widoku najbliższego strażnika. Wynter przysunęła się bliżej, udając, że coś sprawdza. Christopher przemówił, nie patrząc na nią, znizywszy głos do najcichszego szeptu.

– W waszej komnacie wypoczynkowej na ścianie naprzeciw drzwi jest duży, ciemny drewniany panel. Gdy przekręcisz kiniet w kształcie główki cherubina, ukaze się za nią wąski korytarzyk. To ukryte przejście łączące wasze pokoje z naszymi. Razi i ja będziemy mogli do was przejść. Zgadzasz się?

Kiwnęła głową. Spojrzał na nią przelotnie, pozornie zajęty ustawianiem garnuszków z miodem, masłem i dżemem.

– Razi ma bardzo mało czasu i chce go spędzić z tobą... ale najpierw musimy zająć się raną, po tym, jak opatrzył mu ją ten przeklęty konował. Ma nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zrobili to tutaj?

Rzuciła mu gniewne, zniecierpliwione spojrzenie. W policzkach Christophera ukazały się dołeczki, a w jego oczach wesołe iskielki.

– Razi trwa w przekonaniu, że jesteś delikatnym, subtelnym kwiatuszkiem. Nie omieszkać opisać mu twojej reakcji.

Zrobił krok w tył, wykonał dworski ukłon i wyszedł.

Pobiegła do wskazanego pokoju, żeby odblokować przejście. Chwilę później rozległo się pukanie i drewniana płyta została odsunięta. Pierwszy ukazał się Razi, lekko zgarbiony, z poszarzałą twarzą. Rękaw jego miękkiej białej koszuli wisiał

pusty. Na ramiona zarzuconą miał ciężką wełnianą pelerynę podróżną. Przyciągnął ją do siebie w mocnym uścisku, a ona jak zwykle zwróciła uwagę na to, jak czysto pachniał, czym bardzo różnił się od większości mężczyzn.

– Siostrzyczko – szepnął. – Tak mi przykro.

Za Razim wszedł Christopher, ostrożnie niosąc miedzianą misę z parującą wodą, jego dłonie osłaniała gruba warstwa materiału.

– Z drogi, z drogi. Gorące!

Razi powlókł się do stołu i rozłożył na nim plecioną podkładkę, a Christopher umieścił na niej misę z wodą i znów zniknął w ciemnym przejściu. Wynter wystawiła głowę za tajemne drzwi i zobaczyła, że po kilku krokach korytarz skręca w prawo, skąd dochodziło słabe światło, nikły prostokąt drzwi prowadzących do komnat Raziego. W mroku zdołała też dostrzec, że przejście prowadziło jeszcze dalej, wijąc się w ciemnościach.

– Nie wierzę, że król o tym nie wie! – stwierdziła.

– Ależ wie – odparł Razi z za jej pleców. Odwróciwszy się, zobaczyła, że przysunął fotel do stołu, usiadł ostrożnie i zaczął zsuwać koszulę ze zdrowej ręki. – Nie wie tylko, że inni też o nim wiedzą. Aaach!

Wynter pospieszyła z pomocą i wspólnymi siłami zdjęli Raziemu koszulę przez głowę. Bandaże na ramieniu i nagiej piersi wyraźnie odznaczały się od jego ciemnej skóry.

Na widok kędzierzawych włosów na jego klatce piersiowej i brzuchu Wynter oblała się szkarłatnym rumieńcem. Zawsze pływali razem nago, a dopóki Razi nie skończył jedenastu lat, często sypiali w jednym łóżku – Wynter i Albi pod ścianą, a Razi z brzegu. Ale teraz nie byli już dziećmi i nagle zrobiło jej się nieswojo, że widzi go rozebranego. Razi jednak zachowywał się zupełnie swobodnie, więc i ona zdołała w końcu przzwyciężyć zmieszanie. Po odwinięciu bandaży jej oczom ukazała się

okropna rana, z rzędem szwów wystających spod masy krwawych strupów jak nóżki uwięzionych pod nią owadów.

– Och, Razi – jęknęła, pomagając mu z ostatnimi bandażami.  
– Dlaczego? Dlaczego król tak postąpił? Czy nie zdawał sobie sprawy, jakie mogą być konsekwencje jego decyzji...?

Razi z goryczą odrzekł:

– Czekał, Wyn, zwodził mnie tą wyssaną z palca historyjką o Albim, który został posłany na wybrzeże... czekał, aż Lorcan i ja znajdziemy się w sali audiencyjnej, gotowi do uczty. I wtedy powiedział nam... czego ode mnie żąda. Biedny Lorcan, żebyś widziała jego minę... Ale cóż mogliśmy zrobić? Otoczyły nas straża. Połowa radnych trzymała z królem, a resztę zmusił do posłuszeństwa strachem. Gdybym tylko... gdybyśmy tylko mieli czas, żeby pomyśleć, żeby się przygotować... Ale ten przebiegły drań zastawił na nas pułapkę, a my... daliśmy się w nią złapać.

Znowu zjawił się Christopher, jak zwykle bezszelestnie, stawiając przy misie jakąś butelkę. Na podłodze, kolanach Raziego i na fotelu rozłożył ściereczki. Przyglądał się Wynter, która po chwili zdała sobie sprawę, że powinna się przesunąć. Przykucnęła więc przy lewej ręce Raziego, Christopher uklęknął przed nim na ziemi i zaczął badać długi łuk rany, krwawy półksiężyc, biegnący od prawej piersi Raziego do jego umięśnionego ramienia.

– Szczęście w nieszczęściu, że jesteś leworęczny, Raz. To sakramencko głębokie cięcie.

Razi zaczął oblewać się potem, wiedząc, co go czeka. Warknął na Christophera głosem szorstkim ze strachu.

– Po prostu szybko wyciągnij te brudne szwy, zanim partanina tego starego głupca zatruje mi całą krew.

Christopher natarł ręce płynem z butelki. Pokój wypełnił zapach alkoholu i cytryn. Wyjął z wrzątku małe miedziane nożyczki i przejechał nimi po rządku szwów, rozcinając nici tuż

przy supełkach. Jego dłonie wydawały się niezgrabne, ale poruszał nimi pewnie, jakby nawykł do takiej pracy. Nie zwracał uwagi na przyspieszony oddech Raziego ani na okrzyk bólu, gdy złapał szczypcami za pierwszy nierówny szew i zdecydowanym ruchem wyrwał go z ciała.

– Wynter, siadaj – syknął Razi, rzucając jej gniewne spojrzenie spod kędzierzawej grzywki. Kurczowo zaciskał ręce na blacie stołu, w jaskrawym świetle świec jego twarz z szarej zrobiła się purpurowa.

Wynter opadła na stołek.

– Co to za jeden? – spytała.

– Nie wiadomo. – Razi skrzywił się i podskoczył, gdy Christopher usunął drugi szew. – A niech to! – Christopher znowu pociągnął i wyrwał trzeci, a potem od razu czwarty. – Cholera! Christopher, niech cię zaraza!

Christopher usiadł na piętach i bez emocji spojrzał na przyjaciela.

– Zostały jeszcze cztery – powiedział rzeczowo. – Chcesz chwilę odpocząć?

Razi zacisnął wargi i zaczął dyszeć przez nos. Posłał Christopherowi groźne spojrzenie.

– Po... prostu... to... zrób. Do wszystkich diabłów!

– Skoro tak, to musisz się zamknąć. – Christopher podniósł szczypce i skierował uwagę na pozostałe szwy. – Bo usłyszą cię strażnicy.

Wynter usiłowała odwrócić uwagę Raziego.

– Ale w jaki sposób zamachowiec mógł dostać się na ucztę? Przecież nie można sobie na nią przyjść ot tak, po prostu.

Razi pokręcił głową i znowu jęknął, gdy Christopher szybko wyciągnął wszystkie cztery szwy. Wynter chwyciła Raziego za przedramię, na którym ukazały się żyły, a drugą ręką zaczęła uspokajająco masować mu kark.

– To już koniec. Gotowe – powiedziała wreszcie, a Razi

roześmiał się przez łzy, które nagle zaczęły spływać mu po twarzy.

Christopher cisnął szczypce i nożyczki na ściereczkę koło misy. Krew wsiąkała w miękką bawełnę, tworząc na niej delikatne, żyłkowane kwiaty.

– Muszę go jeszcze z powrotem pozszywać – powiedział sucho, a Wynter coś ścisnęło w żołądku.

– Zostaw na chwilę, niech trochę pokrwawi – mruknął Razi z zamkniętymi oczami.

Christopher kiwnął głową i delikatnie pomógł mu wygodnie ułożyć się w fotelu.

– Potrzyмай to – polecił jej.

Wynter przycisnęła do skóry pod raną gruby bawełniany kompres, żeby spływająca krew nie poplamiała Raziemu spodni.

– Nie tamuj krwi – powstrzymał ją, gdy chciała podnieść kompres wyżej i otrzeć ranę. – Niech rana sama się oczyści.

– Dobrze. – Nie mogła oderwać oczu od pozbawionej koloru twarzy Razięgo, przywodzącej na myśl odcień i fakturę surowego ciasta. Targały nim dreszcze, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Christopher zdjął wiszącą na oparciu krzesła pelerynę i otulił nią przyjaciela.

Razi przez dłuższy moment dochodził do siebie, bezwiednie stękając przy każdym wydechu, z zamkniętymi oczami, ustami wygiętymi w podkówkę i twarzą postarzałą z bólu. Potem otworzył oczy i znów spojrzął na Wynter.

– A zatem – zaczęła jak mogła najspokojniej, wolną ręką wciąż pocierając jego zdrętwiałe kark i ramię – jakiś nieznamy magicznym sposobem dostaje się na królewską ucztę, przeznaczoną tylko dla wybranych, nikt go nie zauważa i udaje mu się zaatakować dopiero co namaszczonego następcę tronu.

Razi skrzywił się, słysząc ten tytuł, ale kiwnął głową.

– To niemożliwe, bracie.

Znów kiwnął głową.

– Pachnie mi to spiskiem – powiedział Christopher, przesu-  
wając rzeczy na stole. – I im szybciej postawimy tego ptaszka  
na nogi i zmusimy, żeby wszystko wyśpiewał, tym szybciej po-  
znamy prawdę.

Na te słowa twarz Raziego pojaśniała w prawdziwym uśmie-  
chu. Posłał Christopherowi kpiarskie spojrzenie.

– Gdyby ktoś dopiero co nie sprzął go na kwaśne jabłko, już  
moglibyśmy ją znać.

W odpowiedzi Christopher wyciągnął z wody paskudnic  
zakrzywioną igłę i nawłókł wygotowaną jedwabną nić.

Razi z jękiem odwrócił głowę.

Wynter poklepała go po ramieniu.

– Razi, a gdzie tak naprawdę jest Alberon? Nie żyje?  
Wypowiedziała te słowa i nagle spłynął na nią strach i żal. – Na  
pewno nie żyje. Czy Jonathon zrobiłby coś takiego, gdyby było  
inaczej? Tylko dlaczego nie mówi, co się z nim stało? Jonathon  
uwielbia Albiego, kocha go całym sercem.

Razi, odwracając głowę tak, żeby nie widzieć igły, spojrzał  
na Wynter i chwycił ją za rękę. W tym świetle jego oczy były  
zupełnie czarne, jak studnie pełne mroku.

– Ojciec powtarza coś o *mortuus in vita*. Już poczynił od-  
powiednie kroki.

Wynter ze zdumienia otworzyła szerzej oczy. Czy ten zły  
sen nie ma końca? Czy nie mogłaby obudzić się w letni pora-  
nek nad pełnym pstrągów strumieniem, z koszem ryb, wędką  
zanurzoną w wodzie i zobaczyć, że Razi i Albi idą ku niej przez  
łąkę? Czy nie mogłoby tak właśnie być?

Łamiącym się głosem powtórzyła: *Mortuus in vita* – okropne  
słowa, oznaczające, że król zamierzał ogłosić Albiego „mar-  
twym za życia”? Zupełnie tak, jakby nigdy nie istniał. Nawet  
gdyby jej drogi przyjaciel żył, równie dobrze mógłby być du-  
chem, bo jako *mortuus in vita* Alberon nie byłby już ani księ-  
ciem, ani nawet człowiekiem. Po prostu by nie istniał.

– Razi. On nie może... z jakiego powodu miałby... On nie może!

– Może. I właśnie zamierza to zrobić – powiedział gwałtownie Christopher, podnosząc igłę. – A Razi zamierza go potrzymać. Puść ją teraz, Razi, bo jak zacznę szyc, złamiesz jej rękę.

Gdy Christopher ukończył swe dzieło, Razi był zlany potem i roztrzęsiony, a Wynter płakała cicho, trzymając go od tyłu za ramiona.

– Już skończył. Już po wszystkim... – nie przestawała szeptać mu do ucha, a jego wilgotne loki łaskotały ją w policzek.

Christopher spojrział przyjacielowi w oczy. Nad koszmarnie ranną raną trzymał w gotowości butelkę i czekał, aż Razi dojdzie do siebie. W końcu podniósł na niego wzrok, jeszcze mocniej uchwycił się poręczy fotela, zaparł stopami w ziemię i kiwnął głową. Wynter z całej siły ścisnęła jego ramiona, a Christopher wylał na ranę resztę płynu, odkażając ją i rozpuszczając skrzepy w aromatycznej, syczącej fali.

Razi tłumił krzyk, chowając głowę w ramieniu Wynter, waląc piętami w podłogę i wbijając paznokcie w drewno. Christopher w skupieniu przykrył ranę nowym opatrunkiem i gazy i zaczął owijać ramię przyjaciela świeżymi bandażami.

Gdy było już po wszystkim, Wynter otuliła Raziego pełeryną, uklękła przy jego fotelu i uścisnęła go, opierając brodę na jego ramieniu, a czoło na policzku. Był zlany zimnym potem i miał dreszcze. Oboje milczeli.

Christopher podniósł się i zaczął zbierać narzędzia i sprzęt zakrwawione ściereczki.

– Za chwilę wracam – powiedział cicho i podreptał do tajnego przejścia.

Po jakimś czasie Razi zaczął przejawiać oznaki życia, porużył się, odsunął nieco i poklepał Wynter po ramieniu.

– Muszę już iść, Wyn. Tyle mamy roboty...



– Dokąd musisz iść?

Ale on już wstawał, pomagając sobie trzęsącymi rękami.

– Muszę przesłuchać tego osobnika, tego, który mnie zranił... muszę na własne uszy usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Wynter doskonale rozumiała, jak ważna jest informacja z pierwszej ręki, i popierała przenikliwość Raziego. Martwiła się jednak, bo on przecież ledwo trzymał się na nogach, ciężko unosił opuchnięte powieki, oczy miał zaczerwienione, a goły tors zlany potem. Położyła mu dłoń na piersi i próbowała przemówić do jego lekarskiego rozsądku.

– Posłuchaj Razi, musisz się wysuszyć, ochłonać i włożyć jakieś ciepłe ubranie. Jeśli zejdziesz do lochu w takim stanie, jeszcze przed świtem nabawisz się zapalenia płuc. I kto wtedy zajmie się Alberonem?

Zawahał się przez chwilę, po czym usiadł z powrotem, kiwając głową na znak zgody. Przysunęła mu kubek wciąż jeszcze ciepłego mleka i stos opieczonych kromek chleba.

– Pójdę poprosić Christophera, żeby przyniósł ci jakieś suche ubranie – powiedziała i szybko wślizgnęła się w zatęchłą ciemność korytarza.

Ostrożnie zakradła się do skąpanych w półmroku komnat dwójki przyjaciół. Wypełniał je charakterystyczny męski zapach i rozgardiasz. Wszędzie wokół walały się niechlujnie stosy książek i innych różności. Uśmiechnęła się – cały Razi. Tak samo zapamiętała jego pokoje sprzed lat. Minęła otwarte drzwi jego sypialni – domyśliła się, że to jego pokój, nikt inny nie wytrzymałby w takim bałaganie.

– Christopher? – szepnęła, zbliżając się do kolejnych drzwi. Bała się podnieść głos, żeby nie usłyszeli jej strażnicy. To musiał być pokój Christophera, taki cichy i jeśli nie liczyć skrzyni na ubrania, zupełnie pusty, idealnie wysprzątany.

Usłyszała cichy szelest z przyległego pokoju wypoczynkowego, weszła tam, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć w ciemnościach.

Mimo upałów panujących na dworze w kominku palił się ogień. Domyśliła się, że musieli na nim wygotować narzędzia, bo nad ogniem wisiał niewielki kociołek, a w nim pływały utensyia chirurgiczne Raziego. Na ziemi leżał stos starannie złożonych zakrwawionych chustek, a obok – zmięta koszula.

Christopher stał przy oknie, w błękitnym świetle księżycy, odwrócony do niej plecami.

- Potrzebuje mnie? – spytał nieporuszony, a jego głos brzmiał dziwnie głucho i ochryple.

- Nie. Przekonałam go, żeby chwilę odpoczął. Powiedziałam, że przyniosę mu świeże ubranie, bo to, które ma na sobie, przemokło do suchej nitki.

- Zaraz mu coś znajdę.

Już zamierzała wyjść, ale przystanęła. – Christopherze... - zaczęła, ale nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Zdawał się teraz taki samotny. Nie odwrócił się, cały czas tkwił w miejscu i spoglądał przez okno. Nie potrafiła go pocieszyć, wróciła więc do Raziego, którego zastała przy stole, pogrążonego we śnie, z napoczętą kromką chleba w dłoni.

# Tortury

Wynter stała w kuchni swojego starego domku. Słońce wpadało do środka przez uchylone okiennice, oświetlając wazon białych maków na wyszorowanym blacie stołu. Przepętniał ją lęk. Serce waliło jej w piersi, a przed oczami latały czarne mroczki.

Na zewnątrz mordowano jej koty. Słyszała, jak się nawołują i miauczą rozpaczliwie z bólu i strachu. Nie chciała na to patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać, wycignęła więc rękę i otworzyła na oścież okiennice.

Przez całe podwórko przewieszono sznurki na bieliznę, od szczytu warsztatu do dachu stajni. Wszędzie na nich wisiły koty. Ich sylwetki odcinały się czarną linią od rozpalonego do białości nieba, sznurki ugiwały się i kołysały pod ich ciężarem. Konały wolno, przebijając w powietrzu łapami i otwierając pyszczki. W ich napuchniętych mordkach połyskiwały różowe języki i ostre igły zębów.

Rozsłonecznione powietrze wypełniały przeraźliwe kocie krzyki, wysokie zawrodo przypominające pisk duszących się niemowląt. Wynter czuła, że zaraz się pochoruje. Za bardzo się jednak bała, żeby wybiec na zewnątrz i próbować im pomóc. Wiedziała, że wystarczyłoby przeciąć sznurek, żeby je ocalić, ale była zbyt przerażona, więc po prostu

otęła, a ten makabryczny, nieziemski dźwięk rozdzierał jej serce.

- Nigdy nie będziesz przyjaciółką żadnego króla, siostrzyczko.

Podskoczyła na dźwięk tego głosu. Za stołem siedział Alberon, skrzyżowane ręce oparł na blacie.

Wyrósł na pięknego, młodego mężczyznę, wypisz wymaluj ojciec. Był tak bardzo podobny do króla, jak bardzo Razi od niego różnił. Słońce przemieniło jego rudozłote włosy w ogień, a rzęsy w miedziane druciki. Wyrazista twarz, szerokie usta i senne niebieskie oczy były dokładnie takie, jak je zapamiętała. Patrzył na nią ze smutnym uśmiechem, a jej jakiegoś powodu chciało się na jego widok płakać; nie czuła radości, tylko gorzki, gorzki żal.

Odwrócił się i spojrział w okno, z odrazą marszcząc twarz na widok kotów. Wstał, lekko zgarbiony, żeby wciąż widzieć podwórko. Był już wzrostu Raziego, ale tęższy w ramionach, bardziej zwalisty, zupełnie jak Jonathon, emanował raczej siłą niż wdziękiem.

- Oto do czego jesteśmy zdolni - powiedział, smutno zamysłony. - Do czego musimy być zdolni. - Wskazał na podwórko i spojrział bystro na Wynter. - Nadchodzi ostatnia partia.

Powietrze znów rozdarły straszne wrzaski. Z zamku donoszono kolejne koty w wielkich wiklinowych koszach wypchanych wydzierającymi się i drapiącymi z przerażenia zwierzętami.

Wynter pobiegła w kąt, przyciskając rękę do ust, bo wiedziała, że zaraz zwymiotuje.

*~*

Obudziła się złana potem. Siedziała w fotelu, w pokoju nie było nikogo, ale wrzaski wciąż trwały. Razi i Christopher

wyszli, gdy tylko Razi się przebrał. Usiadła, obiecując sobie, że zaczeka na ich powrót. Musiała zasnąć – świece się wypaliły. Podeszła do okna, lecz zanim jeszcze spojrzała na pomarańczowy gaj, wiedziała, co zobaczy. Między drzewami przemycła Heather Quinn, usta miała szeroko otwarte, a jej rozpuszczone włosy powiewały. Księżyc prześwietlał ją na wskroś, ale sprawiał też, że wyglądała prawie jak żywa, chociaż przenikała przez pnie drzew i kamienne ławki. Biegła na przezroczystych stopach, w błagalnym geście unosiła ręce ku wychodzącym na ogród oknom pałacu, prosząc, by ktoś jej wysłuchał.

Wynter nigdy wcześniej nie widziała Heather Quinn, ale każdy tutaj wiedział, co oznaczają jej skargi. Była kochanką króla, a właściwie kochanką dziadka Jonathona. Pewnego razu rzuciła się z wieży Sandhurst. Jej pojawienie się zawsze zwiastowało to, co najgorsze – śmierć – i gdy zaczynała swoje szaleńcze nocne harce po zamku, wrzeszcząc wniebogłose, ludzie bardzo się tym przejmowali. Ze stajni dobiegało ujadanie psów myśliwskich. Ich wznoszące się, upiorne zawrodożenie dziwnie harmonizowało z krzykami Heather.

Wynter wyjrzała przez okno, myśląc, że wszędzie zaraz potwierają się okiennice, buchną światła, a ludzie zaczną krzyczeć, nawoływać się i sprawdzać, co się dzieje. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Okna nad ogrodem pozostawały głuche i nieme. Dostrzegła tylko dyskretne ruchy i ciche zamykanie okiennic.

Nikt nie zwracał uwagi na zjawę, jej rozpacz więc jeszcze się wzmogła. Heather w szaleńczym pędzie zaczęła biegać w kółko, z twarzą zwróconą w górę, wznosząc błagalne okrzyki do pustych okien. Nagle zauważyła Wynter, jej usta rozciągnęły się jeszcze szerzej, tworząc w zniekształconej twarzy przerażającą, ziejącą jamę. Skręciła tak gwałtownie, jak nikt żywy by nie potrafił, i przeniknęła przez cztery pnie pomarańczy, rozpaczliwie

próbując zbliżyć się do Wynter. Jej puste oczodoły przybrały teraz rozmiary spodków, ręce zdawały się wyciągać, a palce mknąć, gdy szybciej od wiatru mknęła wśród traw.

– Nie pozwól, żeby się do ciebie odezwała, dziecko! Zawisniesz za to.

Wynter, przerażona widokiem Heather Quinn, odskoczyła od okna. Strach spotęgował jeszcze dobiegający z bliska koci głos. Heather Quinn, straciwszy Wynter z oczu, zrobiła ostry zwrot w lewo i przeleciała pod oknem. Wystrzeliła z ogrodu, przenikając przez fontannę, i poleciała w stronę rzeki, a jej krzyki powoli cichły w ciemnościach.

Kiedy zjawa zniknęła, Wynter spostrzegła zdumiona, że na parapecie siedzi mały, rudy, pręgowany kot, schowany w cieniu rzucanym przez okiennicę. Wbijał w nią fosforyzujące oczy, więc odsunęła się powoli, niepewna jego zamiarów. Zamiauczał przeciągle. Zdawał się na coś czekać. Rozejrzała się, wzięła głęboki oddech i dygnęła jak za dawnych lat.

– Bądź pozdrowiony, pogromco myszy – powiedziała bardzo cicho. – Dobry wieczór.

Kot westchnął, rozprostował skrzyżowane łapy i wstał. Śmignął z parapetu jak nagle rozwinięta jedwabna szarfa i niemal bezgłośnie wylądował na drewnianym stole pod oknem.

– Zamknij okiennice, głuptasie. Patrzą na ciebie.

Tyle czasu minęło, odkąd słyszała koci głos. Ten dziwny, jękliwy pomruk, rozciągnięty do granic możliwości i pełen długich, dźwięcznych rrrr. Słyszac ten jakże znajomy, niecierpliwy ton, nie mogła się nie uśmiechnąć.

Wynter zamykała okiennice, a kot patrzył na nią z pogardą właściwą całemu swemu gatunkowi i uderzał w ziemię ogonem: pac-pac, pac-pac.

Zapaliła świecę, a kot syknął, westchnął i zatupał łapami w stół, zniecierpliwiony, że trwa to tak długo.

– Już gotowa? Tak szybko? – spytał ironicznie. – Czy jest

panienka pewna? A może jeszcze chciałybyś się wykąpać? Albo zażyć spaceru?

– Wybacz mi, zacny łowco. Nie widzę w ciemnościach tak dobrze jak ty.

Kot syknął znowu i odwrócił głowę, jakby chciał powiedzieć: Nie wysilaj się. Pochlebstwa na nic się zdadzą.

Znowu dygnęła i, doskonale zdając sobie sprawę z kociego przywiązania do tytułów, przedstawiła się oficjalnie.

– Lady Obrończyni Wynter Moorehawke do usług, zacny łowco.

Kot zerwał się na równe nogi, wściekły i najeżony. Ta sykliwa furia całkowicie ją zaskoczyła.

– Doskonale wiem, kim jesteś, dziewczko, była-służebnico-kotów. Myślisz, że dla kogoś innego bym się fatygował? Sądzisz, że po tym, co się stało, zniżymy się do rozmowy z kimkolwiek innym?

Zaczął kręcić się wokół własnej osi, wywijać ósemki, mrużąc pod nosem, aż odzyskał panowanie nad sobą, usiadł i znów utkwiał w Wynter zielone oczy.

– Szara Matka przysyła mnie, żeby cię ostrzec.

– Szara Matka? To Szara Matka żyje? – Wynter zaśmiała się radośnie, kot zaś tylko wpatrywał się w nią pogardliwie, póki nie usiadła i nie opanowała emocji.

– Szara Matka żyje, ale jest już stara, bardzo stara. Koriolan też, choć podupadł na zdrowiu i cały czas niedomaga przez tę truciznę.

– Tak mi przykro – szepnęła, na myśl o drogich przyjaciółkach znów miała w oczach łzy.

Kot posłał jej pełne odrazy spojrzenie i zmarszczył nos, jakby właśnie puściła przy nim bąka.

– Co mi po twoim smutku, istoto ludzka? Jestem tu, aby zemścić się na tym-który-nas-zdradził, to wszystko. A ty będziesz narzędziem, którym posłużę się, by doprowadzić do

Jego kłęski. Nie mów mi, że ci przykro. Gardzę tym. Wszyscy tym gardzimy, bo to tylko puste słowa.

Nienawiść w jego głosie zabolą ją do żywego. Łzy ciekły jej po policzkach.

– Ale ja nic nie zrobiłam... – szepnęła.

Kot wstał i znów zaczął krążyć, miauknął przeciągle i z irytacją.

– Grrrr. Cicho, cicho, głupiutkie stworzenie. Zamilcz, bo nic mnie to nie obchodzi. Wysłuchaj mojej wiadomości i zrób, co ci każe! Nic więcej od ciebie nie chcemy.

– Nie przyczynię się do zagłady króla! – zaperzyła się Wynter.

– Nie pomogę wam w zniszczeniu korony.

Kot spojrział na nią z błyskiem w oku i uśmiechnął się, ukazując rzędy ostrych jak igły zębów.

– Duchy się buntują – powiedział. – Lada chwila rozpoczyna rewoltę.

Przemknął po stole bliżej Wynter i zadarł do góry uśmiechniętą mordkę. – I popsują szyki twojemu przyjacielowi. Temu, który jest synem-ale-nie-następcą króla.

– Raziemu? – krzyknęła, unosząc się na krzesle.

– Tak, Raziemu.

– Zaprowadź mnie do niego! – zażądała, a kot uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Podążając za kotem, wymknęła się tajemnym przejściem ukrytym za drewnianą płytą w pokoju wypoczynkowym. Minęli drzwi do sypialni Raziego i skierowali się w biegnący dalej mroczny labirynt. Korytarze były pełne kurzu i bardzo ciemne. Kot nie pozwolił jej zabrać świecy, twierdząc, że światło mogłoby ich zdradzić. Wynter kierowała się więc wyłącznie jego głosem, wierząc, że bezpiecznie przeprowadzi ją przez nieprzniknioną czerń. Przycupnął jej na ramieniu i kierował, szepcząc do ucha. Jego oddech był gorący i pachniał mięsem.

Dla pewności jedną ręką trzymała się ściany, co jakiś czas,



gdy mijali skrzyżowanie dwóch korytarzy, ściana zniknęła, a ją owiewał pęd zimnego powietrza. Odczuwała wówczas paralizujący lęk. Wydawało jej się, że jest na skraju przepaści. Wyobrażała sobie ziejącą pustkę w dole i swoje stopy o krok od przerażającej czeluści. Zaczynały się w niej wtedy budzić wątpliwości, czy może zaufać kotu, którego wyraźnie przepełniała nienawiść i który nawet się jej nie przedstawił. Ale po kilku bardzo niepewnych krokach znów natrafiła palcami na ścianę, namacalny stały punkt odniesienia, pozwalający jej odnaleźć się w mroku.

Droga ciągnęła się bez końca. Mijali niezliczone, spowite pajęczynami korytarze. Co jakiś czas słyszeli głosy, zwykle niewyraźne, a czasem słychać było muzykę. Tu i ówdzie przez szparę w drzwiach przebłyskiwało światło.

Pokonywali schody. Wiele razy skręcali. Robiło się coraz zimniej, domyśliła się więc, że muszą już być w piwnicach albo w lochach pod wieżą.

– Tutaj – szepnął kot – skręć w lewo.

Znalazła się w bardzo niskim korytarzyku, ze sklepieniem opartym na wspornikach. Ze znajdującego się jakieś dziewięć, dziesięć kroków dalej głównego korytarza dochodziło światło pochodni.

Byli bardzo głęboko pod ziemią, w najtajniejszym z pałacowych lochów. Wynter zawahała się, przestraszona, jej oddech w lodowatym powietrzu zamieniał się w obłoki pary.

– Skręć teraz w prawo i zjeżdż po schodach – rozkazał kot.  
– Powiedz temu, który jest synem-ale-nie-następcą, że duchy go powstrzymają. Powiedz mu, żeby pospieszył się z przestuchaniem.

Gdzieś przed nimi rozległo się echo krzyków. Przerażliwych krzyków, w niczym nieprzypominających zawodzenia Heather Quinn czy kotów z koszmaru. To były okrzyki nieznośnej agonii.

Wynter natychmiast spanikowała. Bała się tego, co może na chwilę zobaczyć. Chciała się cofnąć do przejścia, wrócić do swoich komnat i zapomnieć o całej sprawie. Ale zanim zdążyła się zorientować, kota już nie było. Przepadł w ciemnościach jak zdmuchnięty płomień świecy. Skoro jej przewodnik po czarnym labiryncie zostawił ją samą, nie było odwrotu. Jedyne, co jej pozostało, to iść naprzód i stawić czoła temu, co tam zastanie.

Wolno posuwała się w kierunku pomieszczenia, z którego dobiegały przerażające krzyki. Wysokie, bulgoczące, niekończące się wrzaski, od których robiło jej się niedobrze i miętkły kolana. Zaczęła odczuwać ból brzucha i przemożną potrzebę poszukania jakiegoś ustronnego miejsca. Pokonała zakręt i znalazła się u szczytu krótkich schodów. Całym ciałem przywarła do kamiennej ściany. Dyszała ze strachu. Zdała sobie sprawę, że zaczęła jęczeć, ale nie potrafiła tego powstrzymać.

Schody prowadziły do niewielkiej salki. Dolne stopnie tonęły w fosforyzującym świetle, a po ścianach tańczyły cienie, tworząc na kamieniach obrzydliwe wzory. Więzień – biedna, rozwrzeszczana, torturowana ofiara stanowiąca źródło tych przerażających dźwięków – znajdował się gdzieś bardzo blisko schodów.

Gdyby zesła jeszcze trzy, może pięć stopni, mogłaby go zobaczyć. W powietrzu unosił się zapach ognia, dymu, palonego ciała i włosów. Rozróżniała poszczególne, bełkotane z trudem słowa, przeplatane niezrozumiałymi wrzaskami. Błagania, obietnice, modlitwy.

Jak można słuchać tego i cały czas zadawać człowiekowi ból? Kto jest zdolny do takiego okrucieństwa?

– Co ty tu do licha robisz? – usłyszała łamiący się, słaby szept z drugiej strony korytarza. Odwróciła się i ujrzała szeroko otwarte, udręczone oczy Christophera. Stał w cieniu, oparty o przeciwległą ścianę, wyglądając, jakby ledwo trzymał się na nogach. Twarz miał bladą, przerażoną i pachniał wymiocinami.

– Nie powinno cię tu być! – zawołał wysokim z przejęcia głosem. – Nie powinno cię tu być!

Krzyki na chwilę przerodziły się w jęki i szlochy, więc oboje zwrócili twarze w kierunku światła. Słysząc było cichą wymianę zdań. Cienką wstążkę bełkotliwych błagań i ostre, niecierpliwe odpowiedzi. Później znowu prośby, wznoszące się w rozpaczliwe wrzaski: Litości, litości, o Boże, litości! A potem kolejne przeraźliwe wycie w agonii i te przerywane, bulgoczące krzyki, które wprost powaliły Wynter na kolana.

Nagle światło przesłonił jakiś cień o płynnych, rozedrganych krawędziach, jakby sunął przez dym, i na schodach ukazała się wysoka sylwetka. Razi. Wynter z trudem go rozpoznała. Kąciki jego ust opuszczone były tak nisko, że wyglądał wręcz groteskowo. Jego oczy żarzyły się jak rozpalone węgle. Cały pokryty był sadzą i krwią i aż lśnił od potu. Wyglądał jak odlany z brązu potwór, przerażający gargulec, sam jednocześnie przerażony, zmuszony do patrzenia w piekło.

Gdy wspinał się po schodach, krzyki za jego plecami przybrały na sile. Rzucił się na łkającego Christophera, chwycił go i odciągnął od ściany.

– No dobrze – powiedział ochryple. – Wygrałeś! Dawaj mi go. Dawaj go.

Christopher bełkotał coś przez łzy, Wynter sądziła, że nie usłyszał słów Raziego. Cały czas spoglądał w dół schodów. Ofiara szalała z bólu, powietrze rozcinała właśnie seria wysokich, rytmicznych wrzasków.

– Powiniennem być go zabić! – jęczał Christopher. – Trzeba go było zabić! On i tak nic nie powie! Trzeba było mi pozwolić...

Razi mocno nim potrząsnął. Jego rana znów zaczęła krwawić przez bandaż, na rękawie koszuli pojawiła się plama.

– Przepraszam! – wrzasnął Christopherowi w twarz, przyciągając go bliżej. – Przepraszam! Miałeś rację! Daj mi ten przeklęty nóż!

Słowa Raziego nagle dotarły do Christophera, zaczął gmerać przy bucie, żeby wyciągnąć swój sztylet.

Obaj zupełnie nie zwracali uwagi na klęczącą na ziemi Wynter. Kiedy znów spojrzała na fosforyzującą poświatę w dole, zauważyła drobną zmianę, jakby wydłużanie się światła i niskie, niespokojne brzęczenie, nasilające się wśród odgłosów tortur.

– Razi! – zawołała, wyciągając szyję, żeby spojrzeć dalej. Światło z sali tortur wciągało ją jak wir i zasysało w dół. – Razi... duchy... – położyła dłoń o stopień niżej, jakby planowała szczołgać się po schodach.

Razi odwrócił się gwałtownie ze sztyletem Christophera w dłoni. Niepewnie postąpił kilka kroków naprzód, ale zaraz przystanął. Christopher osunął się na kolana naprzeciwko Wynter. Wsparł się na dłoniach, zwracając do światła twarz wypraną z wszelkiego wyrazu.

Krzyki ustały. Światło z pomarańczowego zrobiło się białe. Powietrze wokół nich brzęczało jak w ulu.

– Duchy... – powiedziała do Raziego. – Duchy powstają przeciwko nam.

Światło buchnęło nagłym blaskiem. Poczuła, że jej dłonie suną po posadzce i coś wypycha ją z powrotem na korytarz. Z łagodnym stuknięciem zatrzymała się pod kamiennym łukiem, nakrywając się nogami, bezwładna jak szmaciana lalka, wciąż jednak w pełni świadoma, co się dzieje.

Oblało ją światło przypominające rozwodnione mleko.

Obok niej, ocierając się o jej stopy, przesunęło się po kamieniach coś dużego. Później zorientowała się, że był to Razi, przewrócony na plecy i ciągnięty po korytarzu jak worek zboża.

Na suficie i ścianach rozkwitały i rozprasały się olbrzymie paki białego światła. Wszystkie dźwięki zostały zebrane z powietrza i wypchnięte, jakby nie było dla nich miejsca.

Wiedziała, że jeśli otworzy usta do krzyku, nie wydobędzie się z nich nawet szept.

Światło zbierało jak przemykająca nad nimi kometa, płynęło coraz dalej i rozszerzało się, coraz mocniej jaśniejąc. Wynter zagapiła się, niema i nieruchoma jak kamień, niezdolna podnieść ani ręki, ani głowy.

I nagle wszystko się skończyło. Kamień na powrót stał się kamieniem, ciało ciałem, znowu słyszała, widziała i oddychała normalnie, jak gdyby nic się nie stało.

Wolno odwróciła się na bok. W całym ciele odczuwała mrowienie. Jej włosy iskrzyły i trzeszczały jak ognisko. Z każdej fałdy i zagięcia ubrania unosiły się świetliki iskier. Bolały ją zęby, a zdrętwiała usta szczypały.

Razi leżał na środku korytarza, wpatrując się w sufit. Zobaczyła, jak powoli zgina prawą nogę, a potem unosi i opuszcza lewą rękę, i szybko mruga.

Po drugiej stronie korytarza Christopher niepewnie odetchnął. Wreszcie zdołali podnieść się i wrócić na szczyt schodów. Przez chwilę cała trójka stała rzędem, nic nie mówiąc. Potem Razi pierwszy ruszył w dół.

Ogień wygasł. Węgłe i sadza rozniosły się po całej posadzce, tworząc czarny skrzypiący dywan. Popiół szeleścił pod stopami, a kamienie posadzki, jeszcze niedawno rozgrzane do czerwoności, były teraz zimne.

Więźnia można było odróżnić od jego oprawców tylko po ubraniu. Zakrwawieni i zmasakrowani prawie w niczym nie przypominali ludzi; wyglądali jakby odarto ich ze skóry, a potem znów starannie w nią ubrano.

Na to, co zostało z więźnia, Wynter mogła patrzeć tylko przez chwilę, potem musiała się odwrócić. To okropne krzesło, te pasy przy poręczach, powykręcane nogi i połamane ręce, na wszystko to zerknęła tylko przelotem, ale już nigdy nie była w stanie zapomnieć. Krzesło otaczały stoły zastawione

straszными instrumentami, pokrytymi teraz posoką i popiołem. Wielkie, paskudnie zakrzywione żelazne szpikulce, młotki, zaciski, żelazo do wypalania piętna, śruby, cęgi i jeszcze inne narzędzia, których przeznaczenia nawet nie śmiałyby się domyślać.

Christopher nie chciał wejść do sali tortur. Słyszała, że zszedł za nimi po schodach, podniósł z ziemi swój sztylet, który wypadł Raziemu z ręki, ale przy wejściu zatrzymał się i nie ruszył dalej. Wpatrywał się w krwawe pozostałości po jednym ze śledczych. Jego zwłoki zawleczone zostały pod ścianę przy wejściu. Ciągnął się za nimi krwawy ślad prowadzący od krzesła tortur. Z twarzy Christophera nie dało się niczego odczytać, ale Wynter czuła, że los tego człowieka nie za bardzo go dotknął.

Razi krążył po całej sali, powłócząc nogami. Jego kroki odbijały się od ścian głośnym echem. Pochodnia, którą przyniósł z korytarza, rozblysnęła ogniem, gdy uniósł ją nad jednym z trupów. Chodził od ciała do ciała. Sprawdzał, czy w trzech katach lub więźniu tli się jeszcze życie. Gdy przycisnął osmolone palce do ostatniej zakrwawionej szyi i nie wyczuł pulsu, wyprostował się sztywno, po czym wyszedł z sali i ruszył po schodach w górę.

Christopher i Wynter znaleźli się w całkowitych ciemnościach. Ocknąwszy się z otępienia, zamknęli drzwi i – zostawiając za sobą przerażającą ciemność – bez słowa ruszyli za odgłosem kroków Raziego, które kolejnym ukrytym przejściem zaprowadziły ich do kuchni.

# Polowanie na muchy

Gdy wkraczali do kuchni, nad drzewami jaśniał poświata fałszywy świt. Do rozpoczęcia porannej krzątanimy wciąż mieli jeszcze jakąś kwartę cieni. O tak wczesnej porze w pałacu można było spotkać tylko kobietę rozpalającą w kominkach. Właśnie rozniecała ogień na palenisku. Razi, dziwnie szorstko jak na niego, warknął, żeby zostawiła ich samych. Zaskoczona służąca skłoniła się i posłusznie wyszła, zamykając drzwi.

Zostali sami, jeśli nie liczyć chłopca od rożna, śpiącego przy palenisku w swojej skrzyni ze słomą, w świetle wesoło tańczących płomieni dopiero co rozpalonego kominka.

Razi przyniósł skądś wodę, suchary, masło i wędzoną rybę. Zasedli przy małym stole, nie patrząc nawet na jedzenie. Christopher z zaciętą miną gapił się na Raziego, a Razi udawał, że tego nie widzi. Wynter z całych sił starała się nie myśleć o tamtym krześle, o tamtych instrumentach, o Razim wyłaniającym się z dymu i ognia i o bełkotliwych krzykach, które zostawił za sobą.

– Przepraszam! – wrzasnął nagle Razi, odwracając się do Christophera. W jego głosie wcale jednak nie było żalu, tylko wściekłość, a jego twarz pokrywał szkarłatny rumieniec gniewu. Christopher patrzył na niego obojętny jak kamienna ściana,

■ Razi walił pięścią w stół. – Przepraszam! Przepraszam, do ciężkiej cholery, tak mi przykro! – Dopiero po tym słowie widać było, że naprawdę zrobiło mu się przykro. Jego złość stopniała jak lód na patelni, zostawiając po sobie tylko żal. Ukrył twarz w dłoniach i dodał łamiącym się głosem: – Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłem, aby trwało to tak długo.

Twarz Christophera na chwilę złagodniała, poruszył ręką, jakby chciał wyciągnąć ją do Raziego.

– Udało ci się coś z niego wydobyć? – spytała Wynter. Christopher mruknął coś z odrazą i odsunął się od stołu, głośno szorując krzesłem po posadzce. Podszedł do paleniska i usiadł na ławce obok śpiącego chłopca. Odwrócił się plecami do Wynter i Raziego i oparł łokcie na kolanach, a jego wychudzony profil odcinał się wyraźnie na tle migoczących płomieni.

– Razi, udało ci się? – spytała jeszcze raz, z naciskiem, celowo ignorując wyraźną niechęć Christophera.

– Nie za wiele – mruknął Razi, odrywając wzrok od kominika. – Tyle tylko że przysłał go Oliver i... – zawahał się, nie patrząc jej w twarz.

– I co?

W końcu na nią spojrział. W jego oczach płonął ogień. Jeszcze zanim zwilżył wargi i otworzył usta, domyśliła się, że zamierzał skłamać.

– I to wszystko – powiedział. – Posłał go Oliver. Nic więcej nie mamy.

Wpatrywała się w niego w milczeniu. Oliver, stary przyjaciel jej ojca, ukochany kuzyn króla. Człowiek, który w czasie powstania mężnie walczył u królewskiego boku, a później, z przyczyn znanych tylko królowi, znalazł się w niełasce i uciekł z pałacu. I to on posłał tego człowieka? – powątpiewała. – Ale dlaczego? Dlaczego chciałby doprowadzić do śmierci Raziego? To zupełnie bez sensu.



Razi przyjrzał się jej kątem oka. Wiedziała, że nie powiedziała jej wszystkiego. Odsunęła się gwałtownie od stołu, ciskając wzrokiem pioruny.

– Razi, co chcesz ukryć? – syknęła. – Nie mam już dziesięciu lat, nie trzeba mnie chronić. Powiedz!

Christopher cmoknął z podziwem, a Razi, przyparty do muru, nerwowo przeczesał włosy palcami.

– Jest jeszcze... cały czas bełkotał o jakieś maszynie... mówił na nią „krwawa maszyna”. To i Oliver... to wszystko...

Było jeszcze coś, o czym nie chciał nawet wspominać. Czulią to przez skórę. Intuicja kazała jej spytać:

– Czy mówił coś o Alberonie?

Rzucił okiem na Christophera, który także posłał im szybkie spojrzenie, a potem dalej wpatrywał się w ogień. Razi jeszcze raz zerknął na Wynter, po czym wbił wzrok w stół i pokręcił głową. Nie wierzyła mu. Równie dobrze mógł mieć wypalone na czole słowo KŁAMCA. Wszystko jedno, wyciągnie to z niego później. Może było to coś, o czym nie chciał mówić przy Christopherze.

– Dlaczego wmieszały się w to duchy? – cicho spytał Christopher. – Przecież nie powinno im to robić żadnej różnicy. Zwykle nic ich nie obchodzi. No i jaki interes mają w tym koty?

Odpowiedziała po głębszym namyśle, ważąc słowa:

– Koty chyba podejrzewają, że więzień coś wiedział... posiadał jakąś informację, która mogłaby zaszkodzić królowi. Zgodnie z ich życzeniem miał żyć dopóty, dopóki nie zdołasz jej z niego wydobyć. Razi, Jonathon je zdradził, otruł. Chcą się zemścić, a duchy pewnie usiłują króla ochronić. Pewnie... – Zawahała się, sama zaskoczona tą myślą. – Duchy musiały opowiedzieć się po czyjeś stronie!

Razi przyglądał się jej z powątpiewaniem. Nawet Christopher rzucił sceptyczne spojrzenie.

- Duchy nigdy nie opowiadają się po żadnej ze stron  
- stwierdził stanowczo.

- Maszyna – zastanawiał się Razi. – Krwawa maszyna...  
tak ją nazywał. Krwawa maszyna.

- Na miłość boską – warknął nagle Christopher. – Miał na  
myśli krzesło! To wszystko! To przeklęte... urządzenie, w które  
kazałeś go zakuć! Nic więcej!

Razi podniósł gwałtownie rękę i przekrzywił głowę.

- Dobrze już, dobrze! – krzyknął. – Przestań już o tym ga-  
dać!

Zapadła pełna urazy cisza, przerywana tylko trzaskaniem  
ognia w kominku, a zapach dymu przypominał im o sali tor-  
tur śmierdzącej palonym mięsem i włosami. Dłonie Raziego,  
spoczywające na stole, zacisnęły się w pięści, a w jego oczach  
czaił się ból.

Nagle Christopher gwałtownie się poruszył. Wynter i Razi  
odwrócili się, żeby zobaczyć, z jakiego powodu. Okazało się, że  
chłopiec od rożna podniósł rękę i sennie przebiegał palcami po  
swisającej luźno dłoni Christophera. Patrzyli, jak malec, wciąż  
wygodnie ułożony do snu, gładzi okaleczone knykcie.

- Jak się masz, pędraku? – spytał cicho Christopher.  
- Myślałem, że śpisz.

- Wielmożny Razi mnie zbudził.

Policzek chłopca spoczywał na zwiniętej piątce, a zmru-  
żone oczy wyglądały jak srebrne szparki. Znajdował się gdzieś  
między jawą i snem. – Co się stało twoim palcom, panie?

Christopher odsunął dłoń chłopca z powrotem pod koc  
i odgarnął brudne włosy z małej twarzyczki. Przejechał kciuk-  
kiem po osmalonym czółku.

- Śpij dalej – powiedział cicho. – Twój dzień nastanie prę-  
dziej, niż myślisz.

Cały czas głaskał go po czole, aż powieki chłopca zaczęły  
opadać.

– Powiedz – naciskał sennie malec, już z zamkniętymi oczami. Christopher zaśmiał się cicho. Wynter z zadowoleniem spostrzegła, że nawet Razi, jeszcze przed chwilą taki markotny, teraz wyraźnie się rozpogodził, a miejsce przerażenia w jego oczach stopniowo zajmowało rozbawienie. – Powiedz – prosił chłopiec z uporem właściwym małym dzieciom.

– Pożarł je niedźwiedź – szepnął Christopher, tak przekonująco, że przez moment nawet Wynter mu uwierzyła, choć doskonale wiedziała, że plecie trzy po trzy.

Oczy chłopca błysnęły srebrzyście spod rzęs, rzucił Christopherowi badawcze, lekko niedowierzające spojrzenie znad otchłani snu. Christopher zaśmiał się cicho. – Łapałem akurat muchy... – zaczął, jakby zdradzał jakiś sekret.

– Muchy?

– A tak. – Kciuk Christophera nadal wędrował po drobnym czółtku. – Nigdyś nie łowił much? – Chłopiec pokręcił głową, a oczy co chwila mu się zamykały.

– Coś podobnego – zachnął się Christopher. – To w takim razie, czym karmisz swoje żaby?

Oczy dziecka zamknęły się na dobre, a Christopher wolno cofnął rękę, nasłuchując cichego oddechu. Wynter jednak zapragnęła usłyszeć dalszy ciąg tej opowieści. Po wszystkim, co wydarzyło się tej nocy, bardzo chciała posłuchać o żabach i łapaniu much.

Christopher wyprostował się i znowu zaśmiał, bo senny głosik oznajmił:

– Toć ja nie mam żadnych żab.

Pochylił się nad chłopcem, szepcząc tak cicho, że Razi i Wynter musieli nadstawiać ucha. Ogień strzelał niebieskimi i liliowymi snopami iskier, które prześwitywały przez czarny welon jego włosów i ozłacały mu podbródek.

– Och, w takim razie musisz sobie sprawić jakieś żaby, mój mały. Żaby to znakomici kompani.

Razi wyciągnął rękę, wnętrzem dłoni do góry, a Wynter chwyciła ją delikatnie, jakby znowu byli dziećmi, zasłuchanymi w opowieści Salvadora Minarego, przy kominku w komnatach Jonathona.

– A jak się łowi muchy? – wymamrotał chłopiec.

– No cóż... – okaleczona dłoń Christophera spoczęła na skroni chłopca. – Po prostu maczasz palce w miodzie i czekasz, tyle że mnie akurat wtedy zmógł sen, jak się pewnie domyślasz. A gdy się obudziłem, ten przeklęty niedźwiedź umykał już z moimi palcami. Oczywiście, puściłem się za nim w pogon. Biegając, upuścił wszystkie, oprócz tych dwóch. Twój dobry pan Razi przyszył mi je z powrotem, bo znakomity zeń lekarz i najzaczepniejszy z ludzi.

Na te słowa Razi zasłonił sobie oczy ręką.

– A wiesz, pędraku, co w tym było najgorszego?

– Mhmmmmmm?

– Że właśnie na tych dwóch palcach nosiłem wszystkie moje najpiękniejsze pierścienie. Teraz ilekroć napotykam niedźwiedzia, idę za nim do jego legowiska, żeby sprawdzić, czy nie wysrał gdzieś moich klejnotów.

Chłopiec pisnął uciesznie i zaśmiał się, krzywiąc jednocześnie z obrzydzeniem.

– Ble! Grzebiesz w niedźwiedziej kupie?!

– Głuptasie – parsknął Christopher. – Patykiem.

Dziecko zasnęło, spadając prosto w otchłań snu, tak jak potrafią tylko niewinne istoty. Christopher, z twarzą ukrytą za włosami, cały czas gładził je kciukiem po policzku, aż wreszcie Razi wstał, podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Chodź już – rzucił szorstko. – Chodź spać.

– Jeszcze tu trochę posiedzę – odparł. nie podnosząc wzroku.

– To niebezpieczne – ostrzegła go Wynter, ale wypadło to łatwiej, niż zamierzała. Zupełnie jakby ona i Razi czuli potrzebę

zrównoważenia czułości Christophera za pomocą żelaza i surowego kamienia.

– Raziemu nic nie będzie – mruknął Christopher, cały czas wpatrzony w śpiące dziecko.

– Dla ciebie – wyjaśnił Razi, ściskając ramię przyjaciela.

– To niebezpieczne dla ciebie.

– Na Fritha! – Christopher ze złością zerwał się na równe nogi i wyminął ich.

Gdy ruszali tajnym przejściem, wiodącym ku wątpliwemu bezpieczeństwu własnych komnat, koguty właśnie zaczynały pisać.

# *Mortuus in vita*

Odgłos łomotania w drzwi wejściowe wyrwał Wynter z wyjątkowo głębokiego snu, a pierwsze, co ukazało się jej po otwarciu oczu, to kruk, który siedział na parapecie. Zakrakał głośno i spojrzał na nią ze złowrogą obojętnością. Z dzioba zwisał mu długi strzęp czerwonego mięsa, który znaczył na jasnym drewnie parapetu krwawe ślady.

Klatki – pomyślała, wciąż w objęciach snu. – Szubienice, krew i ból.

Ptak rozłożył szerokie skrzydła, zasłaniając słońce. Znów zakrakał i poderwał się z okna. Zniknął gdzieś na dachu, ale wciąż było słychać jego krakanie, niczym zardzewiałą piłę na ośkатыm pniu.

Uniosła się na łokciach. Cienie były krótkie, a słońce, stojące już wysoko na niebie, buchało w okno gorącym. Ze zdziwieniem stwierdziła, że musiało być już południe albo nawet później, co oznaczało, że spała ponad osiem godzin! Łomotanie przybierało na sile. Z trudem wygrzebała się z łóżka, wypłatając z pościeli i moskitiery i przeklinając w duchu Raziego, który przed snem wmusił w nią jakąś gorzką miksturę. Skutki jej działania odczuwała do tej pory - ciężkie ręce, nieporadne nogi, a sen zasysał jej myśli jak czarny wir.

– Już... – odchrząknęła, marząc o wodzie. – Już idę! – wychrypiała, odryglowując drzwi sypialni.

Przechodząc przez pokój wypoczynkowy, usłyszała trzask zamka w sypialni Lorcana i z zaskoczeniem ujrzała go w drzwiach. Chwiał się na nogach, niechlujny i potargany, bosy, w samych kalesonach; koszulę miał rozpiętą do pasa. On też zaspał? Ten mistrz pobudki skoro świt! – zdziwiła się.

– Co...? – wymamrotał. Wyglądał jak skołowany niedźwiedź.

Otworzyła drzwi na korytarz, a poirytowany dworzaniu rozłożył ręce na widok jej koszuli i czepka.

– Już szósta kwarta cieni! – wykrzyknął wzburzony. Za jego plecami stał cierpliwie mały paż z wielką tacą. Spoglądał na Wynter niemal spomiędzy nóg wyższego mężczyzny.

Lorcan zaklął szpetnie i zwrócił się z niepokojem do dworzanina.

– Czy on cały czas czeka?

Dworzanin zlustrował go wzrokiem od stóp do głów, uśmiechając się ze źle skrywaną pogardą.

– Król ma na głowie ważniejsze sprawy niż czekanie na ciebie, Wielmożny Lordzie Obrońco Moorehawke. Nakazuję ci jednak pośpiech – przyjmie cię, gdy tylko znajdzie kolejną wolną chwilę.

Posłał im lodowate spojrzenie, wykonując elegancki piruet na pięcie, i już go nie było.

Lorcan wzniosł ręce do nieba. Pociągnął się za rozczochrane włosy, chwycił za głowę i zaczął rozglądać się w rozpacz.

– Niech to zaraza. Niech to zaraza... Gdzie te przeklęte buty?

Mały paż chrząknął i przekazał Wynter tacę.

– Śniadanie z pozdrowieniami od lorda Raziego. Niestety, wszystko już wystygło.

Wynter wzięła tacę.

– Dziękuję – rzuciła. Zauważyła, że praczki zostawiły pod drzwiami porządnie złożoną stertę ubrań, z przypiętym na górze rachunkiem. – Mógłbyś mi pomóc?

Paż zrobił, o co go poproszono. Wyglądał młodo i niewinnie, ale gdy Wynter spytała go, jak miewa się wielmożny Razi, chłopiec tylko spojrział wymownie. Zdobyła się na smutny uśmiech i skinęła głową, pozwalając mu odejść.

Wyszedł, zabierając wczorajszą nietkniętą kolację, a Wynter postawiła na stole nową tacę. Unosząc pokrywkę, uświadomiła sobie, że umiera z głodu.

Lorcan wypadł ze swojego pokoju z butem w rękę.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknął. – Ubieraj się!

– Tato usiądź i zjedz. Razi powiedział..

– Wynter! Wkładaj strój do pracy, Jonathon czeka. Czeka na nas już od paru godzin!

Na jego policzkach wykwitły niezdrowe rumieńce. Wynter miała ochotę potrząsnąć nim i kazać mu się uspokoić, bo onów gotów był zemdleć. Zamiast tego usiadła i zaczęła smażyć drożdżówkę masłem, jakby czas stanął dla niej w miejscu. Drożdżówka była słodka, puszysta i pełna rodzynek. Nagle okazało się, że Lorcan także nie może oderwać od niej wzroku.

– Tato – zaczęła znowu – król wcale nie czeka, przecież wiesz. Na pewno gdzieś wyszedł. Zresztą nieważne, jaką masz do niego sprawę, na pewno będzie cię teraz godzinami ignorował, żeby pokazać, kto tu rządzi. Zjedz coś. Razi powiedział, że musisz jeść.

Wzrok Lorcana spoczął na tacy z jedzeniem. Na widok kawy, której przez ostatnich pięć lat nawet nie powąchał, przetłknął ślinę. Wynter dodała do niej śmietanki, pośodziła i nalatała jej do dwóch czarek. Jedną demonstracyjnie postawiła po jego stronie stołu i upiła duży łyk z drugiej. Popatrzył na czarkę, a potem na puszyste rogaliki, jagnięce kiełbaski



przyprawione ziołami, gotowane jajka, sól i plastry świeżych owoców. Ponownie tak głośno przełknął ślinę, że usłyszała to nawet Wynter.

– Tylko małe kęsy – poddał się. Upuścił but na ziemię i usiadł do stołu.

Razem szybko uporali się z półmiskami, jedząc w ciszy ze smakiem i radością. W końcu zostały tylko okruchy i pół czarnej kawy ze śmietanką.

Lorcan oparł się wygodnie w fotelu, wzdychając z zadowoleniem.

– To było wspaniałe.

Zaśmiała się. Minęły całe wieki, odkąd widziała ojca tak zarumienionego i sytego. Uśmiechnął się rozpromieniony i wesół jak dawniej. W świetle słońca jego żywe oczy błyszczały jak szmaragdy.

– Ach, córeczko – powiedział czule. – Jesteś balsamem na moją duszę. Po kilku chwilach błogości Lorcan wreszcie wyprostował się, a jego twarz przybrała poważny wyraz.

– Jonathon zaproponował, że odda mi licencję – zakomunikował.

Serce Wynter zabiło mocniej.

– Och, tato! To świetnie! Ale dlaczego się nie cieszysz? Z jakimiś ograniczeniami? – spytała, wnosząc z powściągliwością jego reakcji, że muszą być znaczne.

– Bez żadnych ograniczeń, kochanie. Wszystkie stopnie, wszystkie oferty. W każdej prowincji, w każdym mieście wolno mi będzie wykonywać mój zawód.

– Tato! To... to jest... Ha! – roześmiała się, rozkładając ręce. – To niesamowite!

Jonathon dał Lorcanowi *carte blanche* na otwarcie warsztatu, gdzie tylko mu się spodoba, na zatrudnienie każdego, kto mu przypadnie do gustu, i na przyjmowanie wszelkiego rodzaju zleceń. Wynter nigdy wcześniej nie słyszała o licencji bez

ograniczeń. Lorcan powinien skakać z radości. Zamiast tego patrzył na nią z łagodnym smutkiem.

- Poza tym jest dziedziczna. – Wynter aż uniosła się na krześle oszołomiona. – Dożywotnio dziedziczna. Przejdzie na ciebie i nikt nigdy nie będzie mógł ci jej odebrać.

- Och, tato!

Jego oczy lśniły w słońcu i zdawały się większe niż zwykle. Położyła dłonie na stole. Nagle zrobiło jej się zimno.

Teraz rozumiała.

- Chce, żebyś poparł wydziedziczenie Albiego. Chce, żebyś potwierdził *mortuus in vita*?

Lorcan kiwnął głową.

- Nie możesz. Tato, nie możesz. Powiedz mu, że nie...

- Ma już wszystkie dokumenty. Podstawił mi je pod sam nos... – Lorcan podniósł zaciśniętą pięść i przysunął ją sobie do twarzy, wpatrując się w nią, jakby było to coś obrzydliwego.

- Pod sam nos – powtórzył.

- Tato – sięgnęła ręką przez stół, a on popatrzył na nią, jakby za chwilę miało mu pęknąć serce. – Tutaj przecież chodzi o Albiego. O Alberona.

- Wiem – szepnął. – Ale chodzi też o ciebie, kochanie, i o to, co się z tobą stanie, gdy mnie zabraknie.

Powstrzymał się, by nie powiedzieć: A zabraknie mnie już wkrótce. Zostaniesz sama, i to jest jedyne, co mogę ci ofiarować.

Odbijające się w jego oczach słońce na moment zgasło, gdy po punkoju przemknął cień. Lorcan spojrział w okno. Po chwili kolejny cień przemknął po jego twarzy. Wstał i podszedł do okna.

- Boże, miej nas w opiece! – powiedział, spoglądając przez okno. Był zaskoczony, jakby niedowierzał własnym oczom. Kiedy dotarło do niego, co widzi, znów powtórzył cicho te same słowa, tym razem z wydobywającą się z głębi serca rozpaczą.

Boże, miej nas w swojej opiece.

Wynter już wiedziała, bo chwilę wcześniej usłyszała stukot pazurów ślizgających się po dachówkach. Miała jednak nadzieję, że ojciec ich nie zauważy. Kruki. Nadciągały całymi stadami. Odwróciła się i obserwowała, jak ojciec wchodzi na parapet i wychyla się przez okno, jedną ręką trzymając się framugi. Przez chwilę widziała tylko jego długie nogi. Potem do jej uszu dotarł stek przekleństw i ojciec z pobladłą twarzą wślizgnął się z powrotem do pokoju.

– Wieża? – zapytała, choć zabrzmiało to jak twierdzenie.

– Wieża – potwierdził, nie patrząc na Wynter. – Szykuj się do pracy.

Pogładził ją po głowie i ruszył do swojego pokoju, cicho zamykając drzwi. Minęła dłuższa chwila, zanim usłyszała, jak się ubiera.

Kruki nad wieżą. To mogło oznaczać tylko jedno.

Jonathon nakazał nadziać ciało więźnia na pal i wystawić je na widok publiczny. Zmasakrowany i okrwawiony sztandar zemsty powiewał nad pałacem po raz pierwszy od czasu objęcia przez Jonathona tronu.

Na chwilę ukryła twarz w dłoniach, wciskając sobie pięści w oczodoły, żeby wepchnąć niechciane obrazy do ciemnych pokoi pamięci i zatrzaskać za nimi drzwi. Potem wstała i poszła się ubrać. Pozostawione w upale resztki śniadania przyciągały muchy.

Włożyła swój szorstki strój roboczy i związała włosy w ciasny warkocz. Kiedy wyszła z pokoju, zarzucając na ramię torbę z narzędziami, Lorcan czekał już w salonie ze swoim pakunkiem na plecach. Milczeli. Wynter nadal nie miała pojęcia, dokąd się wybierali ani co mieli robić, ale postanowiła nie pytać ojca o szczegóły. Czasami słowa tylko pogarszały sprawę.

Odwrócił się, zlustrował ją od stóp do głów i z aprobatą kiwnął głową.

– Gotowa?

- Gotowa.

Uśmiechnął się smutno.

- Dobrze, kochanie.

Wyprostował się i unióśł głowę. Z chłodnym wyrazem twarzy i oczyma ukrytymi pod zmrużonymi powiekami w ułamku sekundy ojciec Wynter zniknął, a pojawił Lord Ohrońca, Wielmożny Lorcan Moorehawke. Nie zaszczycił jej więcej spojrzeniem, po prostu opuścił pokój, a ona za nim, mistrz i czeladniczka, którzy wypełniają rozkaz króla.

Południe w środku lata powinno upływać w ciszy i spokoju, lecz na korytarzach pałacu trwała gorączkowa krzątalinna. Ludzie o ponurych twarzach ze spuszczonej oczyma biegali tam i z powrotem jak mrówki. Przenosili duże obrazy i małe obrazki okryte tkaninami. Posągi i sterty rękopisów. I wszyscy zmierzali w tym samym kierunku – do ogrodów.

Wynter posłusznie dreptała za ojcem, udając, że niczego nie dostrzega. Widziała jednak niepokój malujący się na twarzach służących. Słyszała pojedyncze słowa wymieniane przez podekscytowanych paziów i pokojówki. Widziała też rosnące napięcie ojca. Wtem, u szczytu krótkich schodów, jeden z mężczyzn niosących na ramionach wielki obraz potknął się, upuszczając go na ziemię. Gdy po chwili próbował z powrotem unieść go do góry, odkrywająca płótno tkanina spadła na ziemię.

Wynter zatrzymała się w pół kroku.

To był jej ulubiony obraz wiszący niegdyś w prywatnych komnatach Jonathona. Ten, który zajmował honorowe miejsce nad kominkiem w jego pokoju wypoczynkowym. Przedstawiał Allherona, Raziego i ją, jak radośnie bawili się w ogrodzie.

Ogarnęły ją wspomnienia. Przypomniała sobie, jak lubiła leżeć pod okrągłym stołem i słuchać Olivera, Jonathona albo wujka. Machała nogami i patrzyła na ten obraz spomiędzy frędzli obrusa. Zawsze zadziwiało ją, że wszyscy wyglądali na nim jak żywi. Podobieństwo było wręcz uderzające.

Razi leżał pod drzewem z książką w ręku i patrzył na Albiego i Wynter, siedzących obok na trawie. Albi trzymał na kolanach Shubbity, swojego ukochanego spaniela, a Wynter ciekawie spoglądała z obrazu na widza. Wyglądali jak prawdziwe rodzeństwo. Ona i Albi mogli mieć wtedy po sześć lat, Razi dziesięć.

Służący uporali się w końcu z obrazem i ruszyli dalej.

Ocknęła się, gdy ojciec położył jej dłoń na ramieniu. Spojrzała na niego. Z powściągliwym wyrazem twarzy patrzył, jak znoszą obraz, a szczęśliwe buzie trójki dzieci znikają w mroku klatki schodowej.

Odwrócił się szybko i bocznymi schodami poprowadził ją na zewnątrz, do niewielkiego ogrodu różanego, skąd przeszli na drugą stronę głównego budynku pałacowego. W powietrzu unosił się zapach spalenizny, zza pałacu sunęły smugi gęstego dymu. Gdy okrążali staw, mignął jej rząd objuczonych ludzi, zmierzających na tyły pałacu, w kierunku źródła dymu, w kierunku ognia. W kierunku przeciwnym podążała inna grupa ludzi – z pustymi rękoma, dymem we włosach i napięciem na twarzach.

Lorcan wspiął się po granitowych schodach po przeciwnej stronie ogrodu i ruszył korytarzem wyłożonym czarno-białymi płytami. Teraz Wynter wiedziała już, dokąd idą. Och, tato! – pomyślała – Tylko nie biblioteka. Pakunek z narzędziami zaczął jej nagle ciążyć.

Lorcan otworzył drzwi i znaleźli się na miejscu. Biblioteka była dokładnie taka, jak Wynter ją zapamiętała, wypełniona nieśmiertelnym zapachem drewna, pasty i nagrzanego słońcem kurzu.

Jonathon uczynił z niej dzieło swojego życia. W czasach, gdy książki były regularnie palone, potępiane czy zakazywane, Jonathon gorliwie je gromadził. Zebrał wszelkie możliwe ich rodzaje, we wszystkich językach, reprezentujące najróżniejsze poglądy i filozofie znane człowiekowi. To jemu niezliczone

traktaty naukowe i medyczne zawdzięczały ocalenie przed krucjatami, pogromami i czystkami szalejącymi w sąsiednich królestwach. A potem uczynił tę bibliotekę dostępną dla każdego, kto gotów był zapłacić skrybie za zrobienie kopii na własny użytek.

Stojąc w tym olbrzymim pomieszczeniu, wśród wspaniałej królewskiej kolekcji, nie można było nie docenić wielkości tego przedsięwzięcia i dalekosiężności wizji. Był to jeden z cudów Europy, a może nawet całego świata, potężne źródło światła w coraz czarniejszej otchłani ignorancji, w którą popadała ludność innych krajów.

Wynter przystanęła w drzwiach i obserwowała ojca stojącego pośrodku pomieszczenia. Ostrożnie położył na ziemi pakunek z narzędziami i zaczął rozglądać się wokół. Słyszała, jak z trudem przełyka ślinę i głośno wzdycha, widziała, jak upuszcza ramiona.

Nie na książki jednak patrzył, choć widok istotnie zapierał dech w piersiach, lecz na półki, boazerię na ścianach i misternie rzeźbione belki stropowe. Lorcan poświęcił tej bibliotece trzynastę lat życia. Trzynastę lat rzeźbienia, piaskowania i polerowania twardej sekwoi, która teraz jaśniała w świetle wczesnego popołudnia.

W płycinie ściany naprzeciwko wejścia znajdowała się drewniana płaskorzeźba, nad którą pracował, nim Jonathon poszedł w obce strony. Każdy szczegół rysunku był starannie wykopkowany małym dłutkiem, ale wyrzeźbiona została mniej niż jedna trzecia całości. Dzieło ukazywało Jonathona, Olivera i Lorcana, stojących na leśnej ścieżce. Między ich nogami uwiły się psy myśliwskie, a na plecach nieśli łuki. Był z nimi też Razi, a Wynter i Alberon machali im ze schodów. U stóp dwójki dzieci leżało kilka spośród wielu kotów, którymi opiekowała się Wynter. Każdego z nich można było rozpoznać po indywidualnych cechach i właściwej mu pozie. Jak wszystkie

inne prace Lorcana, tak i tę płaskorzeźbę przepięknie ciepłą bez śladu sztywnej formalności tak charakterystycznej dla wielu innych, znajdujących się na dworze, dzieł sztuki. Na jej widok Wynter krajało się serce, bo przypominała ona o czasach bezpowrotnie utraconych.

Dzięki nieprawdopodobnemu wręcz talentowi Lorcan zdołał stworzyć tu całą kronikę rządów Jonathona. Często na konkretne zamówienia króla, czasem dla własnej przyjemności, ale z błogosławieństwem Jonathona. Przedstawił w niej narodziny, lata dzieciństwa i dorastanie pałacowych dzieci. Znalazły się tu też niezliczone wierszyki, tworzone na polecenie przez Jonathona, a potem wyryte w drewnie Lorcanową ręką, żeby dzieci zawsze pamiętały, kiedy Razi po raz pierwszy dosiadł konia, a Alberon złowił pierwszą rybę i kiedy Wynter spadła z drzewa, łamiąc sobie rękę. Znajdowało się tu całe ich życie, trwała i niepodważalna pamiątka tego, jak było kiedyś.

Lorcanowi udało się też idealnie uchwycić głęboką, radosną przyjaźń i braterskie więzi łączące jego, Jonathona i Olivera.

Dosłownie zewsząd, ze wszystkich ścian pomieszczenia patrzyły na nich wizerunki Alberona i Olivera; ich imiona wyryte były na niezliczonych tabliczkach, a ich herby wyrzeźbione na wymyślnych tarczach. Teraz Wynter doskonale rozumiała, dlaczego ojciec się tu znalazł. Rozumiała też ogrom poświęcenia, jakiego Jonathon zażądał w zamian za jej przyszłość.

Lorcan, wciąż odwrócony do Wynter plecami, wreszcie przemówił. W jego głosie pobrzmiwała szorstka nuta:

– Wiesz, co mamy zrobić?

– Tak – szepnęła cichutko.

Odchrząknął i chwycił swoje narzędzia.

– Ty zacznij od mniejszych półek – rzucił. – Ja wezmę się za ściany. – Manewrując między stertami woluminów, przesunęła się w najodleglejszy kąt biblioteki. Wynter nie ruszyła się spod drzwi. Jak sparaliżowana patrzyła na ojca wyjmującego

**gruby pilnik. Przez chwilę stał pod wielką drewnianą blendą, wpatrując się w nią z zadartą głową. Potem ostrożnie, z wielką precyzją, zaczął usuwać z niej podobiznę Alberona.**

**Z pierwszym zgrzytem pilnika o drewno Wynter przeniosła się pod niewielkie regały w drugim końcu pomieszczenia. Długo zastanawiała się nad miejscem, od którego zacznie, ochyliła się i wybrała odpowiedni pilnik. Przez chwilę podziwiała dzieło sztuki przed sobą, po czym zabrała się do pracy, nie myśląc o niczym, z twarzą obojętną i pustą.**



Przez następne dwa dni Wynter i jej ojciec wstawali o brzasku i chodzili spać późno w nocy. Szli do biblioteki przed świtem, gdy pałac był jeszcze pogrążony w grobowej ciszy snu, a wracali długo po północy korytarzami rozbrzmiewającymi tylko echem ich kroków. Wynter miała wrażenie, że są jedynymi ludźmi na świecie. Każdy dzień spędzali odwróceniem do siebie plecami, pracując nieprzerwanie, bez żadnego odpoczynku. Każdej nocy padali na łóżka wyczerpani i spali jak zabici. Nie rozmawiali ze sobą nawet w czasie posiłków. Lorcan, z pustką w oczach, siadał tyłem do jednego z wielkich okien, obojętnie przeżuwał to, co miał zjeść, wypijając to, co miał wypić, po czym bez słowa wracał do pracy. Zupełnie jakby wszedł w jakiś długi, mroczny tunel i widział swoją córkę tylko w oddali, niewyraźnie jak przez mgłę.

Za dnia nikt nie wchodził do biblioteki, w nocy nikt ich nie odwiedzał. Nawet Jonathon nie zaszczycił ich wizytą, a Razl, choć regularnie przysyłał im posiłki, gdzieś przepadł.

Po dwóch dniach spędzonych w kompletnym milczeniu Wynter zdawało się, że jej wargi są zeszywniałe, jakby nie pamiętały już, jak się mówi. Myślała, że głowa pęknie jej od natłoku niewypowiedzianych myśli, uwięzionych w niej i obijających się o siebie jak pszczoły w ulu.

Praca, w której zawsze znajdowała radość i ukojenie, teraz stała się udręką. Kiedy tylko zaczynała ją pochłaniać, a jej ręce zaczynały poruszać się w tym miarowym, hipnotyzującym rytmie, myśli uciekały tam, gdzie nie powinny. Zanim się zorientowała, przed oczami wyobraźni przelatywały jej potworne obrazy. Widziała Lorcana, który – jak ranne zwierzę – z trudem łapie oddech w ciemnościach. Widziała drżącego Raziego o poszarzałej twarzy, z raną na brzuchu i krwią splerzającą się na białej chustce, którą Wynter ścisnęła w dłoni. Christophera milczącego jak grób i krew tryskającą na wszystkie strony, gdy jego pięść roztrzaskuje twarz tamtemu mężczyźnie. Ale przede wszystkim widziała to straszne krzesło, narzędzia tortur i Raziego wyłaniającego się z ognia i dymu, w aureoli krzyków. Dłuto wysuwało się jej z ręki, młotek zaczął drzeć, musiała wtedy zaciskać zęby i dłonie, zmuszając się do zachowania spokoju.

Była tylko ona i te obrazy, jej demony, z którymi musiała mierzyć się sama. Czuła się coraz bardziej samotna, zaczynała nabierać przekonania, że w końcu doprowadzi ją to do szaleństwa.

Jedynymi słyszczanymi ostatnio dźwiękami były nieprzerwane okrobanie dłutem o drewno i niekończące się szorowanie pilnikiem. Dźwięki, które zwykle oznaczały twórczy proces, dumę i spełnienie. Ale teraz pod ostrzem dłuta znajdowały się twarze Alberona i Olivera, ich imiona, które przez cały dzień odpływały w niebyt spiralami wiórów, obrzynkami aromatycznego czerwonego drewna, trocinami i pyłem. Znikały, warstwa po warstwie, niszczone jej własną ręką, jej narzędziami.

Tęskniła za Razim. Tęskniła za świeżym powietrzem i przetrzeźwieniem.

Trzeciego dnia rano przystanąła na chwilę, patrząc na wiersz napisany przez Jonathona w dniu, w którym zdechł ukochany pies Alberona. To miało być jej kolejne zadanie

– wymazać z historii to uczucie, udać, że nigdy go nie było  
– ale nie znalazła w sobie dość siły, żeby je wykonać. Odłożyła narzędzia i wyszła.

Lorcana, który z ponurą miną ścierał imię Alberona z tabliczki w dolnym rogu sekwojowej płyciny, nie obejrzał się nawet, gdy go mijała. Pracował z pochyloną głową, z włosami i rękami przyprószonymi czerwonym pyłem. Cicho zamknęła drzwi, obiecując sobie, że wychodzi tylko na chwilę.

Stała na schodach, patrząc na drzewa skąpane w pierwszych promieniach słońca. Jej ręce wciąż drżały w rytmie uderzeń pobijaka o dłuto. W ustach czuła smak trocin, a jej ubrania przesycił zapach drewna. Za to poranek pachniał prawdziwymi, żywymi drzewami – cisem, sosną i brzozą, a Wynter było tak dobrze na dworze, z wiatrem na twarzy, że czuła się jak pijana.

Zmęczona spojrzała na las, na horyzont, podniosła głowę, żeby popatrzeć na szaroróżowe niebo. Jej ramiona i plecy powoli wracały do normalnego kształtu, czuła coraz mniejsze napięcie w karku. Przez otwarte okna biblioteki słyszała miarowy skrzyp hebla w ręku Lorcana – szur, szur, szur – w godzinę niszczącego to, nad czym pracował trzy czy cztery dni.

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła przed siebie, byle dalej od tego dźwięku. Zeszła długimi schodami na tyłach pałacu, okrążyła zagajnik. Nie chciała mieć więcej nic wspólnego z tym codziennym wymazywaniem pamięci o przyjaciółku.

Może Razi będzie w stajni? Wciąż jeszcze wyludniony teren miał w sobie coś nierealnego, wydawało jej się, jakby wciąż czas sniła. Minęła wąską alejkę między boksami dla luzaków i magazynem paszy. Szła prosto w kierunku padoku, słysząc już kłus krążącego po nim konia. U wylotu alejki pył wzbijany kopytami wirował w porannych promieniach słońca.

Mijała właśnie pusty boks, gdy jej uszu dobiegł cichy jęk. Przystanęła.

Zza drewnianej ściany głos Christophera wydyszał cicho,  
ale stanowczo: Zaczekaj chwilę!

Wynter przykucnęła z ręką na sztylcie, a przez głowę przemknęły jej słowa „zasadzka” i „zamachowiec”.

Wtedy inny głos, damski i niecierpliwy, wyszeptał:

– Co się stało?

– Zaczekaj chwilę... – znów odezwał się Christopher. Przez chwilę coś szeleściło, a kobieta zachichotała.

– No to... do dzieła... – wydyszał Christopher.

– Co to ma być, na miłość boską? – szepnęła kobieta. Wątpliwości i fascynacja w jej głosie toczyły zwycięską bitwę z niecierpliwością.

– To... – Christopher przerwał z głośnym stęknieniem. Kobieta zachichotała, a potem gwałtownie wciągnęła powietrze i wypuściła je z długim, zadowolonym: ooooooch! – To... – mruknął znów na bezdechu – ...jest twoja ochrona... przed takimi... jak ja.

Wydał z siebie kolejny dźwięk... jęknienie. Wynter natychmiast zdała sobie sprawę, że nie było bynajmniej jęknieniem bólu. Pomknęła alejką dalej z płonącymi policzkami.

Nagła wściekłość na Christophera uderzyła ją prosto w serce. Jak widać, szybko znalazł pocieszenie. Najwyraźniej jemu nic nie dolega! Ale gdzie jest Razi? Skoro Christopher zażywa uciech, skądże, gdzie zostawił Raziego.

Znalazła go na padoku, siedzącego niedbale na stołku do dajenia. Długie nogi wyciągnął przed siebie, a plecami opierał się o ceglaną ścianę magazynu. Nadzorował ujeżdżanie konia, ubrany stosownie do tej pracy: w zakurzone getry, buty do jazdy konnej oraz bładozieloną tunikę o luźnym kroju. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego i Wynter miała wątpliwości, czy starczyłoby mu sił, aby samemu dojechać konia.

Aż przystanęła, zaskoczona jego wymizerowaniem. Nawet

łokujące zazwyczaj włosy zdawały się zmęczone – matowe, opadające ciężką zasłoną na półprzymknięte oczy.

Wokół padoku krążyło sześciu czy siedmiu olbrzymich, odzianych w czerń, strażników. Gdy przechodziła przez dziedziniec, jeden z nich chciał ją zatrzymać, ale Razi oddalił go skinieniem ręki, uśmiechnął się i pomachał jej na powitanie.

Witaj, bracie – powiedziała, klękając obok niego na piasku i obserwując wielkiego konia kłusującego na lonży. Było to wspaniałe zwierzę – jeden z tych wyniosłych końskich arystokratów, piękny, ognisty ogier.

– Czy to jeden z twoich?

– Tak. – Położył dłoń na jej głowie i czułym gestem pogładził po włosach. Po chwili ręka bezwładnie opadła mu na kolana.

– Twój kocur udał się na polowanie – powiedziała szyderczo, a on przechylił pytająco głowę. – Christopher – wyjaśniła. – Swawoli w stajni.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Razi wybuchnął śmiechem, tak głośnym i gwałtownym, że wszyscy strażnicy zerknęli w ich stronę.

– A zatem ją znalazł? – zaśmiał się, a zęby zaśniły bielą na tle jego brązowej twarzy. – Nie powinienem w niego wątpić! – I znowu wybuchnął tym swoim zaraźliwym, szczerym śmiechem, oczy mu błyszczały. Pod wpływem chwili ucałował jej rękę, a potem, rozweselony, trzymał ją luźno, obserwując z zainteresowaniem tresurę konia. Wciąż był zmęczony, wręcz wyczerpany po niedawnych przeżyciach, ale nie emanował już takim smutkiem i nie wyglądał na pokonanego. W jego wyglądzie w jednej chwili zaszła taka zmiana, że cała złość na Christophera, dławiąca Wynter, przeszła jak ręką odjął.

Oparła głowę na ramieniu Raziego i choć wcześniej czuła przemożną chęć rozmowy, milczała. To wystarczało. Wszystkie okropne sprawy, które powinni omówić, wszystkie straszliwe

prawdy i sekrety zagłuszył tętent kopyt. Uleciały wraz z pyłem unoszącym się nad padokiem; na tę krótką, ulotną chwilę była od nich wolna.

Siedzieli w milczeniu, w narastającym wokół nich upale, patrząc, jak koniuszy ujeżdża wspaniałego ogiera Raziego. Zupełnie jakby byli rodzeństwem, a wcześniej nic się nie wydarzyło. Razi od czasu do czasu coś mruczał, a Wynter dostrzegała własne spostrzeżenia. Koniuszy wykrzykiwał pytania, a Razi odpowiadał kiwnięciem głowy albo paroma słowami. Kątem oka widzieli strażników, przypominających wielkie, opale karaluchy. Mimo ich obecności było spokojnie i błogo. Tak doskonały poranek nie mógł trwać zbyt długo.

Wynter poczuła, że Razi wolno się podnosi. Podążając za jego wzrokiem, spostrzegła jednego z radnych w cieniu zadanej ujeżdżalni. Stał na uboczu, żeby nie rzucać się w oko strażnikom, i znacząco wpatrywał się w Raziego. Wynter rozpoznała w nim Simona De Rochelle'a, jednego z tych kilku radnych, którzy nie zmuszali Raziego do przejęcia tronu Alberona. Obok niego kulił się jakiś szczupły, opalony obszarpaniec. Wyglądał podejrzanie. Jego nasmarowane kałafonią włosy sterczały sztywno; nosił brodę jak Comberczycy z Zachodu, do tego od stóp do głów pokrywał go kurz. Dopiero przyjechał - pomyślała Wynter. - Może to jakiś posłaniec.

Razi skinął głową w kierunku De Rochelle'a i obaj mężczyźni skryli się w cieniu.

- Wynter - szepnął Razi, wciąż oglądając się za radnym i jego towarzyszem. - Idź do Christophera i powiedz mu, że spotkam się z nim w kuchni w następnej kwarcie cieni. Powiedz mu, żeby się nigdzie nie szwendał.

- Co się dzieje?

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na Wynter piorunującym wzrokiem, w którym zawarł cały autorytet swego królewskiego pochodzenia. Poczuła przypływ gniewu, że ośmielił

się tak zachować wobec niej. Ale był nieugięty, więc spuściła głowę z kwaśną miną.

– A jak zamierzasz się pozbyć swoich opiekunów? – spytała nieśmiało.

Zerknął lodowato na przechadzających się nieopodal żołdaków.

– Przekaż moją wiadomość Christopherowi – rzucił – a ja zajmę się resztą.

Zerwał się, żeby odejść, ale Wynter chwyciła go za rękę, bo ani myślała rozstawać się z nim w gniewie. Wpatrując się błagalnie w Raziego, nagle zdała sobie sprawę, że ma oczy pełne łez.

– Siostrzyczko – powiedział czule, kładąc jej z wahaniem dłonie na ramionach i zastanawiając się, co powiedzieć. Żadne słowa nie przyniosłyby jej pocieszenia, a wszystko i tak byłoby albo kłamstwem, albo pustym frazesem. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, usiłując wyrazić w ten sposób to, co czują, bez zagłębiania się w szczegóły tej okropnej sytuacji.

W końcu Razi po prostu ją przytulił. Objął ramionami i otoczył ciepłem swojego ciała, pochylił głowę i oparł policzek na jej czole. Poddała się temu uściskowi. Zamknęła oczy i wdychała jego zapach: ciepłą mieszkankę woni stajni, drzewa sandałowego i świeżego prania. Przez chwilę poczuła się mała, dobrze ukryta i bezpieczna.

– Idź – szepnął, pocałował ją w czubek głowy i już go nie było. Poszedł przez skąpany w słońcu padok, wzbijając tumany kurzu.

Strażnicy ruszyli za nim, ale Razi, podniósł rękę, nawet na nich nie patrząc.

– Zostawcie mnie na chwilę – rozkazał. Gdy kilku uparcie szło dalej, Razi obrócił się na pięcie i zmroził ich wzrokiem. – Niech was szlag – syknął. – Wynocha, chyba że zamierzacie podtrzeć mi tyłek.

Strażnicy przystanęli niepewnie, a Razi ruszył dalej. Wreszcie wrócili na padok, pozwalając mu minąć krytą ujeżdżalnię i zniknąć za węglem.

Wynter stała w miejscu obserwowana przez strażników. Potem wolno skierowała się na tę samą ścieżkę, którą przyszła. W stajennym boksie – tam gdzie ostatnio słyszała Christophera – było teraz zupełnie cicho. Zajrzała do środka przekonana, że nikogo już tam nie ma.

Leżał na plecach, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, z lewą ręką zasłaniającą oczy, a prawą wyciągniętą luźno na bok. Był przy tym zupełnie nagi i pogrążony w głębokim śnie. Jego klatka piersiowa łagodnie podnosiła się i opadała.

Wynter wciągnęła głośno powietrze. Widok nagiego męskiego ciała nie był jej obcy, ale w Christopherze drzemała tak nieskrępowana zmysłowość, że zaczęła myśleć o nim w zupełnie nowy, zaskakujący dla niej sposób. Po raz pierwszy w życiu zastanawiała się, jak to jest, kiedy mężczyzna przywiera całym ciałem do kobiety. Jak by to było, gdyby pocałował ją tak, jak mężczyźni całują kobiety, gdy chcą wyrazić coś więcej niż zwykłe przywiązanie.

Myśli te spowodowały tak gwałtowny przypływ emocji, że zacisnęła powieki i szybko się odwróciła. Przed oczami wciąż jednak miała szczupłe, zgrabne nogi i ręce, jaśniejące na tle ciemnej, zadziwiająco ciemne włosy kontrastujące z bladą skórą jego piersi i brzucha oraz matowy blask srebrnych bransoletek w kształcie węży wijących się na jego ramionach. To ostatnie spostrzeżenie zaskoczyło ją najbardziej.

On jest Merronem! – pomyślała, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Ale przecież nie wygląda na Merrona!

Po chwili wahania postanowiła wyjść z boksu i zapowiedzieć się pukaniem, dając Christopherowi szansę na doprowadzenie się do porządku. Musiała jednak niechcący zaszurąć butem lub czymś zaszeleścić, bo zanim zdążyła zrobić



pierwszy krok, Christopher poderwał się ze słomy i jednym płynnym ruchem stanął na równe nogi, kuląc się do skoku. W jednej ręce trzymał sztylet, a drugą wznósł obronnie do góry.

– *Cé hé sin?* – spytał ochryple po merrońsku – Kto tu jest? Wynter zdała sobie sprawę, że ostre słońce oświetla ją z tyłu, Christopher widzi tylko czarny cień przyczajony w wejściu do boksu.

– To ja. Wynter.

– Ach – odetchnął i odprężył się, opuszczając nóż i odgarniając włosy z twarzy. – Razi jest na padoku ze swoim ogierem – powiedział, pokazując jej kierunek niedbałym machnięciem ręki, po czym zaczął się rozglądać za ubraniami.

Nagość zupełnie mu nie przeszkadzała, ubierał się niespiesznie, bez śladu zmieszania. Zdawał się jednak zdziwiony, że Wynter nie wychodzi, a później nawet nieco zakłopotany, bo przyłapał ją na gapieniu się, jak zawiązuje tasemki koszuli.

Kiedy wreszcie chrząknął znacząco, Wynter odwróciła się, a on sięgnął po bieliznę i spodnie. Szeleszcząc za jej plecami, usiadł na słomie, żeby wciągnąć na siebie ubranie. Wynter więcej już nie podglądała.

– Gotowe – powiedział, a gdy się odwróciła, chował właśnie sztylet do cholewy buta. Nachylił się ku niej z rękoma zwisającymi między kolanami. – Mam cię do niego zaprowadzić? – spytał ze szczerą troską, nie rozumiejąc widocznie, dlaczego Wynter się waha. Przekrzywił głowę, a słońce dodatkowo podkreśliło linie jego wyrazistej, wąskiej twarzy.

– Jesteś Merronem z klanu Węży – powiedziała, a na widok jego zdumionej miny dodała: – Widziałam twoje bransoletki.

– Znasz Merronów?

– Klan Panter zwykł zimować w lasach Shirkena. Miałam okazję poznać niektóre ich zwyczaje. Ty nosisz ozdoby merrońskich Węży.

Prawą dłonią dotknął bransoletki na lewym ramieniu i wyznał:

– To nie są oryginały. Kazałem zrobić kopie. – Wyraźnie zależało mu, żeby to wyjaśnić; zupełnie jakby udawanie, że są prawdziwe, było dla niego zbrodnią. – Prawdziwe mi skradziono. – Odruchowo przeciągnął kciukiem po kikucie środkowego palca.

– Bez urazy – zaczęła, niepewna jego reakcji – ale nie wyglądasz na Merrona.

Zaśmiał się, więc odetchnęła z ulgą.

– Jestem trochę za mały, co?

Wynter też się uśmiechnęła. Wszyscy Merroni, których spotkała, byli wielcy, barczyści i włochaci. Natomiast Christopher wcale nie odznaczał się wysokim wzrostem. Jediną cechą, jaką zdawał się dzielić ze współplemieńcami, była charakterystyczna, niezwykle jasna skóra.

– Sądzę, że płynię we mnie głównie krew hadryjska. – Uśmiechnął się, a jego szare oczy zajaśniały w słońcu. – Wychowałem się w Hadrze, mieszkałem tam i podróżowałem z moją trupą, można więc powiedzieć, że to jest właśnie moja ojczyzna. Merronem był natomiast mistrz trupy, który przygarnął mnie, gdy miałem jeszcze mleko pod nosem.

Na jego wesołej twarzy pojawiła się zaduma. Zamilkł, ogarnięty najwidoczniej ciepłymi wspomnieniami o swoim mistrzu.

– Wychował mnie – szepnął. – Był moim ojcem... w każdym razie to jego właśnie tak nazywałem. – Podniósł na Wynter pytający wzrok. – Rozumiesz? – Skinęła głową. – Każdego lata zabierał mnie na merroński *aonach*, wielki jarmark, podczas którego spotykał się ze swoimi. W końcu oni też mnie przygarnęli mimo mojego nieznanego pochodzenia! Wołali na mnie *Coinin*, Królik, bo potrafiłem prześcignąć każdego z nich. Ociężałe małpoludy, co do jednego. – Zaśmiał się cicho.

– Jesteś podrzutkiem?

– Niezupełnie, ale matula niespecjalnie garnęła się do matkowania. Bo byłem – wyobraź sobie – wyjątkowo dzikim brzdącem! – Otworzył oczy szerzej, żeby zademonstrować całą tę dzikość. – Wytrzymała ze mną bez mała cztery lata! Gdyby miała wtedy okazję mnie poznać, sama stwierdziłabyś, że to dowód wielkiej wytrwałości! – Znów się uśmiechnął, jakby to, co opowiadał, było nie wiadomo jak zabawne, a nie przeraźliwie smutne.

Mówi szczerze – pomyślała. – W porównaniu z typowym dworzaninem jest jak najprzejrzystsza woda. Gdyby był strumieniem, pstrągi nie miałyby się gdzie schować. Widać by było każdy kamyk na dnie.

Odchrząknęła.

– Razi prosi, żebyś zaczekał na niego w kuchni. Mówi, że nie zabawi długo. Prosi też, żebyś nigdzie się nie szwendał.

Na twarzy Christophera rozbawienie mieszało się z irytacją. Przygryzając wargę, odwrócił wzrok.

– Razi Kingssonie, nie jestem dzieciakiem, do cholery – mruknął.

Wynter prychnęła rozbawiona.

– Według Raziego wszyscy jesteśmy dziećmi. Myśli, że musi nas chronić.

– Ciekawe, co sam knuje, podczas gdy ja mam się nie wychylać. Mam nadzieję, że nie zamierza się szwendać samotnie. Z pewnością jest teraz dokładnie tam, gdzie go zostawiłem, w otoczeniu strażników, gdzie nie dosięgnie go żaden wróg.

Głos Christophera ociekał sarkazmem, a Wynter pomyślała, że dobrze mieć kogoś, z kim można nareszcie ponarzekać na upór Raziego.

– Jest na tajemnym spotkaniu z jednym z radnych.

Christopher zacisnął zęby, a jego pochmurna wesołość tość przerodziła się w prawdziwy gniew.

- Pewnie z tym całym Rochelle'em? – Przytaknęła. – Był przy nim posłaniec? – Znów potwierdziła. – Czego oni od niego chcą? – Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, Christopherze. Nie... nie zwierzał mi się ze swoich sekretów.

Mięśnie szczęki drgały mu pod skórą. Przez chwilę piorunował wzrokiem mroczne wnętrze boksu, a potem gwałtownie się otrząsnął. Machnął rękami i zbył temat jednym drwiącym prychnięciem. – Ech! Zaraza z nimi. Cała ta banda nie jest warta jego gadania. Nie wiadomo po co sobie język strzępi. – Szybko wstał, otrzepał się i posłał Wynter przekorny uśmiešek. – Lepiej chyba go posłuchać, żeby się na nas nie pogniwał. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i odprowadzisz mnie do kuchni? Jakoś ciągle się tu gubię.

Kłamstwo było szyte grubymi nićmi, ale Wynter i tak skinęła głową.

- Jak go poznałeś? – spytała, próbując za nim nadążyć.

Czuła się dziwnie, zadając tak bezpośrednie pytanie, trochę jakby skakała do wody głową w dół z wysokiej skały. Taką informację zdobywałoby się na dworze tygodniami. Tutaj jakaś plotka... tam zasłyszany strzępek rozmowy. Podobna otwartość kłóciła się z tym, co jej wpojono. Przygotowała się na kłamstwa, zwyczajowe zręczne uniki. Ale coś kazało jej mieć nadzieję, że tym razem ich nie usłyszy.

- Grałem na weselu jego ciotki – powiedział.

Wynter stanęła w miejscu.

- To znaczy... muzykę? Występowałeś na scenie?

Spojrzał na nią zdumiony, ale po chwili zrozumiał i uniośł swoje okaleczone ręce.

- Och! – zawołał. – Myślałaś, że... Nie! Zналиśmy się i Razim... – wzruszył ramionami, szukając właściwych słów. – Już przedtem – dokończył z uśmiechem.

Wynter zalała fala współczucia. Zdawała sobie sprawę, że

uczucie to od razu pojawiło się na jej twarzy. W żaden sposób nie była w stanie go ukryć. Uśmiech Christophera zgasł jak ręką odjął. Jego twarz przybrała taki sam hardy wyraz jak podczas ich pierwszej rozmowy, gdy nazwała go kuglarzem. Przełknęła ślinę.

– Która... która z sióstr Hadil wychodziła za mąż? – zaczęła nieśmiało. Chwilę patrzył na nią z wyrzutem, ale w końcu dał za wygraną i zrećnie podjął temat.

– Ta wysoka grubaska – wyznał poufale. – Co za wiedźma! Los pana młodego spędzał mi sen z powiek!

Wynter roześmiała się, choć nie miała pojęcia, o kim Christopher mówi. Nie miała okazji poznać żadnej z sióstr matki Raziego. Po prostu ucieszyła się, że Christopher przebaczył jej chwilę słabości.

Ruszył dalej, a Wynter pospieszyła za nim, usiłując dotrzymać mu kroku. Kiedy wyszli na słońce, jego żar uderzył w nich jak złoty młot.

– Gościłem w domu Hadil przez cały czas trwania uroczystości, dobre trzy tygodnie. Przeważnie włóczyłem się po stajniach, więc Razi i ja zaczęliśmy rozmawiać o koniach. – Zerknął na nią nieśmiało. – A na koniach znam się jak mało kto.

– No cóż, w końcu jesteś Merronem.

Wyszczерzył zęby i skinął głową.

– Owszem.

Skręcili w dróżkę prowadzącą do kuchni i nagle znaleźli się w ścisku i gwarze. Trwała właśnie dostawa żywności i innych produktów. Ludzie uwijali się jak mrówki, przenosząc skrzynie i ciągnąc wózki.

– A po weselu – drążyła dalej – po prostu u nich zostałeś?

Christopher zamarł, kładąc kres miłej rozmowie.

– Eee... – wydusił z siebie. – Gdy skończył się mój pobyt u Hadil... Razi...

Wynter coś ścisnęło w dołku, przeczuwała bowiem, że Christopher za chwilę skłamię. Nie wyjdzie mu to i poczuje się zakłopotany, ale i tak skłamię. Świadomość tego sprawiła jej niezrozumiały zawód. Bo dlaczego niby miałyby się czymś takim przejmować. Oszustwo jest w końcu nieodłączną częścią życia, a ona zaledwie kilka dni temu robiła mu wyrzuty za prostolinijność.

Podczas gdy Christopher gorączkowo obmyślał odpowiedź, uczucie zawodu rosnęło w niej coraz bardziej. Dopiero teraz udało sobie sprawę, jak swobodnie się dotąd czuła, rozmawiając z nim, i ile radości udało mu się wnieść w te chwile wspólnego spaceru. Przełknęła gorycz, a on chrząknął i – z wyraźnym wysiłkiem – podjął rozmowę na nowo.

– Razi przekonał mnie, żebym został i zaczął pracować na jego końmi.

Co on ukrywa? – rozmyślała. – Może jednak jest złodziejem. Może ma okaleczone dłonie, bo ukradł coś Hadil. To akurat byłoby podobne do matki Raziego – przestrzegać litery prawa, choćby w najokrutniejszym wydaniu. Do Raziego zaś pasowałoby przygarnięcie go później z litości. Tylko dlaczego nie jest uczery? Czy nie zdaje sobie sprawy, że prędzej czy później prawda i tak wyjdzie na jaw?

Przerwał jej rozmyślenia, unosząc do góry dłonie.

– To... – z trudem wymawiał słowa – to wydarzyło się jakieś dwa miesiące później. Bandyci... Loup-Garousi – Wilkołaki...

Poczuła dreszcz, słysząc tę nazwę.

– W Maroku? – jęknęła. – Tak daleko na południu?

Spojrzał na nią porozumiewawczo.

– O tak... – szepnęła takim tonem, że zaczęła podejrzewać, że jego kontakty z wilkołakami nie ograniczały się do tego jednego brutalnego ataku.

– Jak to się stało? – spytała. Jego wahanie zdradzało, że znów będzie kłamał.

– Podejrzewam, że walczyłem nieco zbyt zaciekle – powie  
dział cicho, rozcapierzając palce lewej ręki. – Nie byli tym za  
chwyceni.

Może to nie tyle oszustwo, ile potrzeba prywatności – uznała  
po chwili zastanowienia.

Christopher zaczerwienił się i posłał jej zmieszany  
uśmiech.

– Zabrali też moje bransolety – dodał takim tonem, jakby  
była to strata równie bolesna jak wyrwanie palców i nieodwra-  
calne okaleczenie dłoni zdolnego muzyka.

Rozmowy dostawców przeciął wysoki gwizd. Nadchodził  
Razi otoczony kordonem straży. Gwardziści zdawali się czuwać  
nad nim ze zdwojoną uwagą, jakby chcieli nadrobić rozluźnie-  
nie dyscypliny na padoku. Napierali na niego tak mocno, że  
Wynter miała ochotę krzyknąć: Dajcie mu odetchnąć!

– Do cholery! Jeszcze bliżej, i zrobią mu dziecko – mruknął  
wulgarnie Christopher.

Wtem rozległ się charakterystyczny dźwięk puszczonej cię-  
ciwy i strażnik na prawo od Raziego padł w ramiona swojego  
towarzysza, z głową na wylot przebitą strzałą.

# Szach królowi

apanowało pandemonium. Wszyscy zaczęli nagle biegać, wrzeszczeć i wskazywać różne kierunki. Strażnicy śpieszniej otoczyli Raziego, a jeden z nich usiłował przeciągnąć go pod ścianę pałacu. Razi siłował się z nimi, chcąc się do rannego, aby udzielić mu pomocy, choć wszyscy mieli pewność, że biedak nie żyje.

Christopher chwycił Wynter za ramię, powstrzymując ją przed pójściem się w tłum. Był teraz bardzo skupiony i opanowany. Obserwował korony drzew otaczających ścieżkę.

Wtedy kobieta krzyknęła: „Tam! Tam!” i wskazała na ogrodzenie, niczego się nie spodziewając, właśnie wyszedł zza muru z sierpem na ramieniu. Strażnicy jak jeden mąż ruszyli w tę stronę, a ten, widząc, co się święci, rzucił sierp na trawę i uciekł na nogi za pas. Żołnierze z dzikim rykiem puścili się w pościg. Razim pozostał tylko jeden zwały osiłek, który stał się tak, żeby własnym ciałem osłonić księcia przed kolejnymi atakami.

Wynter rzuciła się do przodu, rozpaczliwie machając rękami. „Nie!” – krzyknęła na widok oddalających się strażników. Wtem Christopher gwizdnął, zwracając na siebie uwagę. Wynter szybko wskazała w kierunku drzew i już popędziła w tę stronę. Po chwili skręciła w prawo i zniknęła z oczu.



Razi prześlizgnął się pod ramieniem strażnika, wykonując zręczny unik, gdy olbrzym w panice chciał złapać go za kołnierz.

– Panie! – wrzasnął zrozpaczony, gdy Razi czmychnął mu sprzed nosa.

– Zbierz pozostałych! – krzyknął do niego w biegu. – Wy zostańcie tutaj! – zawołał rozkazująco w stronę kilku dworzaków, którzy nadbiegali, chcąc przyłączyć się do pościgu. Zatrzymali się niepewnie.

Razi wbiegł między drzewa i skręcił w lewo, przecinając drogę Christopherowi. Wynter natychmiast go dogoniła. Wyraźnie wciąż dokuczala mu niedawna rana, bo z łatwością go prześcignęła i pognęła przodem przez zarośla, żeby dogonić zbiega.

Dostrzegła Christophera mknącego przez plamy cienia. Biegł po śliskim od mokrych liści stromym zboczku. Wynter brakowało już tchu, a serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Za plecami słyszała ciężkie kroki i dyszenie Razięgo.

Widziała zamachowca uciekającego przed Christopherem. Był olbrzymiego wzrostu, teraz biegł ile sił w nogach, już bez łuku, klucząc między drzewami. Christopher, choć pokonywał zbocze na ukos, lekko pod górę, już prawie go doganiał. Wynter domyśliła się, że zamierza znaleźć się bezpośrednio nad olbrzymem i rzucić na niego z góry.

Jest za wielki! – myślała gorączkowo. – Christopher sam nie zdoła obezwładnić tego wielkoluda.

Wybił się z miejsca i wyskoczył w górę. Uniósł nogi i kopnął mężczyznę w plecy, powalając go tak jak pierwszego zamachowca. Obaj upadli i potoczyli się po zboczku w dół, w stronę Wynter.

Christopher zatrzymał się dość niefortunnie, przez co – nacierając na zamachowca – stracił równowagę, a jego cios miął cel. Był też zbyt lekki, by wykorzystać chwilową przewagę.

włęcz zamachowiec z łatwością strząsnął go z siebie i rzucił nim o drzewo. Christopher przez moment leżał bez ruchu, mrużąc oczy i łapiąc oddech, ale zaraz się pozbierał.

Wtedy właśnie Wynter ich dogoniła. Podbiegła do nieznanomego i z całej siły, zanim zdążył ją zaatakować, kopnęła go w skroń. Z jego twarzy trysnęła krew. Po chwili, bez zastanowienia skoczyła i całym ciężarem ciała wylądowała mu na plecach.

Poczuła, jak pod jej stopami coś się ugina i pęka z paskudnym chrupnięciem. Olbrzym wydał z siebie przejmujący wrzask bólu, a wstrząśnięta Wynter odsunęła się ze wstrętem. Zaraz jednak pojawił się przy niej Christopher i wspólnymi siłami przewrócili napastnika na plecy.

Christopher przyklęknął i chwycił go pod szyję. Pociągnął tak mocno, że głowa i ramiona mężczyzny uniosły się, a oczy wyszły na wierzch z braku powietrza. Wynter rzuciła mu się na nogi, z całych sił próbując przytrzymać je w miejscu. W tłumie kurzu i liści zjawił się Razi i usiadł okrakiem na swym niedoszłym zabójcy, przyciskając mu ręce do ziemi.

– Prędko – rzucił Christopher. – Nie mamy wiele czasu!

Na co? – pomyślała Wynter, skupiając się jednak przede wszystkim na własnym zadaniu, bo gdy Razi wylądował na piersi zamachowca, mężczyzna zaczął ryczeć i wić się z bólu. Razi chwycił go za włosy i targnął jego głową do tyłu, rozluźniając uchwyt Christophera i eksponując pulsujące gardło mężczyzny. Przystawił nóż do wygiętej, naprężonej szyi. W miejscu, gdzie ostrze dotknęło ciała, pokazały się jaskrawoczerwone krople krwi.

– Ja cię znam! – szepnął Razi, wbijając w leżącego lodowaty wzrok. – Jesteś Jusef Marcos, łowczy mojego ojca. W czasie powstania walczyłeś po naszej stronie, pod komendą Olivera.

Mężczyzna tylko przewrócił oczami. Dyszał z bólu. Razi atęknął i mocno uderzył go ręką w szyję.

– Kto cię tu przysłał? – syknął, przyciskając mocniej ostrze do gardła Jusefa.

Uwagę Christophera przyciągnęły coraz głośniejsze krzyki dochodzące z dołu pagórka. – Pospiesz się, Razi! – ponaglił.  
– Zmusz go do mówienia.

Razi nachylił się nad skurczoną z bólu twarzą napastnika.

– Jeśli powiesz mi, kto cię przysłał, obiecuję, że zabiję cię szybko. Nawet nie poczujesz... – Nogi mężczyzny drgnęły spazmatycznie, więc Wynter przycisnęła je jeszcze mocniej. Z przerażeniem zerknęła na ostry, bezwzględny profil Razięgo. W jego głosie pobrzmiwała przerażająca bezwzględność. Christopher w dalszym ciągu w napięciu obserwował sytuację u podnóża stoku.

– Jestem wierny koronie – warknął Jusuf, po czym zacisnął zęby z bólu, gdy Christopher z całej siły szarpnął go za włosy.

Christopher pochylił się i zaczął syczeć mu do ucha.

– Nastawałeś na życie następcy tronu, parszywy psie. Piękny dowód wierności.

– Jestem wierny koronie! – powtórzył mężczyzna z naciskiem i wierzgnął pod ich ciężarem, wrzeszcząc z bólu, który sprawiały mu połamane żebra.

Christopher znów zerknął w bok. Wynter odwróciła się w tym samym kierunku i dojrzała ciemne sylwetki ludzi zmierzających ku nim przez las.

– Posłuchaj – powiedział zdecydowanie i ponaglająco, z wargami tuż przy uchu zamachowca – już po ciebie idą. Są u stóp wzgórza. Jeśli cię dopadną, trafisz do lochu.

Jusef w dalszym ciągu się szarpał, ale Christopher nie przestawał mówić. Potok jego słów sprawiał, że olbrzym powoli zamierał, oczy otwierały się szerzej, a oddech przyspieszał.

– Mam ci szczegółowo opowiedzieć, co te sępy zrobiły z twoim poprzednikiem? Najpierw... wydłubali mu oczy. Tacy byli przy tym ostrożni, że nawet ich nie zadrasnęli. Widziałeś

kiedy wydułbane oko? Jak umazane krwią winogrono, słowo daję. Dyndały mu na żyłkach z oczodołów i majtały się po policzkach.

Wynter poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Nie mogła tego słuchać

– A ja tylko zachodziłem w głowę – ciągnął swobodnym tonem – czy on wciąż coś widzi. – Oczy Jusefa szukały gorączkowo twarzy Christophera, ale on pochylał się mu do ucha tak, że widać było tylko włosy i kawałek policzka. – Potem wzięli rozgrzane do czerwoności żelazo... Znasz to?... Swąd ciała palonego gorącym żelazem...

Głos Christophera obniżył się, a Wynter usiłowała ukryć głowę w ramionach, żeby nie słyszeć reszty. Nie mogła jednocześnie zatykać sobie uszu i trzymać nóg Jusefa, więc doskonale słyszała ciąg dalszy:

– No cóż, znasz czy nie znasz, wzięli to żelazo i dopilnowali, żeby biedak już nigdy nie mógł się wysrać. Pojmujesz?

Jusef wydał z siebie chrapliwy okrzyk przerażenia, a głos Christophera przeszedł w szept tak cichy, że oszczędziło jej to dalszych opisów z księgi strachów. Słyszała tylko niewyraźny pomruk i zduszone jęki przerażonego Jusefa.

Kiedy odwróciła głowę, jej uwagę przykuł jakiś ruch. Drgnęła, zaskoczona, że straż jest już tak blisko. Prawie ich dogonili i... jak zauważyła, był z nimi sam Jonathon!

– Już tu są! – wrzasnęła piskliwie. – Nie pozwólcie im go dopaść! Nie pozwólcie!

Jusef zawył w panice.

– Powiedz! – krzyknął Razi, dociskając ostrze do nabrzmiałego gardła Jusefa. – To twoja ostatnia szansa!

– Jego Wysokość Królewicz Alberon! Królewicz Alberon wydał rozkaz, panie! Rozkaz... żebyś cię zabił!

Razi cofnął sztylet i odsunął się. Na jego twarzy malowała się groza.

– Razi – syknął Christopher, wlepiając wzrok w gromadę nadciągających mężczyzn. – Razi!

Ale Razi wpatrywał się tylko w Jusefa, trzymając sztylet przy jego gardle drżącą ręką.

– Razi! Razi! – powtarzała błagalnie Wynter, wciąż mając przed oczami tamto krzesło, płomienie i przerażające, przywołane przez Christophera obrazy. – Nie pozwól im! Nie pozwól!

– Panie, błagam cię – szepnął Jusef, a łzy spływały mu po policzkach. Było już jednak za późno. Król zbliżał się zdecydowanym krokiem, jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia. Tuż za władcą nadchodzili strażnicy.

– Na Fritha – jęknął Christopher i na oczach króla oraz jego ludzi wyrwał Raziemu nóż i jednym szybkim ruchem pozbawił Jusefa życia.

– Nieceee! – zawyła Wynter.

Razi zerwał się na równe nogi i przerażony cofnął o dwa kroki.

– Rzuć ten nóż! – krzyknął na Christophera. – Rzuć nóż, jeśli ci życie miłe! Zabiją cię za to!

Christopher wpadł w popłoch, złękniiony upuścił nóż na ziemię. Nie podnosząc się z kolan, uniósł ręce nad głowę, ukazując puste dłonie.

– Jest nieuzbrojony! – krzyknęła Wynter, zwracając się do nadciągających mężczyzn. – Bronił lorda Raziego!

Król z impetem zmierzał prosto do Christophera, ale Razi wykonał szybką woltę i znalazł się między nimi, by ochronić przyjaciela. Jonathon bez słowa ostrzeżenia uderzył syna wierzchem dłoni w twarz. Cios był potężny. Zadany został z niedźwiedzią wręcz siłą, gdyż Jonathon był mężczyzną wielkim, wysokim jak Razi, a przy tym o wiele bardziej barczystym. Razi padł na ziemię jak rażony piorunem, potoczył się w dół po zboczu i zatrzymał dopiero po zderzeniu z drzewem. Wrzeszczał przy tym z bólu, osłaniając ranne ramię. Wynter chciała rzucić się na pomoc, leci

Jeden ze strażników przytrzymał ją za rękę i szarpnął do tyłu. Próbowwała się wyrwać, ale potrząsnął nią tak mocno, że zakreśliła jej się w głowie i przygryzła sobie język. Jej usta wypełnił metaliczny smak krwi.

Jonathon minął ją bez słowa i znowu ruszył w stronę Christophera, który opuścił ręce i podniósł wzrok na króla. Wynter dostrzegła w tym spojrzeniu straszliwą pewność i przestała się szarpać. Była to pewność, że za chwilę umrze.

– Wasza Królewska Mość... – szepnął, ale niedane mu było dokończyć. Jonathon z rykiem chwycił go za kark, podniósł z ziemi i cisnął o najbliższe drzewo.

Razi zawył, rzucił się w ich stronę, a Wynter wznowiła gorączkową szarpaninę ze strażnikiem.

– Christopher! – krzyknęła. – Nie!

Głowa Christophera z głośnym chrupnięciem odbiła się od pnia. Nie upadł jednak, tylko zatoczył się kilka kroków do tyłu. Stał, kołyszając się w miejscu, z otwartymi ustami i nieprzytomnym wzrokiem. Cienka strużka krwi z rozciętego czoła spływała mu na powiekę.

Strażnicy patrzyli na niego z szyderczym rozbawieniem. Jeden z nich pchnął go palcem tak, że Christopher zatoczył się w bok.

– Zostawcie go! – ryknął Razi, przepychając się przez pierścieni żołnierzy. – Ją też zostawcie! – warknął, szarpiąc za rękę strażnika trzymającego Wynter. Wyrwała się i rozcierając zdrętwiałe ramiona, obserwowała Christophera.

Razi ze wszystkich sił walczył z przytrzymującymi go strażnikami, chcąc rzucić się przyjacielowi na pomoc. Jonathon udało się jednak złapać Christophera za włosy i jeszcze raz rąbnąć jego głowę o drzewo. Tym razem chłopak upadł, osuwając się gładko na ziemię, z cichym jękiem i wciąż otwartymi oczami. Z nosa wolno ciekła mu krew.

Razi rzucił się z pięściami na króla. Z całych sił uderzył go

w pierś. Jonathon zachwiał się i spojrzął na niego z autentycznym zdziwieniem, jakby właśnie spadł tu prosto z nieba.

Dowódca straży stanął pomiędzy ojcem i synem z uniesioną pięścią, ale Jonathon powstrzymał go zdecydowanym gestem. Zdziwiony omiół Razię od stóp do głów nieco lekceważącym spojrzeniem i warknął:

– Chłopcze, co ty wyprawiasz?

– To mój przyjaciel! – wrzasnął Razi. – Bronił mnie!

Królewska twarz stężała i przyoblekła się w szkarłat wściekłości. Gwałtownym ruchem chwycił syna za kołnierz i potrząsnął nim tak, że ten aż zaczął się dusić.

– Twój przyjaciel? Przyjaciel? Przyjmij w końcu do wiadomości, że ty nie zaliczasz się do pospólstwa! Ty nie masz przyjaciół, tylko poddanych! A to jest właśnie jeden z nich!

Wynter zakryła usta dłonią, nie wiedząc, co robić. Czuliła się jak dziecko pośród olbrzymów. Nie odrywała wzroku od Christophera, ledwo widocznego za wciąż poruszającą się kurtyną nóg strażników. Wolnym, niezdatnym ruchem na przemian podnosił i opuszczał prawą rękę, wędrując błędnym wzrokiem po migotliwym sklepieniu z liści drzew.

– Bronił mnie! – Głos Razię załamywał się rozpaczliwie. Jonathon rozluźnił uchwyt. Razi, lekko odepchnięty, zatoczył się do tyłu.

– Zdradził nas – powiedział król, cicho i złowieszczo. – Zabił człowieka, którego pragnęliśmy pojmać żywcem, pozbawiając koronę cennego informatora. Zostanie zabrany do lochu i nie wiem, ile palców będzie musiał jeszcze poświęcić, żeby odpłacić mi za ten czyn.

Razi krzyknął z rozpacy i tym razem aż trzech strażników musiało go powstrzymać, żeby nie rzucił się na króla. Z gardła Wynter wyrwał się donośny szloch, lecz zaraz z całej siły zacisnęła wargi i zaczęła modlić się o pelerynę niewidkę, bo złowrogie spojrzenie Jonathona przeniosło się na nią. Widziała,

że ocenia ją w duchu i kalkuluje, niemal słyszała stukot koralików przesuwanych na liczydło w jego głowie. Zastanawiał się nad jej znaczeniem w całej tej rozgrywce. Rozmaite plany, pomysły i intrygi, kolejno rodzące się i nabierające w jego umyśle konkretnych kształtów, odbijały się w jego oczach niczym w lustrze.

– A co ty tu robisz, wielmożna panno? Czy ród Obrońców Moorehawke także jest przeciwko mnie?

Sfrustrowany i zdesperowany Razi jęknął, zaciskając powieki.

– Ojczy, zostaw ich! Błagam cię!

W odpowiedzi król ryknął tak, że Wynter aż podskoczyła. Podniósł pięść, ale rozmyślił się w ostatniej chwili i tylko potrząsnął nią synowi przed nosem.

– Przestań gadać jak prostak! Tobie nie wolno błagać! Pod żadnym pozorem, nigdy nikogo o nic nie błagaj! Jesteś następcą tronu!

Twarz Razięgo wyrażała wściekły upór.

– Chyba słońce pomieszało zmysły Waszej Królewskiej Mości – syknął przez zaciśnięte zęby, miotając się w uścisku strażników, żeby spojrzeć ojcu prosto w twarz. – Wasza Królewska Mość myli mnie z moim bratem!

Obaj przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak dwa wilki. Wściekłość Jonathona powoli ustępowała miejsca chłodnej kalkulacji. To nowe spojrzenie nie napawało Wynter otuchą. Było zimne i wyrachowane. Cała poprzednia złość przerodziła się w jakieś złowrogie rozmyślanie na temat szamoczącego się syna.

Christopher leżący wciąż pod drzewem, wymamrotał coś po merrońsku i przewrócił się na bok. Król łypnął na niego i skinął na strażników.

– Zabierzcie go i posadźcie na krześle – powiedział jakby od niechcenia. – Niech pozostali przy życiu inkwizytorzy wezmą go w obroty.



Wynter krzyknęła w panice, próbując dostać się bliżej Razięgo, ale on nie reagował. Stał w bezruchu i niedowierzająco spozierał na króla, jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w szybkim, płytkim oddechu.

Dwóch żołnierzy pociągnęło Christophera za ramiona, a on zawisł między nimi jak szmaciana lalka. Znów wybełkotał po merrońsku: *Is mise... fear saor*. Bezskutecznie próbował podnieść głowę. Jego twarz skrywała sieć splątanych, zakrwawionych włosów.

Jonathon wolno odwrócił głowę i ponownie zmierzył syna wzrokiem. Wynter dostrzegła triumfalny błysk w jego oku i serce na chwilę przestało jej bić.

– No i co, chłopcze? Jak będzie? – spytał król.

– Ale purpury nie będę nosić.

– Ależ będziesz – odparował król. – Będziesz siedział grzecznie, gdzie ci każe. Będziesz zjadał każde danie, które ci podadzą i będziesz nosił purpurę... – dokończył z naciskiem.

Zrozpaczony Razi wolno pokręcił głową.

– Nie będę nosić purpury – szepnął smutno, a jego oczy dziwnie błyszcząły.

Christopher czynił tymczasem prawdziwe wysiłki, by wstać. Kiedy udało mu się wreszcie unieść głowę, próbował o własnych siłach stanąć na nogi. Niezgrabnymi szarpnięciami walczył, żeby wyswobodzić się z uścisku strażników.

– Mała? – wybełkotał, a oczy Wynter napełniły się łzami, gdy zdała sobie sprawę, że to ją woła.

– Jestem tu – odpowiedziała. – Nic mi nie jest!

Zwrócił głowę w jej stronę i niewidzącym wzrokiem spojrział na nią zza zasłony włosów.

– Raz... – głowa znów mu opadła, jęknął przeciągle.

– Zabierzcie go – rozkazał Jonathon, machając niecierpliwą ręką, nie spuszczając oka z Razięgo.

Strażnicy postawili Christophera do pionu.

– Marsz do lochu, zobaczymy, jaki z ciebie zuch! – zadrwił jeden z nich. Christopher z wysiłkiem otworzył oczy i Wynter dostrzegła w nich przeblysłk zrozumienia sytuacji. Zauważył to i strażnik, więc radośnie kontynuował: – Posadzą cię na krzeselku!

Christopher wydał z siebie ochryply krzyk przerażenia i zaczął nieporadnie mocować się z potężnymi żołdakami. Zarechotali i powlekli go w dół, w kierunku pałacu.

– Nieceee... – jęknęła Wynter. – Razi! Nie!

Ale Razi wpatrywał się w ojca, który aż promieniał w okrutnym, triumfalnym uśmiechu.

– Przyjdiesz na dzisiejszą wieczorną ucztę, jak i na każdą kolejną – instruował Jonathon nonszalancko.

Razi w odpowiedzi opuścił głowę.

– Będziesz jadł każde danie...

Zamknął oczy.

– I przywdziejesz purpurowe szaty następcy tronu.

Ledwo słyszalnie wyszeptał:

– Tak.

Krzyki Christophera cichły w oddali, a w dźwięczącej w uszach ciele wzmagało się łkanie Wynter. Jonathon zatarł ręce.

– Znakomicie! Dzisiejszą noc Hadryjczyk spędzi w lochu. Jeśli dotrzymasz słowa, wyjdzie jutro z samego rana i włos mu z głowy nie spadnie.

– Obiecaj mi przynajmniej, że nie trafi na krzesło – błagał Razi. – Wyświadczysz mi chociaż tę łaskę?

Król tylko się uśmiechnął. Ani mu się śniło spełnić prośbę ojca. Szybkim ruchem, z czułością, która w tej sytuacji wydawała się wręcz nieprzyzwoita, pogłaskał Raziego po ramieniu, który aż zadrżał z wściekłości.

– Synu, wkrótce zmiarkujesz, że przyjaciele to luksus, na który żaden król nie może sobie pozwolić. Twoim jedynym obowiązkiem i jedyną troską musi być racja stanu. Wszystko

inne, powiadam: wszystko, ma znaczenie drugorzędne. Nawet ty sam.

Razi strząsnął rękę ojca i odwrócił się od niego z niechęcią. Jonathon tymczasem skierował uwagę na Wynter, patrząc za Christopherem i przyciskając dłonie do ust w bezgłośnym płaczu.

– Lady Moorehawke – rzucił ostro. – Proszę natychmiast wracać do pracy i już nigdy więcej nie mieszać się w nie swoje sprawy.

Kiedy Wynter nieśmiało podniosła wzrok na króla, przeszedł ją lodowaty dreszcz. Nie czekał na jej odpowiedź, skinął jedynie na strażników i odwrócił się, wołając na odchodnym:

– Odprowadźcie Jego Wysokość Księcia Razięgo do jego komnat. Jest zmęczony i pragnie odpocząć przed kolacją. Pod żadnym pozorem nie wolno mu opuszczać swoich apartamentów. Pojmać mi wdowę po Jusefie Marcosie i jego ojca i osadzić ich w lochu.

Po czym ruszył z boczem w dół, zostawiając Wynter i Razięgo w ciasnym kordonie odzianych na czarno mężczyzn o spierzonych twarzach. U ich stóp leżał trup, a krzyki Christophera jeszcze wisiały w powietrzu.

Lorcan musiał słyszeć płacz Wynter, gdy pędziła ogrodową ścieżką i po zewnętrznych schodach, bo kiedy tylko wpadła na korytarz, już biegł jej naprzeciw. Wyskoczył z biblioteki, rozglądając się gorączkowo, a na jej widok stanął jak wryty. Rzuciła mu się w ramiona, bełkocząc coś niezrozumiale, z twarzą zalaną łzami. Takie poruszenie było do niej zupełnie niepodobne. Widząc, że nad sobą nie panuje, przycisnęła ją mocno do piersi. Wciągnęła ją do biblioteki i jednym kopnięciem zatrzasnęła drzwi. Chociaż bardzo się starała, nie potrafiła się uspokoić. Zawodziła głośno, moczając łzami jego koszulę i siąkając nosem.

Powinna się opanować. Doskonale o tym wiedziała. Niepodziewała się, że ojciec zaraz ją odepchnie, potrząśnie nią i huknie: Weź się w garść!

Lorcan wciąż jednak tulił ją, kołysząc miarowo i głaszcząc po głowie. Nucił jej też do ucha jak małemu dziecku. „Już dobrze, kochanie. Już dobrze, malutka. Ciiii...”

Kiedy gwałtowny sztorm w końcu ustał, Wynter czuła się, jakby morze wyrzuciło ją na brzeg. Opadła bezwładnie, obutę czepiając się koszuli ojca. Kolana miała jak z waty i oczy ją piekły. Wciąż jeszcze szlochała i próbowała przezwyciężyć atak osłabki, ale powoli wracała jej przytomność.

Lorcan cały czas trzymał ją w ramionach.

– Już dobrze – mówił ze spokojem. Na chwilę zamknęła oczy, kołysana tą siłą i poczuciem bezpieczeństwa, które zawsze dawała jej obecność ojca.

– Och, tato! – jęknęła, chowając twarz w jego koszuli. Załkała cicho. W płaczu tym słysząc było ból złamanego serca i wielki żal.

– Moja mała dziewczynka – powiedział delikatnie, lecz był już mocno przestraszony. – No, co kochanie? Powiedz mi, co się stało?

Zaczęła więc opowiadać wszystko powoli i ze szczegółami. W tym czasie Lorcan odsunął się nieco, by lepiej ją widzieć. Wciąż jednak trzymał ją za ręce i słuchał z rosnącym przerażeniem. Gdy doszła do momentu, w którym Jonathon nakazał uwięzić Christophera, a Raziemu przywdziać purpurę, jęknął z rozpaczą i pokręcił głową. Odwrócił się i szurając nogami, z nisko opuszczoną głową, poszedł w stronę ściany, nad którą pracował. Oparł czoło o zdartą płaskorzeźbę. Po chwili wolno osunął się na podłogę i położył na wznak, z odrzuconą do tyłu głową, zakrywając oczy ręką.

– Tato – wyszeptała, zapominając o własnych smutkach.

Szybko znalazła się przy nim, usiadła obok i chwyciła go za rękę.

– Tato, proszę cię, nie zostawiaj mnie.

Z kąć oka wolno potoczyła mu się łza, a oddech uwiał w gardle.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Ścisnął jej rękę, po czym zamilkł.

Wynter siedziała tak przez jakieś ćwierć kwarty cieni – dwa dziećcia czy trzydzieści minut – trzymając go za rękę i walcząc się w jego oddech. Zdarzyło mu się to już parokrotnie. Odkąd zapadł na tę tajemniczą chorobę: po prostu osuwał się na ziemię i zasypiał. Zwykle dochodziło do tego z powolnością.

napięcia, silnego wzruszenia albo po nieprzespanej nocy. Było to coś zupełnie innego niż te kurczowe, paniczne ataki bezdechu, po których zlewał się potem i miotał w bezsilnej desperacji. Wynter nie wiedziała, który z tych objawów był gorszy.

Przez kilka ostatnich dni żył w ogromnym napięciu. Do tego ta długa podróż... pewnie dlatego dwa ostatnie ataki były tak silne i nastąpiły krótko po sobie...

Żałowała, że nie ma z nimi Rازیego, z całą jego wiedzą i majestatycznym spokojem. Albo chociaż cichego i zasadniczego Christophera, który zaraz znalazłby na wszystko radę i w razie potrzeby służył pomocnym ramieniem. Martwiła się o nich, zwłaszcza o biednego Christophera. Widziała już podobny uraz głowy, gdy koń zrzucił jeźdźca na ogrodzenie turniejowej areny. Biedaczysko do końca swych dni zmagał się z napadami drgawek. Przerażało ją, że pełen kociej gracji i pewności siebie Christopher mógłby toczyć pianę z ust w szponach takiego ataku, więc z całym siłą zdusiła w sobie tę myśl.

Po pewnym czasie usłyszała tupot ciężkich butów. Duża grupa strażników nadciągała w ich stronę korytarzem, ale Wynter nie ruszyła się z miejsca. Siedziała, nawet gdy zatrzymali się tuż pod drzwiami biblioteki. Nie miała najmniejszego samiaru budzić ojca z byle powodu.

Przez szparę uchylonych drzwi wślizgnął się Jonathon, zostawiając wartowników na zewnątrz. Cicho zamknął za sobą drzwi i stanął jak wryty na widok leżącego na podłodze Lorcana i jego córki skulonej u boku ojca.

– Czy to właśnie tak Moorehawke'owie wypełniają zadania, które im powierzyłem? – spytał, ale jego głos był cichy i łagodny. – Śpiąc?

– Wystarczy, że Wasza Królewska Mość się rozejrzy, by zobaczyć, jak ciężko mój ojciec pracował.

Jonathon spojrział nieco na prawo, ale wcale nie zamierzał się rozglądać. Przysunął się bliżej i patrzył na Lorcana wzrokiem,

w którym Wynter z zaskoczeniem dostrzegła czułość. O wiele większą niż ta, którą okazał własnemu synowi nie dalej jak godzinę temu. Opanowała zaskoczenie i postanowiła wykorzystać tę chwilową słabość, skoro nadarzyła się okazja.

– Lord Obrońca jest chory, Wasza Królewska Mość. Błagam cię, pozwól lordowi Raziemu zająć się moim ojcem.

Oczy Jonathona błysnęły złowieszczo, przesunął się, żeby lepiej widzieć częściowo zasłoniętą twarz przyjaciela, a gdy przemówił, w jego głosie pobrzmiwało lekceważenie i pogarda.

– To teraz Jego Królewska Wysokość, książę Razi, Wier można Panno Obrończyni. Na przyszłość strzeż się takiej pomyłki. I nie jest on lekarzem, lecz prawowitym następcą tronu Dwór ma już swojego lekarza.

– Razi twierdzi, że to szarlatan! – wykrzyknęła, dając wyraz wzbierającej w niej wściekłości. Król łypnął na nią mrocznie, przełknęła więc wzbierającą w niej buńczuczność niczym podchodzącą do gardła żółć. – Proszę Waszą Królewską Mość – zaczęła znowu, cicho i dwornie. – Pozwól Jego Wysokości doglądać mojego ojca. Albo jeśli nie Jego Wysokość, to przy najmniej ten zacny doktor St James, który pracował tu poprzednio?

– St James nie żyje, dziecko. Zmarł, eskortując Razięgo do Maroka. Poślę po doktora Mercury’ego...

– Co ty wyprawiasz, Jonathon?

Suchy szept Lorcana zaskoczył ich oboje.

Wynter pochyliła się nad ojcem.

– Tato!?

Lorcan ścisnął jej dłoń. Przesunął rękę z twarzy na pierś. Spojrzał na Jonathona. Widać było, że jest wyczerpany, ledwo poruszał wargami:

– Co ty wyprawiasz?

Jonathon milczał, ale jego stosunek do Lorcana napawał

Wynter zdumieniem. Oto człowiek, który dopiero co uderzył własnego rannego syna z taką siłą, że ten potoczył się po ziemi, człowiek, który usiłował rozplatać czaszkę Christopherowi Garronowi i który metodycznie wymazywał z kart historii swego ukochanego następcę. Wpatrywała się w króla, zadziwiona, a on spoglądał na jej niedomagającego ojca. Patrzył na Lorcanę z rozdzierającą czułością i żalem. Co więcej, w jego zachowaniu było coś na kształt zmieszanego poczucia winy, zupełnie jakby w obliczu cierpienia przyjaciela nie mógł utrzymać dworskiej maski. Nigdy wcześniej nie myślała o królu w ten sposób, nie sądziła, że on też musi przywdziewać Maskę. Jednak patrząc na niego teraz, zrozumiała, że oczywiście kto jak kto, ale to właśnie on ma najwięcej do ukrycia.

– Lorcanie – powiedział, pochylając się nad przyjacielem.  
– Pozwól mi wyznaczyć na twoje miejsce kogoś innego. Nie ma potrzeby...

Ojciec znów odezwał się ochrypłym szeptem, ale jego zielone oczy ciskały gromy, a ręka zacisnęła się na dłoni córki.

– Myślisz, że pozwoliłbym zająć się tym komukolwiek innemu? Czy mógłbym stać z założonymi rękami, patrząc, jak obcy człowiek niszczy moje dzieło? To dzieło?

– Tato, o czym ty mówisz? – wykrzyknęła Wynter, puszczając rękę ojca. – Sam zaoferowałeś się do tej pracy? Czy ty...

Lorcan posłał jej zmęczony uśmiech, ale król był wyraźnie zdezorientowany i urażony jej słowami. Wynter chciała na niego krzyknąć: Za kogo ty się uważasz? Myślisz, że po tym wszystkim, co zrobiłeś, możesz stroić takie miny?

– A co, myślałeś, że to ja rozkazałem twojemu ojcu zniszczyć jego własne dzieło? – Ogarnął go gniew. Twarz mu pociemniała. Teatralnym gestem zatoczył szerokie koło. Leżący na ziemi cieśla i czeladniczka nie stanowili jednak odpowiedniej widowni. Wynter przyszło na myśl, że król przypomina rozpuszczone dziecko wypierające się własnej psoty. – Czy widzisz tu Salvadora



Minarego palącego własne rękopisy? – ciągnął dalej. – Widziałem Gunthera Van Noosa ciskającego w ogień własne płótna? Za kogo ty mnie uważasz, że oskarżasz mnie o zmuszanie wielkiego artysty do zniszczenia własnego dzieła?

Za okrutnika, który rzuca własnym synem o ziemię, a do bremu człowiekowi chce rozplątać czaszkę – odparła w myślach, mrużąc oczy. Jej twarz musiała wszystko zdradzić, bo Jonathon zawahał się i spuścił wzrok. Cały gniew z niego ulciał.

– Zawsze byłeś w gorącej wodzie kąpany, Jonathonie. Zbyt łatwo się unosisz – powiedział żartobliwie Lorcan, usiłując przełamać panujące napięcie.

Król westchnął i przetarł dłonią oczy. A potem znów zadziwił Wynter, siadając na pokrytej pyłem i wiórami podłodze i opierając się plecami o ścianę tuż obok głowy Lorcana. Popatrzył na przyjaciela i położył mu dłoń na ramieniu, po czym westchnął i oparł głowę o ścianę, spoglądając przez okno na niebo.

– Ty zaś, Lorcanie, zawsze spieszysz się z ferowaniem wyroków. Już dawno temu powinienem był cię zastrzelić.

Lorcan zarechotał.

– Masz jeszcze czas.

Po dłuższej chwili milczenia Lorcan spytał znużonym głosem:

– Zabijesz Hadryjczyka?

Swobodny ton, z jakim zadane zostało to pytanie, sprawił, że Wynter ścisnęło się serce. Aż szerzej otworzyła oczy. Równie beznamiętnie mógłby spytać o ostatnie polowanie lub zakup konia.

– To nie będzie konieczne – powiedział głucho Jonathon

– Razi jest na tyle bystry, że sam się go pozbędzie. Poza tym bardziej przyda mi się żywy... na razie.

– To jego przyjaciel! – zawołała Wynter z oburzeniem. 'li

dobry, lojalny człowiek! – Starła się nie popaść w sentymentalizm, więc nie dodała już, że to dzięki niemu Razi częściej się śmieje i wydaje się szczęśliwszy. Dwie pary oczu, jedno zielone, drugie niebieskie, jak na komendę wlepiły się w nią badawczo. Pod tym podwójnym ostrzałem poczuła się nagle malutka i niemądra.

– Jest zbyt niebezpieczny – rzucił król z lekceważeniem.

– Nie nadaje się.

– Był czas – wychrypiał Lorcan – że to samo powiadali o mnie.

Król uśmiechnął się szeroko.

– Ach, Lorcanie... ty jesteś inny.

– Znam swoje miejsce – odpowiedział, nie było w tym jednak goryczy.

– Tak – szepnął Jonathon, klepiąc go po ramieniu. – Obaj znamy twoje miejsce, ale Razi nie pojmuje jeszcze takich spraw.

Znów zamilkli.

Kim oni są? – zastanawiała się Wynter. – Nie poznają ich. Pierwszy nie przypominał jej powściągliwego ojca, a drugi z pewnością nie miał nic wspólnego z pełnym rezerwy, wymagającym władcą. Ci mężczyźni – uświadomiła sobie nagle – są teraz zwykłymi ludźmi, a przede wszystkim są prawdziwymi przyjaciółmi.

– Co ci doskwiera... bracie? – Wypowiedzenie tego pytania wabrało Jonathonowi trochę czasu. Zwlekał, jakby się bał, że wypchnie ich bezpowrotnie w jakąś przepaść.

– Serce odmawia mi posłuszeństwa – odparł prosto Lorcan.

Jonathon przyłożył dłoń do piersi przyjaciela i chwycił go za kostkę, mnąc materiał w zaciskającej się pięści.

– Powiem Raziemu, żeby się tobą zajął – obiecał cicho.

Och, dzięki ci! Dzięki! – pomyślała Wynter i łzy napłynęły jej do oczu.

Lorcan nie wykonał żadnego ruchu, ale wyczuła jego ożywienie. W milczeniu zamrugał kilka razy, a potem wymamrotał:

– Wiesz, że kocham tego chłopca.

Król odwrócił głowę i zacisnął zęby, jakby chciał powiedzieć: „Proszę cię, przestań!”. Ale Lorcan ciągnął dalej:

– Był cudownym dzieckiem, a teraz wyrósł na wspaniałego mężczyznę. Ale, bądźmy szczerzy, żaden z niego król. Nie wychowywałś go na władcę. Jonathonie, on jest i zawsze będzie lekarzem.

Jonathon mruknął coś pod nosem, ale Lorcan nie przestawał:

– Na miłość boską, chciałeś tego od dnia, w którym przyszedł na świat. Praktykował przecież w tym fachu od ósmego roku życia. Ma prawdziwy talent... to dar zesłany z nieba. Jest dla nas wszystkich błogosławieństwem. Co chcesz osiągnąć, niszcząc go tak okrutnie?

Król długo milczał, a Wynter wstrzymywała oddech, stając się być niewidoczna.

– Oni nigdy go nie zaakceptują. – Lorcan dotknął lekko dłoni króla. – Nieważne, co uczynisz. Mimo że jest wartościowym, utalentowanym człowiekiem i choć tyle daje światu, ludzie zawsze będą widzieć w nim tylko twojego ciemnoskórego bękarta. – Jonathon zachnął się, a Wynter wzdrygnęła na taką dosadność. – Jonathonie, doprowadzisz do tego, żeby go zabijają. Będą woleli go zabić, niż pozwolić mu objąć tron. – Ręka Lorcana znów opadła na podłogę. – Przecież sam dobrze o tym wiesz. – Ostatnie słowa wyszeptał jednym cichym tchnieniem.

Jonathon nabrał powietrza i odchrząknął.

– Nie mam wyboru – odparł. – Tylko on jeden mi pozostał.

Zacisnął zęby i spojrzał na przyjaciela, jakby szykował się do ostrej wymiany zdań, ale Lorcan milczał.

– Tato? – szepnęła Wynter.

– Lorcan! – Jonathon chwycił go za kołnierz i mocno potrząsnął.

Lorcan drgnął i zatoczył wokół nieprzytomnym spojrzeniem.

– Co?

Jonathon i Wynter, wystraszeni, zaśmiali się z ulgą.

Lorcan popatrzył na nich bez zrozumienia, marszcząc czoło. Westchnął i zamknął oczy.

– Więcej już dziś nie zdziałam.

– Ale trzeba to zrobić – stwierdził twardo Jonathon. – Jeśli nie zdołasz skończyć na czas, będę zmuszony zapewnić ci jakąś pomoc. Nie mogę w tej sytuacji czekać z założonymi rękami. Brygada stolarzy uporałaby się z tym wszystkim w kilka dni. Zwlekam tylko ze względu na ciebie, Lordzie Moorehawke! To niedorzeczne!

Wynter zacisnęła pięści, a Lorcan skinął tylko głową.

– Wiem, wiem... Daj mi jeszcze jeden dzień. O nic więcej nie proszę.

Po tych słowach Jonathon najwyraźniej podjął jakąś decyzję. Spojrzał w bok i powiedział cicho:

– Nakazę ludziom zanieść cię do twoich komnat.

Lorcan gwałtownie otworzył oczy.

– Nie zrobisz tego – warknął. – Nie będziecie robić ze mnie kaleki i nosić po zamku w lektyce jak jakiegoś cudaka.

Wyciągnął rękę do Wynter i usiłował podnieść się z podłogi.

Jonathon przewrócił oczami i przycisnął go do ziemi.

– Leż spokojnie, ty zatracony głupcze. – Wstał, poszedł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz i zaczął coś szeptać swoim ludziom. Wynter szykowała się na upokorzenie, spodziewając się, że wparują zaraz całą watahą, zmuszając ojca do posłuszeństwa królowi, ale Jonathon zatrzasnął drzwi i zaczął nasłuchiwać

płynących z korytarza odgłosów, uniesieniem ręki nakazując ciszę.

Co się dzieje? Lorcan zwrócił twarz w stronę Wynter, a ona wsunęła mu bark pod ramię i pociągnęła do góry. Podnieśli go i wspólnymi siłami próbowali postawić go na nogi. Jonathon spostrzegłszy to, zaklął i szybko podbiegł, żeby podtrzymać Lorcana z drugiej strony.

Rozległo się pukanie do drzwi, po którym Jonathon chwycił sobie rękę przyjaciela na szyję i objął go w pasie. Wynter szybkie spojrzenie i skinął głową.

– Posłuchajcie – powiedział. – Moi ludzie opróżnili już korytarz, a gdy ruszymy, będą zamykać każdy kolejny, aż do drzwi waszych komnat. Nikt nas nie zobaczy. Czy to ci odpowiada, ty uparciuchu? Czy może jesteś ponad to i odrzuć ramię oferowane ci przez samego króla?

– Zawrzyj gębę – syknął Lorcan, pochylając się, żeby ruszyć z miejsca. Wynter wraz z królem szli powoli, podpierając się z obu stron tak, że wspólnymi siłami zdołali pokonać pułapki korytarze. Nikt nie widział, jak Jego Królewska Mość słuszy ramieniem cieśli.

# Szantaż

**K**orcan usiadł na brzegu łóżka, usiłując wyrównać oddech. Król odczekał chwilę, po czym wymamrotał coś o Razim i szybko wyszedł. Wynter zamknęła za nim drzwi, celowo zatrzasnąwszy je tuż przed nosami ciekawskich gości. Świat wirował jej przed oczami, zacisnęła więc powieki i oparła się o ścianę.

Lorcan starał się rozpiąć kościane guziki koszuli. Szło mu to opornie, więc Wynter bezceremonialnie odtrąciła jego ręce i sama się tym zajęła. Początkowo nie protestował. Siedział cicho, pozwalając jej rozpiąć kilka guziczków, ale po chwili otrząsnął się i gwałtownie odepchnął jej dłonie. Odsunął się, a jego policzki płonęły.

– Tato! – zaprotestowała. – Nie wygłupiaj się!

– Nie jestem kaleką, psiakrew! – rzucił ostro. – A ty nie jeździć moją pielęgniarką!

– Bądź rozsądny! – wykrzyknęła. – Kto ci pomoże, jeśli nie ja? Pozwól mi rozpiąć ci ubranie!

– Nie! – odparł zdecydowanie i ściągnął koszulę przez głowę, a guziki posypały się na wszystkie strony. Wynter z frustracją wzniosła ręce do nieba.

– Wspaniale! Po prostu wspaniale. Jesteś uparty jak osioł! Przydałby ci się chyba kopniak w zadek!

Nic nie odpowiedział. Pozwolił koszuli zsunąć się na podłogę, a sam opadł na łóżko.

Wynter zdała sobie sprawę, że ojciec nie ma siły, żeby położyć nogi na łóżku. Uniosła je więc i umieściła na posadzi, żeby mógł wygodnie ułożyć się na plecach.

Chciała też zdjąć mu buty, ale zrobił szybki unik, odsuwając nogi.

– Jonathon się tym zajmie – rzekł, a potem westchnął i poruszył się, zaciskając zęby w przypływie fali bólu. Przez chwilę patrzyła na niego, przygryzając wargi, po czym zaczęła wolno przesuwać się w stronę drzwi.

Nagle Lorcan zaczął niepokojąco ciężko oddychać, Wynter pomknęła więc przez salon, zdecydowana odnaleźć Razię i przyciągnąć go tu choćby i za włosy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kiedy jednak otworzyła drzwi, on biegł już korytarzem z torbą w ręku. Za nim, deptając mu po piętach, biegł król. Pod ostrzałem spojrzeń wartowników Razi skinął jej powściągliwie głową, ale jego wzrok był łagodny i uspokajający. Położył jej dłoń na ramieniu, bezceremonialnie obrócił i poprowadził przed sobą do środka. Jonathon wszedł ostatni, zamykając drzwi.

– Chodź – powiedział do niej Razi, wchodząc do pokoju Lorcana i zamykając królowi drzwi przed nosem.

Ściągnął Lorcanowi buty i przekazał je Wynter. Wzięła je jak na komendę odwróciła się i wcisnęła w kąt pokoju, podczas gdy Razi rozebrał go i przebadał. Później usłyszała szelest podciąganego prześcieradła, a Razi szepnął, że może się odwrócić.

Zdziwiło ją, że Lorcan nie spał. Leżał na boku i spod półprzymkniętych powiek obserwował, jak Razi rozcieńcza lek wodą. Odkładając fiolki do torby, Razi zerknął na pacjenta, który bacznie śledził jego ruchy, następnie uklęknął przy łóżku, zbliżając się do jego twarzy.

- No cóż – powiedział łagodnie – wygląda na to, że wcale nie wypoczywałeś, prawda?

Lorcan tylko krzywo się uśmiechnął. Razi pokręcił głową i dezaprobatą i poklepał go po ramieniu.

- Przyrządziłem ci eliksir. Jest o wiele silniejszy niż poprzedni i zmusi twoje ciało do odpoczynku, którego tak potrzebujesz, a ty...

- Nie... – ten gwałtowny protest sprawił, że usta Raziego nacisnęły się, a plecy wyprostowały.

- Lorcan... – zaczął surowo.

- Nie, panie! Nie mogę zażyć tego eliksiru i przeproszam... – Słysząc było, że te proste słowa płyną prosto z serca. Wpatrywali się w niego z szeroko otwartymi oczami, czekając na dalszy ciąg.

- Za co przepraszasz, przyjacielu?

- Za dzisiejszą ucztę. Muszę tam być...

Razi wyglądał, jakby dostał czymś po głowie. Przerazona Wynter wysunęła się z cienia. Chciała wołać: Nie możesz! Nie masz tyle sił!, ale dopiero wtedy dotarło do niej, co ojciec ma na myśli. Swoją obecnością okazać miał poparcie dla decyzji króla o wyniesieniu Raziego na tron.

- Mój panie, proszę... – słowa Lorcana płynęły ochryplym, nagłym szeptem. Wyciągnął rękę. – Błagam cię o wybaczenie.

Razi zacisnął powieki. Myślała, że zamierza się odwrócić. Lorcan też chyba tak pomyślał.

- Wiem, Lorcanie... – zaczął Razi z opuszczoną głową - te mam w tobie prawdziwego przyjaciela. Zawsze byłeś dla mnie... – głos uwiązł mu w gardle, więc szybkim ruchem położył dłoń na ręce Lorcana i mocno ją uściskał. Jego oczy, gdy w końcu je otworzył, błyszczały nienaturalnie. – Ma nas teraz obu. Prawda, drogi przyjacielu? Obu trzyma w garści, czyż nie?



Lorcan rzucił Wynter krótkie spojrzenie, a potem znów ją patrzył na Raziego. Razi także zwrócił się w jej stronę. Pokiwała głową. Nie – pomyślała. – Nie musicie tego dla mnie. Sama sobie poradzę! Nie poświęcajcie dla mnie Alberona! Nie zrzucajcie tego na mnie!

– Ja również zostałem dziś zmuszony do dokonania podobnego wyboru – rzekł Razi, patrząc w kierunku Wynter, tak jakby wcale jej nie zauważając.

– A twój przyjaciel? – zapytał szeptem Lorcan. – Co się z nim stanie?

Oczy Raziego były wielkie i gotowe lada chwila spłynąć łzami. Przechylił głowę do tyłu i oddychał głęboko, zaciskając zęby, póki nie odzyskał panowania nad sobą.

– Christopher jest w lochu. – Lekko dotknął dłoni Lorcan, po czym cofnął rękę. – Nie widziałem się z nim od ostatniego incydentu. – Skończył i zajął się grzebaniem w swojej torbie.

– Jonathon go nie zabije – zapewnił Lorcan – jeśli zrobi coś...

W nagłym przypiływie wściekłości Razi cisnął do torby trzymaną w dłoni fiolkę i huknął dłońmi w stół.

– Jeśli znowu waży się go tknąć...! Jeśli choć...

– Ciiii – syknął Lorcan.

Razi spiorunował go wzrokiem.

– Ciiii – powtórzył znowu, tym razem łagodniej, a Razi ustąpił, kiwając głową na zgodę.

– Razi, mój ojciec nie wytrzyma kolejnej uczy – powiedziała cicho Wynter.

Ani ojciec, ani Razi na nią nie spojrzali. Popatrzyli za to na siebie. Mieli pełną świadomość podejmowanego ryzyka. Ciągle dobrze wiedzieli, że miała rację.

– Dajcie mi chwilę – rzucił Razi. Wyminął Wynter i gwałtownym ruchem otworzył drzwi, spodziewając się nakrycia własnego ojca na podglądaniu przez dziurkę od klucza. Kiedy

Wstał jednak w drugim końcu pokoju. Wstał z pełną wy-  
czekiwania miną, a Razi wyszedł mu naprzeciw, zamykając za  
sobą drzwi. Wynter korciło, żeby podsłuchać, co się tam bę-  
dnie działo.

Zerknęła na ojca, wstydząc się zrobić to w jego obecności,  
ale – ku jej wielkiemu zdumieniu – on sam machnął ręką, po-  
naglając ją w stronę drzwi. Nie zwlekając, zakradła się, przycis-  
nęła do nich ucho i wyteżyła słuch.

Jonathon wykrzykiwał właśnie:

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni!

– Nie, ojczu! Nie „zmęczeni”! Żadne „zmęczeni”! Do diabła,  
dlaczego mnie nie słuchasz? Ten biedak jest całkiem wycieńczony!  
Jest u kresu sił! Rozumiesz? Jego serce ledwo bije. On...

– Nie mogę odwołać uczty. Wszystko już przygotowane...

– Co mówią? – szepnął Lorcan, a Wynter ścisłym głosem  
urelacionowała mu treść rozmowy.

– Chłopcze, muszę mieć Lorcana u swojego boku! – Król  
nieszpokojnie chodził po pokoju. Jego głos docierał do niej to  
głośniejszy, to znów ciszej. – Chcę, żeby go widziano. Lud go  
kocha. Jeśli przekonają się na własne oczy, że Lorcan mnie po-  
plera...

– Jeśli każesz iść mu na ucztę w takim stanie, wszyscy na-  
biorą przekonania, że zmusiłeś go do posłuszeństwa albo go  
otruliłeś. Jest niedysponowany. Ośmieszysz siebie, a na dodatek  
zwróci lud przeciwko tobie.

Wynter powtórzyła wszystko dokładnie, choć przy słowie  
„ośmieszysz” zająknęła się i zerknęła na ojca. Lorcan słuchał  
w milczeniu, zakrywając oczy ręką. Usta, które widziała, nie  
 zdradzały żadnych emocji.

Nastała dłuższa chwila milczenia, a Wynter pomyślała, że  
może Razi szuka argumentu, który przekona króla.

– Ojczu – zaczął Razi ostrożnie. – Dlaczego to robisz?

Mówił bardzo cicho, a Wynter oczami wyobraźni widziała,

jak krąży nieufnie wokół króla, którego wyobrażała sobie jako groźną, przyczajoną bestię ziejącą dymem. Wstrzymała od dech.

– Co mówią? – znów szepnął ojciec. Już otwierała usta, by mu odpowiedzieć, ale Razi znowu coś powiedział i znowu przycisnęła ucho do drzwi.

– Na co to wszystko? Szubienice? Represje? Inkwizycje! Okrucieństwo zawsze było ci obce, ojcze... a teraz wygląda na to, że jesteś gotów poświęcić wszystko, każdego... i nikt nie wie dlaczego...

Wynter powtórzyła to wszystko szybko i zamilkła, czekając wraz z Razim na odpowiedź.

Lorcan poruszył ramieniem, jego przymknięte zacięte oczy rzucały błyski.

– Odpowiedział coś? – spytał cicho.

Pokręciła głową. W drugim pokoju panowała cisza. Wtedy Razi przemówił znowu.

– Gdzie jest mój brat? Gdzie jest Alberon? – Król w dalszym ciągu nie udzielał mu odpowiedzi, więc Razi naciskał dalej, twardo i nieubłaganie. – Co to za krwawa maszyna?

– Spytał króla: „Co to za krwawa maszyna?”

Na te słowa Lorcan wydał z siebie rozdzierający okrzyk bólu i rozpacz. Wynter aż podskoczyła i odwróciła się do niego, przyciskając plecy do drzwi. W tym samym momencie w drugim pokoju Jonathon wydał z siebie podobny okrzyk.

– NIE! – krzyczał Lorcan, jego dłonie gorączkowo czepiały się prześcieradeł, a oczy patrzyły na Wynter z przerażeniem. – NIE!

– Uniósł się na łokciu, jego twarz oblała się wściekłym szkarłatem, malowało się na niej krańcowe poruszenie. – Dawaj go tutaj! – wrzasnął. – Dawaj go tutaj, ale już!

– Kogo? – spytała skołowana.

– Króla! Króla, psia jego mać!

Gdy otworzyła drzwi na oścież, Razi i Jonathon stali

w przeciwnych krańcach pokoju, wlepiając w siebie przerażony wzrok. Król wybałuszał oczy i wyglądał na zdruzgotanego.

- Wasza Królewska Mość... - zaczęła, ale ojciec ryknął gniewnie zza jej pleców.

- Jonathon! Niech cię zaraza, chodź tutaj! Chodź tutaj! - Próbował wstać, gorączkowo chwytając się materaca. Na ten widok Razi wrzasnął przerażony i rzucił się w jego stronę, ale Lorcan odpędził go machnięciem ręki i tytnął groźnie na króla, który zmierzał do niego wolnym krokiem, z wyraźnym ociąganiem, pobladłą twarzą i zamglonym wzrokiem.

- Ty! Ty... - Lorcanowi zabrakło słów, zamiast tego zaczął gniewnie zgrzytać zębami. Król wpatrywał się w niego z nieprzeniknioną twarzą.

- Tato - szepnęła Wynter, ale zarówno ona, jak i Razi zostali pozostawieni własnemu losowi. Razi wyciągnął do niej rękę, chwyciła ją.

- Obiecałeś mi! - warknął Lorcan, ziejąc ogniem. Jonathon odwrócił głowę. Wtedy Lorcana opuścił ten nagły przypływ energii. Osunął się na bok, wargi mu pobiełały. - Obiecałeś! - wyszeptał.

Jonathon podszedł bliżej do łóżka i patrzył na przyjaciela. Lorcan trawiony gniewem wyglądał przerażająco. Oczy połyskujące wściekłe ciskały w króla piorunami. Dostrzegła w jego twarzy przebłysk zrozumienia.

- Jonathon! Ty planowałeś to już wtedy, mam rację? To dlatego posłałeś mnie precz! Nie po to, żebym paktował z Północą! Nie po to, żebym był twoim zakładnikiem dobrej woli u tego parszywca Shirkena! Tylko po to, żebym nie próbował cię powstrzymać... To było... aaach! - Podniósł do twarzy zaciśnięte pięści i wyjęczał coś z wściekłością. - I zaplatałeś w to Alberona! Tego słodkiego, niewinnego chłopca! I Olivera! Olivera! Och. Ty łajdaku! Jonathon, ty łajdaku!

– Sam ją stworzyłeś – syknął oskarżycielsko Jonathon Zacisnął pięści, zgarbił ramiona i sterczał nad leżącym przy jacielem jak wystający występ skalny, w każdej chwili gotowy do zerwania. – Sam ją stworzyłeś, hipokryto zatracony. Włóczy się tu nie...

– Miałem siedemnaście lat! – wyryczał Lorcan. – A ty obywatelu! Po tym pierwszym razie złożyłeś przysięgę...!

– Sprawy nabrały tu paskudnego obrotu, Lorcanie, nie masz pojęcia, jak paskudnego.

– Nic nie może być aż tak paskudne! – warknął Lorcan. Jego policzki były mokre od łez. Wynter nigdy nie widziała żeby ojciec płakał. Ścisnęła rękę Raziego tak mocno, że poczuła pod palcami przemieszczające się kostki. Miała wrażenie, że jest świadkiem jakiegoś pojedynku. Jakiejś mordki w walce, w której król i Lorcan zdzierali z siebie pasy zbroi, ukrywając światu niespodziewane głębokie mroku kryjącego się pod spodem.

Nagle Lorcan przeniósł wzrok na Wynter i Raziego, stojących ramię w ramię u stóp jego łoża, przerażonych i wytrzeszczających na niego oczy.

– Każ im wyjść! – syknął. – Każ im wyjść!

Jonathon odwrócił się do nich, zaskoczony, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wciąż tu są.

– Wyjdźcie! – krzyknął. – Wyjdźcie! Na korytarz!

Wynter poczuła, że Razi zamierza zostać. Cały czas trzymała ją za rękę, ale postąpił nieco naprzód, osłaniając ją. Nie mówił, ale król musiał dostrzec sprzeciw w jego oczach, bo skrzywił się nieprzyjemnie i zacisnął zęby.

Jeśli znów uderzy Raziego – pomyślała Wynter – Razi mu odda. Nie będzie mu żałował. A król przez tydzień się nic nie zbiera.

Nie sądziła, żeby król miał pojęcie o ogromie siły, jaką kryło niepozorne, żyłaste ciało Raziego.

- Wyjdźcie! – Lorcan machał na nich rękoma. – WYJDŹCIE!

- Proszę cię, Razi. – Wynter pociągnęła przyjaciela za rękę wzrokiem utkwionym w czerwonej twarzy ojca i jego rękach, gorączkowo ściskających prześcieradła.

Razi podążył za jej spojrzeniem.

- Lorcan... – powiedział z rozpaczą.

- WYJDŹCIE! – ryknęli obaj.

Razi i Wynter bezzwłocznie wycofali się z pokoju. Jonathon, nie szczedząc im pogróżek, wypchnął ich na korytarz i zatrzymał drzwi. Chwilę później znów rozległy się krzyki.

Strażnicy patrzyli na nich z wypracowaną obojętnością, a grotty ich włóczyły w padającym z ukosa świetle pochodni. Razi wojowniczo spoglądał na drzwi, oddech miał przyspieszony. W każdej chwili gotów był wybuchnąć.

Wynter zerknęła na strażników. Byli już podminowani incydem na wzgórzu, a krzyki dochodzące z pokoju Lorcana wzmogły zapewne ich niepokój. Obawiała się, że gdyby Razi teraz uderzył z królem, konsekwencje tego byłyby bolesne. Wyczuwała, że już ostatkiem sił tamuje złość, która kotłuje mu się pod skórą jak wzburzona rzeka. Gdyby teraz postawił się królowi, nie obełoby się bez rozlewu krwi. A w stanie, w jakim jest, bez wątpienia doprowadziłby rzecz do końca, co równałoby się zdradzie mannu. Zostałby powieszony, wybebeszony i poćwiartowany, bez pardonu i bez żadnych specjalnych względów.

- Razi – powiedziała cicho i pociągnęła go za rękę.

Mruknął coś i odsunął się, sięgając dłonią do drzwi.

Nagle wrzaski ustały. Zamarli, całą uwagę koncentrując na tym, co dzieje się w cichym teraz pokoju. Na próżno wyęzając słuch, Razi otworzył oczy szerzej, a Wynter zduśiła cichy jęk strachu. Znów sięgnął do drzwi, ale zanim zdołał położyć rękę na klamce, otwarły się do środka i stanął w nich Jonathon o pobladłej, przerażonej twarzy.

– Pomóż mu – rzucił.

Razi wpadł do pokoju, Wynter za nim.

– Zabiłem go? Nie żyje! – W innych okolicznościach strach złał w głosie Jonathona wprawiłyby Wynter w osłupienie, ale teraz całą jej uwagę zaprzętało zdrowie ojca.

– Och, Razi! On nie żyje!

– Ciii! – Razi podniósł rękę i oboje zmusili się do zachowania ciszy. Pochylił się nad Lorcanem, twarz miał ponurą. Zaraz wrócił, pogrzebał w swojej torbie i wydobyl z niej małą łąwianą trąbkę oraz niewielkie lustro.

– Synu... – zaczął Jonathon, ale Razi podskoczył do niego i nakazał mu się zamknąć. Król usunął się w tył, zaciskając wargi, i ze łzami w oczach obserwował, jak Razi przysuwa lustro do uchylonych warg Lorcana.

Patrzył na lustro ze zmarszczonym czołem. Przystawił trąbkę do piersi Lorcana i przywarł do niej uchem. Wynter chwyciła się ramy łóżka i w skupieniu wstrzymała oddech, jakby zachowanie spokoju pozwalało jej usłyszeć to samo, co słyszał Razi.

Lorcan trwał w kamiennym bezruchu. Jego rzęsy, brwi i szczecina na nieogolonych policzkach połyskiwały w słońcu wpadającym przez okno. Ale jego mocarna klatka piersiowa nie poruszała się. Wielkie dłonie, ciężkie jak marmurowe rzeźby, leżały bezwładnie na białych prześcieradłach.

Tato. Och, tato. Obudź się – prosiła w duchu.

Razi odrzucił swój przyrząd do słuchania i znów nachylił się nad jej ojcem, przyciskając ucho bezpośrednio do jej klatki piersiowej. Na jego twarzy malował się coraz większy niepokój.

Nagle zerwał się na równe nogi, uniósł pięść nad głowę, i spuścił ją na pierś leżącego niczym młot. Jonathon podskoczył i wrzasnął przerażony, ale Razi zignorował go, pochylił się, i znów zaczął nasłuchiwać odgłosów z piersi Lorcana. Wynter

szła, gdy wyraźnie sfrustrowany i rozgorączkowany odsunął głowę. Mimo to zamachnął się jeszcze raz i z całych sił, krótkim okrzykiem, dzielił jej ojca w pierś, jakby chciał wylać na niego całą tłumioną złość.

Znów ze skupieniem przycisnął ucho do szerokiej piersi Lorcana. Wynter i Jonathon wstrzymali oddech. Razi stęknął i nagle zmienił pozycję, żeby widzieć jego usta. Przez chwilę nie ruszał się, ale dostrzegła drżenie jego powiek i delikatny uśmiech, unoszący mu kąciki warg.

- Dobrze... – szepnął i oparł czoło o czoło Lorcana. Gdy pierś Lorcana uniosła się w płytkim oddechu, podniósł lekko rękę. Wynter straciła ich nagle z oczu, które wypełniły się łzami. Usłyszała jednak, jak Razi znów szepcze: „Dobrze”. Spokojnie zaczął porządkować swoje fiołki i eliksiry, a Wynter poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg.

- Podnieś ją – usłyszała głos Raziego, dochodzący gdzieś z daleka – zanieś do sypialni, połóż na łóżku i unieś jej nogi na poduszce.

Z oddali, jakby przez sen, poczuła, że król niesie ją i delikatnie układa na łóżku.



- Wynter.

Poczuła, jak łóżko ugina się pod ciężarem osoby siadającej obok, i od razu wiedziała, że to Razi. Pogłaskała ją po włosach, otworzyła oczy. Zapadł już zmrok; zapalił świecę. Spojrzała w dół; ktoś zdjął jej buty i pasek i okrył ją kocem.

- Co się stało?

- Padłaś z wyczerpania.

- Chodziło mi o ojca, Razi. Co mu się stało?

- Lorcanowi nic już nie jest, siostrzyczko. Jego serce bije mianowicie. Ocknął się jakiś czas temu i uciął sobie długą, spokojną



pogawędkę z moim ojcem. Potem zgodził się na eliksir. Powinno jeszcze spać. Potem zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

– Czy on umrze?

– Możliwe.

Zamknęła oczy. Razi pogłaskał ją po głowie. – Ale prawda jest taka, Wynter, że w tej chwili jest przede wszystkim wykończony. Jeśli mnie posłucha, może żyć jeszcze całkiem sporo. Wszystko zależy od tego, czy zachowa spokój i będzie odpoczywał.

– A więc lepiej od razu ufarbuję suknie na czarno, bo nie takiego nie nastąpi.

Chociaż nie było to żartem, ale zabrzmiało tak żałośnie, że oboje wybuchnęli śmiechem.

– Która to godzina? – spytała, unosząc się na łokciu i rozejmując się.

Razi tylko poklepał ją po ramieniu.

– Muszę zmykać, siostrzyczko. Posiedzisz z nim? Posłałem do kuchni po jedzenie i gorącą wodę. Zaraz powinni przynieść.

Wynter spojrzała na niego uważnie. Ubrany był w szkarłatny płaszcz i czarne spodnie, w prawej dłoni ścisnął za mszowe rękawiczki. Wybiera się na ucztę – pomyślała z zalem. – A więc wcale jej nie odwołano. Biedny Razi.

– Nosisz szkarłat? – spytała z nadzieją, że król jednak ustąpi. Razi zerknął na swój strój.

– Ubrania Alberona trzeba przerobić – powiedział gorzko. Wstał gwałtownie i zaczął szarpać się z rękawiczkami. – Ale purpurowy płaszcz podobno już na mnie czeka w komnatach królewskich. Muszę iść. Bywaj.

– Razi! – zsunęła się z łóżka zde gustowana, że już wychodził, pożegnawszy się tak zdawkowo.

Obejrzał się zaskoczony, ze zmienioną twarzą, przypadł do niej i chwycił ją w ramiona.

- Przepraszam – szepnął jej we włosy. – Tak cię przepraszam, siostrzyczko. Wszystko się we mnie kotłuje. Nie myślę jaano. Nie jestem zły na ciebie, wiesz to chyba?

Przytulił ją, więc zaczęła rozcierać mu ramiona, zdrewniałe od skumulowanego napięcia.

- Masz jakieś wieści o Christopherze? – wymamrotała.

Odsunął się, unikając jej wzroku.

- Żadnych wieści.

Zawahała się, po czym położyła dłoń na jego dłoni, żeby ukoić jego podenerwowanie i niepokój.

- Może mogłabym przemknąć się w nocy tajnym przejściem – zaferowała. – Mogłabym sprawdzić, czy...

- NIE! Nie, Wynter. Obiecuj mi! – Chwycił ją za rękę, w jego twarzy i głosie były strach i zgroza. – Obiecuj!

Uśmiechnęła się płaczliwie i słabo.

- Ale z ciebie kwoka! – upomniała go. Wymierzyła mu lekkiego kuksańca, a Razi dołożył wszelkich starań, żeby się uśmiechnąć.

- Obiecuj – powiedział, leciutko nią potrząsając.

- Obiecuję.

- Grzeczna dziewczynka. Prosiłbym cię też, żebyś nie opuszczała swoich apartamentów. – Przez chwilę patrzył na nią czule.

- A Lorcanem się nie martw. Nic mu nie będzie. – Pocałował ją w czoło. – Wrócę niebawem.

I znikł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Kroki dużego oddziału straży oddalały się, cisza sunęła za nimi niczym kłątwa.

# Cena do zapłacenia

Razi nie wrócił tej nocy, choć Wynter czekała długo ponad pierwszą kwartę. Lorcan cały ten czas spał spokojnie i głęboko, nieświadom jej czuwania. Niewygoda i zmęczenie w końcu zapędziły ją do łóżka. Pogrążyła się w płytkiej, niespokojnej drzemce.

Właśnie miała zasnąć głęboko, uwolniona od natrętnych myśli, gdy ojciec przeraził ją, ukazując się w drzwiach. Trzymał się framugi i zaglądał do jej pokoju, poruszając bezgłośnie wargami. Patrzyła na niego, z trudem dowierzając własnym oczom.

Wreszcie wyłoniła się z otchłani zmęczenia, a obraz Lorcana i pokoju nagle nabrał ostrości. Był wczesny poranek, tuż przed świtem, a ojciec mówił:

– ...kochanie? Wynter? Słyszysz mnie?

Jego dłonie ścisnęły framugę tak kurczowo, że ścięgna zawały się gotowe pęknąć.

– Wynter. Mam dla ciebie zadanie, jeśli czujesz się na siłach. Odpowiedziała mu sucho, bez cienia humoru.

– Wracaj do łóżka. Wtedy może przyjdę do ciebie i wysłucham twojej prośby. W innym wypadku lada moment padnie niesz na twarz, a ja, nic sobie z tego nie robiąc, przejdę po tobie w drodze do wychodka.

Lorcan skrzywił się i ruszył do siebie, mozolnie wspierając się o ściany.

– Jesteś dokładnie taka sama jak twoja matka! – wychryplął, znikając za rogiem.

Czekała w napięciu, aż dowlecze się do swojej sypialni, i odetchnęła, słysząc, jak kładzie się do łóżka.

– Musiała z niej być istna święta! – odkrzyknęła. Odsunęła prześcieradła i zaczęła szykować się do porannych ablucji.

Za oknem nastał brzask, po różnym niebie przemykały cienie. Znów pojawiły się kruki, ale tym razem było ich o wiele więcej. Pewnie wystawiono na pokaz ciało Jusefa Marcosa. Jęknęła z odrazą i odwróciła wzrok. Pamiętała czasy, gdy ze snu budził ją śpiew rudzików i kosów. Teraz było to krakanie kruków, łopot ich skrzydeł i chrobot pazurów o dach.

Po wczorajszej wieczery nic nie zostało. Wciągnąwszy strój do pracy, Wynter przysiadła w nogach na łóżku Lorcana, żując skórkę chleba i popijając ją wodą. Ojciec nie chciał pić, kulił się tylko pod kocami, drżąc z zimna mimo upału. Przypatrywał się, jak Wynter z uporem przeżuwa twarde chleb.

– Idź do Marni – ponaglił ją. – Znajdź sobie coś porządnego do jedzenia.

Przestała jeść, ręka opadła jej na kolana.

Idź do Marni. Znajdź sobie coś do jedzenia – powtórzyła. Setki razy ojciec zwracał się do niej właśnie tymi słowami. Oczywiście, nie słyszała ich od lat, ale do czasu wygnania stanowiły jej codzienność. Ileż wypraw do kuchni zaczynało się właśnie od tych słów. Z początku pokonywała tę drogę niepewnie, kołyszając się na krótkich, grubych nóżkach, potem w podskokach, beztrąsko, ile sił w nogach pokrytych na kolanach strupami. I w końcu pędem, niesiona entuzjazmem młodości. Wyprawy te zawsze odbywała sama i zawsze zaczynały się i kończyły na dwóch silnych i stałych elementach w jej życiu – na ojcu i Marni. Świadomość ich

istnienia pozwalała jej pokonać przerażające, czasem groźne korytarze.

Ile mam jeszcze czasu? – pomyślała, spoglądając na ojca.  
– Z tobą, moją fortecą, moim przyjacielem?

– Przestań komponować w głowie te rekwije – mruknął z uśmiechem. Zawsze tak żartował, gdy odpływała myślami. Dziś jednak trafił w czuły punkt, sam zdał sobie z tego sprawę, gdy tylko słowa te padły z jego ust.

– Jesteś głodny, tato? – spytała, siląc się na swobodny ton.

– Tak! Mógłbym zjeść konia z kopytami!

Zaśmiała się radośnie i poklepała go po stopie.

– Co powiesz na jajecznicę, chleb i kawę?

Zawył z głodu, więc zeskoczyła z łóżka i pobiegła do drzwi. Na progu jednak przyszła jej do głowy pewna myśl. Może nie był to odpowiedni moment, ale straszliwa kłótnia wczorajszego wieczoru nie dawała jej spokoju.

– Tato – zaczęła – a ta... ta...

– Nie! – rzucił ostro, patrząc na nią szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. – Wynter, nawet nie waż się wspominać o tej maszynie. Rozumiesz? Nawet w cztery oczy, gdy jesteśmy sami. Póki będziesz milczeć o tym, co się tu wczoraj wydarzyło, nic ci nie grozi. Ale, Wyn, musisz to zrozumieć... jeśli wyjdzie na jaw, że wiesz coś więcej, jeśli będziesz chciała dowiedzieć się czegoś więcej, Jonathon cię zabije. Raziego też zabije. – Lorcan patrzył jej prosto w oczy, a jego głos zniżył się niemal do szeptu, jakby ściany, łóżko czy kruki na dachu miały uszy i gotowe były na nich donieść. – Zniszczył już Olivera, a teraz zaciera wszelkie ślady na Alberonie. Zaprzepaścił już wszystko, o czym marzył dla biednego Raziego. A tak ich kochał. Wciąż ich kocha. Natomiast ty jesteś dla niego nikim. Rozumiesz? Zmiotłby cię, ot tak! – Pstryknął palcami. – Nic by go to nie obeszło. Więc proszę cię, nie dostarczaj mu pretekstów. Nie pozwól, aby błąd, który popełniłem w młodości, kosztował mnie jedyne życie, które jest mi drogie.

Zamrugnęła oczami, ale nic nie powiedziała. Uniósł głowę i poduszki.

– Wynter – szepnął władczo. – Proszę cię!

– A co, jeśli król nie ma racji? Jeśli...

– Nieważne. Nie może cię skrzywdzić, nie pozwolę na to.

– W jego głosie, dźwięczącym teraz jak stal, nie było już słychać emocji. – Nie obchodzi mnie, czy zniszczy królestwo, Wyn. Nie obchodzi mnie, czy zniszczy sam siebie, jeśli ciebie zostawi w spokoju.

Wiedziała, że to nieprawda – w obu wypadkach Lorcanowi pękłoby serce, ale rozumiała, co miał na myśli. Lorcan nie potrafiłby poświęcić tych, których kochał, w imię racji stanu, dla królestwa, choćby nie wiadomo jak wyjątkowego, oświeconego i świetlistego. Przeciwnie niż Jonathon.

– Dobrze, tato – powiedziała łagodnie. – Nie będziemy o tym rozmawiać. Rozluźnił zaciśnięte pięści i pozwolił głowie opaść na poduszkę. Uśmiechnęli się do siebie. Po chwili Wynter skrzywiła się i dźgnęła go palcem. – Nie ruszaj się z łóżka! – rozkazała i wyszła.



Z pokoju Raziego wyszły trzy dziewczki wiaderne, a kolejne trzy szły do wejścia, ich ciężkie wiadra parowały łagodnie w promieniach porannego słońca. Wynter zmarszczyła czoło. Wcześniej Razi bierze tę kąpiel – pomyślała. – Służący obsługujący kocioł z pewnością nie byli zachwyceni. Musiał obudzić ich w środku nocy, żeby zagrzeć tyle wody.

– Koniec już? – szepnęła jedna z czekających dziewczek, zwracając się do tych wychodzących z komnat Raziego, pobrząkujących pustymi wiadrami o nosidła.

– Tak, na szczęście. Wyście już są ostatnie. Kąpiel o tej porze, też pomyśl! Nie mógł to iść do łaźni, jak reszta dworu?

W tym momencie dostrzegły mijającą je Wynter i zamilkły, chowając głowy w ramiona. Razi powinien uważać, bo ludzie gotowi pomyśleć, że wyrósł na tyrana – stwierdziła. Zwykle nie miał aż takich wymagań. Wydumane kaprysy były do niego niepodobne, więc przystanęła niepewnie w rogu, zachodząc w głowę, czy nie powinna sprawdzić, co się u niego dzieje, ale rozmyśliła się i ruszyła galerią prowadzącą na schody główne.

W kuchni wrzało jak w ulu, a Marni sarknęła na Wynter, mrużąc coś o „darmozjadach, które są ponad śniadanie w wielkiej sali”. Przygotowała jednak tacę z obfitym posiłkiem, a do kawy nie pożałowała śmietanki.

– A teraz zmykaj – warknęła i całą uwagę skierowała na ogarniętą chaosem kuchnię.

Taca była ciężka, Wynter szła więc wolno, żeby zachować równowagę. Pałac budził się do życia. Po korytarzach uwijali się paziowie i służące, posługacze i noszący wiadra z pompyjami. Wynter wymijała ich bez trudu.

Weszła już po tylnych schodach i właśnie skręciła w prawo w jeden z pomniejszych korytarzy, gdy idące przed nią dwie służące, obładowane czystą pościelą, stanęły jakby je zamurowało. Mijając je, dostrzegła, że wpatrywały się w coś na końcu korytarza, gdzie dochodziło inne przejście. To, co ujrzały, musiało mocno je przestraszyć, bo wolno się wycofały i próbowały ukryć w cieniu głębokiej wnęki. Obie były wyraźnie poruszone, oczy jednej podeszły wręcz łzami, które wielkimi kroplami zaczęły skapywać na starannie ułożone pranie.

Nozdrza Wynter podrażnił nagle paskudny, lecz znajomy zapach, a wraz z nim spłynęła na nią zimna fala wspomnień. Z drżeniem i poczuciem winy przypomniała sobie tę jedną, jedyną rzecz, która tego poranka jakoś wypadła jej z głowy. Zbierało jej się na płacz. Jak mogła o tym zapomnieć? Przygryzła wargę i nakazała sobie spokój.

W jej stronę zmierzało wolno dwóch zbrojnych z osobistą

otraży Jonathona. Musieli dostosować krok do tempa więźnia, którego prowadzili między sobą, i wyraźnie było ono dla nich za wolne. Christopher Garron szedł, potykając się, i mimo najgłośniejszych chęci Wynter nie mogła nie jęknąć, widząc w jakim był stanie.

Ręce związali mu z przodu i przykuli łańcuchem do pasa. Spętanymi nogami szurał niczym starzec, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. Obie powieki miał obrzydliwie spuchnięte i posiniaczone, głowę odchyłał do tyłu na zeszywniałej, nieruchomej szyi, oczy chronił przed światłem, mrużąc je. Oddychał ostrożnie przez półotwarte usta, jego nos wypełniał jeden wielki skrzep krwi. Całą dolną część twarzy pokrywały rdzawe zacieki, a długie włosy były splątane i skołtunione od zakrzepłej krwi spływającej ze zranionej głowy. Ubranie miał podarte i poplamione.

Gdy podszedł bliżej, smród stał się wprost nieznośny. Smród moczu i wilgotnej, nadgniętej słomy: niedający się z niczym pomylić zapach lochu. Jak świat światem wszystkich więźniów otaczał ten fetor, ale zapach dobywający się z Christophera był wyjątkowo okropny. Musieli wrzucić go do najczarniejszej dziury, jaką mieli. Obie służące schowały nosy w naręczach czystego prania.

Sunął noga za nogą, ale nie dostrzegł jej. Domyśliła się, że przez zmrużone powieki pewnie niewiele widzi. Przy schodach prowadzących na środkową galerię popchnęli go bezceremonialnie. Christopher zachwiał się, próbując w pętach pokonać pierwszy stopień. Strażnicy nie zwrócili uwagi na to potknięcie i towarzyszący mu zduszony jęk bólu. Chwycili go z obu stron pod łokcie, jeden z nich rozkazał szorstko „do góry”. Zaczekali, aż ostrożnie wymaca stopą pierwszy schodek i ostrym szarpnięciem pociągnęli go w górę. Jęknął, odzyskał równowagę i zaczął po omacku szukać stopą kolejnego stopnia. „Do góry” polecił znowu strażnik i powtarzali te czynności, aż znaleźli się u szczytu schodów.



Gdy zniknęli jej z oczu, poczuła, że drży. Musiała postawić tacę na podłodze i na chwilę uklęknąć, zaciskając dłonie, by się opanować. Dwie służące cały czas stały we wnętrzu. Tkwiły tam jeszcze, gdy Wynter podniosła tacę i ruszyła do swoich pokoi.

Zdecydowała, że pójdzie krętymi schodami dla służby. Obawiała się, że będzie musiała przejść obok Christophera na schodach głównych albo na korytarzu. Nie chciała widzieć spojrzeń, jakimi obrzuca go inni, tej mieszanki triumfu i litości, która będzie się malowała na tyłu twarzach.

Czemu nie zdjęli mu kajdan? I czemu nie wypuścili go do kryjomy? – zadawała sobie te pytania, chociaż doskonale znała odpowiedź. Zrobili to na rozkaz Jonathona, żeby upokorzyć Christophera, utemperować Razięgo i przestrzec wszystkich pozostałych.

Powoli się uspokajała, twarz nie wyrażała już niedawnego bólu, jej dłonie przestały drżeć. Z komnat Razięgo nie dochodził żaden dźwięk, przed zamkniętymi drzwiami leżała tylko sterta cuchnących ubrań Christophera. Żołdacy Jonathona zdążyli się ulotnić, a wartownicy patrzyli na nią obojętnie, gdy wchodziła do swojej sypialni.

Pierwsze kroki skierowała do ojca. Znowu zasnął, postawiła więc tacę na szafce i odwróciła się do wyjścia.

– Dokąd idziesz, kochanie?

Uklękła przy łóżku, przysuwając twarz do jego twarzy.

– Myślałam, że śpisz.

Zmarszczył czoło, powieki mu zadrżały, widziała, że otwiera je z wysiłkiem.

– Przeklęty Razi i jego przeklęte mikstury.

Zaśmiała się.

– Nie będzie zachwycony. Miałeś po nich spać przynajmniej do południa!

Lorcan odchrząknął i spróbował usiąść. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Tato, wypuścili Christophera. Chciałabym pójść go zobaczyć, a potem przyjdę i zjem z tobą śniadanie. Dobrze?

Jego wzrok naraz stał się jasny i przytomny.

– Widziałas go? Hadryjczyka?

Reakcja Wynter zaskoczyła nawet ją samą. Łzy napłynęły jej do oczu i opadały kroplami na policzki, usta jej zadrżały. Musiała zacisnąć ręce, by opanować drżenie. Przygryzła usta i kiwnęła głową.

– Kochanie – mruknął Lorcan. – Powinnaś trzymać się z dala od tego chłopaka.

– Chcę tylko...

– Wiem, malutka, ale z takimi jak on niebezpiecznie się zadować.

Wyprostowała się, wstrząśnięta.

– Tato! Ja nie... – Gniewnie otarła oczy i nos rękawem.

– Nic do niego nie czuję. On jest po prostu... przyjacielem Ruziego. I dobrym człowiekiem! Chcę tylko...

– Czuć to nic złego, kochanie. Ale lepiej byś zrobiła, wybierając sobie kogoś mniej... ten chłopak nie ma tu przyszłości, przecież dobrze o tym wiesz.

A my mamy? – pomyślała nagle. – Czy my mamy tu jakąś przyszłość? Oznajmiła jednak:

– Sprawdzę, czy niczego nie potrzebują. Za chwilę wracam.

Gdy podniosła się, by wyjść, Lorcan chwycił ją za rękę.

– Wyn – powiedział, szukając właściwych słów. – On... ten Hadryjczyk. Z tego, co słyszałem, przeszedł niemało. Czasem, gdy mężczyzna ma za sobą jakieś potworności, musi... gdy znajdzie się już sam, w bezpiecznym miejscu, może nie chcieć, aby kobieta oglądała go w takim stanie.

Spojrzał na nią, zły sam na siebie, że nie potrafi znaleźć właściwych słów, by wyjaśnić tej nagle dorosłej małej dziewczynce, jakiego upokorzenia dozna Christopher, gdy Wynter ujrzy go w chwili słabości. W jej oczach znalazł

zdumienie jego niepewnością i zadziwienie, że oto nazwał ją kobietą.

– Dobrze, tato – niezgrabnie poklepała go po ręce. – Zaraz wrócę.

– Wynter...

Odwróciła się nieufnie spod drzwi.

– Tak?

– Lepiej, żeby strażnicy cię nie widzieli. Powinnaś użyć tego przejścia.

Jej zdumienie rozbawiło go, aż zwinął się na łóżku ze śmiechu.

– Kto ci powiedział? – spytała.

Machnął ręką i znów zgrzytliwie zarechotał, co było echem dawnego zdrowego śmiechu.

– Kto mi powiedział? – wyrzeził. – Kto mi powiedział! Ha... a to paradne! A jak myślisz, kto je zbudował, moja panno... och... kto mi powiedział, to ci dopiero!

Cały czas jeszcze śmiał się sam do siebie, gdy przekręcała główkę cherubina i wślizgiwała w ciemność tajnego przejścia.

– Razi? – zapukała w ścianę i lekko popchnęła drewnianą płytę. Ku jej zaskoczeniu ustąpiła pod naciskiem. Zawahała się, nie chciała ich nachodzić. Słyszała ciche głosy dobiegające z sypialni Christophera. W powietrzu unosił się ostry zapach leków, przez który wciąż przebijał jednak smród lochu. Okiennice były zamknięte, mrok rozjaśniało tylko łagodne światło świec.

– Razi! – zawołała, tym razem głośniejszym głosem, i ostrożnie przecięła próg.

Wyszedł z pokoju Christophera, wciąż ubrany tak jak w poprzedniego wieczoru, ale bez płaszcza. W ręku trzymał zakrwawioną chustkę, odwrócił się i spojrzał za siebie. Szedł w stronę Wynter to w cieniu, to w nikłym świetle świec, nie mogła więc dostrzec wyrazu jego twarzy.

– Na razie nie możesz tu być – oświadczył stanowczo, chwycił ją za łokieć i zawrócił do tajnego przejścia. – Potrzebuje trochę czasu.

– Zaczekaj, Razi, zaczekaj. – Wyszarpnęła się i położyła mu dłonie na klatce piersiowej, stawiając opór kolejnym próbom wypchnięcia jej w mrok. – Jak on się czuje? Tylko to chcę wiedzieć.

Razi cały czas usiłował wyprowadzić ją z pokoju, więc z całym siłą dzieliła go w pierś.

– Przestań mnie popychać, Razi! PRZESTAŃ!

Wydał z siebie ciche, dziwne „och” i od razu odstąpił z rękoma nad głowę. Wykorzystała to i znów weszła do pokoju.

– Jak on się czuje? – spojrzała na niego badawczo.

– Musi się wykapać – wydusił z siebie Razi – boli... straszliwie boli go głowa. Nie możesz się z nim zobaczyć, Wynter. Potrzeba mu trochę czasu...

Wtedy Christopher zawołał cicho: „Razi”. Ledwo było go słychać, ale Razi odwrócił się na pięcie i zniknął w sąsiednim pokoju; Wynter nigdy nie widziała, by poruszał się z taką prędkością. Choć czuła się niezręcznie, słuchała ich cichej wymiany zdań.

– Pozwól mi ją zobaczyć. – Głos Christophera był cichy i miękki, ale nie zabrzmiało to jak prośba.

– Chris. Daj sobie czas...

– Muszę ją zobaczyć.

– Już ci mówiłem, że nic jej nie jest.

Dopiero teraz Christopher zaczął prosić wciąż tym samym łagodnym szeptem i nie było mowy, by Razi mógł mu odmówić. Znów stanął w drzwiach, pod światło widziała tylko zarys jego długiej, szczupłej sylwetki.

– Chodź – powiedział cicho.

Christopher siedział przy małym stoliku, zastawionym najróżniejszymi fiolkami i butelkami. Dostrzegła też sterty

materiału i miskę z parującą wodą. Miał na sobie kolorową szatę w paski, taką, jaką noszą Beduini, a jego brudne włosy były związane. Cały czas nie ruszał szyją, trząsał się i patrzył na nią spod zmrużonych powiek.

– Wynter? – powiedział, prawie nie otwierając przy tym ust.

– Tak.

– Nie widzę cię.

Podeszła bliżej, w krąg światła. Zdawał się oglądać ją od stóp do głów, szukać czegoś wzrokiem, mimo straszliwej opuchlizny twarzy i słabego oświetlenia.

– Zrobili ci jakąś krzywdę?

Pytanie wprawiło ją w takie osłupienie, że nie odpowiedziała od razu. Pochylił się do przodu. Zaczął szybciej oddychać, skrzywił się na swoje ograniczone pole widzenia, stęknął z bólu wywołanego tym grymasem. Gdy się odezwał, ledwo go zrozumiała.

– Odpowiedz mi. Musisz mi powiedzieć. Zrobili ci jakąś krzywdę?

Znów podeszła bliżej, powstrzymując odruch wymiotny, jaki wywoływał w niej ten smród.

– Nie, Christopherze. Nikt mnie nie skrzywdził.

Na jego twarzy malowało się powątpiewanie. Powtórzyła więc z siłą:

– Nikt mnie nie skrzywdził, Christopherze. Noc spędziłam bezpieczna we własnym łóżku.

Dopiero wtedy uwierzył, z ulgą uśmiechnął się spękanymi wargami.

– Achchch... – powiedział cicho, szparki jego oczu rzuciły cały odpryski błysków w świetle świec. – To dobrze. To wspaniale...

– Nie będę ci przeszkadzać w kąpieli.

Kiwnął sztywno głową i zamknął oczy, osłaniając je przed światłem. Oddychał płytko i ostrożnie przez zmasakrowane usta, ból wyraźnie się nasilił.

– Odwiedzę cię później, dobrze?

Nie odpowiedział, nie dał nawet żadnego znaku, że ją usłyszał, więc pomyślała, że może zasnął.

Odwróciła się, ale wtedy zapytał natarczywie:

– Obiecujesz? Powiedziałaś nam... gdyby cię skrzywdzili? – Dlaczego wciąż ją o to pytał? Zastanawiała się, czy nie majaczy. Ciągnął dalej: – Jeśli... jeśli nie mówi się o takich rzeczach... – Jego ręce zaczęły trząść się pod szerokimi rękawami szaty, przyciągnął je do piersi. Nagle jego wargi też zadrżały, a oddech stał się szybki i urywany, ale próbował dokończyć zdanie. – To, to zżera cię jak... ro-robaki w głowie załęgłe. Jeśli się nie mówi. To cię zżera.

– Przysięgam – powiedziała. – Przysięgam, Christopherze. Nie spadł mi nawet włos z głowy.

Razi chwycił ją za ramię i wyciągnął z pokoju. Pozwoliła mu zawlec się pod sekretne drzwi, ale w ostatniej chwili zebrała siły, żeby podnieść rękę i odepchnąć go.

– O co mu chodziło? – syknęła.

– O nic, o nic. Później ci wyjaśnię.

– Razi! – zaczynał działać jej na nerwy. Jednak cała złość nie uleciała, gdy zaszlochał w pięść i oparł głowę na jej ramieniu, tłumiąc gwałtowną, przelotną burzę cichego płaczu. – Och, Razi – szepnęła, obejmując go ramionami. – Już dobrze. Już dobrze, Razi. To już koniec. Jest bezpieczny.

Zakasał i odsunął się, ocierając twarz rękawem.

– Całą noc nie pozwolili mu zmrużyć oka, grozili, że zabiorą go na krzesło. Raz go nawet... przywiązali. – Wciągnął głośno powietrze, wypuścił i kontynuował: – I zostawili go tam, żeby czekał na inkwizytorów, którzy nigdy nie przyszli.

Oboje odwrócili od siebie wzrok, oślepieni gwałtownym wybuchem wściekłości. Po chwili Razi mówił cicho dalej:

– Byli tam jeszcze kobieta i mężczyzna. Ta kobieta... słyszała ją.

Powiedzieli mu, że to ty. Całą noc myślał, że to biedne stworzenie to ty.

Wynter poczuła, jak krew odpływa z jej policzków. Ileż on musiał się naciępieć! Potem pomyślała o tej kobiecie.

– Wdowa po Marcocie?

Razi kiwnął głową.

– A on... Razi, oni chyba nie skrzywdzili go bardziej niż..

– Bardziej niż co, Wynter? – Gniew Raziego w końcu znalazł ujście. Podniósł na nią głos i zgarbił się w obronnym gestie. – Bardziej niż mój ojciec, który próbował go zabić i uwięził w tym strasznym miejscu? Bardziej niż strażnicy, którzy dręczyli go całą noc, strachem i bólem wyzuli go z męskości?

– Razi... – upomniał go cichy głos Christophera. – Wolalbym, żebyś nie używał podobnych określeń, gdy rozmawiasz o mnie z tak słodką kobietką.

Przemówił jak dawny Christopher, oboje więc nie mogli się nie roześmiać. Razi osłonił usta dłonią, spojrzał w stronę drzwi pokoju przyjaciela. Wynter zerwała się i popędziła do Christophera.

Wcale się nie namyślając, podbiegła i z całych sił ścisnęła go w pasie, aż zajęczał z bólu. Pocałowała go w poranione usta, delikatnie i szybko. Odsunęła się równie szybko i pobiegła do drzwi.

Przysunął sobie rękę do ust. Wyrazu jego oczu nie mogła odczytać pod opuchlizną, ale po wargach błąkał się wyraźny uśmiech.

– Niechaj Razi zaaplikuje ci środek na wszy, mościa panino. Łażą po mnie całymi tabunami.

– Do zobaczenia później, Christopherze – szepnęła, i przez tajne przejście wróciła do ojca.

Chyba nie dam rady.  
– Dlaczego? Przecież miałaś już styczność z innymi druzynami. Często też występowałaś w moim imieniu.

– Ale zawsze byłeś w pobliżu! Nie sądzę, żebym mogła sama stawić im czoła.

Lorcan przechylił głowę, posłając jej spojrzenie, w którym wyrozumiałość mieszała się ze zniecierpliwieniem.

– Wynter! I tak cię to nie ominie. Chyba że planujesz zamknąć interes, gdy mnie zabraknie.

Słyszając to, skrzywiła się i zawołała:

– Przestań!

– Mówię poważnie! – rozłożył ręce w geście bezsilności, ale po coraz większym napięciu w głosie poznała, że zaczyna się irytować. – Co zrobisz, kiedy umrę? Odepniesz cechową odznakę i pójdziesz za jakiegoś chłystka, któremu akurat potrzeba niewolnicy do garów i rodzenia dzieciaków?

Policzki jej zapłonęły.

– Tato... – jęknęła z zakłopotaniem.

– Na przykład za tego lubieżnika, śpiącego po sąsiedzku. Rok w rok chodziłabyś z brzuchem, już on by się o to postarał. A może tego właśnie chcesz?

– Tato! – krzyknęła, tupiąc nogą ze wstydu i złości. – Dosyć już!



– W takim razie przestań zachowywać się jak głupia baba! – ryknął, cały czerwony i autentycznie rozżłoszczony – Chcesz, żebym umarł ze zgrizoty? Do cholery! Tak długo przygotowywałem cię do samodzielności. Czyżby wszystkie te lata były tylko straconym czasem? Wynter! – W jego oczach zajaśniał łęk. – Proszę, powiedz, że sobie poradzisz... że czujesz się już na siłach! W innym wypadku... – zamilkł, unosząc ręce w niewysłowionej trwodze. – Co z tobą będzie?

– Już dobrze, tato, dobrze – zbliżyła się. – Z mistrzem, jak sądzę, nie powinno być problemów. Ale jak mam poradzić sobie z czeladnikami?

– Mistrzem rzeczywiście się nie przejmuj – potwierdził Lorcan uspokajającym, łagodnym głosem. – Zwie się Pascal Huette i dobry z niego człowiek. Razem z twoim dziadkiem często z nim pracowaliśmy. Jest utalentowany, wykwalifikowany i postępowy, a przy tym uprzejmy i dobrze wychowany. Zapewniam cię, że gdy tylko pokażesz, kto tu rządzi, on odpowiednio ustawi swoich czeladników.

Wynter zacisnęła ręce i wzięła głęboki wdech.

– Przekłęci czeladnicy!

Lorcan powściągnął uśmiezek, ale jego oczy wesoło błyszczały.

– O tak, istny z nimi dopust boży.

Posłała mu ostre spojrzenie.

– Dałbyś już spokój.

– Dasz sobie radę, malutka – stwierdził, kwitując to dodatkowym skinieniem głowy, a potem mówił już poważnie. – Nadajemy się. Poza tym to tylko jeden dzień, a jutro już będę z tobą.

Wynter popatrzyła na jego zbieleńsze wargi, zmęczoną twarzą i niepewnie odrzekła:

– Wiem, że będziesz, tato.

– No to idź już.

Wyprostowała się, nabierając głęboko powietrza, zacisnęła pięści i wyszła.

Znalazszy się na korytarzu, dostrzegła jakieś zamieszanie pod drzwiami Raziego. Pochyliła głowę, udając, że sprawdza coś w przytroczonej do paska sakwie, i kątem oka obserwowała bieg zdarzeń.

Dworski krawiec wręczał właśnie Raziemu stosik równo złożonych purpurowych płaszczy. Razi przyjmował je z miną zarezerwowaną dla kosza pełnego żmij. Jednym ruchem głowy odesłał krawca i z zaciętym wyrazem twarzy obserwował, jak odchodzi. Za jego plecami kłębiła się para – pewnie z przygotowanej dla Christopfera wanny. Razi wyglądał w niej jak jakieś bóstwo zstępujące w obłoku na ziemię.

Czekający w pobliżu paż chrząknął głośno, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Jego Królewska Mość, miłościwie nam panujący król Jonathon, pragnie przypomnieć, że z wybiciem drugiej połowy ósmej kwarty Wasza Wysokość stawić się ma w sali obrad.

– Powiedz Jego Królewskiej Mości, że zatrzymają mnie inne obowiązki.

Paż nie wyglądał na zaskoczonego tą odpowiedzią, przeciwnie – był chyba na nią przygotowany, bo wręczył Raziemu opieczętowany przez króla list. Razi mocno zacisnął zęby i przełotzył sobie naręczce płaszczy do drugiej ręki. Wolną ręką złamał pieczęć i rozpostarł list. Gdy przebiegał po nim wzrokiem, jego oddech przyspieszył, a twarz nabrała rumieńców.

Paż uparcie wpatrywał się w ścianę, podczas gdy Razi zgrzytał zębami i usiłował powściągnąć gniew. W końcu wydusił z siebie jedno krótkie: „Będę”.

Paż z wyraźną ulgą ukłonił się i pognał z odpowiedzią.

Wynter natychmiast przestała grzebać w sakwie i wolnym krokiem ruszyła korytarzem.

– Wasza Wysokość – pozdrowiła go formalnie, kłaniając się na powitanie. Razi łypnął na nią i widać było, że ledwo miał sobą panuje. – Jak zdrowie Waszej Wysokości? – spytała dyplomatycznie, jednocześnie świdrując go wzrokiem.

Podał jej list. Bardzo krótki list. Ozdobne pismo Jonathona informowało po prostu:

*Generał Inkwizycji domaga się, aby Christopher Garron, Hadryjczyk, nie oddalał się z pałacu w celu umożliwienia dalszego śledztwa.*

*Jonathon Kingsson III*

Wynter starannie złożyła list i spojrzała na przyjaciela. Z komnat Raziego dochodziło ciche pluskanie, a przy drzwiach leżało zniszczone ubranie Christophera. Mimo mrocznych zapachów medykamentów w powietrzu wciąż wyczuwało się ów niezdolny odór lochów.

Wynter głośno przełknęła ślinę. Razi patrzył na nią, ale ona była pewna, że wcale jej nie widzi. Zamiast tego przesuwano się przed oczami jakiś jego wewnętrzny, rojący się od drapieżników i strachów, krajobraz. Przyciskał do piersi starannie wyprasowane płaszcze, mnąc ich brokаты i aksamitne kołnierzyki.

Wynter położyła list na stosie szat.

– Gnieciesz je – zauważyła i lekko pociągnęła go za rękę, żeby zwolnił uścisk. Dopiero wtedy wzrok Raziego rzeczywiście skupił się na niej. Nie bacząc na strażników, trzymała jego rękę i uśmiechała się szeroko, ostentacyjnie ignorując protokoł i wścibskie spojrzenia dworzan.

Razi z westchnieniem odwzajemnił uśmiech, ale mimo to wciąż był trochę markotny. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz zmarszczył czoło, zerknął w dół na ich dłonie, a potem na stojącego za jej plecami, bacznie wszystko obserwującego, wartownika. W końcu rozejrzał

się gorączkowo po zatłoczonym korytarzu i gwałtownie odsunął.

Leżący na stercie ubrań list drgnął i spadł na podłogę. Wynter schyliła się, podniosła go i odłożyła na miejsce. Gdy znów spojrzała na Raziego, zauważyła chłód w jego twarzy. Oczy skrył pod powiekami i stał sztywno, starając się zachować jak największy dystans.

– To musi się skończyć – oświadczył stanowczo.

Wynter nie była pewna, o co mu chodzi.

– Zobaczmy się dziś wieczorem – zapewniła go.

– Nie – zrobił krok do tyłu, kładąc dłoń na kłamce. – Zatrzymaj mnie inne obowiązki. – Dodał i zamknął jej drzwi przed nosem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ciemne rzeźbione drewno. Te ostatnie słowa zmroziły ją. Z pokoju Raziego nie dobiegał żaden dźwięk. Wynter wiedziała, że wanna Christophera stoi tuż przy wejściu, po prawej stronie, przed kominkiem. Gdyby Razi odezwał się do niego, z pewnością by usłyszała. Tymczasem panowała cisza. Razi albo stał w milczeniu po drugiej stronie drzwi, albo bez słowa minął przyjaciela i poszedł do drugiego pokoju.

A niech cię zaraza, Razi Kingssonie – pomyślała zaskoczona własnym rozgoryczeniem. – Ciebie, twoje przekłete sekrety, twoje metody trzymania ludzi na dystans. – W dziecinnej złości wymierzyła drzwicom kopniaka, po czym oparła się o nie rękoma. – Wracaj – nakazywała. – Wracaj, przeproś mnie i przytul.

Nie wrócił jednak, w końcu więc pogłaskała drzwi tak łagodnie, jakby to było ramię Raziego, po czym ruszyła do biblioteki.

Z bijącym sercem stanęła pod drzwiami. Narzędzia na ramieniu ciążyły jej niemiłosiernie, a policzki płonęły. Po głowie kołatały jej się pełne wątpliwości myśli: Nie umiem tego zrobić! Po prostu nie mogę!

Pomyślała o gromadce patykowatych młodzieniaszków czy hających na nią za drzwiami i poczuła ostry skurcz w żołądku. Była pewna, że gdy tylko wejdzie, zaraz potknie się, przewróci, zapomni języka w gębie, a na koniec zwymiotuje.

Wymierzyła sobie mocny, siarczasty policzek, aż łzy stanęły jej w oczach. Zrobiła szybki, głęboki wdech, a potem wolno wydychając powietrze, weszła do środka. Nie rozglądając się na boki, zamknęła za sobą drzwi. Z trzaśnięciem zapadki powróciło jej opanowanie. Z wolna podniosła oczy na niewielką, stłoczoną grupkę czeladników, omiatając ich wszystkich jednym chłodnym spojrzeniem.

Było ich pięciu. Dwóch z pierwszego rocznika, dwóch z trzeciego i jeden z czwartego, tak jak ona. Żaden jednak nie nosił zieleni, a do tego wszyscy – oprócz najstarszego – mieli zwykłe czarne sznurówki, co oznaczało, że cech nie przyznał im prawa do otrzymywania zapłaty. Wszyscy przyglądali się jej z zaskoczeniem, które przeszło następnie w ironiczne rozbiawienie. Spojrzenia starszych chłopców były przy tym bardzo jednoznaczne.

– Co my tu mamy? – zapał szczupły, kudłaty wyrostek, oblizując się i bez skrępowania wpatrując w jej biust. – Czyżby to był psiakrew, jakiś żart?

– Kto pozwolił ci założyć taki strój? – mały pierwszoroczniak oskarżycielsko zmarszczył czoło.

Wynter przełknęła ślinę. Wiedziała, że ich mistrz jest w pobliżu. Pewnie krył się między regałami, udając, że nie zauważył jej przybycia. Chce przekonać się, jak poradzi sobie

z chłopcami, i ocenić, ile jest warta. To, co teraz robi, przesądzi o jej relacjach z tą ekipą. Musiała szybko sobie z nimi poradzic i ustawić ich do pionu, bo drugiej szansy nie będzie.

– Pewnikiem przysłała nam ulżyć – zaśmiał się kudłaty, wciąż wpatrując się w jej kształty. Jego towarzysze zapiali z zachwytu, zaczęli trącać się łokciami i zanosić oblesnym rechetem, choć najmłodszy z nich mógł mieć najwyżej siedem, osiem lat.

Zignorowała te prymitywne popisy i powoli zmierzyła każdego z nich chłodnym spojrzeniem. Przejrzała ich na wylot, ale stosując sprawdzony sposób ojca, chciała zapamiętać każdego z osobna i zademonstrować im swoją wyższość. Na najmłodszego ledwo rzuciła okiem, jakby niewart był nawet odrobiny uwagi, i przeszła do czeladników trzeciorocznych.

Celowo zaczęła od wyszczekanego kudłacza, który odezwał się do niej jako pierwszy. Wolno i z namysłem spojrzała mu w oczy, potem na odznakę cechową na tunice i w końcu na czarne sznurówki. Gdy wbiła w nie wzrok, pozwoliła brwiom unieść się nieznacznie, jakby chciała powiedzieć: O, tylko tyle?

Tak samo potraktowała jego kolegę, wychudzonego piegusa o niebieskich oczach i wyjątkowo krzywych zębach, który w odpowiedzi zmarszczył brew i zerknął na czwartoroczniaka, szukając u niego wsparcia. Wynter domyśliła się już, że prym wiedzie tu właśnie najstarszy i że to z nim będzie najwięcej kłopotu, ale najpierw ostentacyjnie obejrzała jeszcze sznurówki trzecioroczniaka, pogardliwie cmokając. Dopiero wtedy przeszła do najważniejszego.

Był to przygarbiony siedemnastolatek średniego wzrostu, o okrągłej, pocziwej twarzy, jedwabistych brązowych włosach związanych na karku – zgodnie z jego rangą – w ciasny hacap. Podczas gdy jego koledzy tręcili się łokciami, żartując i rzucając jej pożądliwe spojrzenia, on trzymał się z tyłu i obserwował Wynter z ostrożnym zainteresowaniem. I temu chłopakowi

spojrzała w twarz, na odznakę i buty. Widząc złote sznurówki, znów uniosła brwi, lecz tym razem towarzyszyło temu pełne aprobaty skinienie głowy. Dobra ocena, tylko o stopień niższej niż zielonych. W pewnym momencie przyłapała go, jak oglądał jej cechowy medalion. Jego wargi drgnęły, podniósł pełen rezerwy wzrok i wytrzymał jej spojrzenie.

– Spodziewam się, że mistrz zostawił wam szczegółowe instrukcje i że ciężko pracujecie, wykonując jego polecenia – powiedziała, zwracając się wyłącznie do niego. – Wybaczałem, że wam przerwałam. Wracajcie do swoich obowiązków. Mój mistrz pragnie, aby prace posuwały się jak najszybciej.

Musiąco ich to wprawić w niemałe zakłopotanie. Jeśli mistrz nie zostawił im żadnych instrukcji, oznaczałoby to, że jest leniwy i brakuje mu kompetencji, a opuszczając tak wcześnie miejsce pracy, bardzo zaniedbuje swoje obowiązki. Wiedziała, że wszyscy czeladnicy są niesforni i niezdiscyplinowani, ale swojego mistrza darzą nieprawdopodobną wręcz estymą. Gdyby po takim upomnieniu nadal się obijali i wygłupiali, wystawiliby złe świadectwo człowiekowi, który zapewniał im dach nad głową i od którego zależała ich przyszłość. Narobiliłoby mu tym samym wstydu w oczach ucznia innego mistrza.

Najstarszy czeladnik przygryzał przez chwilę wargi i wpatrywał się w Wynter, lekko marszcząc brwi.

– Czemuś tedy nie przyszła razem z nim? – spytał.

Zaraz jednak włączył się kudłacz.

– Ludzie gadają, że Lord Moorehawke nie poparł tego całego *mortuus in vita*. Odkąd ten pogański Arab wlaź na tron, a srał go pies, nawet na żadnej uczcie go nie było. Widno dla tego nie przyszedł. – w jego głosie pobrzmiwała szczerza ciekawość.

Wynter już otwierała usta, ale przerwał jej drugi z trzech roczniaków. Wypowiadał się nadzwyczaj poprawnie, lustrując ją wzrokiem od stóp do głów.

– Moja matka mówi, że lord Razi rzucił na króla urok, żeby dostać się na tron...

– Tak samo jak ongi jego matka. Kiedy Jonathon był jeszcze niedorostkiem, czarami utorowała sobie drogę do królewskiego łóżka! – pisnął jeden z pierwszoroczniaków.

– Ale rychło odzyskał rozum i ją z niego wyrzucił – zadrwił kudłacz. – Czarnooka wiedźma! Na szczęście znalazł sobie na jej miejsce porządną chrześcijankę, zanim było za późno.

– Widać jednak za późno, bo wcześniej ta brązowa suka urodziła bękarta! A teraz znowu musiała użyć swoich czarów, bo czyż król nie przegnał swojego złotego chłopca dla tego czarnego diabła?

– Brązowy poganin, niech go zaraza.

Zakręciło się jej w głowie. Ich głosy zlewały się w jeden szaleńczy wir nienawiści. Poczuli, że sytuacja wymyka jej się spod kontroli. Zupełnie jakby znów słyszała ludzi z Północy: Porządna chrześcijanka, pogański Arab... bękart... Od kiedy wyznanie i rasa zaczęły w tym królestwie stanowić problem? Od kiedy to ludzie boją się tu czarów i uroków?

– Pewnikiem mamy zastąpić wizerunki księcia Alberona tym arabskim bękartem, tak? – spytał jeden z nich. – Wyskrobać prawowitego następcę i wyrzeźbić uzurpatora.

Serce Wynter waliło jak oszalałe. Pod powiekami czuła plasek. Poruszyła ustami, lecz nagle zabrakło jej głosu. Gdy w końcu była w stanie wydobyć go z siebie, aż się zdziwiła, jaki był spokojny i jakie rozsądne słowa popłynęły z jej ust.

– Mojego mistrza zatrzymały sprawy wagi państwowej. Z ich powodu nie będzie mógł dzisiaj do nas dołączyć. – Wyjęła z kieszeni list, starając się, by chłopcy dostrzegli na nim pieczęć Lorcana. – Mam tutaj list dla waszego mistrza.

Najstarszy z chłopców wziął go z obojętnym wyrazem twarzy.

– A jeśli przyjrzyście się płaskorzeźbom na tych ścianach



– ciągnęła – zauważcie, że nie ma potrzeby zastępować księcia jego bratem, bo tak się składa, że lord Razi już na nich jest. Jego wizerunków jest nawet więcej, bo urodził się wcześniej i dłużej mieszkał na dworze.

Czeladnicy niepewnie rozejrzeli się po bibliotece. Wynnet zdała więc sobie sprawę, że żaden z nich nawet nie wie, jak wyglądają Alberon i Razi. Dla tych chłopców jej przyjaciele byli tylko imionami, z których jedno oznaczało ciemnoskórego bękart, a drugie – cudownego złotego chłopca. I to wszystko... tylko imiona i symbole. Dopiero wówczas pojęła ogrom tego, co Jonathon pragnął tu osiągnąć.

Wymazując Alberona z kart historii, niszcząc każdą pamiątkę, każdy wizerunek, Jonathon mógł uczynić z pamięcią o swoim synu, co tylko chciał. Alberon w pamięci potomnych mógł się stać kimkolwiek, idiotą, jakałą, szaleńcem, oprychem albo mordercą i niebezpiecznym tyranem. Jonathon mógł z nim zrobić wszystko, bo większość poddanych nigdy nie widziała go na oczy i niewiele o nim wiedziała. Biedny Albi. Wkrótce albo zniknie, albo, co gorsza, zrobią z niego potwora.

W zalewie wspomnień wróciły do niej ostatnie słowa Juseta Marcosa: „To królewicz Alberon! To on wydał mi rozkaz, że bym cię zabił”. Nie mogła się z tym pogodzić. Nie potrafiła połączyć tego dzikiego, roześmianego i impulsywnego, ale uczuciowego Alberona, zawsze pełnego energii i słońca, z obrazem, jaki wyłaniał się ze słów Marcosa – kryjącego się w cieniu, podstępny intrygant, który nie cofnie się przed posłaniem zabójców do własnego brata. Poczuli, że za chwilę wybuchnie płaczem, ugryzła się więc w język i znów trzeźwo spojrzała na grupkę rozglądających się po pokoju chłopaków, usiłujących dociec, kto jest kim na pokrywających ściany płaskorzeźbach

Wzięła głęboki wdech i spytała ostro:

– A zatem, jaką pracę zlecił wam wasz mistrz?

Kudłacz skrzywił się szyderczo.

– A co tobie do tego, dziewczko?

Najstarszy niespodziewanie trzepnął go w tył głowy.

– Jerome! Wystarczy! Łap się za narzędzia i zacznij od tego fryzu, jako mistrz nakazali.

Jerome był wyraźnie zaskoczony, ale czwartorocznik popatrzył na niego tak znacząco, że wreszcie zrozumiał, oblał się krwistym rumieńcem i przeniósł pod większy regał. Drugi trzeciorocznik także się ulotnił, ale dwaj najmłodszy tkwili wciąż w miejscu, nerwowo przestępując z nogi na nogę, jakby mieli pełne pęcherze.

– Gary, a co z nami? – zapytał jeden z nich.

Czwartorocznik przewrócił oczami.

– Wy, durne pędraki! Nigdy nie słuchacie, co się do was mówi! Idźcie o tam, pod te niższe półki, ja rychło do was zajrzę. – Chłopcy czym prędzej czmychnęli we wskazanym kierunku, przepychając się i chichocząc.

Gary tymczasem spojrzął na Wyntér poważnie. Gdy się odezwał, odniosła wrażenie, że w jego cichym głosie słyszy nutę współczucia.

– Boli mnie ta praca – wyznał. – Twój mistrz stworzył tu wielkie dzieła. A nam przyszło teraz je niszczyć. To grzech.

Spojrzała w jego łagodne oczy, ale nie odpowiedziała. Wyszczерzył do niej swoje zepsute zęby.

– Aleś sobie z nimi poradziła – powiedział poufale. – Wezmę cię do mojego mistrza, co?

Uśmiechnęła się smutno i skinęła głową.

Gary zaprowadził ją między regały, gdzie przez cały czas ukrywał się Pascal Huette. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, żyłasty i siwy. Wodniste oczy połyskiwały w kanciastej, pooranej zmarszczkami twarzy. Tego dnia jeszcze nieraz Wynter miała się przekonać, że czeladnicy go uwielbiają. Gary natomiast okazał się jego synem.

Kilka kolejnych godzin spędzili na oglądaniu fryzów

i płaskorzeźb. Wynter wyjaśniała, co ojciec pragnie z nimi uczynić. Pascal spodziewał się, że Alberon i Oliver będą zastępowani czymkolwiek innym – koniem, drzewem, co wypełni puste miejsca. Gdy Wynter wyjaśniła, że Lorcan zamierza całkowicie zheblować postacie, zostawiając puste miejsce, mistrz spojrział na nią badawczo.

– Bez żadnych dodatków?

– Zgadza się, mistrzu Huette.

– Nic, czym można by przesłonić dziury?

– Nic.

Podawała mu list i cierpliwie czekała, aż go przeczyta, co uczynił wolno i z wielkim wysiłkiem.

Gdy skończył, złożył kartkę i z westchnieniem rozejrzał się po bibliotece.

– Toć to przestępstwo. To się po prostu nie godzi. Ale zrobimy to, dziewczko. Zrobimy to, jak trzeba. Twój mistrz może nam zaufać.

– Mój mistrz żywi wielką nadzieję, że dołączy do nas już jutro.

Pascal wbił wzrok w ziemię, przygryzł wargę tak samo jak wcześniej jego syn, lecz po chwili spojrział na Wynter, pytając:

– Lorcan nie popiera tej farsy, prawda? Z pewnością nie zgodził się, aby Arab objął tron.

Wynter spojrzała w jego pocziwe oczy, zastanawiając się, komu można tu zaufać. Chyba tylko sobie. Pascal Huette może i jest miły, ale może też okazać się głupi. Zdaje się pojmować zawilgości dworskiej polityki, ale czy potrafi dochować sekretów? Wiedziała, że Lorcan szanuje tego człowieka, ale nie ufa mu na tyle, by zwierzyć się z choroby i słabości. Jej odpowiedź była więc wymijająca.

– Mój ojciec uczyni, co król mu rozkaże.

Pascal kiwnął głową i spojrział w stronę pochylającą się nad płytkim fryzem Gary'ego. Podłużna, wymyślona

kompozycja przedstawiała Alberona polującego z psami na lisa. Płaskorzeźba była radosna i pełna życia, tak jak sam królewicz. Ciary wolnymi i precyzyjnymi ruchami pilnika ostrożnie, tak żeby zachować piękną snycerkę tła, ścierał postać Alberona. Pascal Huette przez chwilę przypatrywał się synowi, a jego twarz posmutniała.

- Tak - szepnął - rozumiem twego ojca aż za dobrze.

- Lord Razi także jest temu przeciwny, mistrzu Huette. Pozostaje lojalny wobec brata.

Twarz Pascala wykrzywiła się w znaczącym uśmieszku, ale po chwili spojrział na Wynter dobroduszenie, jakby dziwił się jej naiwności.

- A juści! - prychnął. - Na pewno batogiem go na tron nie naganią. Już widzę, jak ciągną go siłą, a on rękami i nogami broni się przed królowaniem.

Nieumyślna celność tego opisu sprawiła, że Razi stanął jej przed oczami jak żywy. Przypomniała sobie, jak bronił się podczas tej okropnej uczty, gdy siłą usadzono go na tronie brata. Zaciśnęła zęby i ręce, żeby nie wykrzyzczyć prawdy. Przypomniała też sobie własną bezsilność, gdy patrzyła na ciągniętego do lochu, nakrwawionego, wrzeszczącego Christophera. Zrozumiała, że nad Razim wciąż wisi groźba tortur i śmierci.

- Zapewniam was, mistrzu - szepnęła - że lord Razi nigdy nie pragnął odbierać bratu jego dziedzictwa.

Huette pochylił głowę i z wyrozumiałością poklepał ją po ramieniu. Odsunęła się, przeklinając w duchu łzy, których nie była w stanie powstrzymać.

- Ale w końcu czyż nie siedział cały wieczór na krześle owego brata? Czyż nie weselił się i nie jadł? Ani się obejrzysz, jak przywdzieje purpurę i zasiądzie w radzie jako prawowity następca tronu.

Widocznie jej błyszczące oczy wzięły za objaw strachu, bo jego twarz nabrała jeszcze tkliwszego wyrazu i zaczął pocieszająco

głaskać ją po ramieniu. – Nie można go za to winić. Oni po prostu mają to we krwi. Paganie nie potrafią być lojalni, nie to co my.

Pokręcił smutno głową i popatrzył na swoich chłopców.

– Nawet nie chcę myśleć, co tu będzie, jak on przejmie władzę. Może rację mają ci z Północy – powiedział z namysłem, przypatrując się synowi pogrążonemu w pracy. – Może trzeba by ich przepędzić, gdzie raki zimują. Skoro nawet nie uznają naszych wierzeń ... – zamyślił się, a Wynter zamarła, zeszywniała w niemym przerażeniu.

Dalszą wymianę zdań przerwał dobiegający od strony drzwi wysoki głos Jerome'a.

– Nie ma tu żadnych wielmożnych dam. Zmykaj, ma tołku!

– Poczekaj! – krzyknęła Wynter. – Poczekaj!

Pobiegła do drzwi, ocierając oczy i przygryzając wargi, żeby odzyskać opanowanie. Ten szaleńczy zryw wyraźnie zaskoczył zarówno małego pazia, jak i Jerome'a, który zdołał już prawie wypchnąć intruza za drzwi.

– Kogo szukasz, dziecko? – spytała łamiącym się głosem.

– Właśnie ciebie, Jaśnie Wielmożna Lady Obrończyni.

Na dźwięk jego słów oczy Jerome'a rozwarły się szeroko jak pieczone kasztany na ruszcie, a pozostali czeladnicy niczym króliki wyskoczyli spod regałów, żeby jeszcze raz się jej przyrzeć.

– A to ci dopiero! – wymruczał Gary. – Jaśnie Wielmożna Lady!

Paź podał Wynter list opatrzony królewską pieczęcią. Pięć tu wyrostków wyraźnie budziło w małym chłopcu przerażenie, bo list drżał mu w palcach.

– Jego Królewska Mość, miłościwie nam panujący Jonathan oczekuje od Jaśnie Wielmożnej Paniienki odpowiedzi.

– A to ci dopiero! – powtórzył Gary, a Jerome pobladł, słysząc, jak tytułowana jest ta niepozorna czeladniczka.

Wynter rozpieczętowała list. Głośno pociągając nosem, mocno mruczając oczy, zmusiła się do koncentracji. Gdy treść przesłanej wiadomości wreszcie do niej dotarła, na chwilę serce jej zamarło:

*Oczekujemy Twojej obecności na dzisiejszej uczcie,  
w zastępstwie Twojego ojca. Bądź gotowa przed dziesiątą  
kwartą.*

Wynter jęknęła i wzniosła oczy do nieba.

– Jego Królewska Mość czeka na odpowiedź – przypomniał malec.

Wynter, z trudem przełykając słowa, które najchętniej przekazałaby Jego Królewskiej Mości, zdusiła gniew i odetchnęła głęboko. Paź musiał dostrzec jej wściekłość, bo wbił wzrok w podłogę, przybrał wyuczony, obojętny wyraz twarzy i czekał w milczeniu.

– Przekaż Jego Królewskiej Mości, że przyjdę – wysyczała wreszcie, a chłopiec skłonił się i czym prędzej czmychnął.

Wynter, stojąc w miejscu, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem i gniotła w dłoniach list. Czelnicy otaczali ją kołem, a ich twarze i ruchy wyrażały powagę i strach. Gary, choć nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi, chciał chyba powiedzieć coś na pocieszenie. Za każdym jednak razem, gdy otwierał usta, najwyraźniej rozmyślał się i trwał w milczeniu.

Wynter odwróciła się i podeszła do czekającego na nią Pacala. Powoli spakowała narzędzia i zarzuciła torbę na ramię. Rozejrzała się po pomieszczeniu, błędząc wzrokiem po oczekiwanych twarzach na obrazach i wrytych przy nich wierszykach.

Pascal patrzył na nią dobrymi, bystrych oczami, starała się więc przemówić do niego jak najgrzeczniej.

– Dziś nie mogę tu dłużej pozostać, mistrzu Huette. Czy przekazałam wam dość informacji, żebyście mogli pracować sami do jutra, póki nie wrócę?

– Tak, dziewczeczko, nie fraszuj się tym.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję – powiedziała sucho i wyszła.

Gdy skręciła w korytarz prowadzący do jej pokoju, natknęła się na Raziego. Druga połowa ósmej kwarty wybiła już dawno, więc zmierzał na spotkanie rady. Strażnicy Jonathona krążyli nerwowo po korytarzu jak zniecierpliwione, narowiste konie, ale on bynajmniej nie spieszył się z ryglowaniem drzwi i wciąganiem rękawiczek.

Krawiec dołożył wszelkich starań, by ubrania Alberona pasowały na Raziego. W wytwornym purpurowym płaszczu wyglądał iście po królewsku, jednak – jak zauważyła Wynter – to do niego nie pasowało. Ciężkie brokaty ograniczały mu ruchy, zwykle tak pełne gracji, i tłumiły jego zwiewny wdzięk. Był jak spętany, starannie opakowany sobowtór Raziego, którego tak dobrze znała.

– Wasza Wysokość! – zawołała, biegnąc w jego stronę z zamiarem podzielenia się wrażeniami z biblioteki. Wiedziała, że teraz Razi nie znajdzie czasu na dłuższą rozmowę, ale chciała umówić się na później, zanim doszczętnie pochłona go obowiązki. Jednak gdy Razi odwrócił się, wyraz jego twarzy zupełnie zbił ją z pantałyku.

Choć latami widywała, jak ojciec przywdziewa swoją dworską maskę, żadna z jego przemian nie poraziła Wynter aż tak bardzo. W twarzy Raziego nie tliła się nawet jedna iskierka



ciepła, w jego oczach nie było nic poza zniecierpliwieniem, a jego usta wykrzywiły się z irytacją, gdy wciągał rękawiczkę i odwracał się, by odejść.

– Jestem zajęty, Wielmożna Obrończyni. Będziesz musiała poczekać.

Ruszył dziarsko naprzód, ale jeszcze krzyknęła za nim:

– A zatem zobaczymy się na uczcie, Wasza Wysokość!

Staął jak wryty, zgarbił się i zacisnął ręce, do tej pory zajęte rękawiczkami. Wciągnął powietrze i zwrócił się do niej z kamienną twarzą.

– Co masz na myśli?

Wynter przekonała się, że jej podejrzenia były słuszne: nie wiedział o rozkazie Jonathona.

– Jego Królewska Mość wyświadczył mi wielką łaskę, proponując, żebym na dzisiejszej uczcie zajęła miejsce mojego ojca. – Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, twarz Raziego była nieprzenikniona.

– Zaprawdę, uśmiech losu, czyż nie? – skłonił się chłodno. – A więc do zobaczenia na uczcie. – I nie oglądając się więcej, pomaszerował korytarzem.

Ze strachu przed wartownikami Wynter tylko przez chwilę patrzyła za nim, ale w głowie jej huczało. Nie zamierzał jej towarzyszyć? Nie obiecał, że będzie mogła liczyć na jego ramię w drodze do sali jadalnej? Miała nadzieję, że pomoże jej zmirzyc się z koszmarem obcych królewskich komnat i obwarowanego protokołami posiłku na królewskim podeście. Był już jednak daleko, a jej brakowało siły, żeby się złościć. Po prostu zmęczona i zawiedziona odwróciła się i poszła.

Pierwsze kroki zamierzała skierować do pokoju ojca, ale na stole w salonie leżał list. Pieczęć Raziego na nowo obudziła w niej nadzieję. Rzuciła narzędzia i niecierpliwie zaczęła go czytać. Szybko jednak cała radość ją opuściła, a w sercu poczuła bolesny ucisk.

List napisany był ręką Raziego, ale jego oficjalnym charakterem pisma – eleganckim i prostym, doskonale czytelnym, całkowicie bezosobowym. Zawierał listę zaleceń dotyczących zdrowia Lorcana, dokładne godziny i dawki lekarstw, sugestie odnośnie do jadłospisu i wypoczynku. To oznaczało, że Razi nie może odwiedzać Lorcana tak często, jak by chciał. I że zamierza zapewnić mu jak najlepszą opiekę, nawet pod swoją nieobecność.

Ta staranna lista przerażała ją. Dobitnie świadczyła, że Razi zamierza trzymać ich na dystans. Zapowiadała gwałtowne, zdecydowane ochłodzenie stosunków. Wynter poczuła, że zbiera się na burzę, świat wokół niej wiruje, a Lorcan i ona wirują razem z nim, samotni i bezbronni. Zdusiła w sobie ten obraz. Znowu poczuła się samotna i chyba po raz pierwszy zabrakło jej sił, by powstrzymać łzy, które znów napłynęły jej do oczu. Zmięta kartkę w dłoni. Gdy chciała cisnąć ją gdzieś precz, od listu oderwał się cienki karteluszek. Spadł na podłogę. Wynter dostrzegła znajome pochyłe, pospieszne pismo Raziego. Poczuła, że ogarnia ją radość i wdzięczność. Zamknęła oczy. Łzy spływały jej po policzkach i kapały z brody, otarła je, niecierpliwie prychając.

*Droga Siostrzyczko, wybacz mi, wybacz. Słowa nie wystarczą, żeby wyrazić, jak bardzo Cię przepraszam i jak podle się czuję. Zrozum jednak, że nie ustąpię. Nie możesz już traktować mnie jak przyjaciela. Już nigdy nie okażę Ci czułości. Nie rób mi wyrzutów i nie próbuj na nowo wzniecić łączącego nas uczucia, to już niemożliwe. Ale przysięgam Ci i proszę, żebyś nigdy nie zapomniała, że kocham Cię, Siostrzyczko, moja najdroższa dziewczynko. Bądź zdrowa!*

*Twój na wieki kochający brat, Razi*

Przeczytała list od nowa, jeszcze raz i jeszcze raz. Czuła płynące z liściku słowa pożegnania: żegnaj, żegnaj, żegnaj.

Na pewno nie planował tego napisać. Domyślała się, że z początku zamierzał zerwać kontakty brutalnie, ale to przecież był Razi, z gruntu niezdolny do takiego okrucieństwa. Jego pismo było prawie nieczytelne, poplamione i rozmazane, posługiwał się lewą ręką i w pośpiechu zacierał to, co przed chwilą napisał. Musiał nabazgrać to w ostatniej chwili, bo nie potrafił rozstać się bez pożegnania, bez wyznania, co do niej czuje i ile znaczy dla niego jej miłość. Teraz już nie przejmowała się łzami. Po prostu pozwoliła im płynąć. Och, Razi. Tak nie może być. Po prostu nie może – powtarzała w myślach.

I wtedy spłynęła na nią dziwna, obojętna żalność, nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego. Nawet nie starała się ukryć łez. Niewiele myśląc, powłokła się do pokoju wypoczynkowego i stanęła pod drzwiami sypialni ojca.

Lorcan wciąż leżał w łóżku, choć widać było, że musiał wcześniej wstać, żeby się umyć i uczesać. Nocnik opróżniono i wymyto, więc kręciły się tu pokojówki. Zastanowiło ją, czy w czasie sprzątania też leżał. Prawdopodobnie zwłóknął się z łóżka, wystawił wszystko za drzwi i zabarykadował się w pokoju, dopóki nie wyszły.

Lorcan nie zauważył, że stanęła w drzwiach. Leżał na boku, z prawą ręką przy twarzy, i patrzył przez okno. Błądził wzrokiem po czubkach drzew pomarańczowych, śledził harce kolorowych ptaków wśród gałęzi. W pokoju pachniało czystą, ciepłą skórą, nalewką z opium i kwiatami pomarańczy, było leniwie i spokojnie. Doszła do wniosku, że nie może mu się narzucać ze swoją samotnością i samolubnymi łzami.

Wycofała się cicho i wróciła do swego pokoju. Umyła twarz i ręce, uczesała się i tak odświeżona odwiedziła go znowu. Tym razem ją zauważył, uśmiechnął się sennie i uniół nicem na łóżku.

– Malutka! – zawołał kojącym, ochrypłym głosem. – Jak poszło? – Poklepał brzeg łóżka i ciężko opadł na poduszki.

Korciło ją, żeby wypłakać mu się w rękaw, zdradzić ze swoim osamotnieniem i rozpaczą. Zamiast tego przycupnęła obok i uśmiechnęła się.

– Witaj, tato. Jak ci minął dzień?

– O, był tu Razi, kręcił się i rządził... zaraza z tym chłopakiem... i umieram z nudów... trzeba mi wieści i plotek.

– Jego słowa płynęły wolno jak miód, Wynter zerknęła więc na charakterystyczną brązową butelkę i upity do połowy kubek wody na szafce nocnej.

Poprawiła pościel i pogładziła go po ręce.

– Razi dał ci nalewki z opium?

Westchnął, a jego uśmiech stał się rozmarzony i beztroski.

– O tak. Twierdził, że nie jestem wystarczająco odprężony.

– Westchnął uszczęśliwiony. – Muszę przyznać, że to cudowne. Koniec z bólem.

Nieświadomie przyznał się do bólu. Odwróciła wzrok, żeby nie dostrzegł w jej oczach litości.

– Mam zająć twoje miejsce na dzisiejszej wieczery – powiedziała, żeby przerwać ciszę, z braku innych tematów.

– A niech to – jęknął, przecierając twarz dłonią. – A to cię zaszczyt kopnął!

Nic więcej nie powiedział, powieki wyraźnie mu ciążyły. Świetnie! Doczekałam się prawdziwego współczucia, nie ma co – pomyślała, zerkając na brązową butelkę. – Może golnę sobie zawczasu. I przefrunę przez całą uroczystość na puszystej chmurce.

– Powiedz – zaczął z leniwym rozbawieniem, obróciwszy głowę, żeby ją lepiej widzieć – co sądzisz o Pascalu. I jacy są ci jego czeladnicy. Szubrawcy, co do jednego? Lubieżne szelmy. Doszło do rękoczynów?

Starła się zaśmiać, ale Lorcanowi wystarczyło jedno

spojrzenie na jej zaczerwienione oczy i drżące usta. Jego twarz przybrała wyraz teatralnej konsternacji i niepokoju.

– O rety – powiedział wolno. – Cóż takiego uczynili? Podpalili bibliotekę? Naszczali na książki?

Na to nie mogła się nie uśmiechnąć. Klepnęła go lekko w ramię. Pokiwał głową i wziął ją za rękę.

– Kochanie – powiedział. – Jakoś to przetrwamy. To tylko cyrk i zawierucha. Musimy uważać, żeby nie dostać po głowie i trzymać się do końca.

– Tato...?

Coś w jej głosie wyostrzyło mu zmysły, czekał, aż zbierze się na odwagę, by przemówić.

Nie powinnam – pomyślała. – Nie teraz. Postępuję niesprawiedliwie! Brakuje mu sił. Ale czy kiedykolwiek doczekam się powrotu jego sił?

– Król się myli, tato – powiedziała gwałtownie.

Cmoknął niecierpliwie, usiłując wyzwolić się z jej uścisku. Przytrzymała go jednak mocniej i zmusiła, by na nią spojrział.

– Myli się, tato. Błądzi. Miałeś rację, mówiąc, że lud nigdy nie zaakceptuje Raziego na tronie. – Z niedowierzaniem pokłóciła głową na wspomnienie czeladników. – To, co wygadywali ci chłopcy... – spojrzała mu w oczy. – To, co wygadywał mistrz Huette! To było... to było..., jakbym znów słyszała Shirkena. Jakbym znów znalazła się na Północy. Coś strasznego!

Wiedział, o czym mówi. Ona też dostrzegła w jego twarzy zrozumienie i ból.

– Szukają winnego, malutka. Przyczyny swoich kłopotów. Myślą, że jeśli znajdą tę przyczynę i zajmą się nią, ich kłopoty dobiegną kresu.

– Ale oni winią Raziego. To nie wszystko. Nazwali go „maganinem! Mówili też o „porządnej chrześcijance”. Nie mogłam... nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Od kiedy mieszkańcy Południa tak mówią?

Lorcan zaśmiał się przez nos i ścisnął jej rękę.

– Wynter, nie tak dawno mieszkańcy Południa palili się nawzajem na stosach! – powiedział, tocząc walkę z bezwładnością, jaką wywołał narkotyki. Odchrząknął i ciągnął dalej, choć jego język nie nadażał jeszcze za myślą: – Nie masz pojęcia... jacy byli ludzie... jeszcze... jeszcze za czasów mojego dziada. Teraz po prostu mają nawrót. Gdy ludzie się boją, zamieniają się w wyjątkowo paskudne bestie. Tacy już są. I nic nie poradzisz.

– To wina Jonathona!

Słyszając jej podniesiony ton, zmarszczył czoło i rzucił jej ostrzegawcze, ostre spojrzenie.

– Tato, nie patrz tak na mnie. To jest jego wina. Rozszarpuje to królestwo na strzępy i zrzuca winę na wszystkich, tylko nie na siebie...

– Nie rozumiesz...

– A ty? Powiedz, jak ty to rozumiesz. Wytłumacz, dlaczego nasz miłościwy pan wszystko odrzucił? Wszystko! Tolerancję, postęp, całą magię tego królestwa! Swojego kochanego, cudownego syna, Alberona... i Olivera. Tato, Olivera. Ukochanego przyjaciela, swoją bratnią duszę.

Na wzmiankę o Oliverze Lorcan zamknął oczy.

– Przestań – jęknął.

Wynter potrząsnęła jego ręką, zmuszając go do otwarcia oczu.

– Król się myli. Przecież o tym wiesz! A ta maszyna, czymkolwiek była... – Spojrzał na nią ostro, zaciskając wargi. Nawet o niej nie wspominaj, mówiły jego oczy, nie wypowiadaj tych słów. – To coś, czymkolwiek było to, co zrobiłeś, gdy byłeś młody... Jak ona mogła to spowodować?

Pokręcił głową. Nie chciał i nie zamierzał o tym rozmawiać. Ani teraz, ani nigdy. Ciągnęła dalej, niezrażona:

– Jaka jest jej siła, że Jonathon musiał unicestwić własnego

dziedzica, narażając przy tym przyszłość całej korony? Ten człowiek postradał rozum!

Lorcan znów potrząsnął głową.

– Nie możesz... – szepnął.

– Jeśli będzie tak dalej – szubienice, klatki, represje, *mortuus in vita* – wszystko legnie w gruzach. Staniemy się tacy jak cała reszta. – Zatoczyła dłonią koło, mając na myśli otaczające ich królestwa, toczone nienawiścią, ignorancją i strachem. – To jak zdmuchnąć płomień kaganka rozświetlającego mroki nocy.

Lorcan wcisnął głowę w poduszki i spojrzał bezsilnie w sufit.

– Myślałem, że podołamy – wyszeptał. – Że oślepiemy i ogłuchniemy, jakoś przeczekamy i dotrzemy na drugi brzeg.

– A co nas spotka na tym drugim brzegu? Czy coś, na co warto czekać? – spytała łagodnie. – Myślisz, że warto tracić dla tego czegoś wzrok? Naprawdę chciałbyś tam żyć?

W powietrzu wciąż wisiało pytanie, którego nie zadała: Czy chciałbyś, żebym mieszkała tam bez ciebie? Samotna kobieta w świecie, który dopiero co zostawiliśmy na Północy?

– Czego ty ode mnie chcesz? – spytał łamiącym się głosem.

– Przecież widzisz, psiakrew, że jestem bezsilny.

Pochyliła się i uśmiechnęła niepewnie.

– Tato. Chcę, żebyś mi pozwolił poszukać Albiego.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem wybuchnął przerażającym, ostrym śmiechem.

– To nie jest pogoń za wielkanocnym króliczkiem, moja panno! Alberon nie czai się za boazerią w jadalni ani nie kuca pod krzaczkiem w ogrodzie! Kryje się gdzieś po lasach, razem z Oliverem. A król depta mu po piętach, tropi go jak lisa.

Odsunęła się i spojrzała na niego znacząco, zaciskając wargi.

– Ach tak? A od jak dawna o tym wiesz?

Westchnął.

– Nic więcej nie wiem. Przysięgam. Oliver uciekł zaraz po tym, jak Jonathon wbił sobie do głowy, że przyjaciel zamierza go obalić. Ogłosił Olivera zdrajcą. Alberon uciekł niedługo potem, wziął stronę Olivera i przeciwstawił się królowi.

– Boże. I naprawdę chcieli go obalić? Alberon? I Oliver? Najwierniejsi z wiernych?

Lorcan ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w sufit, wyraźnie niezdolny to pogodzenia się z tą myślą, tak samo jak Wynter.

– Trudno w to uwierzyć – powiedział z zadumą.

– Ale jest jeden sposób, żeby się dowiedzieć! Od kogo, jak nie od Alberona?

– Och, dość już! – Lorcan wyszarpnął rękę. Z wysiłkiem wyprostował się na poduszkach i szybko pokręcił ognistorudą głową, żeby odzyskać jasność umysłu. – Wystarczy! – krzyknął, podnosząc dłoń, żeby ją uciszyć. – Załóżmy, że udało ci się ukradkiem zgromadzić zapasy i wyprowadzić konia poza teren pałacu i że cię nie przyłapano. Załóżmy, że wyruszyłeś w góry, gnałeś, co koń wyskoczy, i nikt cię nie zgwałcił, nie napadł i nie zabił. I oto spotykasz Alberona, który rozbił się obozem na twojej drodze i właśnie piecze rybę na kolację. I co, do diaska, wtedy zrobisz? – Spojrzał na nią z takim szczerym zainteresowaniem, że wybuchnęła śmiechem.

– Po tych wszystkich przejściach? Poproszę go o coś na ząb! – odparowała.

– Litości! – wznosił ręce do nieba i z rezygnacją opadł na poduszki. – Jesteś dokładnie jak twoja matka, do kroćset.

– A mnie się wydaje – znów chwyciła go za rękę – że jestem całkiem jak mój tata.

Prychnął.

– Och, daj spokój – zachnął się, ale pociągnął ją za rękę i położył ją sobie na piersi. – I tak nigdy go nie znajdziesz



– powiedział cicho – bo nawet nie masz pojęcia, od czego zacząć. Więc nie zamierzam się tym frasować.

– Ale gdybym się dowiedziała, od czego zacząć...

– Gdybyś się dowiedziała, lepiej, żebyś trzymała buzię na kłódkę, Wynter. Bo w ten sposób czynnie przeciwstawiłabyś się królowi.

Zrozumiała, co miał na myśli. Przełknęła ślinę. To byłaby zdrada stanu. Nastąpiła długa cisza. Lorcan patrzył w niebo. Wynter zastanawiała się nad kolejnym ruchem.

– Jak miewa się twój młody Hadryjczyk? – spytał nagle, wyrrywając ją z zamyślenia.

Zaśmiała się.

– To nie jest mój młody Hadryjczyk, tato! Daj spokój!

Wargi wygięły mu się w złośliwym uśmiešku, oczy błyszczały zawadiacko.

– Jak zwał, tak zwał. Ale pewnie nie możesz się już doczekać, żeby sprawdzić, co u niego.

– Och, daj spokój! – Wyrwała mu rękę. – Co za upiorny krzony typ z ciebie! Nie dalej jak dziś rano starałeś się obrazić mi cały męski ród!

– Grywa w karty? – spytał Lorcan, a pytanie to wprowadziło ją w takie osłupienie, że zaniósł się kaszlem i przez dobrą chwilę nie mogła złapać tchu.

– Grywa... w co?

– Twój Hadryjczyk, pytam, czy grywa w karty? – powtórzył wolno, starannie wymawiając każde słowo.

– Tato... – zaczęła niepewnie. – Christopher jest w dość ciężkim stanie... wątpię, czy...

– Idź i spytaj – ponaglił.

– Teraz?

– Teraz. Cały dzień nudzę się tu jak mops. Potrzebna mi jakaś kompania na czas, gdy ty będziesz na ucztach, zajęta służbą moją i mojego piwa.

- Ale...

Machnął na nią ręką.

- Idź, idź!... Obiecuję, że nie idzie mi o hazard... tylko tak,  
dla rozrywki.

Łypnęła na niego, podnosząc się z miejsca.

- Tak – rzuciła cierpko. – Bardzo rozsądnie z twojej strony.

- Ooo – zapał, unosząc oskarżycielsko brwi i tocząc wokół  
błądnym spojrzeniem. – Myślisz, że by mnie ograł? Myślisz, że  
trafiłem na równego sobie?

- Choćby mózg wypływał mu uszami, myślę, że Christo-  
pher Garron ogra cię do cna.

Lorcan uśmiechnął się niewyraźnie i odprawił ją machnię-  
ciem ręki.

- Obaczym! Obaczym!

Pokręciła głową i ruszyła do tajnego przejścia, żeby spraw-  
dzić, czy Christopher czuje się na siłach, by ograć ojca w karty.

Wciąż zamknięte okiennice w komnatach Raziego chroniły przed wieczornym słońcem. Świece zgaszone, w pokoju wypoczynkowym pañowały ciemności. Wynter musiała szukać drogi po omacku, omijając niewyraźne zarysy mebli, liczne sterty książek i najróżniejsze śmieci na podłodze.

Szurając nogami, co chwila zahaczając o coś stopami, przebyła w końcu tę krótką odległość i stanęła pod drzwiami Christophera. Okiennice w jego pokoju przepuszczały trochę światła, więc mimo mroku mogła rozejrzeć się po wnętrzu.

– Christopher? – zawołała cicho i przestąpiła przez próg.

Dostrzegła go na łóżku, leżał na kołdrze, zwinięty w kłębek. Miał na sobie długą beduińską szatę, bosa nogi podciągnął pod brodę, a pięści przyciskał do czoła. W pierwszej chwili pomyślała, że śpi, ale gdy podeszła bliżej, zauważyła szparki oczu, błyszczące w mroku, śledzące każdy jej ruch. Podeszła do łóżka. Słyszała jego cichy oddech.

– Christopher – powiedziała znowu głosem pełnym współczucia. – Jak się czujesz?

Nie odpowiedział, ale gdy przyklęknęła przy łóżku, wstał za nią wodził oczami.

Między rzęsami zaplatał mu się kosmyk włosów wilgotny od potu, więc delikatnie założyła mu go za ucho. Czując to

dotyk, zamknął oczy, ale od razu otworzył je znowu i skoncentrował wzrok na jej dłoniach, jakby opuszczenie powiek na dłużej sprawiało mu ból. Ostrożnie przełknął ślinę.

– Bardzo cię boli? – spytała niepotrzebnie.

Uśmiechnął się lekko, choć dołeczki skryły się wśród opuchlizny i siniaków pokrywających policzki.

– Boję się, że łeb mi za chwilę odpadnie – wyszeptał.

– Nic nie dostałeś?

– Napar z kory wierzby.

Prychnęła, bo przy takim bólu równie dobrze mógłby pić mleko.

– A nie haszysz? Nie nalewkę z opium?

– Och, mogę tylko pomarzyć... – jęknął tęsknie – ale Razi lęka się, że to za wcześnie. Powiada, że muszę poczekać.

– Na co? – wykrzyknęła. To zdawało jej się szczytem okrucieństwa.

Christopher zdobył się na cichy śmiech, widząc jej oburzenie, jęknął i znowu przełknął ślinę.

– Aby mieć pewność, że mózg nie zamienił mi się w galaretę. Tylko do zachodu słońca.

Wynter zerknęła na okiennice. Słońce było już nad horyzontem; nie musiał długo czekać. Nachyliła się, żeby obejrzeć jego zmasakrowaną twarz, prawie kładąc głowę na łóżku, obok jego nagich ramion. Jego ciało miało korzenny zapach.

Rude włosy Wynter, rozsypane na kołdrze, błyszcząły w nikłym świetle zza zamkniętej okiennicy.

– Jak lśniący kasztan, prosto z łupinki – westchnął. Jego oddech też miał korzenny zapach, tak jak skóra. Zamknęła oczy i, niewiele myśląc, delektowała się tym zapachem.

– Yyy... – zaczęła niepewnie, otwierając raptem oczy i usiłując sobie przypomnieć, po co przyszła. – Ra... Razi zostawił mojemu ojcu nalewkę z opium. Miałbyś ochotę?

Zamknął oczy z wdzięcznością.

– O tak, chętnie.  
Zawahała się, ale powiedziała w końcu:  
– Mój ojciec pyta, czy nie zechciałbyś pograć z nim w karty, dla zabicia czasu.  
– Dobrze – szepnął ulegle z wciąż zamkniętymi oczami. Wynter nie miała pewności, czy jej pytanie naprawdę do niego dotarło. A może myślał, że ma zabawiać Lorcana w zamian za opium?  
– Nie musisz, Christopherze. Mogę przynieść ci nalewkę tutaj, jak wolisz.  
– A ty wolałabyś, żebym został tutaj? – Pytanie było szczere, nie usłyszała w nim cienia goryczy. Zasługiwało na szczerą odpowiedź.  
– Wolałabym, żebyś odwiedził mojego ojca – powiedziała, a Christopher posłał jej uśmiech, tym razem dołeczki były całkiem wyraźne, mimo siniaków.  
Wyciągnięcie go z łóżka i przeprowadzenie tajnym korytarzem zabrało sporo czasu, ale w końcu się udało. Christopher niósł dwie wielkie poduszki, a Wynter podtrzymywała mu je w pasie. Kuśtykał wolno, starając się nie poruszać głową ani szyją.  
– Zostań tu – szepnęła i pomogła mu się oprzeć o taje drzwi, po czym poszła do pokoju ojca, żeby zamknąć okiennice i zapalić świece.  
Na jej widok Lorcan uniósł się na łóżku.  
– Och! – krzyknął. – Zgodził się?  
Niedzarnie sięgnął do szuflady w szafce nocnej.  
– Uważaj! – krzyknęła, gdy zaczął tracić równowagę. Podparła go, żeby nie spadł z łóżka na głowę.  
Lorcan opadł na poduszki, szczerząc zęby w uśmiechu, a Wynter wyjęła z szuflady skrzynkę z grami i położyła ją na łóżko. Od razu zaczął grzebać w niej nieporadnie w powrokiwaniu kart.

Christopher czekał przy drzwiach jak cierpliwy cień. Podparła go ramieniem i znów ruszyli. Spostrzegła, że Lorcan zerknął na nich, gdy pomagała Christopherowi wejść do pokoju, i na widok śladów, jakie zostawiły okrutne ciosy Jonathona, uśmiech na jego twarzy zniknął jak ręką odjął.

Wiedziała, że Lorcan jest człowiekiem praktycznym, niezadko wyrachowanym i czasami dość bezwzględny, ale krwawa miazga, jaką Jonathon uczynił z twarzy Christophera, wyraźnie go poruszyła.

- Dobry Boże, chłopcze. Jesteś pewien, że...?

Christopher machnięciem ręki uspokoił go i ostrożnie przypchnął na brzegu łóżka. Próbował spojrzeć na Lorcan, nie poruszając szyją, wykręcał więc niezdarne ciało.

- Przesuń nogi – szepnął, a Lorcan zrobił mu miejsce.

Wynter oparła przyniesione poduszki o ramę łóżka, a Christopher wziął głęboki wdech, uniósł się i ostrożnie zmienił pozycję. Wolno przełożył nogi góra, żeby siedzieć dokładnie naprzeciwko Lorcana, i w końcu ze słabym westchnięciem opadł na poduszki. Siedział tak bardzo długo, spięty i nieruchomy, lekko mrużąc oczy.

Patrzyła na całą tę operację z zapartym tchem i zaciśniętymi pięściami. Powędrowała wzrokiem nad ciemną głowę Christophera i spojrzała ojcu w oczy, a on zerknął znacząco na buteleczkę opium.

- Przyrządę ci nalewkę – powiedziała, poklepując Christophera po ramieniu, i zajęła się fiołkami i dzbankami stojącymi na szafce.

- Byłoby cudownie – szepnął Christopher. Wyprostował się ostrożnie i popatrzył na Lorcana. – W co... w co zagramy?

Lorcan zawahał się, a Christopher znów zbył go machnięciem ręki. – Daj spokój. Co tam masz? Fra... francuską talię?

- Owszem – Lorcan pokazał mu karty z dużymi obrazkami. – Więc może partyjka pikiety? – zaproponował.

Christopher wymijająco wzruszył ramionami. – Będziemy musieli potasować i przełożyć – powiedział i obaj spojrzeli na siebie. Dalej siedzieli bez ruchu, jak dwa przydrożne kamienie, żaden nie miał siły, żeby zacząć.

Wynter podała Christopherowi kubek z rozcieńczonym opium.

– Ja to zrobię, jeśli chcecie, ale musicie zdecydować teraz, bo muszę się jeszcze przebrać do uczyty.

Christopher ostrożnie wysączył zawartość kubka, przechylając do tyłu całe ciało, żeby nie ruszać szyją. Pomogła mu, podtrzymując kubek jednym palcem. Wzięła od niego puste naczynie, a Christopher wyprostował się z jękiem i wolno otworzył usta.

– W dudka – westchnął w końcu, a Lorcan mruknął coś na zgodę.

– A więc w dudka. Ty zaczynasz – wymamrotał, z mozolem rozdał po dwie karty i odwrócił talię.

Widząc to, aż pokręciła głową. Już samo patrzenie w karty stanowiło dla nich wysiłek i ledwo byli w stanie dojrzeć kolory, a co dopiero liczyć punkty.

– Boże, miej nas w swojej opiece – mruknęła i poszła, by się umyć i przebrać.

Podczas przygotowań do kolacji słyszała, jak rozmowa się rozkręca, a gdy wkładała suknię, do jej uszu dochodziła już ciągła, choć mrukliwa wymiana zdań.

Zapadał wieczór. Uczta zbliżała się wielkimi krokami. Wynter zamknęła oczy. Westchnęła i przysiadła na brzegu łóżka. Po chwili położyła się na ukos w poprzek łóżka, na narzucie, zwieszając głowę z drugiej strony. Widziała okno do góry nogami. Spojrzała w niebo. Gwiazdy skrzyły się już milionami błysków, choć niebo wciąż było ciemnoniebieskie. Ciszę pomarańczowego gaju zakłócało cykanie świerszczy. A nic z tego – mruknęła.

List Razięgo wsunęła za stanik, kojąco szeleścił jej na sercu: „Wybacz mi, wybacz”. Świetnie, ale w takim razie, jak miała się zachować przy następnym spotkaniu? Czy nawet na osobności miała zwracać się do niego per Wasza Królewska Wysokość, Książę Razi, dygać i bić mu pokłony jak byle dworska marionetka? Prowadzić bezsensowne rozmowy o niczym? Nie dać po sobie poznać bólu, gdy będzie ją mijał bez słowa?

Wiedziała, co chciałyby zrobić podczas następnego spotkania, nie był to bynajmniej czyn godny kochającej, oddanej siostry. Z mściwą satysfakcją wyobraziła sobie dźwięk, jaki wydałby jej ciężki but, trafiając w jego zadek, i uśmiechnęła się. Wiedziała jednak, że złości nie starczy jej na długo, a im dłużej będzie leżała, tym szybciej zacznie się nad sobą użalać. Podskoczyła gwałtownie i wystrzeliła z łóżka jak z procy. Pociągając mocno nosem, odgarnęła włosy z twarzy, otrząsnęła się i dziarsko ruszyła do pokoju obok, by resztę wieczoru spędzić z szaleńcami, którzy byli równie irytujący jak Razi, ale przynajmniej wciąż chcieli z nią rozmawiać.

Gdy podliczała punkty, Lorcan zerknął na nią raz i drugi.

– Ładnie ci w tej sukni, malutka.

Wynter starała się nie stracić koncentracji.

– Siedzę tu już od dwudziestu minut, tato. Dopiero teraz mnie zauważyłeś?

Z drugiej strony łóżka Christopher odchylił głowę do tyłu i usiłował spojrzeć na nią spod zmrużonych powiek.

– Co zrobiła?

– Włożyła suknię.

– A – powiedział. – Widziałem ją raz w sukni. „Ładnie” to nie mało.

Lorcan posłał jej znaczący uśmiech: Widzisz? A nie mówię ci? Twój Hadryjczyk!

Wynter zmroziła go wzrokiem.



– Ale jej tyłeczek wołę w spodniach – mruknął Christopher, spoglądając w karty.

Wynter zrobiła wielkie oczy i zerknęła szybko na Lorcan. On też miał oczy jak spodki, a jego dłonie, a raczej niedźwiedzie łapy, gotowe były, by w każdej chwili skręcić hadryjski kark.

Lorcan pochylił się do przodu. Już otwierał usta, by palnąć mu kazanie, ale rozproszył go głośny stukot wojskowych butów na korytarzu.

Zamarli jak jeden mąż, nadstawiając uszu. Dobięła ich szcęk klucza w zamku i cichy odgłos otwierania i zamykania drzwi do komnat obok. Całą trójkę poraziła raptem jedna myśl: Razi wrócił, a pokój jest pusty!

– Wynter? – spytał Lorcan. – Zostawiłaś mu wiadomość?

Jęknęła i zerwała się na równe nogi. Christopher wydał z siebie głośne stęknienie, gdy w pokoju obok drzwi trzasnęły nagle o ścianę. Razi ryknął, wołając Christophera po imieniu, rozległ się huk, gdy przewrócił coś w panice.

– Szybko! – Christopher gorączkowo machał w stronę Wynter. – Zanim wybiegnie na korytarz! – ale ona już śmignęła do tajemnego przejścia. Gdy wpadła do jego komnat, Razi właśnie stał przy drzwiach wejściowych, już trzymał rękę na klamce.

– Razi! – syknęła. – Przestań!

Odwrócił się gwałtownie, przerażony i oszołomiony.

– Zabrali go! Zabrali Christophera! – krzyknął. – O Boże, Wynter! – Złapał się za głowę i pociągnął za włosy z taką siłą, że łzy stanęły mu w oczach. – O Boże! Co ja narobiłem?

Popędziła przez pokój, chwyciła go za ręce i pociągnęła w dół, tak że spojrzała mu prosto w oczy.

– Nic mu nie jest! – szepnęła. – Razi, Christopher jest u nas! U nas! Gra w karty z Lorcanem!

Słowa te docierały do niego powoli, jak przez mgłę strachu. Wolno opuścił ręce i popatrzył na nią nieco przytomniej.

– Uspokój się, bracie, już dobrze – powiedziała, poklepując

go po ręce. – Przepraszam, że nie zostawiliśmy ci wiadomości. Nie sądziliśmy...

Oczy miał pełne łez. Zamknął je na chwilę, a potem delikatnie otarł dłonią wilgotny policzek i wyprostował się, rozglądając po pokoju, jakby nie do końca wiedział, co teraz robić.

– Chodź – powiedziała, wzięła go za rękę i, zupełnie bezwolnego, poprowadziła tajnym przejściem.

Gdy Wynter weszła do sypialni Lorcana, Christopher niezdarnie odwrócił się w stronę drzwi. Na jego twarzy rysował się niepokój. Razi nie wchodził, stał oparty o framugę i patrzył na obu mężczyzn z ulgą i znużeniem.

– Przepraszam, Razi – szepnął skruszony Christopher.

Razi oparł głowę o ścianę.

– Dostałeś tynkturę? – spytał, a każde słowo ociekało zmęczeniem.

– Tak – odpowiedział, kiwając głową. – Muszę iść – szepnął i odwrócił się do wyjścia.

– Panie! Wybierasz się na ucztę? – spytał Lorcan.

Razi, cały czas zwrócony do nich plecami, lekko odwrócił głowę, tak że Wynter widziała tylko jego znużony profil.

– Wielmożny Obrońco Tronu, dla ciebie jestem Jego Królewską Wysokością, Księciem Razim. Musisz zwracać się do mnie, używając właściwego tytułu.

Przeczekał przedłużające się, wstrząśnięte milczenie i kiwnął głową, gdy Lorcan wyszeptał:

– Tak jest... Wasza Wysokość. Kornie proszę o wybaczenie.

– Właśnie wybieram się na ucztę. Dlaczego pytasz?

– Miałem nadzieję, że Wasza Wysokość zechce towarzyszyć mojej córce. Nie nawykła jadać przy królewskim stole, brak jej doświadczenia, pomyślałem tedy...

Razi przerwał mu, podnosząc rękę. Gdy przemówił, nikł już w mroku pokoju wypoczynkowego.

– Bądź gotowa za dziesięć minut, mościa panno. Czekać nie będę.

Przez chwilę siedzieli osłupiali w pełnej ciszy. W końcu Christopher westchnął, spoglądając na Lorcana.

– No to ci przygadał.

Ten uśmiechnął się krzywo i smutno.

– No to mi przygadał, a jakże.

Wynter przez chwilę wahała się, ale wyciągnęła zza dekolту list od Raziego. Podała go Lorcanowi, a on przeczytał, zaciskając zęby.

– O co chodzi? – spytał Christopher, wytężając wzrok, żeby zobaczyć, co robią.

Lorcan zerknął na Wynter, szukając przyzwolenia. Kiwnęła głową.

– Umiesz czytać? – spytał łagodnie Lorcan.

– Tak.

– Masz – pochylił się i podał mu list.

Christopher wziął, przesunął go w przód i w tył, wypróbował różne kąty patrzenia, z grymasem bólu przekręcił głowę i wreszcie znalazł pozycję, w której widział pismo. Przeczytał wolno, poruszając bezgłośnie wargami.

– Biedny Razi – westchnął.

– Stanowimy dla niego niebezpieczeństwo – powiedziała Wynter.

– Wyn – ojciec wziął ją za rękę. – Nie o to chodzi, kochanie.

– On myśli, że to on stanowi niebezpieczeństwo dla nas...

– szepnął Christopher.

– Właśnie – przytaknął Lorcan.

– Ale im jesteśmy bliżej, tym bardziej jest bezbronny – powiedziała z naciskiem.

– O tak. Razi nie ma wyboru, musi tańczyć, jak mu zagają.

– Biedny skurczybyk – rzucił Christopher, a Lorcan nawet nie skrzywił się na ten dobór słów.

Wynter uderzyła nagle pewna myśl.

– Christopherze, Jonathon już nigdy cię nie puści.

– Ma rację, chłopcze – potwierdził Lorcan. – Jesteś jego najlepszą kartą przetargową. Póki ma cię w ręku, Razi zgodzi się na wszystko. Jonathon zatrzyma cię tu na długo, długo.

– Na Fritha! – jęknął Christopher. Spojrzał bezradnie na Wynter i Lorcana. Dostrzegł w ich oczach współczucie i wiedział, że oboje teraz myśleli: I kto tu jest biednym skurczybykiem?

# Droga wolna

Następny ranek zbudził Wynter chłodem. Na dworze panowała szara mgła, która przesączała się przez okno do pokoju. Po nieznośnych upałach była to cudowna ulga. Wynter, rozłożywszy ręce na poduszkach, napawała się chłodnym brzaskiem. Wiedziała jednak, że to nie potrwa długo. Zamglone niebo już różowiło się na wschodzie. Wszystko więc wskazywało na to, że niebawem ten słodki chłód ustąpi pod naporem żaru kolejnego rozstolecznionego dnia.

Wszystkie ostatnie troski spadły na nią nagle, osiadły na jej klatce piersiowej i ścisnęły za serce. Z jękiem przekręciła się na bok i schowała głowę w zgięciu łokcia. Marzyła, by znowu zasnąć. Spać błogo, bez snów, pogрузić się w niebyt. Zamknęła oczy, usiłując zanurzyć się pod powierzchnię myśli, jeszcze raz popływać w cudownej studni niewinności i zapomnienia.

Zamiast tego jej niesforne myśli poszybowały ku wczorajszemu uczciu. Cóż to był za koszmar wypełniony protokolarnymi konwenansami, pod ciągłym obstrzałem ciekawskich oczu i szepczących ust sztucznie rozradowanego tłumu. Wszelkie na straż królewska przypominała złowrogą ruchomą ścianę, a Razi...! Razi był zimny, wyniosły i nieprzystępny. W drodze

na ucztę i z powrotem nie zamienił z nią ani jednego miłego słowa. W sali jadalnej ani razu na nią nie spojrzął, chyba że musiał ją poinstruować, w którą stronę obrócić głowę albo czyją rękę ucisnąć w pierwszej kolejności.

Nawet po kolacji, podczas niekończących się tańców, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Cały wieczór siedział na tronie brata, skwaszony i ponury. Gdyby Wynter nie wiedziała, co leży mu na sercu, uznałaby go za rozkapryśzonego, posępnego szubrawca. Takim zachowaniem na pewno nie zdobył sobie przychylności gości.

Wspomnienie bolało ją, stęknęła więc z frustracją i przewróciła się na plecy. Mogła teraz wstać, ubrać się, iść po jakieś jedzenie i zajrzeć do ojca. Mogła ruszyć przed wszystkimi do biblioteki. Zamiast tego zamknęła oczy i pozwoliła wilgotnej mgłę osiadać na twarzy i ramionach. Ptaki budziły się wśród drzew pomarańczy. Z dziedzińca stajni dobiegało pianie koguta. Zaczęła dryfować między jawą i snem, próbowała dać się unieść prądowi. Może znowu zaśnie, jeśli wystarczająco się odpręży.

Nagle usłyszała, jak ojciec mówi: Zimno mi.

Otworzyła oczy. Ktoś zapytał: W stopy? To był cichy, ale wyraźny jak dzwon w nieruchomym powietrzu głos Raziego.

– Tak.

– Przyniosę ci ze skrzyni jeszcze jedną parę skarpet.

Lorcan zmęczonym głosem odrzekł, że byłby wdzięczny. Rozległo się ciche szuranie. Razi spytał: Tak lepiej?

Musiła nastąpić jakaś poprawa, bo Razi szepnął prawie niedosłyszalnie: Dobrze.

Wynter leżała bez ruchu i wpatrywała się w sufit. Z bólem w sercu słuchała, jak człowiek, który jeszcze wczoraj całą ucztę przesiedział skrzywiony i warczał na każdego, kto odważył się podejść, przy drzwiach zamkniętych okazywał taką troskliwość i dobroć.

Ojciec wymamrotał coś niezrozumiale, a Razi odparł: To tylko jeszcze jeden dzień, Lorcanie! O nic więcej cię nie proszę.

W zduszonym głosie Lorcana pobrzmiwała frustracja.

– Mam mnóstwo roboty, Wasza Wysokość. Muszę nadzorować prace w bibliotece! I muszę się zorientować, jakie wiatry wieją teraz na dworze! Wylecieć z obiegu w takim czasie równa się śmierci.

– Lorcan – łagodnie upomniał go Razi. – Umrzesz, jeśli nie wypoczniesz, tak jak cię prosiłem. Jaśniej już nie mogę tego ująć. Umrzesz, i zostawisz naszą kochaną dziewczynkę samą z tym paskudnym bałaganem. Nie wierzę, że tego właśnie chcesz.

– I to wszystko z braku jednego dnia w łóżku? – w głosie ojca doskonale słyszała szyderczą nutkę.

Odpowiedzi nie było. Domyślała się, jaką minę ma Razi. Oczyma wyobraźni widziała jego brązowe oczy, stanowcze, niewzruszone i nieustępliwe. Wiedziała, że ojciec będzie próbował okazywać swe niezadowolenie, ale i tak polegnie. Usiadła na brzegu łóżka.

W pokoju obok panowała cisza. W końcu ojciec mruknął coś, poddając się woli Razięgo.

– No dobrze – powiedział Razi, ale w jego głosie nie było słychać triumfu. Słyszała za to odgłosy stawiania przedmiotów na stole. – Mam ci zaufać? Zrobisz to, o co cię proszę? – zapadła cisza. Lorcan musiał pewnie odpowiedzieć jakimś gestem czy szeptem. – Lorcan dotrzymasz słowa? Obejdzie się bez wstawania? Biegania za moimi plecami? Bo nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie tu znów widziano, więc muszę ci zaufać.

– Tak! Tak! – Niecierpliwie i ostro.

– Dziękuję. Dzisiaj nie dam ci już opium, żebyś się od niego nie uzależnił. Za to zostawiam ci haszysz. Zjedz po jednoraz

porcji do śniadania, obiadu i kolacji. Załatwiłem ci już porządne, pożywne posiłki, dostaniesz je do pokoju...

– Brzmi pysznie... – mruknął szyderczo Lorcan.

– Dość już tych dąsów.

– Po prostu nie jestem głodny.

– Przemawia przez ciebie opium... wkrótce będziesz umierał z głodu, zwłaszcza jeśli zażyjesz haszyszu, to znakomity środek na odzyskanie apetytu. Masz, wypij to.

Wynter włożyła szlafrok i podreptała do pokoju wypoczynkowego, żeby zajrzeć przez drzwi sypialni ojca. Razi pochylał się nad nim ze spokojną, uważną miną, właśnie wyciągał rękę po opróżniony kubek. Ubrany był w luźną białą koszulę, getry i buty do konnej jazdy. Jego szpicruta leżała na łóżku, przy stopach Lorcana. Najwyraźniej wybierał się do koni. Oparła się o framugę i patrzyła. Lorcan z krzywą miną oddał Raziemu pusty kubek.

– Uch! Smakuje jak końskie łajno, psiakrew!

Razi odwrócił się, żeby spakować torbę, Lorcan zaś opadł na poduszki i przyglądał mu się badawczo.

– Czy Hadryjczyk czuje się na siłach, by dotrzymać mi dziś towarzystwa?

Razi na chwilę przestał porządkować swoje rzeczy.

– Christopher będzie dzisiaj bardzo cierpiął, może nawet bardziej niż wczoraj. Ale dałem mu lekarstwo i niech sam zdecyduje.

– Lubię go – rzucił Lorcan, jakby sam się sobie dziwiąc.

Razi milczał.

– Podejrzewam, że coś go łączy z moją córką.

Wynter, zaskoczona, czym prędzej schowała się za rogiem. Nastąpiła długa cisza, po czym Razi westchnął cicho.

– Lorcanie, był czas, gdy nic nie ucieszyłoby mnie bardziej. Kłedyś miałem nadzieję... – tęskny głos Raziego ucichł.

– A teraz?



Razi zatrzasnął torbę zdecydowanym ruchem.

– Christopher Garron nie pozostanie tu na tyle długo, by moje nadzieje mogły się ziścić.

Na dźwięk tych słów nieoczekiwany żal ścisnął jej serce.

– Król nigdy go nie puści – powiedział ojciec. – Przecież wiesz.

I to napełniło Wynter takim strachem, że nie wiedziała już, czego chce ani co czuje. W pokoju obok nastąpiła cisza, więc znów podkraśniała się pod drzwi i zajrzała do środka. Do diabła z chowaniem się po kątach, gdy omawia się kwestie, które dotyczą ich wszystkich! Nie zauważyli jej, ale nie zrobiła nic, by zwrócić na siebie uwagę.

Razi stał zwrócony do Lorcana bokiem, obaj patrzyli na siebie porozumiewawczo, na ich twarzach malowało się napięcie. Razi opuścił wzrok i starannie umieścił torbę na szafce nocnej. Otworzył usta z miną kogoś, kto właśnie ma uczynić niechętne wyznanie.

– Moja obecność na podeście królewskim pójdzie wszystkim w piętę, Obrońco Tronu.

Lorcan skrzywił się. – Razi – jęknął. – Jeszcze się doigrasz. Zabiją cię.

– I co wtedy stanie się z Jego Królewską Mością? – zadrwił Razi. – Będzie uganiać się za jednym następcą tronu jak szczurem w piwnicy i grzebać drugiego na mużułmańskim cmentarzu? Mój ojciec jest szalony, ale nie głupi!

– W takim razie skrzywdzi twój Hadryjczyka, i to tak, że nawet sobie tego nie wyobrażasz. Ja znam twój ojca i wiem, wiadom ci, że nie masz z nim szans.

Razi wpatrywał się w Lorcana z kamienną twarzą. Po chwili jego ciało jakby zwiotczało, zgarbił się ze znużenia.

– Coś wymyślę – powiedział cicho.

– Ale do tego czasu miej się na baczności ze względu na siebie i na Hadryjczyka. Musisz poczekać na właściwy moment.

- Tak - westchnął Razi, patrząc na rozjaśniające się niebo - jeśli chodzi o Christophera, mam już za dużo na sumieniu.

- Wynter mówiła mi, że jest Merronem - rzekł ostrożnie Lorcan.

- Na mocy przysposobienia, owszem.

Lorcan zarumienił się, przez chwilę skubał kołdrę i w końcu mruknął niezręcznie:

- To wyjątkowi rozpustnicy, Razi.

- A i owszem, prawda! Ale Christopherowi możesz zaufać, Lorcanie. Nie zrobi naszej małej krzywdy - odpowiedział, a w jego głosie słychać było prawdziwe, jakże rzadkie ostatnio, rozbawienie.

Policzki Wynter oblały się rumieńcem, ale nie do końca wiedziała, jak rozumieć słowa Raziego. Co właściwie miał na myśli, mówiąc „krzywdą”? Czy Christopher nie byłby nią zainteresowany?

- Jeśli coś do niej czuje...

Przyjrzała się łagodnie rozbawionej twarzy Raziego.

- Możesz mu zaufać, Lorcanie. Daję słowo.

- Powiesz mi coś? Ale szczerze...

Razi odwrócił nieco głowę i patrzył na Lorcana, mrużąc nieufnie oczy.

Lorcan podniósł rękę.

- Nie proszę cię, żebyś zdradził mi sekrety przyjaciela. Ale... - przygryzł wargę. Spojrzał Raziemu w oczy. - Chcę, żeby była bezpieczna.

Razi patrzył na niego pytająco, a Lorcan westchnął.

- Czy on jest złodziejem? - spytał w końcu, podniósł rękę i pomachał palcami. - Przestępcą?

Razi spojrział na palce Lorcana i przetłknął ślinę.

- Powiedział mi, że już to wyjaśnił...

-- Nie wyjaśnił.

– Christopher nie jest złodziejem, Lorcanie. A jeśli skłamał, to tylko po to, by mnie chronić. – Gorycz i drżenie w jego głosie wprawiły Wynter w osłupienie. – To dobry, uczciwy człowiek. Popełniłem ogromny błąd, sprowadzając go tutaj. Przez mnie od początku ma same kłopoty, a teraz ojciec zrobił z niego bezwolnego pionka w swojej grze. Żałuję, że nie posłałem go do domu, gdy tylko... – zamilkł i spuścił wzrok.

Lorcan złożył ręce na kolanach i patrzył na Raziego z współczuciem.

– Więc co się stało z jego...?

Ale wyraz twarzy Raziego nagle się zmienił. Lorcan zamilkł, widząc, że jego młody przyjaciel dochodzi do jakiegoś wiekopomnego wniosku. W głowie Raziego świeciła jakaś myśl, wielka, zaskakująca idea.

Lorcan obrócił głowę i zauważył Wynter. Uniósł się lekko i zmarszczył czoło, chowając głowę w ramionach. Jego uśmiech mówił: przyłapałaś mnie na gorącym uczynku.

Razi pozostawał ślepy i głuchy na wszystko, co się wokół niego działo, pochłaniały go własne pędzące myśli. Nie zanosiło się, by w najbliższej przyszłości zamierzał odpowiedzieć.

– Oczywiście... – wyszeptał. Przez chwilę stał w kompletnym bezruchu z uchylonymi wargami, wpatrzony gdzieś w dal. – Oczywiście... – powtórzył. – Ale jak... żeby nie narazić go przy tym na śmierć? – Wolno skierował się do wyjścia. Nadal nie zauważał Wynter. Zamiast tego odwrócił się raptownie w stronę Lorcana i wziął z łóżka szpicrutę.

– Będzie mi potrzebna – z roztargnieniem kiwnął głową. Czubkiem szpicruty postukał Lorcana w stopę. – A ty leż w łóżku i rób, co kazałem.

Wyszedł zamyślony z pokoju, pogrążony w swoich kalkulacjach, a drzwi tajnego przejścia zamknęły się za nim luźno i szelestnie.

Wynter spojrzała Lorcanowi w oczy.

– Jezu! – powiedział. – Co z nim?

Nie wiedziała, ale serce cały czas waliło jej z niepokoju o obu przyjaciół.



Gdy dotarła do biblioteki, wciąż było bardzo wcześnie. Wiedziała, że Pascal i jego czeladnicy co dzień pokonują drogę między miasteczkiem a pałacem i zajmuje im to godzinę, więc nie spodziewała się, że przybędą tu zaraz. Ku jej wielkiemu zdziwieniu, gdy otworzyła drzwi, byli już na miejscu, stali na środku pomieszczenia zaniepokojeni i niewyspani.

Poczuła, że w czymś im przeszkodziła. Gary obejmował Jerome'a, a pozostali otoczyli ich luźnym kołem i bezradnie przestępowali z nogi na nogę. Gdy weszła, Jerome natychmiast wyzwoił się z objąć Gary'ego i odwrócił, ocierając łzy. Pascal do zbolątej miną trzymał się nieco z tyłu.

Powoli zamknęła za sobą drzwi i położyła narzędzia na stole.

– O co chodzi? – spytała.

Ku jej zaskoczeniu Gary natychmiast na nią napadł. Twarz pociemniała mu z gniewu i strachu. A Pascal tylko stał i patrzył.

– Gdzieś podziła swego mistrza? – warknął. – Mówiłaś, że przyjdzie! Gdzie on jest?

Wynter stała oniemiała, zaskoczona siłą ataku.

– Gdzieś podziła swego mistrza? – powtórzył Gary, jego łagodną twarz teraz wykrzywił gniew.

– Toć wiesz, gdzie on jest! – krzyknął nagle Jerome, podnosząc ręce w górę i ukazując wszystkim swoją zapłakaną twarz. – Wszyscy wiedzą, gdzie się podziewa zacny Obrońca Tronu! Otruty! Sprzątnięty spod królewskiego nosa w godzinę próby!

Jedyny pracujący na królewskim podeście! Jedyny przyzwoity człek w całej tej zatraconej kompanii! Otruty! A ty – trzęsącym się palcem wskazał na Wynter – a ty w najlepsze tańczysz z szubrawcem, który tego dokonał! Tańczysz i swawolisz, a dobrych ludzi spotyka... za... zagłada!

Pascal uniósł rękę, żeby uspokoić ten dziki potok słów.

– Ciii, Jerome.

Gary złapał kolegę za łokieć.

– Cichaj, Jerome – powiedział łagodnie, wwiercając nieufne spojrzenie w Wynter. – Cichaj.

Wynter uniosła pojednawczo ręce i zwróciła się do Pascala spokojnym głosem, choć narastała w niej panika.

– Co się stało?

To musiało być coś strasznego – myślała gorączkowo. – Coś potwornego! Te szalone oskarżenia, ta ledwo tłumiona agresja... wczoraj tego nie doświadczyła. Coś musiało się stać! Ktoś musiał coś powiedzieć albo zrobić, bo te oskarżenia nie wzięły się przecież znikąd.

– Jakżeś mogła? – wykrzyknął Jerome. – Zasiadać na uczcie na miejscu własnego ojca... A on – zamknięty w ciemnicy! I może właśnie żywota dokonuje. Jak możesz! Cały wieczór kręcisz zadkiem przed nosem tego czarnego łotra? Pić z jego kielicha jak haremowa dziw...

– Cichaj, Jerome... miarkuj się! – Gary odciągnął przyjaciela na bok. Wynter gapiała się na nich z otwartymi ustami. Ze strachu jej żołądek i serce zamieniły się w dwie bryły lodu.

Jerome zanosił się niemal histerycznym płaczem, usiłując wyzwolić się z uchwytu przyjaciela. Zmięta troską twarzą Gary'ego wyrażała żal i współczucie. Próbował trzymać w rywającego się Jerome'a i odciągnąć go od pozostałych, którzy stali wokół poruszeni.

Pascal ze łzami w oczach wskazał mu na tył biblioteki, a Gary i drugi trzecioroczniak siłą poprowadzili płaczącymu

Jerome'a między regałami za półki po drugiej stronie sali. Co jakiś czas wciąż dało się słyszeć jego zawodzenie, jakby nie mógł stłumić w sobie żalu.

Wynter chciała coś powiedzieć, spytać, ale nie była pewna, jakich użyć słów. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Pascal stanął obok niej, zaciskał zęby, widać było, że walczy z jakimś przemożnym uczuciem. W końcu wydał z siebie drżące syknięcie.

– Wielmożna Obrończyni Tronu – zaczął, jakby chciał dać jej szansę. – Gdzie twój ojciec? Przyszlim tu z samego rana z nadzieją, że go spotkamy. Że porozmawiamy z nim... – spojrział na Wynter chłodno. – Gdzie on, dziewczko?

Cóż mogła powiedzieć? Co zrobić, żeby nie zdradzić przy tym słabości Lorcana? Spojrzała Pascalowi w oczy, ale obawiała się, że i tak uzna ją za przestraszoną krętaczkę.

– Mojego ojca zatrzymały sprawy wagi państwowej, mistrzu Huette – mówiła, starając się nie podnosić głosu. – Nie wiem, jak was przekonać, musicie wierzyć mojemu słowu. Proszę was, byście nie wierzili, że mogłabym brać udział w jego zabójstwie. Że potrafiłabym otruć własnego ojca.

Pascal w dalszym ciągu przyglądał się jej spode łba. Mali pierwszorocznicy schowali się za jego plecami i z tej bezpiecznej odległości posyłali Wynter groźne spojrzenia.

– Toć każdy jeden widział cię tańczącą z Arabem – szepnął jeden z nich, a Pascal delikatnie wypchnął go poza jej pole widzenia.

Wynter chciała już wrzasnąć: Wcale nie tańczyłam z Razim! Albo: Będę tańczyć, z kim mi się żywnie podoba! Albo spytać: Kto naopowiadał wam takich bzdur? Wiedziała jednak, że nie da się to na nic. Nadal będzie musiała bronić się przed tą potworną plotką. Podniosła wzrok na Pascala i spojrzała mu prosto w oczy.

– Co się stało? – spytała.

– Pojmali kuzyna Jerome’a, jego żonę i dwójkę niedorostków. W środku nocy ich zabrali. A dziecię w kołysce samo zostawili, aż o świcie znalazła je kwilące matka Jerome’a.

– Jezu Chryste! – Wynter zakryła usta dłońmi i gapiła się na Pascala z niedowierzaniem. – Co...? Pod jakim zarzutem?

– Podburzania.

– Dobry Boże! A... a dzieci?

Pascal patrzył na nią ze zdwojoną uwagą, w jego oczach widziała nieufność. Dreszcz przeszedł jej po plecach, bo zdała sobie sprawę, że chce przyłapać ją na kłamstwie, doszukuje się śladów oszustwa.

– Dziecka też zawsze bioro, dziewczko, toć dobrze o tym wiesz.

Kiwnęła głową, owszem, dawniej zabierano też dzieci. Zawsze. Wtrącano do więzienia całe rodziny. Ale nie za panowania Jonathona, to on położył temu kres. Pokręciła głową. Przez chwilę rozglądała się wokół. Na tyłach biblioteki Jerome’kał nieprzerwanie; słyszała, że Gary coś do niego mówi.

– Dlaczego? – powtórzyła.

– Żona Donny’ego... Żona kuzyna Jerome’a. Mąż jej siostry został ubity z ręki Araba, który powiada, że targnął się na jego życie.

Wynter z niedowierzaniem wybałuszyła oczy.

– Mówicie... mówicie o Jusefie Marcosie?

Pascal skinął głową.

– Z Jusefa był prawy, lojalny człek. Wierny koronie. I za to został zabity, a jego żona i stary ojciec bez wieści przepadli.

– Postrzelił w głowę jednego ze strażników, mistrzu Huerto! Próbował zabić lorda Rازیego!

Na końcu języka miała już: Widziałam to na własne oczy! Sama widziałam, jak odrzucił łuk i wziął nogi za pas! – ale ona ją powstrzymało.

Pascal przypatrywał się jej badawczo.

– A biednego ogrodnika na śmierć zatłukli za to samo? On też postrzelił strażnika w głowę? Czy może tylko rzekł o jedno słowo za dużo, Araba zmierzwiwszy?

Wynter przypomniała sobie ogrodnika, który przypadkiem znalazł się w centrum wydarzeń, odrzucił swój sierp i uciekł przed rozwściezonymi strażnikami. Och, biedaczysko! Złapała się za głowę i na chwilę zamknęła oczy.

– I ludzie myślą, że to Razi ich zabił, bo...? Dlaczego...?

– Ludziska nic nie myślą. One wiedzą. Wiedzą, że tamci byli za królewiczem Alberonem i za to ich śmierć spotkała.

– Boże, miej nas w opiece – szepnęła Wynter. Absolutna pewność w głosie Pascala powodowała, że czuła się całkowicie bezradna, chciałyby sobie rwać włosy z głowy. – I aresztowali bliskich Jusefa? Jego rodzinę? – A więc to pogrom. Jonathon pograżał się coraz bardziej. Co robić? Znow skierowała wzrok na Pascala, który patrzył na nią hardo i bystro. – Jesteście w niebezpieczeństwie, mistrzu Huette.

– Jakbym nie wiedział – mruknął chłodno. Położył rękę na potarganej głowie pierwszorocznika, który znow próbował wychynąć zza jego pleców, i popchnął go z powrotem. Wszyscy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Jeśli aresztowania zaczęły zataczać coraz szersze kręgi, do najbliższej rodziny Jerome'a, to jego przyjaciółom, ich rodzinom i ich przyjaciółom też groziło pojmanie, tortury i egzekucja.

Gary i Jerome klócili się na tyłach biblioteki.

Gary mówił: Uspokój się już! Obaczym, co nam tatko powiedzą.

Słyszała drżący głos biednego Jerome'a, ale bełkotliwych słów nie mogła stąd rozróżnić. Wtem Gary wrzasnął: Cichaj! Cichaj! Życie ci niemile? Cichaj, Jer!

Jerome znow zaniósł się płaczem. Odgłosy były przytłumione, jakby Gary nagle ukrył chłopca w ramionach. Wynter postrzegła, że zza nóg Pascala wysuwa się drobna dłoń, która



dyskretnie szuka ręki starca. Nie patrząc w dół, Pascal odwzajemnił uścisk malca i nie puszczał jego rączki.

– Pozwólcie, że porozmawiam z ojcem – szepnęła Wynter, z ociąganiem podnosząc wzrok ku twarzy Pascala. – Zostańcie tutaj, proszę was – dodała. – Proszę, proszę, nie pozwólcie Jerome’owi opuszczać biblioteki.

Pascal nawet nie kiwnął głową. Gdy zamykała za sobą drzwi, stał nieporuszony.

Zamknęła cicho drzwi i stała przez chwilę, opierając się o nie plecami. Nie wiedziała, co robić. Czuła się zagubiona, o czym dobitnie świadczył fakt, że zostawiła swoje narzędzia – co w normalnych warunkach byłoby nie do pomyslenia. Równie dobrze mogłaby zostawić klejnoty rodowe na pieńku w obozie Cyganów, ale teraz nie była w stanie po nie wrócić, a poza tym chłopcy raczej nie byli w nastroju do złodziejskich figli.

Ale się porobiło – pomyślała. – I co teraz? Prawda jest taka, że gdy walec królewskiej maszyny zaczyna toczyć się w twoją stronę, możesz tylko osłonić głowę rękami i modlić się, żeby cię ominął. To, czy rodzina Jerome'a zginie, czy nie, nie zależało od Lorcana – nic, co Lorcan powie czy zrobi, nie będzie miało znaczenia. Nawet gdyby do wstawienia się za nimi przekonała samego Raziego, mało prawdopodobne, by powstrzymało to króla przed czystką. Takie sprawy żyły własnym życiem i umierały, kiedy przychodziła na nie pora, zupełnie jak zwierzę, które żyło, póki miało siłę do życia i pożerania wszystkiego na swej drodze.

Jęknęła. Dlaczego w ogóle się tym tak przejmuję? – pomyślała. O ileż łatwiej byłoby pozostać z boku, z nimi jako cieniem bez twarzy, imion i głosu. Ich nieuchronna zagłada

pozostałaby tak samo straszna, ale jakże łatwiej byłoby ją znieść.

Nie mieli szans – rozmyślała – a właśnie zobowiązałam własnego ojca do udzielenia im pomocy, obiecałam w jego imieniu, że podejmie się niemożliwego. Ale przecież to są członkowie cechu! Król porwałby się z motyką na słońce, biorąc na cel cały cech. A cech cieśli jest potężną i niezależną organizacją.

Nagle zrozumiała. Może z powodu szaleństwa lub urojeń Jonathon nie zdawał sobie sprawy, jak nieszczęśliwy jest jego lud. Gdyby ktoś mu uświadomił, jakie w jego królestwie panują nastroje, mógłby ponownie rozważyć tę nową, jakże niebezpieczną, politykę, która polegała przede wszystkim na robieniu z poddanych wrogów!

Ale Wynter nie mogła zwrócić się z tym do króla osobiście. Gdyby powiedziała o tym Lorcanowi, ten natychmiast wyskoczyłby z łózka, lekceważąc własne zdrowie, i utonąłby w politycznym sztormie, bo na dotarcie do brzegu zabrakłoby mu sił. Gdyby zwróciła się do Raziego, pewnie znów poczułaby jego lekceważenie. Pewnie bez słowa odwróciłby się do niej plecami. Miała do wyboru: albo dać się zranić, albo ryzykować zdrowiem ojca. Wybór był prosty. Skręciła korytarzem w lewo, wyszła na zewnątrz i skierowała się na ścieżkę prowadzącą do stajni.

Zbliżając się do padoku, słyszała już głośnie komendy Raziego. Wołał do stajennych: „W co uderzyła? Tutaj?”, „Przednią prawą?” i „Podnieś poprzeczkę, Michael!”. A więc Razi ćwiczył skoki.

Gdy podeszła bliżej, poczuła, że wszystko aż wibruje od łomotu końskich kopyt. Ziemia pod jej stopami dudniła. Zawsze kochała ten charakterystyczny dźwięk, równomierny tętent konia na prostej, przyspieszenie przed poprzeczką, pełne wyczekiwania ta-tat, gdy koń podkulał mocarne tylne nogi.

przed skokiem, a potem nagle, całkowite zawieszenie wszelkich dźwięków, jak nieme „hop!”, gdy koń zrywał się z ziemi i szybował w powietrzu.

Ten odgłos można było usłyszeć tylko tutaj. Podczas swoich licznych podróży nigdy nie spotkała się z tym typem jeździectwa ani nawet z żadną wzmianką o nim. Zdawało się występować tylko w królestwie Jonathona. Tęskniła za jego elegancją. Weszła na dziedziniec stajni i zobaczyła, że Razi siedzi na potężnej kasztanowej klaczy, jednej z jego długonogich arabek o łukowato wygiętych szyjach. Wynter nigdy nie widziała konia poruszającego się z podobną lekkością. Razi pokonywał z nią cykl siedmiu poprzeczek, wzbijając przy tym żółty pył. Na każdą z przeszkód prowadził ją bez śladu zawahania czy strachu. Na prostych łagodnie unosił się w strzemionach i opadał, przed skokiem pogłębiał dosiad i pochylał się do przodu. Delikatnie trzymał wodze, unosząc się w siodle bez żadnego wysiłku, w idealnej harmonii z ruchami konia. Był skupiony i całkowicie pochłonięty tym, co robi; nad wszystkim panował.

Krzyczał coś po każdym skoku, a stajenni uwijali się, wykonując jego zalecenia, to podnosili, to opuszczali poprzeczki. Głośno odpowiadali na zadawane pytania: czy koń zawadza o poprzeczkę, którą nogą zostaje w tyle albo uderza o przeszkodę. Razi odpowiednio modyfikował dosiad i starał się wykonać kolejny cykl bezbłędnie.

Jego dotychczasowe napięcie, ta niemal przerażająco żelazna wola i opanowanie, które nosił ostatnio niczym zbroję, przeszło jak ręką odjął. Twarz okrywał mu rumieniec wysiłku na świeżym powietrzu. Patrzył czujnie, oczy miał żywe i rozradowane. Był całkowicie skupiony i Wynter uświadomiła sobie, że świat dla niego nie istniał. W tej chwili byli tylko on i to wielkie zwierzę oraz ich wspólny wysiłek ku idealnemu zgraniu. Nie miała śmiałości, żeby mu przeszkadzać.

Przycupnęła w rogu i kątem oka rozejrzała się za strażnikami. Jej uwagę przyciągnęła jaskrawa plama w drugim końcu dziedzińca, wyprostowała się i otworzyła oczy szerzej. To był rudy kot. Ten sam, który zjawił się u niej wieczorem po pierwszym zamachu na Raziego.

Siedział na płocie i obojętnie przyglądał się Raziemu. Spostrzegła, że jeden ze stajennych też go zauważył. Skrzywił się, podniósł kamień i rzucił, chybając zaledwie o kilka centymetrów. Kamień uderzył w słupek pod elegancko złożonymi łapami kota, który jednak nie zeskoczył, nie wystraszył się, lecz z pogardą spojrzął na stajennego, następnie wstał, otrząsnął się i dał susa na dół, jakby z własnej, nieprzymuszonej woli. Stajenny patrzył za nim gniewnie, dopóki kot nie zniknął mu z oczu.

Wynter znów spojrzała na padok. Na chwilę serce jej zamarło, bo wielka klacz potrząsnęła mocno łbem, wytrącając wodze z osłabionej prawej ręki Raziego. Nić porozumienia pękła, koń się spłoszył i skoczył w bok. Stajenni z szeroko rozpostartymi ramionami usiłowali go zatrzymać. Ale Razi był zbyt dobrym jeźdźcem, by wypaść z siodła. Zebrał wodze lewą ręką, dosiadł konia głębiej i mocno ścisnął go kolanami. Powiedział coś uspokajającym tonem, tak że klacz po krótkiej jeździe po kole, z szeroko otwartym pyskiem, zatrzymała się. Razi siedział w siodle wyprostowany i opanowany, aż zupełnie się uspokoiła. Po chwili pochylił się do przodu, a jego twarz ściągnął ból. Zauważyła, że prawa ręka zwisa mu bezwładnie.

Gwałtownie wstała, chcąc biec do niego, ale ktoś za jej plecami powiedział nagle:

– Nie masz nic do roboty, Wielmożna Obrończyni? Drewna do ostrugania? Stolarzy do utemperowania?

Odwróciła się i spojrzała w wygoloną, aż nazbyt urodziwą twarz Simona De Rochelle'a. Uśmiechnął się nieprzyjaźnie, po czym poszedł do ujeżdżalni.

Na padok wbiegł stajenny, żeby wziąć wodze. Razi zdążył już się wyprostować i ukryć wszelkie oznaki słabości. Wynter z przykrością stwierdziła, że znów przywdział swoją dworską maskę. Wysunął stopy ze strzemion i przerzucił nogę nad szyją konia. Bez żadnej pomocy ześlizgnął się na ziemię, wyładował lekko i pewnie, kiwając głową do nadchodzącego De Rochelle'a. Wynter spostrzegła, że prostuje i zgina palce prawej ręki.

Razi całą uwagę skupił teraz na radnym, nie zauważył więc Wynter czekającej niepewnie w rogu. Przygryzła wargę i schowała się głębiej w cień, nie chcąc poruszać ważnych tematów przy De Rochelle'u.

– Jakie wieści? – usłyszała pytanie Razięgo.

– Pojmał wszystkich. Mężczyzn, kobiety i dzieci.

Razi zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

– Wielmożny Panie... – ciągnął De Rochelle, ale Razi ostrzegawczo wskazał mu wzrokiem strażników.

– Simon! – warknął.

De Rochelle wyprostował się, Wynter spostrzegła, że z irytacją wciąga powietrze.

– Wasza Wysokość – poprawił się.

Razi kiwnął głową i poprowadził radnego dalej, w dalszym ciągu nie widząc Wynter, przyczajonej w cieniu alejki.

– Dobrze, Simon – powiedział. – Musisz o tym pamiętać. Nie chciałbym cię stracić przez ten twój niewyparzony jęzor.

De Rochelle zarechotał i kiwnął głową. Poszli w stronę krytej ujeżdżalni.

Już otwierała usta, żeby zawołać Razięgo, ale słowa, które skierował do De Rochelle'a, powstrzymały ją.

– Jeśli król zarządzi czystkę – powiedział, klepiąc się szpicrutą po nodze – ludzie nabiorą o nim jeszcze gorszego mniemania.

A więc Razi wie – ucieszyła się. – Czy coś z tym zrobi?

– Gorszego mniemania o nim, a co za tym idzie – jeszcze gorszego o tobie, Wasza Wysokość.

Oddalali się i głos Raziego stawał się coraz cichszy, ale zdążyła jeszcze usłyszeć: Gorsze mniemanie o mnie to coraz lepsze mniemanie o moim bracie, Simon.

Boże, miej nas w opiece – pomyślała. – Razi, co ty knujesz? Życie ci niemiłe?

Zamierzała już iść, gdy nagle Razi wybiegł ze stajni jak oparzony. Całe dworskie opanowanie gdzieś się ulotniło. Rozglądał się gorączkowo po padoku, aż jego wzrok padł na Wynter. Badawczo się jej przyjrzał. De Rochelle musiał się wygadać, że spotkał ją po drodze. – Wielmożna Obrończyni Tronu? – zawołał przez spieczony słońcem padok. – Wszystko w porządku?

Zerknęła na strażników i zgięła się w dwornym ukłonie. Razi pewnie pomyślał, iż Lorcan albo Christopher potrzebują go, i tak się tym przejął, że opadła z niego ta starannie wyćwiczona wyniosłość. Spokojnym, chłodnym głosem odparła:

– Lepiej być nie może, Wasza Wysokość. Po prostu wyszłam się przewietrzyć.

Razi spojrział na nią niepewnie, kiwnął głową i wrócił do stajni. Simon De Rochelle obserwował ją z cienia, aż zniknęła za rogiem.

Gdy wracała, jej uwagę zwrócił gwałtowny ruch na końcu ścieżki. Puściła się tam pędem. Za węglem magazynu pasz spostrzegła, że to Gary Huette co sił w nogach gna do biblioteki.

A niech to! Zaraza! Do diabła! Zaraz zdradzi pozostałym, że Obrończyni Tronu wcale nie poszła porozmawiać z ojcem, jak obiecała, tylko pobiegła do swojego pana i władcy, mordercy, truciciela, pogańskiego bękarta, Raziego Uzurpatora. A niech to!

Ze złości kopnęła w ścianę, syknęła z bólu, podskoczyła na jednej nodze i zakłęła pod nosem. Wróciła do pałacu. A mimo to

powinnam wrócić do biblioteki i wytłumaczyć się? Czy uwierzą? A co, jeśli spróbują uciekać, przekonani, że knują coś za ich plecami? – zastanawiała się. – Jeśli tak, będą musieli wytłumaczyć się wartownikom. Sprowadzą na siebie nieliczne kłopoty.

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko rozmowa z ojcem.

Weszła do swoich komnat i stanęła jak wryta na widok Christophera. Jeden z foteli zaciągnął do pokoju wypoczynkowego, co w jego stanie było nie lada wyczynem, i ustawił go w otwartych drzwiach sypialni ojca.

Siedział prosto i nieufnie, wpatrywał się w coś w pokoju Lorcana. Jedną ręką ścisnął kurczowo poręcz fotela. W drugiej Wynter dostrzegła jego czarny sztylet oparty o kolano, ostrzem do przodu, gotowy do ciosu. Czubek noża drżał nieco. Christopher czegoś się bał.

Wynter zamknęła drzwi wejściowe i czekała, aż zauważy jej obecność.

– Mała? – szepnął, nie oglądając się.

– Tak – powiedziała cicho, sięgając po własny sztylet.

– W pokoju twojego ojca jest duch.

Przecież w tych komnatach nie pomieszkiwały żadne duchy! – pomyślała z przerażeniem. – To oznaczało, że przyszedł z wizytą. Duch, który rozmyślnie wyzwolił się z własnej strefy wpływów, dla własnego widzimisię, nigdy nie zwiastował nic dobrego.

Przełknęła ślinę i schowała sztylet z powrotem.

– Christopher – powiedziała cicho, zbliżając się do skulonego młodzieńca. – Nóż nie będzie ci potrzebny.

Gdy podeszła bliżej, usłyszała jego przyspieszony, chrapliwy oddech i zdała sobie sprawę, że Christopher odchodzi od zmysłów ze strachu.

– Tkwi tam już od dłuższego czasu – szepnął, wlepiając



w coś zapuchnięte, podbite oczy. – Przyszedłem odwiedzić twojego ojca, ale spał, więc wróciłem po poduszkę, a kiedy znów tu wszedłem... już tam był. Stał nad nim. Stał i patrzył.

– Czy to... duch kobiety? – spytała niepewnie, myśląc o Heather Quinn i implikacjach takiej wizyty.

Odetchnęła z ulgą, gdy odparł:

– Nie, mężczyzny. Żołnierza. Boję się, że urządzi twojego ojca tak jak tamtych, i zachodzę w głowę, jak go powstrzymać, ale nic mi do niej nie przychodzi... – Wykonał nożem lekki ruch i ciągnął dalej: – Gdyby zaczął... lśnić...

Wynter zrozumiała, że Christopher boi się fali upiornego światła, takiej jak ta, która zabiła inkwizytorów i ich ofiarę.

– Nie martw się, Christopher – powiedziała, stając u jego boku i klepiąc go po ramieniu. – Duchy zwykle nie robią nikomu krzywdy. – Mimo to nie kwapiła się, żeby zajrzeć do pokoju Lorcana.

– Taaak? Powiedz to mielonce, którą parę dni temu zostawiliśmy w lochu – rzucił cierpko, czujnie obserwując ducha. Wynter wzięła głęboki wdech, przysunęła się bliżej, opierając policzek na jego głowie, i zajrzała do sypialni ojca. Na widok ducha wydała cichy okrzyk, a Christopher aż podskoczył. Spróbowała odsunąć go z drogi, ale on krzyknął ostrzegawczo: – Nie! – i chwycił ją za rękę, odciągając od drzwi. Jego ciepłopalczasty uścisk był zadziwiająco silny jak na tak szczupłego chłopaka.

– Nie martw się, Christopherze. – Położyła mu dłoń na rękę, usiłując delikatnie uwolnić nadgarstek z miażdżącego uścisku. – Ja go znam! On nie zrobi mi krzywdy.

Lorcan spał ułożony na kołdrze w szlafroku i koszuli nocnej, jego długie włosy rozlewały się po poduszce jak krew. Nad nim stał Rory Shearing. Patrzył na śpiącego z miną, która mogła oznaczać urazę, ale też niepokój.

Oby nie zwiastował niczego złego – zmartwiła się. – Oby nie przybywał, żeby zabrać tatę.

Christopher, jakby czytając w jej myślach, spytał: – Czego chce?

Wynter wolno wstała, Christopher jeszcze przez chwilę ścisnął jej nadgarstek. Wolnym krokiem przeszła przez pokój i stanęła przy łóżku Lorcana.

– Witaj, Rory – powiedziała.

Duchy rzadko zwracają uwagę na coś, co ich nie obchodzi. Tak więc Rory Shearing zupełnie zignorował Wynter. Za życia był o ponad piętnaście lat starszy od Lorcana, ale zmarł tak dawno, że Lorcan dogonił go wiekiem.

Rory przekrzywił głowę, światło padło na jego przeczystą twarz pod innym kątem, i stało się jasne, że patrzy na Lorcana z olbrzymią miłością i troską. Przekonanie, że Rory jest zwiastunem śmierci, znów wróciło, ściskając jej gardło.

Usłyszała stęknienia Christophera, który usiłował wstać. Szeptem nakazała mu, by się nie ruszał z miejsca. Po chwili ciche jęki i mruknięcia ustały. Odwróciła głowę i nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc strach na jego twarzy i bezużyteczny sztylet trzymamy w pogotowiu na wypadek, gdyby Rory jednak postanowił zaatakować.

– Kto to jest? – szepnął Christopher, nie odrywając wzroku od ducha.

– To Rory Shearing – odpowiedziała cicho. – Był dowódcą mojego ojca podczas inwazji Haunów za rządów ojca Jonathana. Mężny wojownik i dobry człowiek. Ojciec darzył go olbrzymią estymą. Ten, co poprowadził obronę przełączył Profitu.

Powiedziała to tak, jak się mówi o rzeczach oczywistych. Domyśliła się jednak, że Christopher nic nie wie o bitwie stoczony

o przełęcz Profitu. Nic dziwnego. W czasie inwazji miał nie więcej niż trzy latka i mieszkał na dalekiej Północy, w Hadrze. Mógł więc nie mieć pojęcia o krótkiej, straszliwej wojnie, jaka przeto-  
czyła się przez to odległe południowe królestwo.

– Rory, Jonathon i mój ojciec zebrali niewielki oddział wojska i ku zaskoczeniu wszystkich pokonali Haunów, którzy strzegli przełęcz Profitu – wyjaśniła. – Ludzi Rory’ego w porównaniu z siłami wroga była garstka. Brakowało im żywności, byli właściwie na straconej pozycji. Nie sprzyjała im też pogoda. Znaleźli się w pułapce i właściwie przymierali już głodem, ale udało im się odciąć szlak, którym szły transporty wroga, i w ciągu kilku tygodni zamienili pewną porażkę w zwycięstwo.

Christopher mruknął coś z podziwem, a Wynter znów odwróciła się, by popatrzeć na Rory’ego czuwającego nad ojcem.

– Biedny Rory zmarł wkrótce potem – powiedziała. – Miał zaledwie trzydzieści trzy lata, tyle, co mój ojciec teraz.

– Twój ojciec musiał być strasznie młody.

– Siedemnaście lat.

Rory w dalszym ciągu nie zwracał na nich uwagi; równie dobrze mogło ich tam nie być. Zdawał się na coś czekać.

Wynter musiała przyznać, że nie spodziewała się go zobaczyć, zwłaszcza że ich komnaty znajdowały się poza jego strefą wpływów. Nigdy też wcześniej nie nawiedzał Lorcana, a ojciec starał się wręcz zniechęcić Wynter do chodzenia ścieżką, przy której bywał Rory: Zmarli powinni pozostać zmarłymi, kochanie. Trzymając go tutaj, wstrzymujesz go przed pójściem do nieba – napominał.

Ale Wynter była uparciuchem i wbrew przestrogom ojca zawsze wracała do swojego smętnego towarzysza zabaw. Teraz jednak musi być ze sobą szczerą: istnieje tylko jeden powód, dla którego duch czuwa w milczeniu nad łóżem chorego.

– Rory – szepnęła ze łzami w oczach. – Przyszedłeś po...?

Lorcan jęknął i westchnął przez sen, jakby coś go zabiło albo wystraszyło.

– Tato... – powiedziała, zaciskając palce na ramie łóżka. Zarówno ona, jak i Rory pochyłili się nad nim, gdy zaczął od-  
dychać szybciej i wiercić się niespokojnie.

– Powstrzymaj go! – krzyknął raptem Lorcan, a Wynter aż podskoczyła. – Powstrzymaj!

Otworzył nagle oczy i od razu spojrzął na pochylonego nad nim ducha. Rory uśmiechnął się, a Lorcan obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

– Rory – wyszeptał. – Śniłeś mi się.

– Tak, śniłem ci się – powiedział Rory głosem subtelnym jak płatek śniegu, tak lekkim i cichym, że równie dobrze mógłoby go nie być.

Lorcan zerknął na Wynter, milczącą i oniemiałą.

– Malutka – szepnęła, wyraźnie poruszony, że ją tu widzi. Spojrzął szybko na Christophera. A potem znów w łagodną twarz ducha. – Och, Rory – powiedział cicho. – Jeszcze nie jestem gotowy!

Rory Shearing pokręcił głową.

– To nie moje zadanie – uśmiechnął się, a Lorcan z ulgą odetchnął.

– Dzięki ci, Jezu! – powiedział, a Wynter zamknęła oczy i oparła głowę o ramę łóżka.

– Czego chcesz? – spytał Christopher, ostro i podejrzliwie. Lorcan zerknął na niego ze zmarszczonym czołem, ale Rory w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Dla Rory'ego Christopher nie istniał. Wynter prawdopodobnie też, przynajmniej w tej chwili. Istniał tylko Lorcan, bo to jemu chciał coś powiedzieć.

– Chłopiec... – Rory zwrócił się do Lorcana, gestykulując dłońmi i próbując się skupić. – Jonathona... – jego głos od-  
płynął gdzieś w dal, przez chwilę patrzył na Lorcana, unosząc rękę.

Wynter jęknęła. Zapomniała już, jak męczące bywały wypowiedzi duchów. Rozmawiać z nimi to jak łapać wodę palcami. Duchy zdawały się zbyt oddalone od ziemskich spraw. Po jakimś czasie większość z nich skupiała się tylko na jednym wybranym temacie. Tak jak Heather Quinn ze swoją obsesją na punkcie śmierci. Albo głodny duch na punkcie jedzenia. Ale Rory koncentrował się z całych sił, widziała to i modliła się, żeby zdołał przekazać, co go tak zaprzętało.

– Chłopiec Jonathona? – powtórzył Lorcan cierpliwie i spokojnie, starając się nie przerwać tych usilnych procesów myślowych. – Który z jego chłopców? Alberon, tak? Młodszy syn? Ten biały?

Rory zamknął oczy i zafalował jak wodorosty w strumieniu, to nabierając ostrości, to ją tracąc.

– Chłopiec Jonathona – wyszeptał, jakby wspominał sen. – On nie rozumie... tylko papier. Tylko... pomysły.

Christopher zawarczał niecierpliwie, a Wynter i Lorcan jednocześnie uciszli go.

Rory znów otworzył oczy i wpatrywał się w Lorcana.

– Ludzie – powiedział bardzo wyraźnie, jego głos brzmiał niemal normalnie.

Wargi Lorcana rozchyliły się z niepokojem. Spojrzał w uporczywie skupioną twarz ducha, a Wynter domyśliła się, że słowo „ludzie” w ustach Rory’ego miało dla ojca jakieś szczególne znaczenie.

– Nasi ludzie, Rory? Naszych dwudziestu czterech?

Rory zamrugał oczami, zagubiony, już zdążył zapomnieć.

Lorcan podciągnął się na łóżku i wyciągnął rękę, jakby chciał chwycić go za podarty mundur. Jego palce złapały tylko promienie słońca.

– Rory! Masz na myśli naszych dwudziestu czterech?

– Dwudziestu czterech – powtórzył Rory, twarz mu pojaśniała. – Tak. Ludzi.

Lorcan gwałtownie podniósł rękę do oczu, a Rory patrzył, jak jego przyjaciel usiłuje zebrać jakieś burzliwe myśli. Twarz ducha miała teraz wyjątkowo czujny wyraz, naprawdę widział człowieka przed sobą. Wynter zrobiło się nieswojo, że Rory gapi się na ojca z taką intensywnością. Duchy nie zwykły skupiać się na ludziach. To było wręcz niesłychane. Papierowe słowa Rory'ego wyrwały Lorcana z zamyślenia. Podniósł głowę, z wyraźnym wysiłkiem powściągnął emocje i zacisnął zęby, żeby powstrzymać łzy.

– Zapomnieli – powiedział mu Rory – o wszystkim, oprócz zwycięstwa.

Niepokój Lorcana przerodził się w dezorientację.

– Co masz na myśli?

– Ludzie. Chłopiec. Pomysły. Dawne dzieje. Wszystko na nic... wszystko na nic, Lorcan... Znów jej użył.

Lorcan kiwnął głową, patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

– Wiem.

– Teraz... chce ją zabrać...

– I słusznie, Rory. Powinien. Wszyscy się zgodziliśmy.

Rory pochylił się i bez ostrzeżenia zbliżył widmową twarz do twarzy Lorcana, który cofnął się, czując na skórze upiorny oddech, ale Rory przysunął się bliżej. Przez chwilę Lorcan patrzył prosto w oczy zmarłego. A zmarły patrzył w jego oczy. Ręce Lorcana zaczęły się trząść, w jego gardle uwiązł rozpaczliwy krzyk. Wydawało się, że nie jest w stanie odwrócić wzroku.

– Ludzie się nie zgadzają – wysyczał Rory. – Są za chłopcem!

Wynter drgnęła w panice, gdy ojciec zaczął się krztusić.

– Hej! – krzyknął spod drzwi Christopher, usłyszała szum nie przesuwanego fotela. – Hej!

Lorcan wydał z siebie straszliwe charknięcie, jakby się dusił. Wynter rzuciła się, by mu pomóc. Christopher, kuśtykając, znalazł się u jej boku.

– Tato! – krzyknęła.

Jednak wtedy Rory wyprostował się i przerwał kontakt wzrokowy, a Lorcan opadł do przodu, z ręką na gardle i purpurową twarzą. Natychmiast uniósł dłoń, więc posłusznie przystanęli. Starał się opanować.

Wynter wierciła się na brzegu łóżka, zerkając niepewnie to na Rory'ego, to na ojca. Za jej plecami Christopher zatoczył się jak pijany i chwycił ramy łóżka, w drżącej ręce wciąż trzymał obnażony sztylet.

Rory Shearing patrzył sennie na Lorcana.

– A więc – wycharczał Lorcan, wciąż trzymając się za gardło i spoglądając gniewnie na ducha. – Gdzie on jest? Chłopiec, gdzie jest?

Rory przekrzywił głowę, zdziwiony.

– Rory! – Lorcan głośno uderzył otwartą dłonią w łóżko.

– Rory! Skup się!

Duch zmarszczył czoło i zdawał się znów koncentrować na Lorcanie.

– Tak... – powiedział. – Chłopiec...

– Dlatego tu jesteś, prawda? Żeby powiedzieć mi, gdzie jest chłopiec. Przecież ty wiesz, że powinien jej użyć. Że wyciągnie wszystko na światło dzienne. Biorąc pod uwagę... – Lorcan zamilkł na chwilę i ciągnął dalej szeptem. – Biorąc pod uwagę wszystko, co poświęciłeś, by ją pogrzebać.

Rory raptem skrzywił się i obejrzał, jakby doszedł go z tyłu jakiś dźwięk. Wszyscy odruchowo spojrzeli na ścianę za nim, ale niczego nie dostrzegli.

– Rory? – zaczął niepewnie Lorcan. – Gdzie jest Alberon?

Rory oderwał wzrok od ściany.

– To chcecie wiedzieć? – spytał.

– Tak! – rzuciła Wynter. – Tak! Tato! Powiedz mu, że tak!

– Tak! – powtórzył Lorcan.

Rory znów obejrzał się za siebie.



– Muszę iść. – Zerknął na Lorcan. – Zrobię, co w mojej mocy. – Schował głowę i uniósł ręce, jakby ktoś krzyknął mu prosto do ucha, i znów spojrzął za siebie. – Muszę iść! – krzyknął, rozglądając się w panice, jakby nie wiedział, dokąd się udać. Nagle rzucił się do przodu, a Lorcan krzyknął przerażony i podkulił nogi, gdy Rory przeniknął przez łóżko i zniknął bezszelestnie za ścianą.

Przez chwilę rozglądali się niespokojnie, oczekując pościgu, ale nikt się nie zjawił. W powietrzu unosił się tylko nikły zapach prochu.

– Na Fritha – mruknął Christopher, gdy Wynter pomogła mu usiąść na brzegu łóżka. – Osobliwe życie wiecie w tym pałacu.

Lorcan popatrzył na córkę.

– Wygląda na to, że los zmusza nas do odszukania tego chłopca – powiedział.

Ale po co? – pomyślała. – Gdy już go znajdziemy, czy zaoferujemy mu pomoc? Czy raczej dostarczymy go królowi, żeby się z nim na dobre rozprawił?

Ku jej zaskoczeniu i przerażeniu Christopher wolno położył się na łóżku i zwinął jak kot u stóp Lorcana, chowając głowę w ramionach.

Lorcan i Wynter popatrzyli na niego z niepokojem.

– Dobrze się czujesz, chłopcze? – spytał Lorcan.

– O tak – szepnął Christopher zduszonym głosem. – Tylko właśnie staram się nie zwymiotować śniadania.

Wynter poklepała go po stopie, a Lorcan skrzywił się z pełnym rozbawieniem współczuciem.

– Leż sobie, ile dusza zapagnie, chłopcze. Znakomita z ciebie grzałka – stwierdził, wsuwając stopy pod brzuch Christophera.

– To są bryłki lodu, nie stopy.

Lorcan opadł na poduszki. Złożył dłonie na piersi i spojrzął w sufit.

– Rory Shearing... – zastanawiał się na głos z poważną miną. – Muszę pomyśleć.

– Lorcanie – zaczął Christopher, wciąż zwinięty w kłębek.

– Czy to ma coś wspólnego z tą krwawą maszyną?

Lorcan spojrział na niego przestraszony.

– Cicho, chłopcze! Im mniej wiesz, tym dla ciebie lepiej

– Nie byłbym tego taki pewien – prychnął Christopher.

– Wiem tyle, co nic, a i tak obrywam po głowie.

Na twarzy Lorcana pojawiło się rozbawienie, które po chwili ustąpiło rozpacz. Wynter zaś, niewiele myśląc, okryła stopy Christophera rąbkiem szlafroka ojca.

– Dzięki.

– Przekłęci komedianci – mruknął Lorcan, delikatnie szturchając go stopą. – Tylko odstawialiby tu teatr. – Znów ułożył się na poduszkach i z zadumaną miną wrócił do studiowania sufitu.

Wynter spojrzała na bladą twarz ojca oraz jego bezustannie drżące palce i szybko podjęła decyzję. Skierowała się do wyjścia.

Lorcan rzucił jej zaniepokojone spojrzenie.

– Wynter! – powiedział ostro, jakby właśnie o czymś sobie przypomniał. – A co ty tu w ogóle robisz? Jakiś problem w bibliotece?

– Nie, tato – odparła z uśmiechem. – Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie. Lepiej już pójdę.

Na progu zatrzymała się, sięgając ręką do klucza. Przed oczyma stanął jej Pascal Huette, wyciągający rękę, by schować w niej dłoń dziecka. Oparła się czołem o drzwi. A dziecię w kołysce samo zostawili – brzmiało jej w uszach. – Czuła, że ojciec nigdy by jej nie wybaczył, sama też nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby przynajmniej nie spróbowali im pomóc.

Wróciła do pokoju Lorcana. Zatrzymała się w drzwiach. Lorcan zauważył ją i nim zdążyła otworzyć usta, już podnosił się na łokciach.

**B**oże, dopomóż... Nie znoszę tego. – W głowie Lorcana pobrzmiwała gorycz. Wynter pomyślała, że narzeka na słabe zdrowie i brak sił. Nic więc nie powiedziała, tylko poklepała go po ramieniu i dalej trzymała straż na oświetlonym pochodniami korytarzu, gotowa go ostrzec, gdyby pojawił się jakiś intruz.

Obrali mniej więcej tę samą drogę, którą szli, gdy Jonathon pomagał Lorcanowi dotrzeć z biblioteki do pokoju. Na razie udało im się nie wzbudzić niczyjego zainteresowania. To było jednak ostatnie przejście na uboczu, więc Lorcan zatrzymał się, by złapać oddech i zebrać myśli przed wciągnięciem maski Obrońcy Tronu. Pocił się i trząsał, a Wynter z każdą chwilą nabierała większego przekonania, że źle uczyniła, mówiąc mu o czeladnikach.

Na łóżku Lorcana zostawili Christophera, który przyglądając się Lorcanowi zbierającemu się do wyjścia, kiwał głową z politowaniem. Jego oczy zdawały się mówić: Nie bądź głupi. Razi cię zabije. Teraz Wynter zastanawiała się, czy Razi zdąży to zrobić. Chciała już poprosić ojca, by jednak wrócili, gdy ten znów zaczął narzekać.

– Nie znoszę tego życia w ciągłym strachu. Chciałbym mieć chwilę, żeby usiąść i pomyśleć.

Dopiero teraz Wynter zdała sobie sprawę, że wcale nie mówił o swoim zdrowiu.

Wpatrywał się w sufit z właściwą sobie zadumą, jakby chciał odnaleźć jakąś wskazówkę ukrytą w starannie ułożonych kamieniach.

– Nie znoszę tego ciągłego dostosowywania się. Mam wrażenie, jakbym przez ostatnich pięć lat tylko działał. Tylko akcja – reakcja, akcja – reakcja. Żadnego czasu na zaplanowanie kolejnego ruchu, zorganizowanie obrony, a ziemia znów usuwa ci się spod stóp, nadchodzi potop i znów ruszamy dalej. Och, Wyn! – Jęknął nagle, kryjąc twarz w dłoni. Po raz pierwszy w życiu Wynter usłyszała w jego głosie żal wypływający z poczucia klęski. – Jestem zbyt zmęczony. Jestem po prostu... – westchnął głęboko.

Pełna współczucia chciała już położyć mu dłoń na piersi, by go pocieszyć, powiedzieć: Już dobrze, tato. Wracajmy. On jednak szybko odsunął się od ściany, wstał i z pełną determinacją spojrzął w kierunku krótkiej klatki schodowej na końcu korytarza.

– W górę tymi schodami, potem przez ogród różany, kolejne schody i już będzie biblioteka – powiedział, jakby zawierał pakt z samym sobą. – No dobrze. – Odetchnął i ruszył dalej, wsparłszy się na ramieniu Wynter.

– Gdy wejdziemy na górę, znajdziesz się na widoku – stęknęła. – Będziesz musiał iść o własnych siłach.

– Niech no wpierw tam dotrę, mała!

Wchodzili wolno i ostrożnie. Przystanęli na czubku schodów, by mógł zebrać siły. W końcu Lorcan wyprostował ramiona, wziął głęboki wdech i wyszedł na słońce.

Gdy zamknęli za sobą drzwi, okazało się, że ogród jest pusty, ale Lorcan nie wypadł z narzuconej sobie roli. Szedł wolno, prosty jak struna, a jedynym ustępstwem na rzecz stanu zdrowia było kurczowe ściskanie ramienia córki. Wynter też szła

spokojnie. Zerkając na ojca, pomyślała: Kogo my chcemy oszukać? Przecież wystarczy na niego spojrzeć!

Granitowe schody prowadzące do drugiego skrzydła pałacu o mały włos nie okazały się przeszkodą nie do pokonania. Było ich zaledwie sześć. Lorcan zatrzymał się pod nimi niczym pod schodkami na szubienicę, trząśnięty i patrzył bezradnie w górę. W końcu wbił palce w ramię córki, pochylił się do przodu i zaczął wspinać, pokonując z trudem kolejne stopnie.

Na szczycie zgarbił się i wyraźnie opadł z sił, Wynter wzięła go więc pod ramię.

– Nie trzeba – syknął i się wyprostował.

Wtedy usłyszeli krzyki.

– Cholera – powiedział Lorcan bezbarwnym głosem, znowu ruszając do przodu.

W chłodnym mroku wyłożonego kamieniem korytarza głosy były bardzo wyraźne. Drzwi do biblioteki w drugim końcu stały otworem, i to z nich dochodził ten hałas. Jakiegoś dziecka płakały. Starszy mężczyzna krzyczał, a nad tym wszystkim unosiło się wysokie, piskliwe zawodzenie trzech przerażonych wyrostków.

– Na rany Chrystusa – jęknął Lorcan, sunąc do przodu i opierając się w nogach.

Przybywamy za późno – pomyślała z żalem. Ale gdy pokonali zakręt i wpadli do biblioteki, nadzieja zatliła się w niej na nowo. Nie było krwi. Trzej żołnierze, którzy siłowali się właśnie z podopiecznymi Pascala, okazali się zwykłymi wartownikami, a jeden z nich był strażnikiem bramy. Ani śladu osobistej straży Jonathona. Gdyby znalazł się tu choć jeden z tych potężnych, zawziętych drabów, los chłopców byłby przesądzony.

Strażnicy próbowali wyciągnąć Jerome'a i Gary'ego, chłubiących się w kręgu utworzonym przez pozostałych czeladników. Dwóch wartowników trzymało Jerome'a, który wyrywał się z całych sił, kopał i pluł. Strażnik szarpał się z Garym

Wszyscy chłopcy krzyczeli i łkali żałością. Pascal wyciągnął skądś drewniany młotek i szykował się do zdzielenia po głowie strażnika – jeszcze chwila, a doszłoby do tragedii. Lorcan, niezauważony, stojąc w drzwiach, ryknął: – Co tu się wyprawia z moimi ludźmi?

Gdy chciał, potrafił krzykiem ogłuszyć. W bibliotece zapadła cisza, wciąż wibrująca od jego głosu. Wszyscy odwrócili się, wybałuszając oczy. Żołdacy szybko otrząsnęli się ze zdziwienia i znowu zaczął w nich narastać gniew. Jeden z nich zrobił nawet krok naprzód, mieląc w ustach jakieś ostre słowa. Jednak strażnik bramy powstrzymał go, rozpoznał bowiem w cieśli jej ojca i stanął na baczność.

– Obrońco Tronu, Jaśnie Wielmożny Panie Moorehawke! Ci dwaj chcieli ukradkiem przedostać się poza mury. Przyłapaliśmy ich na gorącym uczynku. Nie mieli papierów. Gdy chcieliśmy ich przesłuchać, Wielmożny Panie, rzucili się do ucieczki, więc puściliśmy się w pogoń.

Wynter odetchnęła z ulgą. Nie był to dalszy ciąg czystki ani nakaz aresztowania wydany przez króla, tylko nieudana próba ucieczki.

Spostrzegła, że chłopcy z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi buziami wpatrują się w jej ojca jak w tęczę. A więc to on! Bohater każdego czeladnika. Cieśla żyjący z pracy własnych rąk, któremu sam król Jonathon nadał tytuł i władzę. Wspaniały Obrońca Tronu, lord Lorcan Moorehawke, który ocalił królowi życie, gdy byli dziećmi. Z zapłakanych twarzy chłopców biło uwielbienie, a Wynter modliła się w duchu, by zdołał ich ocalić.

Chyba tylko Pascal zauważył straszliwą bladość na twarzy ojca, lekko zgarbione ramiona, niespokojne dłonie. Stanął za grupką swoich uczniów i ponad ich głowami patrzył smutno na Lorcana. Jego twarz wyrażała ból wynikający z ich trudnego położenia i współczucie dla Lorcana.

Lorcan powiódł po chłopcach chłodnym spojrzeniem i podjął ryzyko, licząc na to, że żaden z nich nie wymyślił jeszcze żadnego usprawiedliwienia.

– Wy pędraki zatracone, kazałem wam poczekać na papiery. Coście znowu zmalowali?

Chłopcy popatrzyli niepewnie na strażników.

– Prosim... prosim wybaczenia, Wielmożny... – odpowiedział ochryple najbystrzejszy z nich, Gary. – Zapomnielim.

Jerome, wystraszony i roztrzęsiony, tylko wybałuszył oczy.

– Zapomnieliście? Zapomnieliście! – ryknął znowu Lorcan, aż wszyscy podskoczyli. Jeden z młodszych chłopców zaczął płakać, ale na ustach Pascala Huette'a Wynter dostrzegła cień uśmiechu. – No, to zobaczymy, czy zapomnicie, jak obetnę wam dniówkę, tłumoki! – Lorcan w dwóch dużych susach wszedł do biblioteki i wskazał na strażników naśmiewających się pod nosem z zaczerwienionych chłopców. – Myślicie, że ci zacni ludzie nie mają co robić, tylko uganiać się za takimi szczurkami jak wy? Przeproście!

Gary z napiętą twarzą i strachem w oczach natychmiast odwrócił się w stronę strażników.

– Prosim wybaczenia, dobrzy panowie strażnicy. Nie chcę marnować waszego czasu.

Strażnicy spojrzeli ostro na Jerome'a, którego wciąż trzymali pod ręce. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale nie może wydusić słowa. W końcu wydobył z siebie ochrypły, przerażony pisk. Strażnicy wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich potrząsnął chłopcem.

– Powiedz, że przepraszasz, piskaczu!

– Odmaszerować!

Zimny rozkaz Lorcana przeciął ich rozbawienie niczym rzeźnicki nóż. Strażnicy uświadomili sobie, że zagalopowali się, szydząc z ludzi Wielmożnego Obrońcy, ludzi, których tylko on mógł karać i upominać. Puścili Jerome'a, który zachwiał się na

nogach, ale natychmiast czmychnął w ciemny kąt, i stanęli na baczność z minami wyrażającymi wystudiowaną obojętność. – Gdy spotkacie moich chłopców następnym razem – mówił Lorcan – obiecuję, że będą mieli stosowne papiery i nie będziecie musieli opuszczać swoich stanowisk, by uganiać się za uczciwymi członkami cechu. – Skinął władczo na strażników, dając do zrozumienia, że mogą odejść, a ci zaszalutowali i wyszli, cicho zamykając drzwi.

W bibliotece zapanowała cisza. Lorcan przez chwilę wpatrywał się w drzwi z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Wynter stanęła obok niego. Zauważyła, że powieki mu ciążyły, wydawało jej się nawet, iż przez chwilę był nieobecny myślami.

– Gary, przynieś Wielmożnemu Obrońcy krzesło. Gary... przynieś krzesło – usłyszała cichy głos Pascala Huette'a.

Rozległo się szuranie mebli i miękkie kroki. Gary i trzeciocroczniak przydźwigali z czytelni ciężkie krzesło i postawili za Lorcanem. Wrócili do swojego mistrza i przypatrywali się przybyszom w milczeniu. Wynter położyła rękę na piersi ojca i powiedziała cicho:

– Panie, czeladnicy pragną, abys uczynił im ten zaszczyt i usiadł.

Lorcan spojrział najpierw na nią, a potem na grupkę stłoczonych w drugim końcu pomieszczenia czeladników.

– Durnie – powiedział, a w jego głosie nie było nawet cienia rozbawienia czy emocji. – Dlaczego nie zaczekaliście, jak kazała wam moja czeladniczka?

Rządek przestraszonych oczu zwrócił się teraz ku Wynter. Wyczytała w nich dezorientację połączoną ze szczyptą wstydu i dużą dozą podejrzliwości.

– Zechcicie usiąść, Wielmożny Panie.

Głos Pascala brzmiał łagodnie i nie było w nim cienia niebezpiecznej litości.



Lorcan spojrział na krzesło, które zrobił własnoręcznie. Zawahał się, jakby chciał odrzucić tę propozycję, ale Wynter wiedziała, że zastanawia się, czy wystarczy mu sił, by usiąść, nie tracąc przy tym równowagi. Spojrział gniewnie na otaczających go czeladników Pascala i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Właściwie czemu nie, skoro tak wam zależy. Usiadł sztywno, przybierając złowrogą, ale łatwą do utrzymania pozycję. Wynter stanęła z tyłu.

– No więc? – warknął Lorcan. – Moja czeladniczka, działając w moim imieniu, zostawiła wam szczegółowe instrukcje, które brzmiały: siedzieć na tyłkach i czekać do mojego przyścia. Czemu więc ganiacie jak kot z pęcherzem pod nosem strażników?

Pascal milczał. Może nie przeszkadzało mu, że Lorcan wziął na siebie zadanie upomnienia jego chłopców, a może poczuwał się do odpowiedzialności za ich wybryk i uznał, że gniew Lorcana jest skierowany również do niego. Gary niezgrabnie przestąpił z nogi na nogę.

– Zaszła do Araba – wymamrotał, spoglądając na Wynter. – A nie do was, panie.

– Zapewniam cię, młody człowieku – powiedział dobitnie Lorcan, pochylając się do przodu – gdy następnym razem przyjdzie ci do głowy śledzić kobietę wysokiego stanu, módl się, żeby była też równie dyskretna jak moja córka. Gdyby Wielmożna Obrończyni choć słowem wspomniała o twoim wybryku, zostałbyś pojmany przez królewskich strażników, pocięty na drobniusie kawałki i rzucony na pożarcie psom.

Gary znów zerknął na Wynter, która obserwowała go chłodno, stojąc za krzesłem ojca. Lorcan bezlitośnie ciągnął dalej:

– Postąpiliby w ten sposób, bo takie byłoby życzenie króla. Nawet najpocziwszy z ludzi, Jego Wysokość Księżę Razi, nie zdołałby cię ocalić. A wiesz dlaczego?

Gary zamrugął szybko oczami i pokręcił głową.

– Jego Wysokość Księżę Razi nie mógłby cię ocalić, bo w obliczu królewskiej woli jest tak samo bezradny jak ty czy ja. Rozumiesz, co mówię? – Lorcan powiódł wzrokiem po wszystkich skupionych twarzach, kończąc na Pascalu. – Rozumiesz? – powtórzył, zwracając się bezpośrednio do starca. – Jego Wysokość musi poddać się królewskiej woli. Jest poddanym. Działa zgodnie z królewską wolą.

Jerome nagle jakby obudził się z koszmaru. Spojrzał na Lorcana zaczerwienionymi oczami, jakby widział i słyszał go po raz pierwszy. Wydał z siebie długie westchnienie.

– Powiadacie, że ten pogański bękart wcale nie skacze z radości, że jego zadek spoczął na tronie następcy? To próbujecie nam rzec?

Pascal i pozostali czeladnicy byli wyraźnie zakłopotani śmiałością Jerome'a, ale żaden nie próbował go uciszyć ani odciąć się od jego słów.

Dobry Boże – pomyślała Wynter – Te uprzedzenia są naprawdę głęboko zakorzenione. Ten chłopak był dzisiaj o krok od śmierci. Wszyscy są o krok od śmierci... a nie przestają.

Patrząc na te blade twarze, nie mogła nie podziwiać ich bezgranicznej lojalności wobec Alberona. A zarazem nie mogła się nadziwić, jak bardzo ufali Lorcanowi, że w jego obecności pozwalali sobie na tak niebezpieczne słowa, choć wiedzieli o jego zażyłości z królem.

Lorcan przeszył Jerome'a ostrym spojrzeniem.

– I niech mi to będzie ostatni raz, kiedy szkalujesz kogoś za jego rasę, wyznanie czy okoliczności narodzin, chłopcze. – Świdrował go wzrokiem na wylot, aż Jerome spuścił oczy.

Lorcan jeszcze raz popatrzył na wszystkich i jego głos nieco zmiękł, z lodowatego stał się zaledwie zimny. – Jego Wysokość Księżę Razi... i zapamiętajcie to sobie, właśnie tak będziecie o nim mówić, pod karą chłosty lub więzienia, z rozkazu

króla... Księżę Razi traktuje swoją obecną pozycję jako narzucony mu przez króla obowiązek, posługę wobec brata. Jest mu tak samo wierny jak ja czy wy. Pojmujecie?

Czeladnicy niepewnie zmarszczyli czoła.

– Pojmujecie?

– A co z czystką? – spytał Pascal w imieniu wszystkich pozostałych, którzy patrzyli teraz na niego jak na bohatera mogącego ocalić ich od straszliwej zguby.

Lorcan zawahał się. Wynter wiedziała, że było to celowe. Teraz ani jedno słowo, ani jedna zmiana wyrazu twarzy, ani jeden gest nie będzie przypadkowy czy nieprzemyślany. Zawahał się, dając im do zrozumienia, że czystka jest poza zasięgiem jego władzy. Jednak gdy przemówił, w jego głosie słyhać było nutkę nadziei.

– Nie mamy jeszcze pewności, Mistrzu Huette, czy to w ogóle jest czystka. Z tego, co mi wiadomo, królowi podpadła tylko najbliższa rodzina zamachowca Jusefa Marcosa. Mam rację? – Oczywiście Jerome’a napełniły się łzami. Pascal poklepał go głową. – A więc możliwe, że na tym się skończy.

Jerome, wyraźnie zagubiony, zaczął się rozglądać.

– A co z moim kuzynem, Wielmożny Panie? – powiedział, zwracając zażawione oczy na Lorcana. – Co z ich dziećmi?

Głos Lorcana był teraz zupełnie łagodny.

– Opłakuj ich. I przyjmij moje wyrazy współczucia.

Broda Jerome’a zaczęła drżeć, a z oczu popłynęły łzy. Gary otoczył go ramieniem.

– A teraz – powiedział Lorcan, a w jego głosie znów dzwijała stal – weźcie przykład z przezorności księcia Raziego i przestańcie szkalować króla. Jeśli nie chcecie czystki, to przestańcie dawać mu ku temu powody.

– Chcecie, żebyśmy siedzieli cicho? – W głosie Gary’ego słyhać było gorycz i wojowniczość.

– Chcę, żebyście wstrzymali się z krytyką i poczekali

– powiedział Lorcan, znów zadziwiająco łagodnie. – Jak do-  
brzy ludzie, jak wierni i cierpliwi poddani. Poczekali i pod-  
dali się woli Jego Królewskiej Mości. I wiercie mi, kiedy wam  
mówię, byście zaufali Jego Królewskiej Wysokości, Księciu  
Raziemu, który dokłada wszelkich starań, by przywrócić na  
tron swego brata.

Wyglądało na to, że zrozumieli. Nawet Jerome zamilkł. Tarł  
oczy i zdawał się przetrawiać słowa Obrońcy Tronu.

– Pascal – mruknął Lorcan. – Zagoń już chłopców do  
pracy.

I tak się stało. Wszyscy udali się do przydzielonej im części  
biblioteki, którą powoli zaczęły wypełniać dźwięki heblowania  
i piłowania, stały, cichy stukot niewielkich drewnianych pobi-  
jaków, uderzających w dłuta.

W końcu Pascal podszedł do Lorcana i przyklęknął.

– Czy jesteśmy bezpieczni, Wielmożny Panie? – spytał ci-  
cho, spuszczać głowę.

Lorcan chciał już położyć mu dłoń na ramieniu, ale w ostat-  
niej chwili powstrzymał się i kurczowo ścisnął poręcz krzesła.

– Będę jutro wieształ u boku króla. – Pascal w lot pojął  
znaczenie tej informacji i spojrzał przeproszająco na Wynter.  
Lorcan zamierzał publicznie okazać królowi poparcie, zasia-  
dając na królewskim podeście. – Zrobię co w mojej mocy, by  
przekonać go o waszej lojalności, solidności i uczciwości.

Oczy starca napęłniły się łzami. Kiwnął głową.

– Dzięki ci, Wielmożny Panie. Moje chłopaki...

– Ale zrozum – przerwał mu ostro Lorcan – że nie mogę  
chronić głupców. Musisz wziąć ich w cugle, Pascal. Zarówno  
twoich chłopców, jak i ich znajomych. Albo popłynie krew  
niewinna, jakiej nie pamiętamy od czasów naszych dziadków.  
A ja, jeśli przyjdzie co do czego, umywam ręce i nie będę po  
was płakał. – Spojrzał mu w oczy. – Rozumiemy się?

– Tak, Wielmożny Panie – wyszeptał Pascal. – Rozumiemy.

Starzec przeniósł się na drugi koniec biblioteki i zaczął od płaskorzeźby, której Lorcan nie skończył.

Lorcan przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, z opuszczoną głową i dłońmi kurczowo zaciśniętymi na poręczach krzesła. Wynter czekała cierpliwie. W końcu, nie podnosząc głowy i nie ruszając żadnym mięśniem, wyszeptał cicho, tak że tylko Wynter mogła go usłyszeć:

– Są zajęci, kochanie?

– Tak – szepnęła, zerkając ukradkiem na odwróconych tyłem czeladników.

Dźwignął się z krzesła, a ona wsunęła mu ręce pod łokcie, gdy z trudem prostował nogi.

Spoglądała na zapracowanych czeladników, ale żaden nie podniósł wzroku ani się nie odwrócił. Nawet gdy Lorcan zachwiał się na nogach, a Wynter musiała chwycić go w pasie i chwilę odczekać, żeby nabrał sił, wszystkie oczy były dyskretnie zwrócone w inną stronę. Nie spodziewała się po nich takiego taktu. Zastanawiała się, czy wynikało to z szacunku, czy z instynktu samozachowawczego. Może sądzili, że póki nie widzą, są bezpieczni. Może woleli nie wiedzieć, że ich los spoczywa w coraz bardziej słabnących rękach Lorcana.

**D**roga powrotna okazała się koszmarem. Krótkie odcinki zaludnionych korytarzy Lorcan pokonał, nie dając po sobie poznać słabości. Wynter czuła jednak, że jego palce wbijają się coraz głębiej w jej ramię i z każdym krokiem musi podtrzymywać coraz większy ciężar. Gdy dotarli do tajnych przejść i cichych piwnic, w końcu pozwolił sobie na okazanie narastającej bezradności, zwłaszcza że ból mocno się nasilił. Jęczał cicho: O Boże. Boże ratuj. Nie poddam. Nie dam rady.

Wynter z trudem szła obok, cały czas lękając się, że ojciec lada chwila padnie na ziemię, a ona nie będzie w stanie mu pomóc. Twardo postanowiła, że nie pozwoli mu umrzeć tutaj, w mroku, strachu i niewygodzie, bez świecy rozpraszającej mrok nadciągającej śmierci.

– Idź dalej! – zachęcała. – Nie przystawaj!

Wreszcie dotarli do końca tajnego korytarza i stanęli pod niewielkimi drzwiami. Musieli po raz ostatni znaleźć się na widoku, żeby przejść do korytarza prowadzącego do ich komnat.

Lorcan oparł czoło o drzwi.

– Wynter – jęknął. – Wynter... – i pokręcił głową.

– Już prawie jesteśmy! Proszę! Uda ci się!

Odwrócił głowę i spojrzał na nią poprzez mrok. Jego oczy mówiły: Nie dam rady. Doszedłem najdalej, jak mogłem.

– Gdy dotrzemy na miejsce, będziesz mógł zażyć haszyszu! – pocieszała. – Będziesz mógł położyć się na łóżku! Tato! Będziesz mógł przespać cały dzień i całą noc. Nie kusi cię ta perspektywa?

Odetchnął głęboko i raptem odsunął ją od siebie. Oparł się o ścianę, stojąc na trzęsących nogach. Puścił jej rękę, ostrożnie badając, czy nie straci równowagi. – Idź po Christophera. Prędko. Nie ustoję dłużej...

Korytarz prowadzący do ich pokoi roił się od służących, biegających to w jedną, to w drugą stronę. Wynosili jakieś rzeczy. To rzeczy Raziego – przeraziła się – i co teraz? Przepchnęła się przez tłum rozbieganych paziów i pokojówek z naręczami książek, przyborów naukowych, ubrań i chyłkiem przemknęła do komnat Raziego, gdzie spodziewała się zastać Christophera.

Stał z założonymi rękami oparty o ścianę i patrzył ponuro, jak rzeczy Raziego opuszczają ich wspólne pokoje. Gdy stanęła na progu, otrząsnął się z zamyślenia i chwiejnie odsunął od ściany.

Wygląda nie lepiej niż ojciec – pomyślała Wynter. – Skończy się na tym, że będę musiała nieść obu.

– O co chodzi? – spytał.

Nie odpowiedziała, ale na widok jej błagalnego, rozpaczliwego spojrzenia bez słowa ruszył za nią, lawirując w tłumie krzątającej się służby.

– Na Fritha! Ty uparty ośle!

Na dźwięk tego okrzyku Lorcanowi udało się zaśmiać. Christopher i Wynter chwycili go pod ręce, gdy właśnie zaczął osuwać się na ziemię.

Wreszcie dotarli do pokoju Lorcana. Christopher mógł mu położyć się na łóżku. Po chwili dyskretnie wyszedł.

Wynter zdjęła ojcu buty, tunikę i spodnie. Lorcan odepchnął ją i przykrył się kołdrą. Położył się na boku i podciągnął kołdrę pod brodę, co zwykle robił, gdy ból był już nie do zniesienia. Podała mu mocno pachnące haszyszowe ciastko i obserwowała, z jakim trudem podnosi się na łokciu, by je zjeść i popić wodą. Położył się bez słowa i schował twarz w dłoni, wyraźnie chciał, żeby wyszła.

– Wypoczywaj – szepnęła. Lorcan nie odpowiedział.



Wróciła do salonu. Christopher stał oparty o framugę otwartych drzwi wejściowych. Z założonymi rękoma przyglądał się krzątaniu na korytarzu. Wynter stanęła obok niego, obserwując, jak wynoszą rzeczy Raziego.

Przez jakiś czas stali w milczeniu, w końcu Christopher szepnął cicho:

– Nie przyjdzie mu z tego nic dobrego.

Oboje rozumieli, że przeprowadzka niczemu nie służyła, bo czy przynajmniej w nocy nie chciał spać bezpiecznie, otoczony ludźmi, którzy go kochają?

Miała wrażenie, że Razi niepotrzebnie rzuca się na łeb, na szyję w zimne, czarne wody racji stanu. Zostawił Christophera, Lorcana i ją w ciepłym, przytulnym gniazdku, które im uwił, a sam odlatuje gdzieś w mrok. Przecież taka izolacja musi być męczarnią dla kogoś takiego jak Razi, obdarzonego takim wewnętrznym ciepłem.

– Jestem pewna, że ma swoje powody.

– Takie, że jest upartym osłem – podsumował Christopher.

– Dokładnie jak twój tata.

Zaśmiała się. Pod wpływem nagłego impulsu wsunęła Christopherowi rękę pod ramię i na moment – w geście mzbawienia – przycisnęła do niego czoło. – Co my z nimi



poczniemy? – uśmiechnęła się i dalej obserwowała zamieszanie na korytarzu, oparta wygodnie o Christophera.

Ku jej zaskoczeniu Christopher spał się i wyprostował. Jakby chciał się odsunąć. Położył dłoń na jej dłoni, zupełnie jakby chciał ją podnieść. Wynter nie odrywała wzroku od służących i ich gorączkowej bieganiny. Gest, który wykonała przed chwilą, był odruchowy – wzięła go za rękę i przytuliła się do jego boku. Teraz żałowała, nie dlatego, że byli w miejscu publicznym, czyli niebezpiecznym, ale dlatego że okazało się to dla niego niemiłe. Czuła wstyd i straszliwy zawód.

– Wynter – zaczął chmurnie Christopher. – Przecież wiem, że nie będę... – zawahał się, szukając właściwych słów, i spróbował od nowa. – Razi, on... on chce... – Spojrzał na nią z zamyśleniem i zamilkł.

Zerknęła na niego i zaczęła się odsuwać, ale z jego posiniaczonej twarzy, na której malowały się sprzeczne emocje, i z napięcia, które ogarnęło jego ciało, wyraźnie wyczuła, że usiłuje ułożyć coś sobie w głowie. W końcu doszedł chyba do jakiegoś wniosku, bo mocniej ścisnął jej rękę, która wciąż spoczywała w zagłębieniu jego łokcia.

– Do diabła z tym wszystkim – powiedział, chwytając jej uwięzioną dłoń, i znów zaczął śledzić krzątanicę na korytarzu. Po chwili Wynter poczuła, że bezwiednie gładzi kciukiem jej palce, ale jednocześnie uważnie obserwował służących. – Niech mnie zaraza pokręci – mruknął. – Ten człowiek ma całe góry dobytku.

Człowiek, o którym była mowa, w tym właśnie momencie wychynął zza rogu korytarza z twarzą jak chmura gradowa. Od razu ich spostrzegł, a Wynter poczuła, jak Christopher znów sztywnieje, gdy zmrużone oczy Raziego spoczęły na ich połączonych ramionach. Znikł w swoich apartamentach, nawet się nie zatrzymując, i od razu usłyszeli, jak krzyczy na służbę.

– Zwawiej tam, lenie zatracone! To miało być skończone godzinę temu! – Słyszać było jakieś szepty i przeprosiny, a potem znów władczy głos Raziego, znęcającego się nad podwładnymi. – Przenieście przynajmniej skrzynię z ubraniami i umywalnię, żebym mógł przebrać się na audiencję, do jasnej cholery! Nie! Precz z łapami od mojej torby lekarskiej, patałachu! Przecież zostawiłem wam szczegółowe instrukcje, że tego macie nie dotykać!

Wynter skrzywiła się, słysząc ten ton, a Christopher stanął prosto i delikatnie zdjął jej rękę ze swojego ramienia.

– On już nie jest nasz – mruknął. – Nie nasz...

Razi wypadł ze swoich komnat z niewielką teczką w jednej ręce i torbą lekarską w drugiej. Nie zaszczyciwszy ich nawet jednym spojrzeniem, odwrócił się na pięcie i zaczął się przeciskać między rozgorączkowanymi tymi ponagleniami służącymi.

– Wasza Wysokość! – zawołała Wynter, ale Razi albo nie słyszał, albo postanowił ją zignorować.

– Obrońca Tronu potrzebuje Waszej Wysokości! – podniesiony głos Christophera zatrzymał Raziego tuż przed zakrętem.

Razi spojrział na niego ze złością. Wynter myślała, że odejdzie, ale po chwili wahania zawrócił. Przepychnął się przez tłum i bez słowa minął ich w drzwiach. Christopher wzruszył ramionami i wszedł za nim do środka. Wynter zamknęła drzwi.

Na progu sypialni na widok skulonego Lorcana Razi zaważał się i zmarszczył czoło. Rzucił okiem na buty i stertę ubrań rozrzuconych po podłodze, a Wynter przeklinała się w duchu, że zapomniała je poskładać. Spojrział oskarżycielsko na nią i na Christophera, więc niepewnie podeszli bliżej, odwracając wzrok.

Chciał zamknąć im drzwi przed nosem, ale Christopher

zablokował je ręką. Razi spojrzął mu prosto w oczy. Christopher tym razem nie spuścił wzroku, tylko zmarszczył czoło, zdziwiony tą wrogością. Razi odwrócił się i poszedł w stronę Lorcana.

– Coś ty wyprawiał? – spytał, mierząc dygoczącego Lorcana gniewnym spojrzeniem.

Lorcan łypnął na niego okiem i natychmiast odwrócił głowę, od razu było widać, że ma coś na sumieniu.

– No wiesz... – wychrypiął – to i owo.

– Oszalałeś – odparł Razi, przyglądając mu się badawczo. Nagle rzucił torbę na szafkę nocną, a kubki i buteleczki spadły z niej z hukiem na ziemię. – Czemu... czemu wy nie możecie... nie możecie po prostu robić, co wam każę, do jasnej cholery? – Kopnął w szafkę z całych sił, a przedmioty, które jeszcze na niej stały, podskoczyły, zakręciły się i spadły.

Wszyscy na moment zamarli, porażeni tym gwałtownym wybuchem.

– Dobrze! – powiedział, zwracając do Lorcana twarz wykrzywioną gorzkim, sarkastycznym grymasem. – Dobrze, Lorcan! – Chwytał torbę i szarpnął za zapięcie. – Chcesz zachowywać się jak przeklęty bachor? Świetnie! Świetnie! Mam tu coś, co dosłownie zwali cię z nóg! Zwalę... – przez chwilę grzebał energicznie w torbie i wyciągnął z niej nalewkę opium. – Zwalę cię z nóg i nie zdołasz... nie zdołasz...

– Dość tego – rzuciła Wynter, stając z drugiej strony łóżka. Położyła opiekuńczo rękę na ramieniu ojca.

Razi dyszał oszołomiony własną złością.

– Razi, co się stało? – spytał cicho Christopher wsparty o framugę drzwi.

Razi zamknął na chwilę oczy. Potem odkorkował buteleczkę z opium i nalał kilka kropli na dno kubka.

– Co się stało? – powtórzył Christopher, nieco mniej cierpliwie. – Dlaczego wyprowadzasz się z naszych wspólnych komnat?

– Nie musisz – podjęła Wynter – odcinać się od bliskich, którzy cię kochają.

Dołał do kubka wody i w końcu powiedział:

– Nie zostanę tam. Nie mogę.

– Razi – jęknął niecierpliwie Christopher.

– To bez znaczenia! – odparł i huknął kubkiem o szafkę. Wyciągnął rękę, żeby pomóc Lorcanowi usiąść. – Po prostu nie mogę. I niech na tym stanie.

Wynter pochyliła się, usiłując z drugiej strony pomóc ojcu. Lorcan odtrącił ich oboje, próbując podnieść się o własnych siłach. Razi przez chwilę pozwolił mu niezdarnie się gramolić, ale zaraz chwycił go pod ramiona i siłą usadził prosto. Sięgnął po kubek, ale Lorcan złapał go za nadgarstek i pociągnął do siebie.

– Co się stało – spytał spokojnie, zaglądając mu w oczy – że musisz odcinać się od nas aż tak skrupulatnie?

Gniew Raziego jakby przycichł, jego wargi zadrżały.

– Pojawiły się pewne... insynuacje: Plotki, których nie ścierpię.

– Co? – spytał, wciąż ściskając jego nadgarstek. – Co mówią?

– Niektórzy z radnych, ci, co... – zaśmiał się, sucho i gorzko.

– Ci, co popierają mojego brata... mówią... żeby mnie zdyskredytować... – zerknął rozpaczliwie na Christophera, potrząsnął głową.

Lorcan wolno puścił jego rękę i wziął kubek.

– W takim razie postępujesz słusznie, odsuwając się – powiedział cicho.

Wynter nie zrozumiała. Patrzyła to na Raziego, to na ojca, w nadziei na jakąś wskazówkę

– Co? – powiedziała w końcu. – Co mówią?

Razi rozpaczliwie wznosił ręce do nieba, policzki mu płonęły.

– Nieważne. Dość powiedzieć, że nie ścierpię tego!

– Co mówią? – domagał się Christopher.

– Że jesteś moim katamitą, Chris! – krzyknął w końcu

Razi, odwracając się na pięcie i rozkładając ręce. – Nie ścierpię tego!

Lorcan skrzywił się, a Wynter jęknęła, oboje odruchowo spojrzeli na Christophera. Spodziewali się, że wpadnie we wściekłość, ale on tylko mrużył oczy, wyraźnie nie rozumiejąc.

– Co to znaczy? – spytał niepewnie. – Kto to jest katamita Wyn, co to znaczy?

Poczuła, jak twarz jej płonie.

– To znaczy, Christopherze... yyy... że Razi. Że zrobił z ciebie... swoją zabawkę. Że służysz mu... do różnych uciech...

– schowała głowę w ramiona, zbyt zażenowana, by kontynuować, a Lorcan, zaskakując wszystkich, prawie natychmiast mruknął coś po hadryjsku.

To słowo Christopher znał bez dwóch zdań. Patrzyli, jak opada mu szczęka. Spodziewali się wybuchu złości, lecz ku ich wielkiemu zaskoczeniu tylko uniósł ręce w geście ulgi i zaśmiał się.

– Och, Razi! – powiedział. – To wszystko? Przyjacielu! Nic o mnie nie wiesz, jeśli myślisz, że to mnie w ogóle obchodzi! A jeśli chodzi o ciebie, to o czym to świadczy? Tylko o tym, że gdyby to była prawda, to masz znakomity gust, jeśli chodzi o mężczyzn! – Zaśmiał się, sądząc, że podzielił jego wesołość.

Lorcan, wstrząśnięty, zasłonił ręką oczy, zerkając zza palców na Razięgo, który wpatrywał się gniewnie w Christophera.

– Ciebie to może nie obchodzi, Christopherze, ale mnie tak.

Na widok zimnej furii przyjaciela z Christophera uleciało całe rozbawienie.

– Nie jesteś już w jednym z tych twoich merrońskich obuwów! Reszta świata nie podziela waszej wątpliwej tolerancji dla podobnych praktyk, a ja nie zamierzam mieć nic wspólnego z takimi mężczyznami!

Christopher otworzył ze zdumienia usta. Wynter spostrzegła, że cały aż sztywnieje ze złości i bólu, jego bliznowate ręce zaciskają się w pięści, a okaleczone wargi w cienką linię. Przez chwilę wszyscy trwali w niezręcznym milczeniu, po czym Christopher odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Razi spojrzął na puste drzwi, odwrócił się i zaczął pakować rzeczy do torby.

– Ten napój... – zaczął, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. – Ten napój – powtórzył mocniejszym głosem – jest bardzo silny, Lorcanie. Przez długi czas będziesz mógł jedynie spać. Tak więc nie będzie okazji do uganiania się po pałacu i zrobienia z córki sieroty. – Lorcan w milczeniu patrzył na Raziego kończącego pakowanie torby. – Jeśli będziesz mnie potrzebował – ciągnął, nie patrząc ani na Lorcana, ani na Wynter – poślij po mnie pazia, o każdej porze dnia i nocy. – Skierował się do wyjścia.

– Słusznie czynisz, że się wyprowadzasz – powtórzył wolno Lorcan. – Ale głupiec z ciebie, jeśli pozwolisz, by to stanęło między tobą a prawdziwym, lojalnym przyjacielem.

Razi słuchał odwrócony tyłem, po chwili wyszedł bez słowa.

Christopher musiał stać albo siedzieć w salonie, bo usłyszeli jeszcze, jak Razi mówi na odchodnym:

– Christopher, muszę omówić z tobą pewne sprawy. Najpierw umyję się i przebiorę na audiencję, ale wrócę jeszcze w ciągu tej kwarty i porozmawiamy tutaj.

– A jakże – powiedział Christopher. – Ale dla pewności powinniśmy poprosić Wynter na przyzwoitkę, żeby podejrzany Merron nie naraził na szwank cnoty Waszej Wysokości.

Wszystko na chwilę zamarło, a serce Wynter ścisnęło się boleśnie, gdy Razi odpowiedział chłodno:

chać. Chcę, żebyś był gotów do drogi na mój rozkaz.

Z głosu Christophera ulotnił się cały sarkazm.

– Razi. Tak szybko? A co z Wynter?

Wytrzymała słuch, ale odpowiedzi nie było. Tylko gwałtowny trzask zamykanych drzwi wejściowych, a potem cisza.

Gdy Wynter weszła do salonu, Christopher wciąż tam tkwił. Siedział na jej ulubionym miejscu przy oknie, na parapecie, i z ponurą miną patrzył w dół, na gaj pomarańczowy. Wynter przysunęła sobie fotel z drugiego końca pokoju, postawiła go tak blisko, że kolana Christophera dotykały poręczy, i też usiadła.

– Ojciec zasnął – powiedziała.

Christopher był wyjątkowo posepny, nawet na nią nie spojrział. Kiwnęła ze zrozumieniem głową, zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę, ukojona milczeniem.

– Jak ty znosisz to miejsce? – spytał cicho. – Przecież to trucizna. To jak wdychanie trucizny dzień za dniem, aż dusza zapada na zdrowiu i umiera.

Otworzyła oczy. Słońce odbijało się od czegoś w ogrodzie, może od szkliscie gładkich liści drzew, i po suficie tańczyły zajączki światła. W pokoju pachniało kwiatami pomarańczy i tymi porywającymi korzennymi przyprawami, które teraz już zawsze będą się jej kojarzyły z Christopherem.

– Dlaczego stąd nie wyjedziesz? – ciągnął. – Wsadź Lorcanę na wózek, załaduj kufry i po prostu wyjedź.

Uśmiechnęła się. Dla niego wszystko było takie proste!

– Czemu się śmiesz? – spytał. – Sama mówiłaś, że jesteście



finansowo niezależni od dworu. Wykorzystaj swoje talenty, Wynter, otwórz zakład w jakimś bezpiecznym, wolnym miejscu. Pluj na te żmije i pasożyty, wynieś się stąd.

Westchnęła i zamknęła oczy.

– To nie takie proste, Christopherze. Nie można otworzyć zakładu w dowolnym miejscu. Potrzebne są dokumenty, licencje, a my ich nie mamy... Dopóki król nam ich nie wyda.

– Przechyliła głowę, żeby na niego spojrzeć. Wpatrywał się w nią, nieruchomy jak posąg, z rękoma na poręczach fotela.

– Przecież musi być jakieś miejsce, do którego moglibyście wyjechać! – W jego cichym głosie ze zdziwieniem usłyszała rozpaczliwą nutę. – Twój ojciec jest szlachcicem! Lordem! Na pewno ma jakieś ziemie...?

– Nie rozumiesz – odparła. – Mój ojciec jest Lordem Obrońcą. To tylko tytuł, nic więcej. Jest tym, który broni króla. Tytuł ten jest potężny i łączy się z nim wiele przywilejów, ale nie przysługują mu żadne włości, tylko niewielka roczna renta. Poza murami tego pałacu naprawdę musimy sami troszczyć się o chleb, a i tego nie możemy, dopóki Jonathon ma nasze dokumenty. Rozumiesz?

– Nie chcę cię tu zostawiać, mała. Jak sobie poradzisz?

– Pokręcił głową, a choć jego troska była wzruszająca, Wynter nie mogła się nie roześmiać, słysząc ten ton opiekuńczości.

Poczuł się zraniony, wyciągnęła więc rękę i, wciąż z uśmiechem, pogłaskała go po policzku.

– Christopherze, nie musisz mnie... – powiedziała i zamilkła, spoglądając mu prosto w oczy. Wtulił się policzkiem w jej dłoń i patrzył na nią smutno.

Uśmiech Wynter zgaśł. Uświadomiła sobie, że Christopher naprawdę wyjeżdża. Razi ma zamiar go odesłać. Zgrubiałym kciukiem pogłaskała jego opuchniętą i pokiereszowaną brw. Może nigdy więcej go nie zobaczy.

– Christopherze – szepnęła, badając rany, jakie zadał mu

król, a w jej głosie nie było już rozbawienia. – Tylko spójrz na  
lebie. Jeśli tu zostaniesz, czeka cię śmierć.

– A co będzie z tobą? – spytał cicho, świdrując ją wzrokiem,  
i policzkiem wciąż schowanym w jej dłoni. – Zostawimy cię  
tu samiutką jak palec.

Wiedziała, że ma rację. Razi coraz bardziej się oddalał,  
i Lorcan... biedny Lorcan, ile mu jeszcze zostało życia? Jeśli  
miała być ze sobą szczerą, przyszłość napawała ją przerażeniem.  
Jednak gdy patrzyła na jego zmartwioną, posiniaczoną twarz,  
myślała: Nic na to nie poradzisz, Christopherze Garronie, mo-  
tesz tylko dać się zabić. Posłała mu łobuzerski uśmiech.

– Już ja dam sobie radę. Tak zostałam wychowana. Nie mo-  
tesz dla mnie zrobić nic, czego bym nie zdołała zrobić sama.

Na jego twarzy ukazały się te urocze dołeczki, uśmiechnął  
się do niej kpiarsko.

– Tego nie byłbym taki pewien! – parsknął, a ona udała, że  
go policzkuje, na co on udał, że jest tym zdruzgotany, i odsu-  
nęli się, uniknąwszy niezręcznej sytuacji.

Przez kilka chwil siedzieli zamyśleni. Powieki Christophera  
opadły.

– Jestem wykończony.

Wynter ze współczuciem poklepała go po kolanie.

– Idź się położyć.

Westchnął.

– Nasz Razi jest w kiepskim stanie, co? – mruknął. – Ta  
uwaga... o moich rodakach. – Prychnął z oburzeniem. – Daję  
słowo... nigdy nie miałem większej ochoty, żeby zdzielić go  
po łbie.

– Christopherze, to, co oni mówią... wyprowadziłoby z rów-  
nowagi każdego.

Otworzył oczy, by znów na nią spojrzeć.

– Na Północy – dodała – za takie... praktyki grozi stry-  
czek.

– O Północy wiem wszystko – powiedział z cichą pogardą. Przyglądając mu się, Wynter zdała sobie sprawę, jak mało o nim wie, jak mało wie o Razim.

– Nie – powiedział z rozbawionym uśmiechem. – Ja nie.

– Co: nie? – spytała, zaskoczona.

– Ja taki nie jestem. Wbrew temu, co powiadają. Nie takim mnie stworzono.

Zarumieniła się, a potem zawahała i przygryzła wargę. A Razi? – zastanowiła się. Trudno jej było myśleć o Razim w takich kategoriach. Zawsze był dla niej po prostu... Razim. Spojrzała Christopherowi w oczy, a on mimo opuchlizny uśmiechnął się szeroko, ubawiony tym niezadany pytaniem, jakie widocznie rysowało się na jej twarzy.

– A robiłoby ci to jakąś różnicę? – spytał. – Gdyby był? Nabrałabyś o nim gorszego mniemania?

Milczała, a jego uśmiech przygasł i zupełnie zniknął, gdy zdała sobie sprawę, że to istotnie robiłoby jej różnicę. Nie była pewna, co dokładnie by czuła, wiedziała jednak, że coś innego. Christopher z rozczarowaniem pokręcił głową.

– Ech, wy... – powiedział. – Wy... – Nie dokończył zdania, tylko rozłożył ręce, po czym opuścił je w geście rozpaczy. Spojrzał gniewnie przez okno, wyraźnie nad czymś rozmyślając. – Razi, Razi – szepnął. – Co my z tobą zrobimy?

Wynter patrzyła na niego znacząco, więc skrzywił się i zniecierpliwiony znów wyrzucił ręce w górę.

– Na Fritha! To wszystko kłamstwa, od początku do końca, rozumiesz? Gdy Razi rzuca ten swój pancerz i przychodzi mu ochota poswawolić, to do łóżka bierze niewiastę! Proszę bardzo! Raduj się nowo nabytą wiedzą! Możesz znowu być z nieprzyjemnie dumna i kochać go za to, że jest doskonały od stóp do głów! Cudowny, nieskalany i nie ma w nim nic podejrzanego!

Wybuchnęła śmiechem, bo i tak nie potrafiłaby przejąć się jego gniewem, gdy spadł jej z serca taki kamień. Jednak

Christopher odwrócił się do okna, sztywno, z posępną miną, więc zdała sobie sprawę, że naprawdę sprawiła mu przykrość.

Potrząsnęła jego kolanem, starając się go rozchmurzyć.

– Zawsze uczono nas, że to nazywa się miłość. Ojciec powiedział mi, że to wyraz miłości, a nie chęci poswawolenia!

– O, nie wątpię! – prychnął Christopher. – Połowa trosk Raziego bierze się stąd, że cięgiem myli swawole z miłością. Nie potrafi się odprężyć i po prostu dobrze bawić. Jest zbyt pochłonięty kolejnymi zawodami miłosnymi, wystarczy, że w jego stronę spojrzy byle para brązowych oczu, a on już cierpi.

– Ale przecież... – zreflektowała się i odsunęła do tyłu, porażona własną śmiałością, tym, że mówi o takich sprawach bez cienia rumieńca, i to akurat z Christopherem. Zmarszczyła czoło i zastanowiła się. To był temat, który zwykle wprawiał ją w zażenowanie, napady jąkania i wściekłych rumieńców. A tu nagle... spojrzała na niego. Patrzył na nią, zdziwiony, złość jeszcze mu nie przeszła, ale widocznie nie wiedział, dlaczego zamilkła.

– Ale... – ciągnęła, sadowiac się wygodniej w fotelu i obserwując Christophera. – Czy nie lepiej, gdy jesteś zakochany? – To właśnie powiedział jej ojciec, że ten akt był wyrazem miłości, że powinna zachować go dla mężczyzny, którego pokocha całą duszą i co do którego będzie miała pewność, że kocha ją tak samo mocno. Uświadomiła sobie, że bardzo chce usłyszeć zdanie Christophera.

– A jakże, o wiele lepiej, gdy jest się zakochanym – powiedział, odwzajemniając jej spojrzenie. – W każdym razie tak twierdził mój tata.

– Ale... sam nie wiesz?

Zamilkł na chwilę i opuścił wzrok.

– Nigdy nie miał okazji połączyć jednego z drugim – powiedział cicho.

– Nigdy nie byłeś zakochany?

Otworzył usta, już miał coś powiedzieć, ale zawahał się i zacisnął wargi w krzywym grymasie. Wynter przełknęła ślinę. Jeszcze przez chwilę wbijał wzrok w podłogę, ale w końcu znów spojrzął jej w oczy.

– Nigdy nie miał okazji połączyć jednego z drugim – powtórzył w jednym z tych gwałtownych i nieoczekiwanych przebłysków nieśmiałości.

– Ja też – uśmiechnęła się – bo nigdy nie doświadczyłam ani jednego, ani drugiego. – Własna śmiałość nie przestawała jej zadziwiać, ale Christopher tylko uśmiechnął się z sympatią i nie podjął tematu.

Kojące milczenie przeciągało się, aż Christopher w końcu westchnął i przesunął ręką po twarzy. Widziała, że jest wykończony.

– Razi mówił, żebyś zrobił sobie ciepły okład na twarz – powiedziała. – W ten sposób opuchlizna szybciej zejdzie.

– Tak – westchnął, wolno podnosząc się z fotela. – W pokoju, przy kominku, mam gorącą wodę.

– Przyniosę ci – zaferowała, zrywając się z miejsca, ale powstrzymał ją machnięciem ręki, cały czas próbując wstać.

– Nie, nie. Nie trzeba. – Powłókł się do pokoju wypoczynkowego w kierunku tajnych drzwi. – Sam pójdę, a jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym się położyć. Wiem, że masz mnóstwo roboty... – Jego głos dobiegał z coraz większej oddali. Wynter wstała i patrzyła, jak odsuwa płytę.

– Razi chciał, żebyś zaczekał na niego tutaj – przypomniała.

– Razi może mnie pocałować w mój merroński tyłek – rzucił ze znużeniem i zniknął wśród cieni, a drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem.

Razi nie wrócił. Dzień upłynął Wynter na wielu drobnych obowiązkach. Wychodziła i wracała. Uregulowała należność za pranie i była w stajni sprawdzić, czy wszystko w porządku. Przygotowała i z upoważnienia ojca podpisała przepustki dla cieśli i sama zaniósła je do biblioteki, przy okazji sprawdzając, jak idzie im praca i czy są bezpieczni.

Dostarczono porządną porcję, ale Lorcan swojej porcji nie ruszył. Narzekał natomiast, że jest mu zimno. Wynter posłała więc po służącego, żeby rozpałił w kominku i przyniósł drewna. Wkrótce w sypialni było jak w piecu, nieznośne fale gorąca szły i z kominka, i z otwartych okien. Ale ojciec wciąż dygotał pod kołdrą.

Razi przybył późnym popołudniem, anonsując się donośnym waleniem w drzwi. Minął Wynter bez słowa, gdy je otworzyła. Zdawał się nieobecny i zagoniony. Stał na środku pokójki, rozglądając się.

– Gdzie on jest? – spytał, jakby zostawił tu Christophera przed zaledwie dziesięcioma minutami i dziwił się, że już go nie ma.

– Razi! – krzyknęła. – Minęły już całe godziny! Chyba nie sądziłeś, że wciąż będzie czekał.

Razi zamrugał szybko; jasne było, że tak właśnie sądził.

– Muszę... muszę z nim porozmawiać, i to tutaj! – powiedział z naciskiem, jakby tylko to się liczyło.

Podparła się pod boki i zacisnęła wargi.

– No cóż. Mam ci przekazać, że możesz go pocałować w jego merroński tyłek.

Razi rozdziawił usta.

– Wynter! – upomniał ją, wstrząśnięty. Odwrócił wzrok, przebiegł palcami po włosach i zamyslił się. – Pewnie śpi. Będę musiał zapukać, zaraza z tym... – wzniósł oczy do

nieba. – Nic innego mi nie pozostaje. Muszę wejść przez korytarz! – Wyminął ją stanowczym krokiem i ruszył do drzwi.

– Wybacz, siostrzyczko – rzucił nieuważnie – muszę lecieć.

Uśmiechnęła się na to nieświadome zdrobnienie.

Przy drzwiach przystanął.

– Zrozum, on wyjedzie jeszcze w tym tygodniu – rzucił stanowczo przez ramię, nie patrząc na nią.

– Już to mówiłeś.

– I tak się stanie. Gdy wszystko pozafatwiam, będzie musiał wyjechać najszybciej jak to możliwe. Bez dyskusji, bez odwrotu.

– Razi, co ty knujesz? – spytała, a żołądek natychmiast podszedł jej do gardła.

Dopiero wtedy spojrzął jej prosto w oczy.

– Chcę, żebyś trzymała się od niego z daleka, Wynter. Tak będzie wam łatwiej, i tobie, i jemu. Wiem... wiem, że z Christopherem u boku wszystko wydaje się łatwiejsze. Jest taki prostoliniorny. Sprawia, że człowiek się zapomina, a dla ludzi takich jak ty czy ja to śmiertelne zagrożenie.

Bołało ją, że musi przyznać mu rację, ale kiwnęła głową.

– Wiem – szepnęła.

Razi zawahał się, jakby chciał powiedzieć jej jeszcze coś. Zacisnął jednak powieki i ponuro pokręcił głową.

– To dobrze – rzucił i wyszedł.

Chwilę później słyszała, jak wali pięścią do drzwi Christophera. Zanim mu otworzył, minęło sporo czasu. Dobiegł jej szorstki, niski głos Raziego, ale nie wiedziała, czy Christopher odpowiedział, czy nie. Głuchy odgłos zamykanych drzwi uniemożliwił jej dalsze nasłuchiwanie.

Przeniosła się do pokoju wypoczynkowego i stanęła, uważnie nie nasłuchując głosów zza ściany. Ogień w sypialni Lorcanada nadal buzował i trzeszczał, i nawet tutaj z gorąca trudno było wytrzymać.

– Wynter?

Na dźwięk głosu ojca odwróciła się.

– Tak, tato?

– Co ty tam robisz, że tak stoisz i stoisz?

Zarumieniła się i już miała to wyjaśnić, ale nagle otwarły się tajemne drzwi. Podskoczyła jak oparzona, sięgając po sztylet. Z ciemności wykuśtykał Christopher. Wyglądał, jakby wyskoczył z łóżka w panice, jego długie czarne włosy były całkiem splątane. Wydawało się, że ma ochotę kogoś zamordować.

Ku zdziwieniu Wynter wyminął ją, wbijając wzrok w podłogę, i skierował się prosto do pokoju Lorcana. Do niego też nie odezwał się ani słowem, tylko boso podreptał do fotela w najdalszym kącie pokoju i usiadł. Siedział tak, milczący i nieruchomy, z opuszczonymi powiekami i dłońmi zaciśniętymi w pięści na kolanach.

Lorcan zerkał na niego niepewnie. Widać było, że wciąż jeszcze śpi, a swą obecnością Christopher wyraźnie mu przeszkadza.

Wtedy zjawił się Razi, wpadł z impetem przez tajne drzwi i pomaszerował prosto do pokoju Lorcana z miną, jakby właśnie połknął wyjątkowe obrzydlistwo.

– Nie zachowuj się jak rozpuszczony bachor! – krzyknął, zatrzymując się na środku pokoju i patrząc gniewnie na Christophera.

Christopher milczał.

– Pies cię trącał, Christopher! Myślisz, że przy świadkach nie odważę się o tym mówić? Myślisz, że moja przeklęta duma nakaze mi siedzieć cicho? Dlatego tu jesteś?

Na te słowa Christopher podniósł głowę, oczy błyszczały mu złowrogo spod opuchniętych powiek. Razi wyciągnął rękę.

– Dawaj te klucze.

Christopher przycisnął pięść do piersi i patrzył wyzywająco na rozwścieczonego przyjaciela.



– Dawaj te przeklęte klucze! – ryknął Razi, a Wynter rzuciła się przez pokój i niewiele myśląc, walnęła go w plecy.

– To pokój mojego ojca, Razi Kingssonie! Co ty sobie wyobrażasz? – Była zła na Christophera, że chciał załatwić swoje sprawy tutaj, ale na Raziego była wściekła. Christopher przy najmniej siedział cicho.

Razi zerknął na Lorcana, który wydawał się lekko zdziwiony, ale nic ponadto. Przeniósł wzrok na Wynter, a potem na Christophera i znów z ponurą miną wyciągnął rękę.

– Klucze – powiedział cicho.

Christopher pokręcił sztywno głową, przyciskając pięści do klatki piersiowej, a jego potargane włosy opadły splątana masa na ramiona.

– Dobrze więc – powiedział wyjątkowo niskim głosem – Dobrze. Do diabła z twoimi kluczami.

Rozejrzał się i dostrzegł w kącie to, czego szukał. Pokonał pokój dwoma długimi susami i pociągnął za troczki torby z narzędziami należącymi do Lorcana. Wynter zdążyła tylko zaprotestować. Przyskoczyła do niego, próbując wyrwać mu z ręki dłuto i mały młotek, które wyjął z ich kieszonek.

– Hej! – krzyknęła, zbulwersowana. – To są narzędzia mojego ojca!

Christopher spojrział na dłuto i uniósł się w fotelu. Jego twarz zdradzała wielki niepokój. Wpatrywał się w nie z przerażeniem.

– Nie! – krzyknął.

Wynter znów próbowała wyrwać mu narzędzia, ale Razi odtrącił ją bez trudu.

– Nie! Nie, Razi! – Christopher wręcz błagał, a rozpaczą w jego głosie sprawiała ją w osłupienie. Zataczając się, usłyszał za Razim, który zdecydowanym krokiem skierował się do drzwi. – Nie! – prosił. – Razi, przestań! Proszę cię, nie niszczyć kufra mojego ojca!

Błagalny ton głosu był tak rozdzierający i niepodobny do niego, że wszyscy zamarli.

Lorcan powiedział:

– Na rany Chrystusa... Razi... – a w ciszy, jaka nastąpiła, tym bardziej słychać było przyganę w jego głosie.

Wtedy Christopher wyciągnął rękę, a z jego okaleczonych palców zwisał komplet drobnych srebrnych kluczyków.

– Weź je sobie – powiedział kompletnie pokonany. – Weź je sobie. Proszę bardzo. Tylko... nie niszcz kufra.

Razi popatrzył w zrozpaczoną twarz przyjaciela. Spojrzał na klucze. Oddał Wynter młotek i dłuto. Wzięła je sztywno i patrzyła, jak Razi zsuwa kółko od kluczy z palca Christophera.

– To jedyny sposób – powiedział cicho, ale Christopher podniósł rękę i pokręcił głową z twarzą ściągniętą z bólu i rozczarowania. Wolno wrócił na fotel w kącie, usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– Co – zaczął powoli Lorcan – co to za „jedyny sposób”?

Razi zerknął na niego i ścisnął mocniej klucze, minę miał nietęgą.

– Zamierza wyciągnąć moje dokumenty – powiedział Christopher. – I pokazać je królowi. – Podniósł głowę, na jego twarzy rysowała się gorycz i rozpacz. – On cię zabije, Razi. Sam mi mówiłeś... powiedziałaś, że... – Pokręcił głową i zwrócił się błagalnie do Lorcana. – On go zabije, słowo daję. Lorcan! Przemów mu do rozumu!

– Nie – Razi podniósł rękę, by uciszyć Lorcana, ale cały czas wpatrywał się w Christophera. – Nie zabije mnie, Chris, i ciebie też nie zabije. Zrobi dokładnie to, o co go poproszę. Wyprawi cię bezpiecznie do Maroka. Pozwoli mi wyjechać do Padwy. Ugnie się przede mną albo, Bóg mi świadkiem, pokażę te dokumenty radzie, a oni mnie osądzą, wtrącają do więzienia i wydziedziczą jeszcze tego samego dnia. A Jonathon nie będzie miał nic do gadania, bo sam ustanowił to przeklęte prawo.

mimo uszu, więc chwyciła go za rękę i potrząsnęła, mając go już szczerze dość. – Jakie prawo?! – ryknęła.

Popatrzył na nią twardo, jego oczy połyskiwały gorzkim triumfem.

– Prawo zakazujące niewolnictwa, siostrzyczko. Jego słynne, cudowne, unikatowe prawo zakazujące niewolnictwa.

Odsunęła się, puszczając jego rękę jak oparzona. Razi obdarzył ją kwaśnym, krzywym grymasem, w niczym nieprzypominającym uśmiechu.

– Nie, Razi – szepnęła. – Nie! – Pokręciła głową i spojrzała na Christophera, modląc się w duchu, by zaprzeczył temu, co mówił Razi. Ale on tylko podniósł głowę i patrzył na nią bez wyrazu.

– Nie! – powtórzyła.

– Christopher jest moim niewolnikiem, Wynter. Kupiłem go. Zapłaciłem wcale niezłą sumkę za niego, za mojego bliźniego. Zasiadłem sobie w domu aukcyjnym i podnosiłem stawki, i w końcu mi go sprzedali, jak konia, jak psa, jak kawał mięsa.

Nachylił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy i na widok czającego się w nich przerażenia i obrzydzenia pokiwał ponuro głową. Zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju, ściskając w ręku klucze Christophera.

Przestań – powiedział Christopher znużonym głosem.

– Co mam przestać? – spytała Wynter.

– Patrzeć na mnie, jakbym zrobił coś złego.

Już chciała mu odpowiedzieć coś uszczypliwego, ale ugryzła się w język, bo zdała sobie sprawę, że istotnie wpatrywała się w niego z nieskrywaną wściekłością. Zawstydzila się zaskoczona własnym zachowaniem. Zerknęła na ojca. Domyśliła się, że on też musiał potępiać Christophera. Nagle zapragnęła, by nigdy się tu nie zjawił, by po prostu zniknął. Ale przecież to nie jego wina. On naprawdę w niczym nie zawinił – tłumaczyła sobie – Cóż mógł poradzić, że został kupiony i sprzedany? Albo że to Razi go kupił? Akurat Razi, nie kto inny. Razi, który musiał znać i rozumieć konsekwencje tak pochopnej decyzji. Podniosła głowę i znów spojrzała na Christophera. Co też w niego wstąpiło? Czemu zdecydował się na coś tak głupiego, tak niebezpiecznego zwłaszcza dla mieszkańca Południa?

– Nie zrobiłem nic złego – powiedział z naciskiem Christopher, opacznie rozumiawszy jej spojrzenie. – Razi zresztą też nie. Ale poczucie winy i nienawiść do samego siebie to dla niego chleb powszedni, więc na niego też nie patrz takim wzrokiem.

Lorcan jęknął rozpaczliwie i przewrócił się na plecy,

działa, co zrobić czy powiedzieć, podeszła do jego łóżka i usiadła w nogach, wbijając wzrok w podłogę.

– Zakładam, że cię wyzwolił – wycharczał Lorcan.

– Oczywiście – westchnął Christopher. – Oddał mi dokumenty jeszcze tego samego dnia, co mnie kupił. A tego samego wieczora zatrudnił mnie w charakterze hipiatry.

– I zakładam, że właśnie dlatego cię kupił? – spytał Lorcan, wciąż na niego nie patrząc. – Żeby cię wyzwolić?

Czy były niewolnik kiedykolwiek może poczuć się wolny? – Wynter zastanawiała się, czując gorzkość. – Na dowód swojej wolności ma tylko jakiś świstek papieru i własne słowo, więc dla twoego mózgu paść ofiarą kolejnego pojmania i znów trafić na targ.

Nastąpiła długa cisza, Wynter i Lorcan patrzyli na Christophera. Sam Christopher wpatrywał się w swoje dłonie.

– Dość powiedzieć – szepnął – że znalazłem się w potwornym położeniu, a Razi mnie uratował. Nie jego to wina, że sprawy wzięły taki obrót. – Rozłożył ręce, bezskutecznie usiłując rozprostować palce. – Lorcan? – spytał łamiącym się głosem. – Czy Jonathon go zabije?

– Nie sądzę. Myślę, że Razi ma rację, Jonathon puści cię wolno. Przypuszczam, że Razi załatwi to tak: będziesz musiał posłać mu wiadomość z Maroka, iż dotarłeś cały i zdrowy. I wtedy dopiero odeśle ci dokumenty... To dla ciebie duże ryzyko, Christopherze. Żeby dostać się do Maroka, będziesz musiał jechać tym przeklętym szlakiem portowym bez papierów, bez żadnego wsparcia z zewnątrz. Przemierzyć trzy osobliwe państwa i na każdym kroku wystrzegać się kontroli, dopóki nie odzyskasz dokumentów.

Christopher stłumił w dłoniach westchnienie.

– To nie ma znaczenia – powiedział, a z każdej sylaby mu brzmiewało znużenie.

– Gdzie cię napiętnowali?

Wynter głośno wciągnęła powietrze, a Christopher posłał ojcu błagalne spojrzenie.

– No, chłopcze? – rzucił rozkazująco. – Gdzie nosisz piętno? Czy w razie kontroli łatwo je znaleźć?

Christopher cały czas wzdragał się przed odpowiedzią, ale Lorcan nie ustępował.

– Na tyłku – mruknął niechętnie. – Wypalili mi piętno na tyłku. Ale to tylko znak pośrednika, tacy nigdy nie chcą, żeby ich piętna były od razu widoczne.

Wynter westchnęła głośno ze współczuciem, a Lorcan mruknął coś i przypatrywał mu się z namysłem.

– To wcale nie tak źle – powiedział trzeźwo. – Masz szczęście, gdybyś został sprzedany, twój pan naznaczyłby ci ramię albo pierś, albo może...

– Twarz – przerwał mu cicho Christopher. – W domu, do którego byłem przeznaczony, napiętnowaliby mi twarz.

Wynter i Lorcan na chwilę zamarli, przypatrując mu się w absolutnym milczeniu. W końcu Lorcan przełknął ślinę i spokojnie mówił dalej.

– O wiele trudniej ściągnąć do kontroli spodnie niż rozpiąć koszulę. Jeśli szczęście ci dopisze, nikomu nie będzie się chciało sprawdzać aż tak dokładnie. Może ci się uda! – wysilił się na uśmiech. – Oczywiście, jeśli przynajmniej raz w życiu będziesz w stanie utrzymać tyłek w spodniach!

Christopher spojrział ponuro na Wynter i odparł:

– To nie ma znaczenia.

– Właśnie że ma! – ucięła. – Razi dla ciebie wiele ryzykuje! Więc lepiej, żeby miało znaczenie! Zrób mu tę łaskę i zatroszcz się o swoje życie!

Słyszając ton jej głosu, zmarszczył czoło i odwrócił wzrok.

Wynter była jednak zbyt przerażona, by powściągnąć ton i liczyć się ze słowami, w których kryła się wielka troska o losy obu jej przyjaciół.

Christopher bez dokumentów byłby zbiegłym niewolnikiem. Zależnie od państwa, w którym by go złapano, groziło mu okaleczenie, kolejny targ niewolników albo nawet śmierć. A Razi, póki przebywał tutaj i był w posiadaniu tych dokumentów, mógł zostać skazany za handel żywym towarem. Czekaloby go więzienie i utrata włości, straciłby też licencję lekarza i pożegnałby się ze spadkiem. W królestwie Jonathona za to przestępstwo groziły wyjątkowo surowe kary. Obaj znaleźli się w straszliwym niebezpieczeństwie. Westchnęła i schowała głowę w dłoniach.

Gdy Razi wrócił, zastał ich w takich właśnie pozycjach. Wynter i Christophera w przeciwległych krańcach pokoju z opuszczonymi głowami. Lorcana leżącego na plecach z ręką zarzuconą na oczy.

Wynter podniosła głowę, gdy kątem oka dostrzegła go na progu. Spodziewała się, że będzie trzymał papiery w ręce, ale ich nie miał. Pewnie schował gdzieś – pomyślała. – Tak jak ja schowałam ten liścik, który teraz zawsze noszę na sercu.

Razi spojrział na Wynter, starając się odczytać z wyrazu jej twarzy, co czuje. Uśmiechnęła się ze współczuciem. Zdawało się, że na widok tego uśmiechu coś w nim odtajało, jakby kamyk spadł mu z serca.

Christopher też podniósł głowę. Obaj mierzyli się wzrokiem. Razi pokazał mu pęk kluczyków.

– Starałem się nie ruszać twoich rzeczy – powiedział cicho.

– Dzięki.

Razi podszedł i oddał mu klucze.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Zniszczyłbyś skrzynię mojego ojca? – spytał. Razi zawahał się. Christopher podniósł rękę. – Nieważne! – powiedział, szybko uciekając wzrokiem. – Nie muszę wiedzieć.

– Kiedy powiesz o tym królowi? – spytał Lorcan.

– Jutro z wybiciem siódmej kwarty mam u niego audiencję

– Zamilkł i obejrzał Lorcana od stóp do głów, z troską przechylając głowę. – Jak się czujesz? – spytał. Lorcan skrzywił się i machnął ręką, ale Razi nie przestawał mu się przypatrywać. – Panuje tu nieznośny upał, Lorcanie. A tobie wciąż jest zimno, prawda?

Lorcan zmarszczył czoło i zerknął na Wynter. Włosy przykleiły jej się do czaszki, twarz miała zarumienioną. Spojrzał na Christophera. Ten poluzował troczki szaty i siedział z niemal gołą piersią i wysoko podwiniętymi rękawami. W oczach Lorcana błysnęła nerwowo niepokój, odwrócił głowę w bok.

Razi raptownie chwycił go za rękę. Pomacał mu palce, marszcząc czoło. Ruchem głowy kazał Wynter wstać, więc zsunęła się z łóżka. Sięgnął pod kołdrę i dotknął jego stóp.

– Wynter – powiedział cicho. – Przynieś grzałkę, żeby ogrzać mu stopy.

Posłusznie wybiegła z pokoju. Razi kucnął przy łóżku.

– Cóż, przyjacielu, wygląda na to, że na świecie zabrakłoby leków, gdybym chciał cię uśpić na dobre. Masz widać mocną głowę! – Obaj zarechotali, a Razi z bladym uśmiechem i niemalym przejęciem ciągnął dalej: – Lorcan, błagam cię, zostań w łóżku. – Lorcan spojrział na Raziego, a ten chwycił go za rękę. – Błagam cię, obiecaj mi, że nie ruszysz się z łóżka. Zrobisz to dla mnie? Żebym miał o to jedno zmartwienie mniej? Tylko to. Proszę.

– Obiecuję – powiedział cicho Lorcan.

Razi w podzięcie zamknął oczy, ścisnął jego rękę i wstał. Odwrócił się do Christophera.

– Chris. Od tej chwili zamykaj wszystkie drzwi na klucz. Nie otwieraj pod żadnym pozorem, chyba że po drugiej stronie usłyszysz mnie albo Wynter. I nie przyjmuj żadnego jedzenia poza tym, które przyniosę ci ja albo Wynter. Błagam cię, nie wychodź ze swoich komnat. – Patrzyli na siebie z powagą, Christopher niemal z wyrzutem. – Christopher! – powiedział



Razi z naciskiem, a jego przyjaciel westchnął i odwrócił się, kiwając głową na zgodę.

– Dobrze.

Razi skierował się do wyjścia i zobaczył Wynter, obserwującą go spod kominka.

– A co będzie z tobą, Razi? – spytała cicho.

Prychnął, a na jego twarzy znów zagościł ten krzywy jakby uśmiech.

– Co ma być? – rzucił zaczepnie.

– Kto się o ciebie zatroszczy?

Nie odpowiedział.

– Naprawdę myślisz, że Jonathon zgodzi się na twój wyjazd do Padwy? – spytał Lorcan.

Razi zmarszczył czoło, jakby nie był pewien, o co mu chodzi. Christopher przez chwilę obserwował przyjaciela, a potem westchnął teatralnie, ściągając na siebie uwagę wszystkich, i stanął, starając się wyprostować. Wolno przeszedł przez pokój, a mijając Razię, poklepał go po piersi.

– Gdy ja będę w drodze do Maroka – powiedział cicho, patrząc Raziemu prosto w oczy – ty będziesz w drodze do Padwy. Pamiętasz?

Twarz Razięgo pojaśniała, spojrzął za kuśtykającym Christopherem, zmierzającym w stronę tajnego przejścia. Po chwili drzwi się za nim zamknęły, a wszyscy pozostali w ciszy, nasłuchując jego kroków.

– Co będziesz robił w Padwie? – spytała Wynter, gdy otrząsnęła się już z dziwnego wrażenia, jakie zrobiła na niej ta wymiana zdań. – Skoro wszystko się tak pozmieniało?

Razi odetchnął głęboko.

– No wiesz! – zaczął sarkastycznie. – Będę się uczył. Leczył. Unikał zamachowców. Obserwował z bezpiecznej odległości, jak ojciec rozbija królestwo w proch. Takie tam.

– Poddajesz się – stwierdził Lorcan.

Razi posłał mu mordercze spojrzenie.

– A co mam według ciebie zrobić? – spytał z wyrzutem.

Lorcan opuścił wzrok.

– A co z Alberonem? – szepnęła Wynter. Poczula chłód bijący z jego brązowych oczu.

– Co z nim? – spytał wyzywająco i wyszedł tajnymi drzwiami, żeby wartownicy na korytarzu widzieli, jak opuszcza komnaty Christophera.

Wynter stała, nasłuchując stuku otwieranych i zamykanych drzwi. Usłyszała też dźwięk rygła. Czekwała, czy Christopher do nich wróci, ale zamiast jego kroków rozległ się odgłos zasuwanych tajnych drzwi i trzask zapadki zamka. A więc dzisiaj nici z kart i wesołych rozmów – pomyślała.

– Wynter.

Podskoczyła na głos Lorcana i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że odpłynęła. Spojrzała w chmurną twarz ojca.

– Musimy zabrać się za planowanie twojej ucieczki.

Las płonął ogniem piekielnym, sięgającym samego nieba. W ciemnościach nocy iskry i gwiazdy wyglądały tak samo. Olbrzymie pnie ryczały i syczały, drewno z hukiem pękało od gorąca, a na każdy ten dźwięk Wynter podskakiwała z przerażenia. Chwilami miała wrażenie, że ogłuchła. Było potwornie gorąco.

Na tle jasnych płomieni odcinały się spokojnie poruszające się sylwetki potężnych mężczyzn i wysokich kobiet.

Christopher stał obok niej. Był brudny i nagi – nie miał nawet swoich charakterystycznych bransolet. Blaknące już żółte siniaki znaczyły jego ciało niczym cętki leoparda. Patrzył na iskry, które strzelały w górę, by umrzeć wśród gwiazd. Kiwał się w rytm bębnów wpatrzony w dal.

– Christopher! – krzyknęła, ale ryk ognia zagłuszył jej głos.

Natychmiast odwrócił się do niej z lekkim uśmiechem na ustach.

– Gdzie jest Razi?

Christopher wskazał ręką ciemne drzewa za ich plecami. Dostrzegła tam Raziego, który wpatrywał się w ogień z otwartymi ustami i twarzą mokrą od łez.

– Powstrzymajcie ich! – krzyczał, zataczając się od drzewa

do drzewa, ale na tle pożaru jego płaczliwy głos był jak cienka, rwąca się nitka. – Powstrzymajcie ich.

Bębny nabrały tempa, ich równomierny puls przerodził się w gorączkową furję. Wynter odruchowo odwróciła się od płomieni, przepełniał ją lęk. Powietrze wokół niej zahaczało, wielki ciemny kształt zapikował w dół i uderzył w ziemię, a siła wstrząsu była tak wielka, że dziewczyna straciła grunt pod stopami i poleciała w ciemność.

Obudziła się gwałtownie, a jej pierwszą myślą było: Dzisiaj jest dzień, kiedy Razi powie królowi. Na zewnątrz było jeszcze szaro, nad ziemią znowu unosiła się zimna, wilgotna mgła. Otrząsnęła się z tego niepokojącego snu. Hałas, dym i piekielne gorąco szybko rozwiały się w chłodnym porannym powietrzu. Została tylko twarz Raziego, zapłakana i wstrząśnięta, i jego usta, proszące, aby przestali. Sny nie zawsze się sprawdzają – uspokajała samą siebie.

Wstała ze zmarszczonym czołem, owinęła się w szlafrok matki i cicho podreptała do ojca.

Lorcan spał. Słyszała w ciemności jego cichy, równomierny oddech. Okiennice były zamknięte, w pokoju panował nieprzenikniony mrok, rozświetlany słabym blaskiem dogasającego kominka. Czyniąc jak najmniej hałasu, zapaliła świecę od żarzącego się węgielka i zaczęła wybierać popiół do węglarki.

Dzisiaj jest dzień, kiedy powiem Marni – pomyślała.

Zgarnęła na środek paleniska niewielką kupkę wciąż tłących się węgli, umieściła na górze hubkę i dmuchała, aż podpałka zajęła się ogniem. Wolno dokładała polan. W kominku znów zatańczył wesoły ogieniek, wypełniając pokój Lorcana światłem i ciepłem, którego ciągle nie było mu dość.

– Dzisiaj jest dzień pożegnań – stwierdziła cicho.

Wciąż klęcząc przy kominku, odwróciła się, by spojrzeć na ojca, który wyglądał tak spokojnie, jakby żaden ból nie mógł go dosięgnąć. Chciała, żeby zawsze tak było.

Od tej chwili nasze drogi zaczną się rozchodzić – pomyślała. – Christophera, Raziego i moje. Wkrótce tata zostanie sam. Jak ja to zrobię? Jak mam zostawić go samego?

Jakby to było cudownie, gdyby ojciec obudził się zdrów jak ryba. Gdyby mógł się przeciągnąć, prostując swoje krzepkie ramiona, uśmiechnąć się i wyskoczyć z łóżka, tak jak dawniej – marzyła.

Gdy była malutka, brał ją na barana i przed śniadaniem szli na łąkę. Pulchnymi piąstkami łapała się jego brody, a w pokrytej rosą trawie połyskiwało słońce. Rozświetlało włosy Lorcanu kolorem ognia, a Wynter opierała brodę na jego głowie, ze wsząd otoczona tym płomiennym blaskiem. Razem oddychali świeżym, czystym powietrzem i rozglądali się za lisami i nieśmiałyimi jeleniami.

Tak bardzo cię kocham, tato – pomyślała, a serce o mało jej nie pękło.

Lorcan westchnął przez sen i po chwili znów zaczął spokojnie i równo oddychać.

Zasługiwał na coś więcej. Zasługiwał na spokój i towarzystwo. Zasługiwał na krąg kochających go przyjaciół. Zasługiwał na spokojną rekonwalescencję we własnym domu, wśród wygód, otoczony troskliwą opieką. Nie zasługiwał na to tutaj – izolację, samotność i stan ciągłego obłąkania. Bezustanne troski i lęki, przez które nie mógł ozdrowieć. Gdzie podziali się jego przyjaciele? Gdzie był król, człowiek, który nazywał go bratem, który całe życie darzył go tak wielką miłością? – zastanawiała się zrozpaczona. – Dla nich nie jest aż tak ważny. Dla nich zawsze liczy się coś innego.

Schyliła głowę, ogień z kominka ogrzewał jej dłonie. Lorcan zawsze powtarzał: Znam swoje miejsce, i o to właśnie chodziło. Zawsze był dopiero na drugim miejscu, pierwsza była racja stanu. A teraz... A teraz ja też go opuszczę – pomyślała.

– Nawet ja, bo naprawdę są sprawy ważniejsze, ważniejsze nawet od tego kochanego człowieka, który dał mi wszystko, co miał, który nigdy mnie nie zawiódł.

Nie mogła znieść tych myśli. Po prostu nie mogła. Wykańczały ją. Wstała więc i wymknęła się do swojego pokoju. Zamierzała się umyć i ubrać, zorganizować jakieś śniadanie, porozmawiać z Marni i poczekać na wieści od Raziego. To właśnie chciała zrobić. Najpierw jedno. Potem drugie. I następnie. Z zaciśniętymi pięściami i zębami, ze spuszczoną głowę jakos przetrwa ten dzień. Dzisiejszy i każdy następny, wszystkie przetrwa, krok po kroku.



Właśnie wylewała brudną wodę za okno, gdy z sąsiedniego pokoju dobiegło wołanie Lorcana, pełne napięcia i lęku. Zostawiła cynową miskę na podłodze i z bijącym sercem puściła się pędem do jego drzwi.

– Co się stało, tato? Co...?

Wspierał się na łokciu, a drugą rękę zaciskał na brzuchu. Gdy przekroczyła próg, spojrzał na nią spode łba i wycodził przez zęby:

– Zawołaj Christophera.

– Jest jeszcze bardzo wcześnie, tato. Na pewno śpi. Chciałam trochę poczekać i zaprosić go na śniadanie...

– Zawołaj go! – w jego głosie była teraz desperacja. – Po prostu zawołaj go, dziewczyno! Proszę cię!

Skoczyła do tajnego przejścia i biegiem pokonała korytarzyk wiodący do komnat Christophera. Powstrzymała się przed załomotaniem pięścią, postanowiła cicho poskrobać w drzwi.

Na pewno śpi – pomyślała, wspominając, jak długo i natarczywie Razi dobijał się do niego poprzedniego dnia. – W ten sposób nigdy go nie dobudzę. Ku jej zaskoczeniu za płytą

rozległ się cichy chrobot, więc zaryzykowała i zawołała go półgłosem.

– Christopher? To ja, Wynter. Mój ojciec cię potrzebuje!

Drzwi odsunęły się na bok, mrok rozjaśniło miękkie światło świec, w którym tej szczupłej sylwetki nie dałoby się z nikim pomylić. Christopher był ubrany, pachniał mydłem i proszkiem do zębów.

– Co się stało? – spytał z troską. – Źle się czuje?

– Nie wiem! – Kazał cię poprosić!

Puścił ją przodem, jego ręka przez całą drogę spoczywała na jej plecach. Gdy dotarli do sypialni, Lorcan gestem nakazał jej zostać na progu. Christopher przemierzył pokój szybkim krokiem i nachylił się nad łóżkiem.

Lorcan mówił do niego szeptem, cały czas zerkając na Wynter. Twarz Christophera zasłaniały opadające włosy, ale w odpowiedzi kiwał głową i szeptał coś uspokajająco. Wyprostował się, a Lorcan chwycił go za rękę, spojrzał na niego błagalnie i znowu coś wyszeptał. Minę miał zbolalą i przepraszającą.

Christopher znów się pochylił, położył drugą dłoń na ręce Lorcana i ścisnął.

– Przyjacielu – powiedział cicho. – Byłoby mi przykro, gdy byś mnie nie poprosił. Nie martw się.

Po czym Christopher wrócił do Wynter i wyprowadził ją z pokoju.

– Potrzebny jest Razi? – spytała przerażona i bliska łez.

– Nie – odparł łagodnie. – Trzeba mu tylko silnego ramienia do pomocy. – Zamykając drzwi, spojrzał jej prosto w oczy. – Idź po jakieś śniadanie – powiedział.

Wynter znalazła się sama w ciemnościach, a po drugiej stronie drzwi Christopher pomagał Lorcانowi w czymś, w czym ona nie mogła mu pomóc.

Marni wymierzyła jej siarczasty policzek. Uderzenie było tak mocne, że Wynter upadła na stół zastawiony drewnianymi kubkami, potknęła się i zvaliła wszystko na podłogę. Leżała, osłaniając głowę rękami, w uszach jej huczało. Kubki, stukając, wciąż odbijały się od posadzki i toczyły w różne strony. Marni stała nieruchomo w kącie spiżarni, z otwartymi ustami, z przerażeniem wybałuszając swoje małe niebieskie oczka.

Wynter osłupiała. Co prawda, Jonathon często wyładowywał złość na swoich synach, a Marni nie żałowała im pstryczków w ucho i klapsów w zadek, jednak Wynter jako dziecko nigdy nie była bita. Ten niespodziewany atak obezwładnił ją kompletnie. Oszołomiona i sparaliżowana czekała na kolejny cios.

Gdy Marni znowu stanęła nad nią, Wynter zwinęła się w kłębek. Marni wyciągnęła wielką łapę i chwyciła ją za ramię, stawiając na nogi. Wynter przerażona już chciała krzyczeć, ale olbrzymka tylko przycisnęła ją do swych ogromnych piersi. Wokół niej unosił się zapach masła, świeżego ciasta i jabłek. Wynter z trudem łapała oddech, ściskana mocarnymi ramionami i kołyszana jak dziecko.

– Och, dziewczuszko moja! Moja dziewczuszko! – jęczała Marni. – Czyś ty postradała rozum? Zwariowała? Och... – zaczęła zawodzić. – Moje maleństwa – łkała. – Moje biedne maleństwa... co za czasy, co za straszliwe czasy!

Wynter, usiłując zaczerpnąć powietrza, spytała:

– Zrobisz to, Marni? Pomożesz?

Marni nie przestawała jej ściskać i bujać w ramionach, a zamiast odpowiedzieć, złożyła policzek na jej głowie i płakała, aż włosy Wynter stały się całkiem mokre.

Godzinę później Wynter wyszła z kuchni z koszykiem świeżo ugotowanych jajek. Niosła też tacę z pachnącym



chlebem, wielką miską kremowej owsianki i dzbankiem kawy. Na policzku wciąż miała czerwony piekący ślad, a w uchu cały czas jej szumiało. Najważniejsze jednak, że oprócz śniadania Marni dała jej słowo, iż pomoże w ucieczce i będzie opiekował się ojcem.

Drugi krok miała już za sobą i patrzyła w przyszłość mocno nie z lekkim sercem, ale przynajmniej ze spokojem większym niż rano.

Gdy wróciła do swego pokoju, był późny ranek, salon zalewało przejrzyste światło słoneczne. Zamknęła drzwi i zaczęła wykładać śniadanie na stół. Słyszając jej wejście, Christopher wśliznął się cicho do pokoju i zajął jej przez ramię, wdychając z zachwytem.

– O rety! Mógłbym zjeść konia z kopytami.

Sięgnął po kawałek chleba i zanim zdążyła go pacnąć po łapach, czmychnął w bezpieczne miejsce. Wyszczerył zęby w uprzejmym, wymuszonym uśmiechu.

– Co u ojca? – spytała.

– Wszystko w najlepszym porządku. Dokucza mu tylko własna duma – spojrzał na nią czule. – Jest wielkim, silnym mężczyzną, a ty wciąż jesteś jego malutką córeczką. Są pewne sprawy... – Wzruszył ramionami, nie wiedząc, jak to ująć.

Cmoknęła ze zniecierpliwieniem i wzniosła oczy do nieba. Łatwiej jej było udawać rozdrażnienie, niż zastanawiać się, co Lorcan pocznie, gdy zabraknie Christopfera.

– Zapraszasz mnie na śniadanie? – spytał, dyplomatycznie zmieniając temat. – Bo jeśli nie, to... – zrobił smutną minę, zarazem posyłając jej szelmowski uśmieszek – umrę z głodu, samotny i zapomniany w tych wielkich, pustych apartamentach!

Jego wąska twarz zaczynała odzyskiwać dawne wyraziste kształty, opuchlizna nieco zeszła z ostrych kości policzkowych.

I szczęki. Znikała też opuchlizna z powiek i szare przejrzyste oczy stawały się coraz większe. Wynter ogarnęła gwałtowna, niepohamowana fala czułości i oboje zatrzymali się na chwilę, uśmiechając się w słońcu.

– Zaniesiemy wszystko do pokoju twojego ojca – zasugerował Christopher. – Może to przywróci mu apetyt.

Przenieśli stół do pokoju Lorcana. Christopher otworzył okiennice, w pokoju zrobiło się jasno i rześko. Lorcan obserwowił ich wsparty na poduszkach. Pokręcił głową, gdy Wynter zaproponowała mu, żeby coś zjadł. Christopher tylko się roześmiał i gdy ona jadła jajko, jakimś cudem udało mu się wmusić w Lorcana pół miski owsianki i trochę kawy, po czym ojciec zasnął jak dziecko, nagle, głęboko i bez żadnego ostrzeżenia.

– Christopher – szepnęła.

Christopher, który stał nad łóżkiem Lorcana, odwrócił się z nieobecny wyrazem twarzy. Podniosła miskę owsianki i łyżkę.

– Nic nie zjadłeś. A podobno byłeś gotów zjeść konia z kopytami.

Wydał z siebie głośny pomruk i rzucił się na owsiankę. Szybko pochłonął całą miskę, rozglądając się, czy jest więcej. Dostał dokładkę, którą pożarł równie szybko i wyskrobał miskę do czysta, wzdychając błogo.

– Christopher – zmarszczyła czoło. – Czy ty wczoraj nie jadłeś?

Otwierał już usta, by odpowiedzieć, ale oboje podskoczyli na dźwięk donośnego pukania w drzwi wejściowe.

– Otwierać z rozkazu króla! – ryknął głos za drzwiami. Popatrzyli na siebie zaskoczeni i przerażeni.

– Musisz iść! – syknęła Wynter, pakując do koszyka kilka jajek i kawał chleba. Wcisnąwszy mu jedzenie, wypchnęła go za sekretne drzwi. Powietrze rozdarł kolejny stukot.

– Otwierać w imię miłościwego króla Jonathona!  
Lorcan obudził się nagle i rozejrzył oszołomiony.  
– Co? – spytał.  
– Już idę! Chwileczkę! – zawołała głośno. Szybko wróciła  
jeszcze do pokoju Lorcana, żeby nalać Christopherowi kawy.  
Wcisnęła mu kubek w rękę i zatrzęsnęła za nim drzwi, przy  
kręciła cherubina, żeby zablokować mechanizm i pomknęła  
otwierać królowi.

Jonathon wpadł do środka bez słowa i gestem nakazał jej zamknąć drzwi. Zrobiła to z bijącym sercem, zerkając nerwowo na oddział olbrzymich strażników, stłoczonych na korytarzu. Odwróciła się do króla z formalnym ukłonem, czekając, aż pozwoli jej przemówić.

Jonathon stał podparty pod boki. Słońce rozświetlało mu włosy i brodę. W tym niewielkim pomieszczeniu, ubrany jak podczas oficjalnej audiencji, wzbudzał prawdziwy strach. Zdawał się wypełniać sobą cały apartament. Rozejrzał się z ponurą miną i w końcu rad nierad spojrzął na Wynter, jakby była ostatnią osobą, z którą chciałby rozmawiać.

– No, moja panno – zaczął, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów – gdzie u diabła jest twój ojciec?

– Wasza Królewska Mość? Mój... – ze zdziwienia otworzyła szeroko usta. Nie mogła uwierzyć, że Razi nie powiedział mu o stanie Lorcana. Jonathon musiał wyczytać z jej twarzy, że początkowe oszołomienie przerodziło się w gniew, bo jego oczy stały się nieufne mimo wciąż wyniosłej miny.

Wyprostowała się jak struna i przemówiła dwornie przez zaciśnięte zęby:

– Lord Obrońca leży złożony ciężką chorobą, Wasza Królewska Mość. Tak się nawet składa, że był pogrążony

w spokojnym śnie, dopóki wrzaski twojego strażnika go nie obudziły.

Jonathon zamrugał oczami.

– Czy Wasza Królewska Mość nie rozmawiał z Jego Wysokością, Księciem Razim, o zdrowiu Lorda Obrońcy?

Jonathon machnął ręką.

– Starczy już tych przeklętych tytułów, dziecko! Nie, nie rozmawiałem z Razim o twoim ojcu! W ciągu ostatnich trzech dni nie zamieniłem z nim nawet słowa – na myśl o Razim twa / mu pociemniała w gniewie. – A niech go zaraza. – Otrząsnął się i spojrzał w kierunku pokoju wypoczynkowego. – A więc leży w łóżku? Lorcan?

– Tak, leży w łóżku. Razi zabronił mu wstawać.

Jonathon zmroził ją wzrokiem.

– A wczoraj miał jeszcze siłę bronić tych zatraczonych chłopaków przed moimi strażnikami. Więc nie wygląda mi na kogoś, kto nie może podnieść się z łóżka, żeby mnie zobaczyć.

Serce podskoczyło jej do gardła. Na chwilę zamarła z przerażenia. Odpowiedziała jednak gładko mimo warg zdrętwiałych z gniewu:

– Mój ojciec udał się do biblioteki, by spełnić swój obowiązek wobec Waszej Królewskiej Mości. Chłopcy Huette'a zapuścili dokumentów, a mój ojciec poszedł to wyjaśnić, bo to należy do jego obowiązków.

– Ale nie może zasiadać w mojej radzie czy pokazywać się w sądzie, czyż nie tak, mościa panno? Ma siły dla czeladników, ale nie dla swojego króla?

Tym razem w jej zimnym, niskim głosie nie było wahania.

– Wyprawa do biblioteki omal go nie zabiła, Wasza Królewska Mość. Słaniał się na nogach. Gdyby nie... – przerwała, bo już chciała powiedzieć, gdyby nie Christopher, ale na szczęście w porę ugryzła się w język i gładko dokończyła: – Gdyby

nie jego silny charakter, mogłoby się to źle skończyć. Jego Wysokość Książę Razi nie krył niezadowolenia.

Jonathon patrzył na nią przez chwilę z nieodgadniętym wyrazem twarzy, po czym bez ostrzeżenia odwrócił się na pięcie i skierował do sypialni ojca. Wynter pospieszyła za nim, rozwścieczona.

– Wasza Królewska Mość? Przynajmniej pozwólcie mi go przygotować!

Ale zanim zdołała go powstrzymać, Jonathon już stanął na progu sypialni Lorcana. Zatrzymał się. Wynter przemknęła więc obok. Przyzwyczaiła się już do zmian, jakie zachodzą w wyglądzie ojca w wyniku szybko postępującej choroby. Jego wymizerowanie nie robiło na niej wrażenia. Natomiast Jonathon widział go w tym stanie po raz pierwszy, stanął więc jak wryty i wpatrywał się w niego w milczeniu. Wynter podeszła do łóżka. Zastanawiała się, co usłyszała z jej rozmowy z królem. Spojrzała na niego i doszła do wniosku, że nie za wiele. Patrzył na Jonathona spod półprzymkniętych powiek z obojętnym wyrazem twarzy, głowa wyraźnie mu ciążyła. Jonathon zmarszczył czoło. Błądził wzrokiem po twarzy Lorcana, jego zbielejących wargach, podkrążonych oczach, zapadniętych białych policzkach. Zacisnął zęby i niepewnym krokiem podszedł bliżej.

– Twoja córka mówi, że cię obudziłem – powiedział, spoglądając z góry.

– Nieważne – odparł, a jego głos był zadziwiająco silny. Zdawało się, że mózg Lorcana pracuje na pełnych obrotach.

To zaskoczyło i wyraźnie uradowało Jonathona. Spojrzał na starego przyjaciela tak, jak powinien. Kiwnął głową i ostrożnie usiadł na brzegu łóżka.

– Mówi, że Razi skazał cię na leżenie.

– Tak, zołdkował się tu z całych sił.

Nastąpiła krótka, ciężka cisza.

– Nie rozmawiałeś z Razim? – spytał ostrożnie Lorcan.

Jonathon skrzywił się.

– Mijamy się... na odległość. – Pokręcił głową. – Już tracę do niego cierpliwość. – Spojrzał na przyjaciela kątem oka i mruknął pod nosem: – Doszły do mnie różne...

– Kłamstwa – podsunął natychmiast Lorcan. – Dworskie plotki i oszczerstwa.

– Mimo wszystko... – Jonathon potrząsnął złotą grzywą i warknął znowu: – Mimo wszystko.

– Odsunął się od niego z godną podziwu skwapliwością i rzekł Lorcan.

Jonathon w zamyśleniu zapatrzył się w ogień.

– Mimo wszystko – powtórzył. – Trzeba by wtrącić Hadryjczyka z powrotem do lochu. Przykuć drania do ściany, i skończyłyby się plotki o ich chorobliwych relacjach.

Wynter cała aż zeszywniała z wściekłości, ale Lorcan tylko westchnął i machnął ręką.

– Jon, po prostu daj chłystkowi odjechać, będziesz miał kłopot z głową. Odeślij go do Maroka, niech zejdzie nam z oczu.

Jonathon łypnął na niego podejrzliwie. Lorcan był niewzruszony.

– Potrzebuję go tutaj, przecież wiesz. – Zerknął szybko na Wynter, potem znów zapatrzył się w płomienie. – Jest moją jedyną kartą przetargową.

Lorcan westchnął i odpuścił. Leżał spokojnie na łóżku, a król patrzył w ogień. Wynter z całych sił próbowała zdusić w sobie obrzydzenie i nienawiść, żeby nie chlapać czegoś, czego mogłaby całe życie żałować.

– Jak się czujesz, Lorcanie? – spytał cicho, nie odrywając wzroku od kominka.

Lorcan nie odpowiedział. Wiedział, że pytanie Jonathona nie wynikało z troski o zdrowie starego przyjaciela. Gdy milczenie Lorcana przedłużało się, król odwrócił głowę, by na

niego spojrzeć. Pod wpływem zimnych oczu, które napotkał, wyraźnie stracił pewność siebie. Z miną winowajcy spuścił wzrok, ale po chwili na jego twarzy znów zagościł nieprzyjemny grymas; najwyraźniej przypomniał sobie, że jest królem. Wyprostował ramiona i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w Lorcan.

– Kiedy zdrowie pozwoli ci wrócić do swoich obowiązków, Moorehawke?

– Bóg jeden wie, Wasza Królewska Mość.

Głos jednego i drugiego brzmiał tak samo zimno, tak samo nieustępliwie.

Jonathon ostrzegawczo skłonił głowę.

– Potrzebuję twojego publicznego poparcia, Lordzie Obrońco.

– Może więc nakaż swoim gwardzistom, by mnie wsadzili na nosze, zawiesili na szyi stosowny napis i defilowali tak w jedną i drugą, bo ja ze swojej strony już więcej nie zdołam.

Przez chwilę spoglądali na siebie z wyrzutem. Twarz Lorcana lekko złagodniała.

– Posłuchaj, Jon – powiedział cicho. – Jestem wykończony. Nie widzisz tego? Wykończony. – W przepaszającym geście rozłożył swoje olbrzymie dłonie. – Po prostu daj mi trochę czasu.

Jonathon spojrzał na niego spode łba, a potem podniósł wzrok na Wynter. Odruchowo cofnęła się, dostrzegłszy w jego oczach zimną, wyrachowaną kalkulację. Po plecach przeszedł jej dreszcz. Lorcan sięgnął kurczowo po dłoń króla.

– Jonathon – szepnął, zaniepokojony, a w tym jednym słowie zawarł zarazem groźbę i błaganie.

Jonathon odtrącił jego rękę i wstał, nie spuszczać wzroku z Wynter.

– Zobaczmy się jeszcze na dzisiejszej wieczerzy, Panno Obrończyni; udzielam ci zaszczytu zajęcia miejsca ojca.



– Skłonił się jej, a potem Lorcanowi, który obserwował go z zimną nienawiścią. – Życzę szybkiego powrotu do zdrowia, Lordzie Obrońco. Już nie mogę się doczekać, kiedy znów staniesz u mojego boku.

Słuchali, jak odchodzi; ciężkie kroki gwardzistów szybko cichły w oddali. Wargi Lorcana drżały, ręce miał zacisnięte w pięści. Wynter położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie przejmuj się, tato. To tylko jeszcze jedna uczta! W najlepszym wypadku zanudzę się na śmierć, w najgorszym będę musiała tańczyć z Warrickiem Shardonem i uważać na palce u nóg.

Chwycił jej rękę i przycisnął do piersi. Z roztargnieniem gładził odciski i blizny na palcach. Tyle lat pracowali na nie zależność... o słodka naiwności, jakby w ogóle istniała taka szansa!

– W najgorszym wypadku zostaniesz otruta przez jego przeciwników – powiedział gorzko – zadźgana albo zastrzelona. W najgorszym wypadku Jonathon może wpaść na pomysł, by na stałe związać cię z dworem, żeby tylko trzymać nas krótko. Może posłać cię do klasztoru, żeby tylko mieć nade mną władzę. Może...

– Tato!

Ścisnął jej rękę i z zamkniętymi oczami podniósł ją do ust.

– Och, Wynter! – jęknął, z rozpaczą kołysząc się lekko w przód i w tył. – Och, malutka! Przynajmniej powiedz, że Marni się zgodziła! Przynajmniej to!

– Zgodziła się – szepnęła, posyłając mu najbardziej promienny uśmiech, na jaki było ją stać. – Czy kiedykolwiek w nią wątpiłeś?

Lorcan pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział, odzyskując nieco rezon. – Dobrze.

– Odetchnął głęboko i puścił jej rękę, sadowiąc się wyżej na poduszkach. – Idź teraz po tego chłopaka – powiedział.

machając ręką. – Dzisiaj nikt z nas nie powinien być sam. – Jednak gdy skierowała się do wyjścia, wyglądało na to, że wpadł na nowy pomysł, bo znów wyciągnął rękę i spojrzał jej w oczy. – Powinniśmy powiedzieć Christopherowi o naszym planie – zakomunikował cicho – bo wyraźnie niepokoi się, że możesz zostać tu sama. Ulży mu. Będzie mu rażniej podróżować ze świadomością, że jesteś bezpieczna.

– Tato, nie! – wybuchła.

Ten gwałtowny protest wyraźnie go zaskoczył. Odsunął się, żeby lepiej na nią spojrzeć.

– Lękasz się, że powie Raziemu? Że cię zdradzi?

Poważnie skinęła głową. Chociaż pomyślała coś innego: Nie, tato, nie tego się lękam. Lękam się, że gdy będę próbowała go oszukać, tak jak oszukuję ciebie, Christopher natychmiast mnie przejrzy. A gdyby domyślił się, jakie są moje prawdziwe zamiary, prędzej przykułby mnie do ściany w lochu, niż pozwolił wyjść. A ty, tato, pewnie własnoręcznie podałbyś mu klucze.

Musiła jednak potwierdzić obawy ojca.

– Tak, myślę, że powiedziała by Raziemu. Razi chce, żebym tu została, a Christopher pewnie czułby się w obowiązku wziąć jego stronę.

Lorcan uśmiechnął się ciepło.

– Myślę, że nie doceniasz szacunku, jakim ten chłopak cię darzy, kochanie.

Ścisnęła go za rękę, nachyliła się i wysiliła na żartobliwy ton.

– Tato! Darzy czy nie darzy, nie mów temu chłopakowi, co planujemy.

Podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Jak chcesz!

Podeszła do sekretnych drzwi i odsunęła je na bok, myślnymi błędząc gdzieś daleko. Z mroku wyłonił się raptem biały kształt. Wynter podskoczyła w miejscu i zdusiła okrzyk, gdy

blada twarz Christophera znalazła się kilka centymetrów od jej twarzy. Zatoczyła się do tyłu, sięgając ręką po sztylet.

– Co się dzieje? – zawołał Lorcan.

– Christopher! – krzyknęła. – Co ty tu robisz?

U stóp Christophera stało niezjedzone śniadanie. Wynter nagle zdała sobie sprawę, że nie odstaąpił od drzwi ani na krok. Przez cały czas czekał w ciemnościach.

Podszłuchiwał? Nie, w jego oczach dostrzegła to, co wtedy gdy z takim zapamiętaniem bronił Razięgo. I uświadomiła sobie od razu, że czekał, gotów w każdej chwili przyjść im z pomocą. Nie wiedziała, co prawda, jak zamierzał się do nich dostać, gdyby sprawy przybrały zły obrót, ale była przekonana, że nic by go nie powstrzymało, gdyby tylko krzyknęła.

Wyprostowała się, zdyszana, i schowała sztylet. Drżącą dłonią przesunęła po twarzy, odetchnęła głęboko, usiłując się uspokoić. Christopher, na swój powściągliwy sposób, zrobił dokładnie to samo. Wolno opuścił ręce, schował nóż i wyprostował ramiona, skulone do skoku. Jego twarz z wolna traciła napięty, niebezpieczny wyraz. Odwrócił wzrok, nieco oszołomiony, oddychał z trudem.

– Myślałem... – zaczął. – Pomyślałem sobie, że zaczekam... na wszelki wypadek.

Bez słowa kiwnęła głową i gestem zaprosiła go do środka. Niepewnym krokiem wrócili do Lorcana, który uśmiechał się do nich pobłaźliwie, jakby byli malutkimi dziećmi albo parą pociesznych szczeniąt.

# *Kolejna straszna uczta*

**P**rzestań już chodzić w kółko, chłopcze! Męczy mnie samo patrzeć na ciebie.

Rozdrażnione pomruki Lorcana zaczęły do niej docierać, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi. Z westchnieniem odłożyła narzędzia na podłogę i oparła głowę o framugę, słuchając marudzenia w pokoju obok.

– Która to już godzina? – pytał Christopher, a w jego głosie dało się słyszeć napięcie.

– Na rany Chrystusa! Przecież dopiero co słyszałeś bicie dzwonu! Jest druga połowa szóstej kwarty!

– Prawdziwa godzina, psiakrew! Która godzina na zegarze Północy?

Głos Lorcana zmiękł nieco.

– Pierwsza, chłopcze... Dopiero pierwsza. Jeszcze godzina.

– Na Fritha. Ja... a niech go zaraza... przysięgam...

Wynter zamknęła oczy, słuchając tych niewysłowionych obaw i starając się nie dopuścić do głosu własnych lęków, które w każdej chwili groziły wybuchem.

W bibliotece, prawie nieprzytomna, wcisnęła Pascalowi dokumenty i mruknęła coś o sprawach wagi państwowej. Widziała przerażenie w jego oczach, gdy przed zamknięciem torby nawet nie uporządkowała narzędzi. Ale zignorowała go

i beztrząsco zarzuciła torbę na ramię. Gdy wyszła, było jeszcze wcześnie. Stała w drzwiach sypialni Lorcana z założonymi rękami. Ojciec siedział zgarbiony na łóżku i układał pasjansa. Christopher kręcił ósemki przed kominkiem. Zauważyli ją w tym samym momencie i obaj zatrzymali się w pół ruchu, spoglądając wyczekująco, jakby spodziewali się wieści. Rozłożyła ręce, wyrażając w ten sposób bezradność i złość. Obaj odwrócili się, wydając pomruk zawodu.

Lorcan cisnął kartę na łóżko.

Christopher zrobił kolejne okrążenie i przystanął, żeby spojrzeć przez okno.

– Odejdź stamtąd – burknął Lorcan, jakby powtarzał to już setny raz.

Christopher odsunął się od okna i wrócił pod kominek. Przez chwilę stał w miejscu, ale zaraz znów zaczął krążyć. Jego nerwowe wyczekiwanie coraz bardziej działało Wynter na nerwy. Rozmyślała: Razi pewnie w tym momencie przygotuje się do rozmowy z królem. Pewnie jest już gotowy od paru godzin. Pewnie stoi właśnie w swoich komnatach. Sam I czeka.

Oderwała się od drzwi i przeszła na drugą stronę pokoju. Podeszła do ściany i znów wróciła pod drzwi. Ciaśniej objęła się ramionami. Miękkie buty Christophera sunęły po drewnianej podłodze, skrzyp, skrzyp, skrzyp.

Lorcan rzucił następną kartę.

– Tato. – Lorcan spojrzał na Wynter wyczekująco. – Jonathan spotka się z nim w swoich prywatnych komnatach. Prawda?

Lorcan pokiwał głową. Mało prawdopodobne, by król spotykał się z synem wśród zgiełku i tłumu wielkiej sali audiencyjnej. Choć Razi wielokrotnie mu dopiekl, król na pewno nie każe mu sterczeć w długim korytarzu z pospólstwem ciępliwie czekającym na królewskie posłuchanie.

Spojrzała na ojca znacząco. Prywatne sale audiencyjne znajdowały się zaledwie dwa piętra niżej, niemal bezpośrednio pod ich komnatami.

– Chcę tylko, żeby mnie zobaczył, tato. Chcę, żeby wiedział...

Christopher zatrzymał się bez ruchu, wpatrując się w Wynter szeroko otwartymi oczami, pełen nadziei.

– Ale nie możesz pozwolić, żeby zobaczyli cię strażnicy, kochanie – ostrzegł ją cicho Lorcan. – Na korytarzu będzie pełno gwardzistów Jonathona. – Wynter już unosiła buńczucznie głowę, ale Lorcan w zamyśleniu ciągnął dalej: – Razi pewnie nadejdzie od strony schodów środkowej galerii, skieruje się korytarzem niebieskim. Jeśli poszłabyś tymi schodkami na tyłach i wyszła karlimi drzwiami, mogłabyś stanąć we wnęce przy komnacie muzycznej. W ten sposób, gdy Razi wejdzie na górę i skręci w korytarz... – Lorcan podniósł wzrok – zobaczy cię.

– Ja też idę – oświadczył Christopher. Lorcanowi wystarczył jeden rzut oka na jego twarz, by od razu zrezygnować z protestów.



Pół godziny później stali, milczący i skupieni, ściśnięci ramię przy ramieniu na końcu krótkiego przejścia. W korytarzu za rogiem słyszeli ludzi Jonathona. Gdyby zrobili zaledwie dziesięć czy jedenaście kroków naprzód i skręcili w lewo, weszliby prosto na nich. Wynter nie chciała nawet myśleć, że znów mogłaby znaleźć się w otoczeniu tych olbrzymów. Tych samych, którzy śmiali się, gdy Jonathon walił głową Christophera o drzewo. Tych samych, którzy wśród drwin zaciągnęli go, krzyczącego i skrwawionego, do lochu.

Starła się oddychać cicho i spokojnie. Skoncentrowała wzrok

na schodach. W głowie kotłowały się różne myśli: A co, jeśli Razi obierze inną drogę? Co, jeśli zjawi się w otoczeniu całej świąty, jak to ostatnio miał w zwyczaju? Co, jeśli minie ich, nawet nie podniósłszy głowy?

Christopher stał nieruchomy i cierpliwy jak posąg. Nie spuszczał wzroku ze szczytu schodów, a jeśli nawet wartownicy napawali go strachem, to, podobnie jak Wynter, nie dał tego po sobie poznać.

Czekali już bardzo długo i Wynter zaczynała się zastanawiać, czy Razi przypadkiem nie wszedł, gdy Christopher nagle stanął prosto i odsunął się od ściany. Zrobiła krok naprzód, muskając ramieniem jego rękę, i wytężyła słuch, żeby usłyszeć, co przykuło jego uwagę.

Tam! Kroki na schodach. Jeden człowiek, zmierzający w górę. Razi!

Razi pokonał schody szybko, ze spuszczoną głową, i przez chwilę Wynter bała się, że będzie tak szedł dalej i minie zakręt, nie zauważając ich. Jednak na samym szczycie, jeszcze zanim znalazł się w zasięgu wzroku strażników, przystanął gwałtownie. Głową miał wciąż spuszczoną, wzrok błędny. Stał tam przez chwilę, jedną ręką trzymając się ściany, drugą zaciskając w pięść.

Nagle skupił wzrok na płytkach podłogi, wziął głęboki wdech i wyprostował ramiona. Na jego twarzy pojawiła się maska. Niepewność, strach, wszystko to zeszło gdzieś głębiej, a na powierzchnię wyłoniła się chłodna, dworska nonszalancja, niczym lód ścinający jezioro. Oczy, ledwo widoczne pod kędzierzawą grzywką, nabrały hardego wyrazu, a brwi uniosły się z pogardą. Wyprostowany jak struna, podrzucił głowę do góry i wtedy napotkał wzrok Wynter.

Na jej widok jego maska opadła; lekko się zatoczył, lecz w chwili odzyskał panowanie nad sobą. Wodził wzrokiem od Christophera do niej. Uniósł rękę do oczu, jakby chciał przedzić nękające go omamy.

Wynter zrzędała mina. O Boże – pomyślała. – Źle postąpiliśmy, źle postąpiliśmy! Ale już nie było odwrotu, stało się, więc usiłowała przekazać mu jak najwięcej wzrokiem: Kocham cię, jestem z tobą, nie jesteś sam.

Razi zmarszczył brwi, a do oczu napłynęły mu łzy. Zrobił krok do tyłu. Wtedy naprzód wysunął się Christopher. Uniósł palec do ust i surowo zmarszczył czoło. Razi gorączkowo patrzył mu w oczy. Christopher stanął na baczność. Podniósł rękę do czoła, wysunął jedną nogę do przodu i wykonał najdoskonalszy, najbardziej dworski ukłon, jaki Wynter kiedykolwiek widziała.

Razi wybuchnął bezgłośnym, łkającym śmiechem. Spojrzał na pochyloną głowę przyjaciela i wziął głęboki wdech. Znow wyprostował ramiona. Christopher nie zmieniał pozycji, a gdy się podniósł, Razi już przywdział maskę. Patrzyli na siebie, obaj w formalnych pozach, z kamiennym wyrazem twarzy. Skłonił lekko głowę, a Christopher uśmiechnął się i odwzajemnił ukłon.

Razi spojrział na Wynter. Jego twarz na chwilę złagodniała, kąciki ust uniosły się leciutko. Ukłonił się. A ona, choć wciąż miała na sobie roboczy ubiór, natychmiast odpowiedziała wytwornym ukłonem, jakby była ubrana w najpiękniejszą suknię, i trwała tak chwilę, a gdy znow się wyprostowała, jego już nie było.



– Pięknie wyglądasz, malutka.

– Dziękuję, tato – odpowiedziała, nerwowo wygładzając szmaragdową satynę spódnicy. Lorcan patrzył na nią, siedząc na łóżku żałośnie skulony pod stertą kołder. Wciąż drżał, mimo ognia huczącego w kominku. Christopher stał obok niego. Pocił się, a jego oczy i bransoletki połyskiwały w ogniu.



Obaj spoglądali na Wynter tak, jakby za chwilę miała po wędrować na stos ofiarny. Cały dzień czekali na Razięgo i teraz czuli się wykończeni. Niepokój i strach spowodowały, że byli jakby bez uczucia, oczy mieli podkrążone i zmęczone. Wynter marzyła, żeby zostać jeszcze z nimi, ale panujący w pokoju upał skutecznie ją zniechęcił: I tak nie mam już czasu – pomyślała.

Wcześniej żywiła nadzieję, że Razięgo po nią przyjdzie, że znów przeprowadzi ją przez labirynt królewskich komnat. Ale Razięgo się nie zjawił, wiedziała też, że już nie przyjdzie, więc pogodziła się z myślą, że będzie musiała iść sama. Żeby tylko nie mu się nie stało. Błagam. Błagam – powtarzała w myślach.

– Muszę iść.

Obaj kiwnęli głowami i Wynter skierowała się do wyjścia. Jednak zanim otworzyła drzwi, obejrzała się. Christopher wyszedł z sypialni Lorcana i obserwował ją.

– Christopher – powiedziała ostrzegawczo. – Nie włączaj się po zamku.

Spojrzał na nią, jego twarz ginęła w mroku, i znów zniknął w pokoju ojca.



– Przypominam ci, że król jest uczonym.

– Może i tak, ale zna się też na rozbijaniu łąbów... a z kolei ten chłopak nie odróżniłby jednego końca kopii od drugiego... nie to co Alberon...

– O, wypraszam sobie, widziałeś twarz króla? Arab musi i jest zniewieściał, ale...

Słyszała wokół rozmowy dworzan, ale gdy ich mijala, milkła. Ktoś z przodu, odwrócony do niej plecami, przemawiał autorytatywnie.

– ...chłosta nie wystarczy. Za czasów mojego dziada solumitów paliło się na...

Jeden z jego towarzyszy syknął: „Ściany mają uszy”. Rozmowa gładko przeszła na psy myśliwskie, a Wynter szła dalej, nie zatrzymując się.

Z gracją przeciskała się przez tłum kobiet i mężczyzn, kiwając głową i rzucając grzecznościowe formułki. Raptem znalazła się na otwartej przestrzeni, gdzie nie było nikogo oprócz niej, więc rozejrzała się zdezorientowana. Stała jakieś dziesięć stóp od Drzwi Królewskich. Odniosła wrażenie, że ktoś narysował tu niewidoczny okrąg i kazał go nie przekraczać. Rozmowy za jej plecami ciągnęły się jakby nigdy nic.

W samym środku koła, wśród nonszalancko odwróconych pleców, stał Razi. Widząc go całego i zdrowego, Wynter odechnęła z ulgą. Poprawiał właśnie swój purpurowy płaszcz. Nie patrzył w jej stronę. Zmarszczyła czoło, widząc, że jego prawy rękaw wisł pusty.

W pełni świadoma, że wszyscy zgromadzeni obserwują ją kątem oka, podeszła do niego. Stanęła z tyłu, odchrząknęła grzecznie i przemówiła dworskim tonem:

– Wasza Królewska Wysokość wybacz, ale tarasuje przejście.

Gdy odwrócił głowę, nie mogła się powstrzymać. Wydała stłumiony okrzyk, a jej otwarte ze zdziwienia usta jakoś nie chciały się zamknąć.

Razi! Och, Razi, co on ci zrobił! – chciała krzyknąć zrozpaczona.

Posłał jej chłodne spojrzenie, więc musiała zamknąć usta. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że powinna też wykonać protokolarne dygnięcie. Trwała tak dłużej, niż to było wymagane, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Wyprostowała się i spojrzała na Raziego, tłumiąc furię: Gdy spotkam króla następnym razem, lepiej dla niego, żebym nie miała przy sobie broni – wydawały się mówić jej oczy.

Jego twarz przypominała krwawą masę, miał pękniętą

piersiowej i poruszał się sztywno, jakby go wszystko bolało.

Spojrzała mu prosto w oczy, czuła, że z gniewu cała drży. Zabije Jonathona – pomyślała – wezmę jego własny miecz i...

Wtedy, ku jej zdumieniu, Razi puścił do niej oko. Zgiął się w sztywnym ukłonie, a gdy jego kędzierzawa głowa znalazła się na poziomie jej ucha, szepnął:

– Powinnaś zobaczyć króla, siostrzyczko. Nawet nie jest w stanie normalnie chodzić.

Wyprostował się, triumfalnie uśmiechając.

– Wielmożna Obrończyni – powiedział na głos. – Tak dawno się nie widzieliśmy. Zechcesz, pani, towarzyszyć mi w drodze do królewskich komnat? – Podał jej ramię. Odwrócili się do drzwi, a gdy paź wpuścił ich do środka, Razi dźwięcznym głosem dodał: – Mówiłem ci już, że wybieram się do Padwy?

Rory! – zawołała przyciszonym głosem, rozglądając się z obawy, czy ktoś jej nie obserwuje. Już cztery dni temu Razi dostał pozwolenie na wyjazd, a na ścieżce wciąż nie było śladu po duchu Rory’ego Shearinga. Nie było też informacji, którą obiecał im przekazać. Czas uciekał.

Jutro rano Christopher miał wyjechać. Dwa dni później nie będzie już Raziego i tego dnia ona też będzie musiała pożegnać się z ojcem. Na samą myśl ścisnęło jej się serce. Zdecydowanie odsunęła te lęki od siebie, wciąż jednak czuła, jak kotłują się w środku, wciąż przyprawiały ją o mdłości, ale nie zamierzała zrezygnować ze swoich planów. Czekwała na rozedrganie powietrza, które zwiastowałoby nadejście Rory’ego, ale powietrze pozostawało nieruchome. Nie usłyszał wołania – westchnęła.

Razi spędził kilka ostatnich dni na gromadzeniu zapasów dla Christophera na podróż do Maroka. Oprócz konia, na którym jeździł wcześniej Christopher, Razi podarował mu dwa luzaki i jednego jucznego muła. Christophera złościło, że nie może brać udziału w przygotowaniach do własnej podróży, ale zdaniem Raziego nie powinien opuszczać swoich komnat, bo wciąż było to zbyt niebezpieczne.

W tym samym czasie Wynter i Marni czyniły ukradkowe przygotowania do innej wyprawy. Wszystko szło gładko.

Wynter potrzebowała jeszcze tylko informacji. Znów rozjeżdżała się po alejce. Było już późno. Pyliste światło wieczoru kładło się ukosem między pniami kasztanów, a kruki z wieży krakały sennie i stroszyły pióra wśród gałęzi. Modły muzumanów właśnie dobiegły końca, Wynter słyszała też żołnierzy ćwiczących się w posługiwaniu kopią oraz brzęki cięciw łuczniczków.

Postanowiła zaryzykować jeszcze raz i krzyknęła cicho:

– Rory! Potrzebuję cię!

Lorcanowi wcale się nie polepszało. Wszyscy o tym wiedzieli. Był zbyt słaby, by dojść dalej niż do fotela pod oknem, i nawet w najprostszych czynnościach był zdany na Christophera. Ale przynajmniej udało się wygnać z kości ten przeraźliwy ziąb, więc nie musieli już palić w kominku, a w jego sypialni przestało być jak w piecu.

Christopher zamartwiał się, co będzie z Lorcanem, gdy jego zabraknie. Większość dnia spędzali razem, na rozmowach i kartach, i choć Christopher coraz gorzej znosił areszt domowy, nie chciał nawet słyszeć o zostawieniu Lorcana samego.

Dwa dni wcześniej Razi przedstawił im niskiego i wytworzonego człowieczka nazwiskiem Marcello Tutti, który miałby być prawą ręką Lorcana w czasie – jak to dyplomatycznie określił – jego „rekonwalescencji”. Marcello, elegancki, ciemnowłosy i czarujący, spędził u Lorcana już dwa poranki, zabawiając go rozmową po włosku i niosąc doraźną pomoc. Lorcan stwierdził, że jest z niego bardzo zadowolony. Swoje obowiązki miał jednak objąć dopiero po wyjeździe Christophera, który tymczasem niemal stale był przy Lorcanie, ale z nieco lżejszym sercem i świadomością, że stary przyjaciel nie pozostanie sam.

Zegar wybił drugą połowę dziewiątej kwarty. Wynter niecierpliwie przebiegła palcami po włosach. Na szczęście, nie będzie już więcej przeklętych bankietów, Jonathon postanowił jadać w zaciszu własnych komnat, aż zejda mu siniaki i przestanie kuleć.

Teraz kolacja czekała na nią w jej apartamentach i wszyscy pewnie zastanawiali się, dlaczego jej nie ma.

– A niech to! – mruknęła. – Trzeba już iść, nie mogę dłużej ryzykować.

– Twój zbuntowany duch nie miewa się najlepiej, była-służebnico-kotów. Inne duchy dręczą go i prześladują, więc od ciągłego uciekania rozwiął się niemal zupełnie.

Wynter odwróciła się nieufnie. Spod krzaka łytał na nią rudy kot. Przeciągnął się nonszalancko.

– Nie zaprzataj tym sobie tej swojej płowej główki, panico, tutaj nikt nie zobaczy, że się z nami zadajesz. – Dumnym krokiem wyszedł spod krzaka i spojrzał na Wynter bez cienia sympatii w zielonych oczach.

– Co się stało Rory’emu? – spytała ostrożnie.

Kot machnął ogonem.

– Baruje się.

– Z czym?

– Z tym, który jest poskręcany i nie zna własnego imienia.

Wynter ze zniecierpliwieniem przygryzła wargę. Czasami myślała, że koty specjalnie mówią w ten sposób, żeby droczyć się z ludźmi i naśmiewać z ich dezorientacji.

– Nie rozumiem cię – powiedziała cierpko.

Kot prychnął, jakby to go wcale nie obchodziło. Rozejrzał się po pylistej alejce i zmrużył oczy, wpatrując się w jakiegoś gryzonia. Wyprężył ogon, poruszając rytmicznie jego koniuszkiem, i oblizał się.

– Nie troskaj się – odparł, ostrożnie podkradając się bliżej ze wzrokiem wbitym w ofiarę, ciałem napiętym, przyczajony tuż przy ziemi, niczym śmiercionośny pomarańczowy cień. – Przyjdę po ciebie, gdy twój zbuntowany duch zdoła umknąć i się zmaterializować. Idź... bo będą cię szukać...

Przystanął pod krzakiem całkowicie nieruchomy.

Wynter odeszła szybko, ciarki przechodziły jej po plecach.

Zanim skręciła w bok, usłyszała jeszcze szelest, pacnięcie i przeraźliwy pisk jakiegoś małego zwierzątka. Zamknęła oczy i wzdrygała się: kot dopadł swoją ofiarę.

W drzwiach powitał ją zdyszany śmiech Lorcana. Christopher przekonywał go głośno i żarliwie:

– ...nie! Przysięgam! Czemu mi nie wierzysz?

Słyszając jej wejście, stłumili nieco rechot, a Christopher podszedł ostrożnie do drzwi sypialni Lorcana i wyjrzał. Z ulgą opuszczył głowę i zawołał przez ramię:

– To ta twoja córka!

– Żaden z niej pożytek, jeśli nie przyniosła kolacji! – powiedział Lorcan i podniósł głos, żeby krzyknąć do niej: – Gdzie nasze jedzenie, kobieto?

Zaśmiała się i zdjęła torbę z narzędziami.

– A gdzie moje, ty stary kozle?

Siedzieli przy kominku. Lorcan, ubrany w spodnie, luźną białą koszulę i buty, siedział w fotelu wymoszczonym poduszkami, a stopy trzymał na stołeczku. Christopher właśnie siadał na stercie poduszek, na których ostatnio zwykł odpoczywać wieczorami. Wyczekująco wyszczerzyli zęby, a ona rozłożyła ręce.

– Nie oczekujcie, że będę was zabawiać – ostrzegła. – Zabawianie nie leży w mojej naturze. – To z jakiegoś powodu nie zmiernie ich rozbawiło. Wynter opadła na poduszki u boku Christophera i oparła głowę o ścianę. Ku jej zdziwieniu nie zanosilo się na kolację, obaj wrócili do szachów.

– Pytam poważnie, panowie, gdzie jest moje jedzenie?

Uśmiechnęli się do siebie znacząco, a serce Wynter zabiło mocniej. Pewnie dołączy do nich Razi! W ciągu ostatnich paru dni zjawiał się tu o najróżniejszych godzinach. Gdy tylko mógł wymknąć się strażnikom albo wymigać od kieratu codziennych obowiązków, przemykał tajnymi przejściami i spędzał czas w ich towarzystwie. Ni stąd, ni zowąd zza ściany

dochodziło skrobanie, a po chwili stawał przed nimi uśmiechnięty. Rzadko mógł zostać dłużej, ale przynosił mapy i zwoje dokumentów, kiwał głową na Christophera i obaj na całe godziny znikali w swoich komnatach, żeby zaplanować trasę do Maroka. Z całych sił pragnęła, by Razi zdołał się dziś wyrwać.

Lorcan już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale wszyscy uśmiechnęli się, słysząc ciche skrobanie. Christopher i Wynter skoczyli na równe nogi, potykając się o siebie i śmiejąc, i pomknęli do tajnych drzwi, kto pierwszy.

W drzwiach stanął uśmiechnięty Razi, niosąc garnek z pokrywką. Z garnka dobywał się cudowny korzenny zapach, od którego Wynter aż pocięła ślinka. Postawił go na stole, obok wcześniej przygotowanych misek i szklanek, a Christopher na chwilę zniknął w tajnym przejściu. Wrócił z butelką białego wina i koszykiem lukrowanych ciasteczek.

– Skąd je masz? – Razi zerknął podejrzliwie na ciastka, zdejmując pokrywkę z garnka.

Christopher uniósł brwi.

– Mam swoje dojścia.

Lorcan parsknął.

– Dziś rano przyniosła je mała jasnowłosa pokojówka z pulchnym zadkiem. Ciężkiem stroiła do niego słodkie minki.

Christopher puścił do niego oko.

– Doceniła jakość moich usług – powiedział świętoszkowato.

Razi spojrział niepewnie na koszyk, a Christopher przewrócił oczami i z wyzywającym uśmiechem wpakował ciastko do ust. Razi był zbulwersowany.

Wynter wciągnęła w płuca zapach dobywający się z garnka, ale nagle się wyprostowała.

– Razi! A jeśli są zatrute? Trudno, już po nim, ale za to więcej jedzenia dla nas! Nakładaj!



Jedli z misek palcami, jak Saraceni, a szklanki z herbatą odstawiali na podłogę. Lorcan siedział w fotelu i skubał jedzenie bez przekonania, a reszta rozsiadła się u jego stóp, jedząc z chłanniem i w milczeniu, by jak najszybciej nasycić głód.

– Na Fritha, człowieku. Pyszności! Miałem na to chętkę, odkąd wyruszyliśmy z domu. Jak ci się udało skorzystać z kuchni? – Nałożył sobie dokładkę i dolał Wynter herbaty.

Wynter i Lorcan, zaskoczeni, aż się zakrztusili i spojrzeli na Rازیego.

– Sam to ugotowałeś? – spytała Wynter.

Razi, wkładając do ust ostatnie kęski, uśmiechnął się oczami i kiwnął głową.

Lorcan zmienił pozycję w fotelu, by lepiej przyjrzeć się młodzińcowi opartemu o jego stołeczek.

– No proszę – powiedział. – Nawet ja jestem pod wrażeniem. – Razi oparł kędzierzawą głowę o poręcz jego fotela i uśmiechnął się.

– O tak – westchnął Christopher, wycierając ręce w serwetkę i siadając wygodniej. – Na moim gotowaniu da się przeżyć, ale na gotowaniu Rازیego chce się żyć. – Westchnął, z zadowoleniem klepiąc się po brzuchu.

Rozprawili się z ciastkami i wypili nieco wina, a reszta wieczoru upłynęła im na nieskrępowanych, wesołych rozmowach. Nikt nie mówił o wyjeździe Christophera, nikt nie wspominał o rodzinie Rازیego i nikt nie zastanawiał się nad losem Wynter i Lorcana. Tego wieczoru przyszłość nie istniała. Była tylko czwórka przyjaciół z pełnymi brzuchami. Wszyscy radowali się tą krótką chwilą szczęścia.

Rozmawiali do późna w nocy.

– ...pamiętasz...? – zaśmiał się Christopher, potrząsając kolanem Rازیego. – Jak ubzdurał sobie, że wymienisz ogiera na jedną z jego córek?

Razi wyszczerzył zęby i oblał się szkarłatnym rumieńcem.

– A jakże! Stare skąpiradło! Prędzej rozstałby się z własnym dzieckiem niż mieszkaniem z łotą...

Christopher odwrócił się do Lorcana i Wynter. Wspomnienie to musiało rozbawić go do łez, bo miał mokre oczy.

– Raz... Raz nie pojmuje, co się dzieje! Dlaczego te wszystkie baby przychodzą do jego namiotu... – Usiadł prosto, kobiecym gestem odrzucił włosy do tyłu, zatrzepotał rękami, zaczął wiercić się na poduszkach jak kołysząca biodrami uwodzicielka i wyszeptał cichym, zmysłowym głosem: – Życzycie sobie więcej słodczy, lordzie Razi? – Przechylił głowę i spojrział spod rzęs na Wynter i Lorcana. – Mamże przynieść wam wody, lordzie Razi? – Pochylił się do przodu i szepnął sugestywnie ochrypłym głosem: – Azali przetrzepać wam poduszki, lordzie Razi?

Lorcan zakrztusił się ze śmiechu, a Wynter ukryła uśmiech w szklance. Razi, czerwony jak burak, uśmiechnął się i klepnął Christophera po głowie.

– Siedziałbyś cicho, nikczemniku.

– Czy... dostał w końcu tego konia? – wykrztusił Lorcan, zwijając się ze śmiechu.

Christopher uniósł brew.

– A jak myślisz? – spytał.

Lorcan znów zawył ze śmiechu, a Razi uniósł ręce w protest i zawołał:

– Zapłacił mi godziwą sumę! Zapłacił!

– Nie wątpię... – mruknęła znacząco Wynter, dolewając sobie herbaty. – Zapłacił, ale dopiero po tym, jak ty poużywałeś sobie z córkami...

Mężczyźni na nowo ryknęli, a ona uśmiechnęła się do szklanki. Christopher posłał jej radosne spojrzenie.

Robiło się już późno, stopniowo zapadała kojąca cisza.

– Zaśpiewaj nam coś, Razi – mruknął sennie Lorcan, odchylając głowę do tyłu.

Razi uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie dzisiaj. Jakoś nie jestem w nastroju.

– Christopher? – spytał ostrożnie Lorcan.

Ale Christopher uśmiechnął się lekko.

– Lepiej nie, chyba że lubisz dźwięk zardzewiałej furtki.  
Skrzeczę jak wrona!

Wszyscy zarechotali, a Christopher spojrział pytająco na  
Wynter. Lorcan machnął ręką.

– O, równie dobrze mógłbyś prosić księżyc! Nigdy nie  
śpiewa w towarzystwie, choć głos ma jak słowik.

Wynter nie spuszczała wzroku z Christophera i ku widocznemu  
jemu zaskoczeniu Lorcana odpowiedziała:

– Wszystko mi jedno, tato, mogę zaśpiewać. Co chciałbyś  
usłyszeć?

Lorcan przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Zaśpiewaj *Lilie polne pod Jego są opieką* – powiedział i  
cho.

– Dobrze, tato.

Żeby tylko nie wybuchnęła płaczem – nakazywała sobie  
w duchu, otworzyła usta i zaśpiewała. Wiedziała, że był to ulubiony  
hymn jej matki. Mówił o Bożej miłości do wszystkich  
stworzeń i Jego zrozumieniu dla ich dziennego trudu. O pocieszeniu  
w najczarniejszą godzinę i o spokoju oraz radości, które następują  
nawet po najdłuższej burzy. Była to pieśń, która przemawiała  
Lorcanowi do serca, a Wynter, śpiewając, dala z siebie, co mogła,  
zamknęła oczy i uszy na wszystko poza muzyką.

Gdy skończyła, przyglądali się jej ciepło.

– Powinnaś śpiewać częściej – szepnął Christopher.

Przez jakiś czas znowu zgodnie milczeli i patrzyli w ogień.  
Wynter bała się, że nastrój się pogorszy, że poddadzą się smutkom,  
ale nastąpił tylko powrót do spokojnej, kojącej ciszy przed  
paru chwil, gdy każdemu było wygodnie na swoim.

miejscu i każdy czuł się szczęśliwy, otoczony ludźmi, których kocha.

Lorcan przekręcił się w fotelu.

– Tato? – Wynter spytała z troską, siadając prosto.

Zasłaniał twarz dłonią. Dostrzegła, że palce mu drżą, a usta, ledwo widoczne w cieniu dłoni, zaciśnięte są w linijkę. Christopher płynnym ruchem uniósł się z podłogi.

– Lorcan, masz ochotę się położyć?

– Tak – szepnął. Christopher spozjrzał znacząco na pozostałych.

Wynter poczuła ukłucie zazdrości, ale posłusznie wstała, Razi też. Przesunęli poduszki pod ścianę, odstawili naczynia na stół i przenieśli się do pokoju obok, żeby zaczekać.

Zasiedli za okrągłym stołem i w miękkim świetle świec nasłuchiwali, jak Christopher wolno kładzie Lorcana do łóżka.

– Co on zrobi bez niego? – powiedziała Wynter.

Co ja zrobię bez niego? – pomyślała.

– Tutti to dobry człowiek, siostrzyczko. Był ze mną w Maroku. Bez niego śmierć St Jamesa byłaby o wiele... o wiele cięższa.

Wynter spojrzała na Razięgo. W łagodnym świetle jego posiniaczona twarz była smutna i zamyślona. Wpatrywał się w świecę, w jego oczach wyraźnie połyskiwały złote odbicia płomienia. St James był jego najbliższym przyjacielem i obrońcą. Przyjął Razięgo do terminu, gdy ten skończył osiem lat, i większość życia spędził na przekazywaniu mu swojej wiedzy.

– Jaki los go spotkał?

– Zmarł na raka, jak sądzę. To postępowało bardzo wolno. Było bardzo... źle.

– Tak mi przykro, Razi.

Uśmiechnął się.

– Tak. Dziękuję. – Nie przestawał się uśmiechać, jego

wielkie oczy były ciepłe i czułe. – Marcello dopilnuje, żeby twojemu ojcu niczego nie brakowało. Ty będziesz tylko musiała go kochać i być przy nim w godzinę... – Zawahał się i odwrócił wzrok. Na myśl o nieuchronnym odejściu Lorcanu opuściła go zawodowa obojętność. – Będziesz mogła pozostać jego córką aż do samego końca, a on nie będzie musiał godzić się z tym, że zostałaś jego pielęgniarzką. Cieszę się, że mogłem to dla was zrobić... Serce mi się kraje na myśl, że muszę go opuścić, Wynter. Ja... moim jedynym pocieszeniem jest myśl, że zostaniesz u jego boku.

Wynter zaczęła tracić panowanie nad sobą. Zamknęła oczy. Wszyscy zamierzali go opuścić. Lorcan zostanie sam, sam jak palec aż do końca. Ukryła głowę w dłoniach. Och, jak mogła zrobić coś takiego? Jak? – rozpaczła. Nie wierzyła, by stać czyło jej sił na wykonanie planu.

Coś poruszyło się na dole, więc otworzyła oczy. Razi klęczał obok. Spojrzała na niego, a on odgarnął jej włosy z twarzy.

– Żadnych łez – powiedział błagalnie. – Nie dzisiaj, do brze?

Kiwnęła głową.

– Żadnych łez – zgodziła się i odetchnęła głęboko.

Obejrzeli się, słysząc skrzypnięcie drzwi, w których ukazała się głowa Christophera. Podeszli, by z nim porozmawiać.

– Śpi jak kamień – szepnął Christopher.

– Chris – powiedział Razi. – Musisz wyjechać jutro z samego rana. Wciąż nie wierzę, że ojciec pozwoli ci wyjechać, ot tak, i nie będzie próbował cię powstrzymać. – Christopher kiwnął głową, kierując wzrok na Wynter.

Razi westchnął.

– Wszyscy powinniśmy iść już spać – powiedział. Christopher znów kiwnął głową i wrócił do sypialni Lorcana.

– Christopher! – rzucił ostro Razi. – W tej chwili idź do łóżka!

– Śpię tutaj – powiedział Christopher, wskazując na poduszki.

Razi parsknął niecierpliwie.

– Musisz się wyspać! Jutro musisz być w pełni władz umysłowych! – powiedział z naciskiem. – Wracaj do swojego łóżka!

Christopher przeszedł nagle przez próg i położył dłoń na piersi Raziego. Zmarszczył czoło, widząc uparty wyraz jego twarzy, a gdy przemówił, jego głos był cichy i stanowczy.

– Po raz setny ci powtarzam, Razi Kingssonie, że nie jestem dzieckiem, do cholery. I śpię tutaj, na tych poduszkach. – Chwycił Raziego za koszulę i lekko nią szarpnął, spoglądając mu w oczy. – Koniec i kropka.

Twarz Raziego złagodniała, kiwnął głową. Christopher uśmiechnął się.

– Wiesz... – powiedział cicho Razi – nie wiem, czy jutro uda mi się wyrwać... mój ojciec...

Z tłumionych emocji Christopherowi wyciągnęła się twarz, ale krzepiąco poklepał go po piersi. Zanim zdołał się odsunąć, Razi chwycił go za rękę i przysunął ją sobie do serca, twarz miał poważną, a oczy pełne łez.

– Na Boga, Christopherze. Uważaj na siebie... proszę cię.

– Gdy tylko znajdę się za murami, przyjacielu, pomknę przed siebie z chyżością królika. Nigdy mnie, psiakrew, nie znajdą.

Razi gwałtownie pochylił się do przodu i otoczył Christophera ramionami, tuląc go do piersi. Christopher bez wahania objął go i też uściskał. Stali tak przez całą wieczność, policzek Raziego spoczywał na głowie Christophera, twarz Christophera wtulona była w ramię Raziego.

– Postaraj się jutro przyjść – rzucił niespodziewanie Christopher, a głos mu się łamał.

Razi bez przekonania pokiwał głową. Wrócił pod tajne drzwi. Przystanął niepewnie na progu, jego oczy błyszczały

w ciemnościach. Wynter pomachała mu na pożegnanie. Posłała jej uśmiech i zatrzasnęła za sobą drzwi. Christopher oparł się o ścianę, jego twarz ginęła w mroku.

– Christopherze, powinniśmy już iść spać.

– Tak. – Spojrzał na nią z ukosa. – A ty wstaniesz jutro razem ze mną?

Pokiwała żarliwie głową.

– Dziękuję – szepnął i położył się na poduszkach, plecami do ognia, ze wzrokiem wbitym w Lorcana.

Wynter włożyła koszulę i przez długi czas stała bez ruchu, wpatrzona w swoje łóżko, porządnie zasłane i chłodne w niebieskim świetle księżycy. Ściągnęła z niego dodatkową kołdrę i wróciła do pokoju Lorcana.

Christopher spojrział na nią. Jego twarz błyszczała od łez, które od razu otarł wstydliwie. Nie zwracając na to uwagi, umościła się na poduszkach między Christopherem a kominkiem.

– Dzięki – szepnął, gdy okryła go kocami. Wsunęła się pod kołdrę i ułożyła na poduszkach.

Leżeli tak przez dłuższą chwilę, Christopher plecami do niej, a Wynter na boku, z dłonią pod policzkiem. Oboje patrzyli na śpiącego Lorcana.

Po jakimś czasie przysunęła się bliżej i objęła Christophera w pasie. Oparła policzek o jego plecy i zamknęła oczy. Jej dłoń leżała swobodnie i luźno na jego brzuchu. Zaczynała zasypiać, gdy Christopher chwycił ją za rękę i przycisnął ją sobie do piersi. Właśnie tak zasnęła, w ciepłe jego szczupłego ciała, w uścisku okaleczonej dłoni, z ręką na jego sercu.

# Pierwsze pożegnanie

Księżyc zaszedł, a słońce jeszcze nie wstało, gdy Wynter otworzyła oczy. Było jej ciepło i wygodnie na poduszkach i dopiero po chwili przypomniała sobie pokój Lorcana, śmiech, dobre jedzenie i przyjaźń, i to, że całą noc przespała u boku Christophera.

Christopher zdążył już wstać. W nocy widocznie przekreśliła się na drugą stronę, bo teraz leżała przodem do kominka i patrzyła na jego szczupłą, ciemną sylwetkę, skuloną na tle ognia. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jest już ubrany i szykuje się do wyjazdu.

Tak szybko? – pomyślała.

W skupieniu nalał wody z czajnika do srebrnego dzbanka Razięgo. Nie zauważył, że Wynter go obserwuje. Patrzyła, jak wkłada do szklanek plasterki cytryny i zalewa je miodem. Ścisnęło jej się serce, gdy zauważyła, że przygotował cztery nakrycia w nadziei, że Razi do nich dołączy.

Ubrany był w podróżny strój: ciemną tunikę z długimi rękawami sięgającymi aż do palców, ciemne spodnie i buty za kolana na grubej podeszwie. Na biodrach miał pas z mieczem, woreczkami na amunicję i proch, puklerzem i dziwnym nożem, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Z cholewy prawego buta wystawała mu rękojeść czarnego sztyletu.



Do każdej szklanki włożył łyżeczkę. Wynter zmarszczyła czoło, obserwując jego precyzyjne ruchy. Jest w nim coś dziwnego – pomyślała.

Włosy zwinięte wokół głowy utrzymywał cienki czarny szal. Jego wąska twarz wydawała się poważna jak na swój wiek. Niefrasobliwie zwykle uśmiechnięte usta i żywe oczy teraz były nieruchome i czujne. Zdawał się tak inny od beztroskiego wesołka, którego znała. Przyszło jej do głowy, że gdyby spotkała go na ulicy albo w gospodzie, od razu sprawdziłaby, czy ma sakiewkę, i na pewno nie odwróciłaby się od niego plecami.

Patrzyła, jak miesza herbatę. Wynter zdała sobie sprawę, że ta hardość i beznamiętna twarz to właśnie jest maska Christophera.

Kłęcząc przy kominku, przygotowywał herbatę, którą mieli razem wypić przed odjazdem, ale myślą był już w drodze. Wyobrażał sobie, jak znajdzie się sam, bezbronny, na niebezpiecznym szlaku wiodącym na Południe, i wcielił się w postać, przed którą inni powinni mieć się na baczności. Jeden rzut oka na jego twarz wystarczył, by zapomnieć, że ma się przed sobą szczupłego, wrażliwego młodzieńca o okaleczonych dłoniach.

Na tę myśl Wynter wcisnęła twarz w poduszkę i przygryzła wargę, próbując zdusić strach o Christophera.

Wciąż błogo nieświadomy jej wzroku wyjął z kieszeni serwetkę i rozłożył jej zawartość, którą okazało się jedno z wczesnych ciastek. Przez chwilę patrzył na nie, klęcząc bez ruchu. Światło ognia tańczyło po jego bezgłośnie poruszających się wargach. Starannie przełamał ciastko na cztery części i szybkim ruchem, jakby był świadomy upływającego czasu, kawałek zjadł, kolejny rzucił do ognia, trzeci schował do kieszeni, a ostatni wziął w rękę. Wstał i podszedł do łóżka, na którym twarzo spał Lorcan.

Czary – pomyślała w przyпіływie strachu i od razu zganila

Moorehawke. Ich brak tolerancji zatruł i ciebie.

Patrzyła, jak Christopher całuje ostatni kawałek ciastka i ostrożnie kładzie go na ustach Lorcana. Zrobił to tak delikatnie, że Lorcan nawet nie drgnął. Następnie wsunął je pod poduszkę Lorcana i wstał z twarzą spowitą mrokiem, wpatrzony w śpiącego olbrzyma.

Wynter była do głębi poruszona, specjalnie przewróciła się na bok, żeby Christopher wiedział, że już nie śpi. Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć, a jego twarz natychmiast się zmieniła. Zawitał na niej ten uwodzicielski, koci uśmiech i podstępne dołeczki. Jego oczy ożyły.

– Jak się masz, mała – szepnął. – Obudziłem cię?

Z uśmiechem pokręciła głową.

– Modliłeś się?

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale znów się uśmiechnął i spojrzał na Lorcana z pełną smutku czułością.

– Może i tak... – Parsknął cicho śmiechem. – Sporo czasu minęło, odkąd odprawiałem ten rytuał po raz ostatni... ale czułem, że nie mogę postąpić inaczej.

– Christopher to dziwne imię jak dla poganina – zauważyła cicho.

Na słowo „poganin” rzucił jej ostre spojrzenie, ale jego twarz prawie natychmiast złagodniała i rozjaśniła się w uśmiechu.

– Nadała mi je matka. Nie sądzę, żeby miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie, pewnie po prostu ładnie brzmiało. – Znów spojrzał na Lorcana i dodał: – Choć kto wie? Może i była chrześcijanką.

Odsunął kosmyk włosów z czoła Lorcana i znów odwrócił się do ognia. Dziwnie było słyszeć głośny stukot jego ciężkich butów, bo zwykle poruszał się tak cicho i lekko. Przykucnął przed kominkiem i nalał dwie szklanki herbaty, mocnej i czarnej, takiej, jaką pijali Turcy.

– Proszę – szepnął, podając jej szklankę.

Pili w milczeniu, ciszę zakłócał tylko trzask płomieni w kominku. Wynter jakoś nie potrafiła się smucić, trudno jej było uwierzyć, że Christopher wyjeżdża. To, że siedzi z nim przy ogniu, z podkurczonymi nogami, otulona kocem, zdawało jej się najzwyklej normalne. Christopher siedział przy kominku, nogi wyciągnął przed siebie i skrzyżował w kostkach. Patrzył na śpiącego Lorcana, a ona obserwowała jego profil. Między kolejnymi łykami trzymał szklankę pod brodą i z nieprzeniknioną miną wdychał cytrynową parę.

– Wynter... – szepnął nagle.

– Tak?

Spojrzał na nią, a na tle płomieni jego twarz była całkowicie ciemna, błyszcząły w niej tylko oczy.

– Cieszę się, że w godzinę śmierci ojca będziesz u jego boku.

Nie owijał w bawełnę. Od śmiałości tego stwierdzenia na chwilę ścisnęło ją w gardle. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko patrzyła z szeroko otwartymi oczami, a on mówił dalej.

– Nie, żeby mu to... nie, co ja mówię, twoja obecność na pewno mu pomoże. I z tego też się cieszę, bo pokochałem Lorcana całym sercem. Ale... – zdawał się nad czymś zastanawiać. Odstawił szklankę na brzeg paleniska i znów odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Mojego ojca i mnie pojмали łowcy niewolników w małej wiosce na hollerskiej granicy. Nasza trupa została zaproszona, by zagrać na weselu. Mieliśmy tam zostać cały tydzień, ale okazało się, że to była pułapka. Gdy zjawiliśmy się na miejscu, wioskę objęły już we władanie Wilki, które przybyły po swoją septymę... – przerwał i spojrzał na nią niepewnie. – Rozumiesz... wiesz, co to jest septyma?

Kiwnęła głową, z wrażenia zaschło jej w gardle. Doskonale

znała zwyczaj septymy. Dobry Boże. Wilkołaki. Ci bezwzględni, nieokiełznani koczownicy. Zmora północnych pustkowi. Najeżdżali jakąś wioskę, na kilka dni obejmowali ją we władanie, do woli jedli, spali i gwałcili. Siedem lat później wracali po najsilniejsze, najbardziej wytrzymałe dzieci, jakie się narodziły. Biada społeczności, która nie chciała im oddać septymy. System ten funkcjonował od pokoleń. Niektórzy z wieśniaków zaczęli wręcz traktować to jako zaszczyt, podejmowali Wilków uczciami i dawali im wolną rękę w wyborze swoich cór. Wynter zadrżała.

– Ale, ale, Christopher – szepnęła. – Nie wiedziałam, że Wilki parają się niewolnictwem.

Oczy Christophera załśniły, a w jego głosie słychać było jakiś mroczny podtekst.

– Ludzie nie wiedzą o nich tylu rzeczy... Po pierwsze, uważa się, że septymięta rosną na kolejnych Loup-Garousów, ale to bujda, większość z nich zostaje sprzedana do niewoli. – Zerknął na Lorcana, a potem znów na Wynter i mówił dalej, nie podnosząc głosu. – W tamtej wiosce zabrakło dzieci na septymę, wszystkie maluchy pomarły wcześniej na ospę. – Przekrzywił głowę i rozłożył ręce. – No więc w zamian wioska zaproponowała nas. Nie było żadnego ślubu, mieliśmy stanowić prezent dla Wilków. Wspaniała Trupa Garronów, muzycy i śpiewacy słynni ze swego kunsztu na całą Hadrę.

– Och, Christopher... Tak mi... to po prostu tak...

Wzruszył ramionami i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: To bez znaczenia. Znów spojrzął na Lorcana.

– W trupie było nas sześcioro. Wszyscy bardzo utalentowani. Większość... – zawahał się. – Większość... ładna. Jak tylko na nas spojrzeli, jak tylko rzucili okiem na dziewczyny... wiedzieli, że dostaną godziwą zapłatę. Zgodzili się więc.

Zimno, jakie na wzmiankę o Wilkołakach Wynter poczuła na plecach, teraz rozeszło się po całym jej ciele. Starła się nie wnikać w te oględne słowa.

– Trzyście, a może już czterście...? Nie jestem pewien. Wiesz... – spojrzął na nią ze zmarszczonym czołem, jakby cały czas coś nie dawało mu spokoju – ...do tamtego czasu wiodłem cudowne życie. Byłem najszczęśliwszym chłopakiem na świecie, wszystkim się cieszyłem...

Na chwilę zapatrzył się w dal, otrząsnął i cicho ciągnął dalej:

– Z Hollis do Maroka jest szmat drogi. Podróż przeciągnęła się do zimy. Do tego czasu zdołali zebrać po drodze niezłą gromadkę... „dobra”, tak na nas mówili. Dobra. Gdzieś... Mniej więcej w połowie drogi... Byliśmy związani jednym sznurem, żeby przejść przez bagno. Pustkowie, jak okiem sięgnąć. Całe mile... Tylko śnieg. Mojemu ojcu coś się stało. – Wskazał na brzuch, wcisnął pięść w żołądek i skrzywił się, by w ten sposób pokazać, o co chodzi. Wynter wzdrygnęła się i pochyliła, żeby wziąć go za rękę, ale on tylko ścisnął lekko jej palce i delikatnie wywolił dłoń, jakby jej współczucie przeszkadzało mu kontynuować. Jego głos był dziwnie bezbarwny i beznamiętny. – Rozbolał go brzuch i nie mógł iść. Po jakimś czasie nie mogliśmy dłużej go nieść, za bardzo go bolało. – Na chwilę przerwał. – Rozkuli go i zostawili na poboczu drogi, w śniegu. Zwinął się w kulkę... Płakał. Nic nie mogłem zrobić.

– Och, Christopher... – znów sięgnęła po jego rękę, a on odsunął się, wciągając głęboko powietrze i unosząc dłoń, jakby chciał ją uciszyć. Pokręcił głową i odwrócił wzrok.

– Posłuchaj... – wyszeptał. – Posłuchaj, mówię tylko, że masz szczęście. – Znów się odwrócił, znacząco spoglądając jej w oczy. Usiadła na piętach, zrobiło jej się zimno. On coś podejrzewał. Podejrzewał, że zamierza wyjechać i mówił jej, żeby tego nie robiła.

– Nigdy sobie tego nie wybaczysz, moja mała – powiedział, wpatrując się w nią intensywnie. – Jeśli cię tu nie będzie. To nie jest coś, co można dostać z powrotem. Drugiej

nie będzie. – Przez chwilę jeszcze patrzył jej prosto w oczy, potem kiwnął głową i poklepał ją po ręce. – Muszę iść – powiedział cicho.

Siedziała zapatrzona w dal, z dłońmi zwiniętymi na kolana, zbyt zaskoczona i odrętwiała, by coś powiedzieć czy zrobić.

Wstał, żeby pozbierać swoje rzeczy. Gdy był już gotowy, w kurtce, z siodłem i uprzężą na ramieniu, spojrzał na nią niepewnie.

– Jesteś na mnie zła, mała? – spytał cicho.

Spojrzała na niego zaskoczona pytaniem. Stał w drzwiach pokoju Lorcana, gotów do wyjazdu, a na jego twarzy malował się smutek. Przez cały ten czas, kiedy się szykował, siedziała jak kamień, myślał więc, że była...

Zerwała się na równe nogi i pobiegła do salonu.

– Muszę iść po szlafrok, Christopherze. Zaczekaj na mnie.

– Co to to nie – wycedził przez zęby, zaniepokojony.

– Zamierzam wymknąć się tajnymi korytarzami, nigdy nie uda ci się trafić tu z powrotem.

Zatrzymała się na progu.

– Jeśli będę musiała, wejdę przez okno, po drzewie. Nie pójdziesz do stajni sam, bez kogoś, kto pomacha ci na pożegnanie.

Włożyła szlafrok, miękkie domowe kamasze i pas ze sztyletem. Gdy szybkim krokiem wróciła do salonu, Christopher stał pod samymi drzwiami Lorcana i wciąż patrzył na jej ojca śpiącego jak dziecko, z twarzą zwróconą do kominka. Na szafce nocnej postawił mu szklankę herbaty, która delikatnie parowała w świetle ognia.

– Cały czas łudzimy się nadzieją, że wszystko wokół nas zostanie po staremu, i to jest właśnie najgorsze, nie mam racji? – powiedział cicho, wpatrując się w Lorcana. – Gdybyśmy tylko mogli wyzbyć się tej głupiej iluzji, tego przekonania, że

tym razem będziemy mogli zostać. Że tym razem wszystko zostanie po staremu. Bylibyśmy o wiele szczęśliwi.

Wynter stała przez chwilę bez ruchu, starając się nie dopuścić, by te słowa ugodziły ją jeszcze głębiej.

– Nie pożegnasz się z nim? – spytała.

– Nie chcę go budzić.

Zawahała się. Nie była pewna, czy to właściwe, takie wyjście bez pożegnania, ale Christopher nachylił się i zarzucił sobie siodło na ramię, a uprząż na rękę. Drugą ręką chwycił wózek i już był gotowy do wyjścia. Zerknął na nią, czekając cierpliwie, aż odsunie sekretne drzwi.

Tak też zrobiła, stanęła w korytarzyku i chciała puścić go przodem, bo to on znał drogę. Nie poruszył się. Wciąż tkwił w drzwiach pokoju Lorcana, a światło kominka tańczyło wśród cieni zniekształcających jego twarz. Patrzył niewidzącym wzrokiem, zdawał się być mile stąd.

– Christopher...? – szepnęła.

Raptem rzucił siodło i uprząż na ziemię i cicho wbiegł do pokoju Lorcana. Wynter pognała za nim i stanęła na progu. Oczy zaszyły jej łzami.

Padł na kolana przy łóżku Lorcana i potrząsał jego ramieniem oszalały z rozpacz.

– Lorcan – szeptał. – Lorcan. Wyjeżdżam. Lorcan. Muszę już iść. Obudź się.

Lorcan wciągnął głośno powietrze. Otworzył oczy nagle, zaskoczony.

– Cooo...? – powiedział, wpatrując się bez zrozumienia w twarz Christophera.

Christopher usiłował coś powiedzieć. Skrzywił się i skulił, jakby bolało go serce. Chwycił Lorcana za rękę i przycisnął ją do ust. W oczach miał łzy.

– Wyjeżdżam... – wykrztusił w końcu, wpatrując się w twarz Lorcana. – Wyjeżdżam już...

Lorcan, cały czas wyraźnie oszołomiony i zdezorientowany, patrzył mu w twarz, jakby próbował doszukać się w niej jakiejś wskazówki, kogo ma przed sobą.

– Christopher... – szepnął w końcu.

– Tak. Tak... – Christopherowi zabrakło słów, więc tylko ścisnął go za rękę i patrzył mu w oczy.

Lorcan zdawał się nie mieć pojęcia, co się dzieje, jego oczy wciąż były zamglone snem i prawie natychmiast zaczęły się zamykać. Christopher patrzył z drżącymi ustami, jak olbrzym znów zasypia. Stopniowo oddech Lorcana zaczął nabierać miarowego, niewinnego rytmu.

Christopher jęknął, w oczach miał łzy, drżał na całym ciele. Ręce mu się trzęsły, gdy przyciskał dłoń Lorcana do swojej piersi. Rozedrgane łzy, które miał pod powiekami, przerodziły się w dwa lśniące strumyki na policzkach. Wciągnął głośno powietrze i zatrzymał je w płucach. Wynter widziała, że toczy zaciętą bitwę z samym sobą, bitwę o opanowanie emocji. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz rzuci się na jej ojca i zacznie znów nim potrząsać, żeby mogli się pożegnać.

Opanował się jednak, zrobił długi, drżący wydech. Gdy odkładał dłoń Lorcana na kołdrę, ręce wciąż mu drżały, ale był już spokojny, panował nad sobą.

Pochylił się i delikatnie pocałował Lorcana w policzek.

– Odchodzę – wyszeptał. – Chciałem, żebyś o tym wiedział. Niechaj Bóg ma cię w swojej opiece, Lorcanie, i czuwa nad twą podróżą w nowe, lepsze miejsce.



Christopher zdawał się dokładnie znać drogę. Przemierzał mrok pewnym krokiem, skręcając to w lewo, to w prawo. Szedł schodami, przemykał pod niskimi łukami sklepień, mijając lodowate, rozbrzmiewające echem otchłanie. Dłonią dotykał ściany, jakby liczył każdą mijaną deskę. Wózek z początku robił mnóstwo hałasu w ciasnej przestrzeni, ale Wynter szybko chwyciła go z drugiej strony i wspólnymi siłami nieśli go przez wijące się ciemności.

W końcu stanęli u stóp kamiennych schodów, a Christopher wypchnął na zewnątrz klapę nad ich głowami. Ruszyli do góry i znaleźli się w krytej ujeżdżalni.

Dobry Boże – pomyślała, rozglądając się w półmroku. – Przez większą część drogi musieliśmy znajdować się pod ziemią.

Wciąż było ciemno, ale powietrze zaczynało połyskiwać promieniami zbliżającego się wschodu słońca. Mieli coraz mniej czasu.

Christopher był teraz najzupełniej spokojny i nie było po nim widać żadnych śladów wcześniejszego wzburzenia. Zerknął na Wynter, poprawiając siodło na ramieniu, i zaczął cierpliwie, aż zatrzaśnie klapę i ukryje ją pod sianem. Chwyciła za rączkę wózka i ruszyła za nim. Christopher podszedł do wielkich, dwuskrzydłowych wrót. Wyjrzeni na zewnątrz. Niewiele

było widać. Wytężyli wzrok, by dokładnie zlustrować padok. Panowała absolutna cisza. Wyślizgnęli się na dwór i w cieniach ścian przemknęli pod stajnie. Żałowała, że nie włożyła czegoś ciemniejszego; w białej koszuli i szlafroku rzucała się w oczy niczym promień księżycy.

Została na czatach, a Christopher poszedł siodłać konia. Krępa, niska kobyłka rżała i parskwała radośnie, gdy wszedł do stajni. Wynter zerknęła na niego – pracował szybko i sprawnie. Klacz skubała jego tunikę i włosy, czule parskwała mu w szyję, gdy zakładał jej uprząż. Podrapał ją między oczami, wyszeptał coś po hadryjsku i wyprowadził w przejście między boksami. Podprowadził pod drzwi, tam gdzie Wynter stała na warcie, wyglądając na zewnątrz. Wokół panowała cisza, gwiazdziste niebo zaczynało blednąć. Koń Christophera delikatnie przebierał kopytem, chuchał im gorącym na karki. Było zimno, Wynter zaczęła drżeć. Objęła się ciasno ramionami. O Boże – pomyślała. – Gdzie są muły? Gdzie są luzaki?

Razi obiecał, że będą już gotowe, kazał Christopherowi czekać tutaj, przysiągł, że wszystko będzie naszykowane do drogi. Christopher powinien już wyjeżdżać. Spojrzała na dachy zabudowań stajennych, zaczynały odcinać się od nieba, na dworze robiło się widno. Christopher musi wyruszyć przed świtem, musi zaskoczyć strażników bramy. Pokazać im przepustkę i szybko odjechać, zanim ktoś się zorientuje, że nie ma go u siebie.

Jonathon na pewno będzie chciał kontrolować każdy centymetr jego drogi, będzie chciał jak najdłużej trzymać Christophera w szachu. Wartownicy już niedługo zaczną dobijać się do jego drzwi, żeby pod eskortą zaprowadzić go do stajni. Rychło się zorientują, że komnaty są puste. Christopher powinien być już wtedy jak najdalej, za murami, wśród splątanych ścieżek wiodących na Południe, na których łatwo zgubić

pościg. Wynter zaczęła dygotać na dobre, mgliste powietrze i narastający strach ziębiły ją do kości.

Nic nie mówiąc, Christopher stanął za nią i delikatnym ruchem zarzucił jej na ramiona własną kurtkę. Wynter niespodziewanie została spowita korzennym zapachem Christophera i cudowną ciepłotą jego ciała. Już miała powiedzieć „dziękuję”, kiedy przyciągnął ją do siebie, otulił rękawami kurtki i własnymi ramionami. Jak gdyby nigdy nic oparł brodę o czubek jej głowy i nadal spoglądał na ścieżkę.

Wynter była tak rozbrojona tym czułym gestem, że ku swojemu przerażeniu i bez żadnego ostrzeżenia zanosła się głośnym łkaniem. Przytulił ją mocniej do siebie i szepnął: „Nie płacz, mała”. Jego cichy, opiekuńczy głos sprawił, że w końcu coś w niej pękło, i łzy, z którymi walczyła cały ranek, pociekły jej po policzkach. Zawstydzona, ukryła twarz w dłoniach i próbowała się odsunąć. Łzy spływały jej po twarzy i przesiąkały przez rękawy ciemnej tuniki Christophera, ale on tylko objął ją mocniej ramionami i zaczął łagodnie kołysać.

Nie chciał jej puścić. Przytulał ją do siebie delikatnie, a zarazem mocno i stanowczo, i nagle zdała sobie sprawę, że wszystkie siły ją opuściły i wszelkie udawanie jest bez sensu. Przestała się szarpać i z rezygnacją osunęła się na niego.

– Już dobrze – szeptał. – Już dobrze...

Złożyła głowę na jego ramieniu i bez oporów płakała dalej.

Christopher pochylił głowę i oparł policzek na jej policzku. Jego skóra była gładka i chłodna.

– Ciiii – szeptał, tuląc ją do piersi. – Ciiii. Już dobrze, kochanie. Obiecuję. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się...

Obróciła się w jego ramionach i schowała głowę w ciepłym zagłębieniu jego obojczyka, objęła go w pasie i przyciągnęła bliżej. Nie przestawał szeptać jej do ucha, powtarzać, że wszystko już dobrze, że wszystko będzie dobrze, a jego usta zaczęły przesuwać się po jej włosach, po jej szyi, dodawały jej

otuchy. Wdychała jego zapach, łyła schły na materiale tuniki, a słowa traciły znaczenie, liczył się tylko dźwięk jego głosu.

Odwróciła twarz, ocierając policzkiem o jego szyję, i przysunęła się do gładkiego chłodu jego policzka. Jego ręka znalazła się wtedy w jej włosach, ujął tył jej głowy, a jego wargi były na jej wargach. Miękkie, niewyobrażalnie miękkie, jego usta błędziły po jej ustach. Odwzajemniła pocałunek, rozchylając wargi szerzej, i przez chwilę istniało tylko to. Jego ciepłe usta poruszające się wraz z jej ustami, jego zapach, kojące bezpieczeństwo jego ramion.

Ciche kasznięcie w dole alejki sprawiło, że odskoczyli od siebie jak oparzeni, a Christopher szybko schował ją za siebie i sięgnął po sztylet. Ale to był tylko Marcello Tutti, o łagodnym spojrzeniu i różowych policzkach, prowadzący jucznego muła i luzaki, z całych sił udający, że nie widział ich pocałunku.

Wynter na chwilę schowała się ze plecami Christophera, otarła oczy i usiłowała odzyskać kontrolę nad kolanami, które miała jak z waty. Kurtka Christophera zaczęła osuwać się z jej ramion, więc bezwiednie wsunęła ręce w rękawy. Usłyszała szept zbliżającego się Marcella.

– *Buongiorno, Christi, mi dispiace ma...*

Christopher odpowiedział cicho:

– *Ciao, Marcello. Non importa...* – sięgając do tyłu, i ujął Wynter za rękę. Stała u jego boku i trwali tak razem, ramię w ramię, a Marcello podprowadził konie bliżej.

Drobny Włoch złożył jej ukłon, jego oczy patrzyły miękko i łagodnie.

– *Buongiorno, Signiorina Della Protezione.*

Uśmiechnęła się niewyraźnie i skinęła mu głową.

– Marcello – powiedział Christopher. – *Dov'è il Signore Razi?*

Marcello rozłożył ręce ze współczuciem i wzruszył ramionami.

... Christopher. *Il Signore*, on nie może wy  
mknąć... jego ojciec, rozumiesz. On... eee... ma oko.

Wynter serce podeszło do gardła, a twarz Christophera  
wydłużyła się. Smutny i zawiedziony, zawahał się i odwrócił  
wzrok, a potem kiwnął szybko głową, zaciskając usta.

– Trudno, co zrobić – mruknął.

– Ja też muszę was opuścić – powiedział Marcello z  
lem. – Strażnicy, oni mają oko na sprzymierzeńcy Razięgo,  
mają nadzieję, że złapią cię w ucieczce. Muszę się zmykać  
– Podał Christopherowi uwiąz i skłonił się. – Uważaj na siebie.  
Christopher. Bądź zdrow. – Odwrócił się i zniknął im z oczu.

Stali tak ramię w ramię, niewidzącym wzrokiem wpatrując  
się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Tutti, a zwierzęta  
za ich plecami przestępowały z nogi na nogę w ciasnym prze-  
ściu. Wynter w końcu otrząsnęła się i odwróciła, by przycisnąć  
dłoń do piersi Christophera.

– Musisz już jechać! – powiedziała stanowczo, patrząc mu  
w twarz. – Zaraz koguty zaczną pisać!

Wolno, jak odurzony, obrócił głowę i nagle też się ocknął.  
Odwrócił się, by przymocować uwiąz do upręży swojego  
konia. Wynter nerwowo pocierała dłonie i rozglądała się po  
alejce. Prychnęła ze zniecierpliwieniem, gdy zamiast wsiąść na  
konia, szybkim krokiem ruszył do stajni i zaczął grzebać pal-  
cami w ziemi.

– Christopher – syknęła, ale zamilkła na widok ostatniego  
kawałka wczorajszego ciastka, które wyjął z kieszeni i umie-  
ścił w płytkim dołku. Zamrugła oczami, gdy zaczął starannie  
przysypywać je ziemią i uklepywać. Schylił głowę, jego usta  
poruszały się bezgłośnie, wstał i podszedł do niej.

– Masz – powiedział, podając jej jakieś zawiniątko, które  
wyciągnął zza pazuchy. Spojrzała na nie, zdziwiona. Był to ka-  
wałek papieru, wielokrotnie złożony, sztywny i pękaty.

– Chciałem ci to dać jeszcze w pokoju. To mapa tajemnych

przejsć. – Spojrzała na niego z podziwem. – Może będzie ci potrzebna – powiedział – ale nie staraj się korzystać z niej w drodze. Wykuj trasę na pamięć, tam jest zbyt ciemno, by korzystać z mapy.

Spojrzeni na siebie. Jego oczy śledziły jej ruchy, gdy przyciskała mapę do piersi. Ponagliła go łagodnym gestem.

– Jedź – powiedziała. – Jedź już.

Odsunął się od niej z okrzykiem rozpacz, odwrócił na pięcie, wsadził nogę w strzemię i zaczął podskakiwać w miejscu, by wziąć lepszy zamach do wskoczenia na siodło. Już miał to zrobić, ale nie zdążył przerzucić nogi nad zadem konia. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w wylot alejki, zamarł, stanął w strzemieniu i obserwował coś, co było poza zasięgiem wzroku Wynter. Twarz mu stężała, zmarszczył brwi.

Wolno zsunął się na ziemię i wydobył zza pasa swój dziwny nóż. Wynter natychmiast wyciągnęła własny sztylet i przykucnęła, gotowa walczyć albo uciekać: Christopher przesunął swojego konia na bok i wtedy zobaczyła, co go tak zaalarmowało.

Na końcu alejki czaił się olbrzymi mężczyzna z mieczem w dłoni. Na tle jasnego nieba widać było tylko jego wielki, ciemny kształt, ale z rozmiarów jasno wynikało, że to jeden z przybocznych gwardzistów Jonathona. Stanął na środku alejki, blokując przejście, i uniósł miecz.

– Lepiej już idź – powiedział Christopher, odpinając od pasa puklerz. Postąpił krok naprzód i ukląkł, trzymając w gotowości swój niezwykły nóż. Zdobiona rączka miała kształt kanciastego kielicha i Wynter spostrzegła, że mieści się w niej cała jego dłoń. Ścisnął ją gdzieś w środku, a kielich otaczał dłoń i nadgarstek solidnym metalowym pancierzem, tak że ostrze wystawało bezpośrednio z metalowej pięści, jak groźne przedłużenie ramienia. – Idź już – powtórzył cicho.

Mężczyzna na końcu alejki zawahał się na widok broni Christophera. Wynter przemknęła bokiem i przyciąła się

z własnym nożem w pogotowiu, a wolną ręką uniesioną w obronnym geście. Christopher syknął z niezadowoleniem, ale nie mówił już nic o ucieczce.

Przez chwilę cała trójka trwała w bezruchu, czekając, aż ktoś wykona pierwszy gest. W końcu olbrzym ruszył w ich stronę, złowieszczo wywijając mieczem. Wynter i Christopher spięli się do walki. Podskoczyli raptownie, gdy za plecami mężczyzny wyłoniła się nagle wysoka sylwetka i zadała mu mocny cios w kark. Gwardzista bez żadnego dźwięku upadł na kolana i zaczął się kołysać w miejscu, miecz wypadł mu z bezwładnej ręki. Wysoka postać przesunęła się do przodu i zobaczyli, że to Razi, na tle szybko jaśniejącego nieba jego sylwetki nie dałoby się pomylić z żadną inną. Jeszcze raz uniósł lewą rękę, w której teraz dostrzegli drewnianą pałkę, i zadał strażnikowi kolejny cios w głowę. Patrzył obojętnie, jak żołdak pada bez czucia na ziemię, niczym worek zboża.

Spojrzał na nich, ale jego twarz pozostawała w mroku, a ruchy były opanowane. Wskazał palcem na własną pierś, podniósł rękę do oczu, a potem zatoczył dłonią kółko. Zamierzał zostać na czatach. Wskazał na Christophera, a potem w kierunku bramy. Usłyszeli jego cichy szept: „Pospiesz się!”

Christopher zrobił krok naprzód i spojrzał w górę alejki, na swojego przyjaciela. Razi przystanął. Christopher niepewnie uniósł rękę w geście pożegnania. Skłonił się lekko, dotykając czoła, ust i klatki piersiowej, z oczami wciąż wpatrzonymi w Raziego. Razi znieruchomiał, ale powtórzył te gesty. W końcu chwycił strażnika za poły kurtki, zaciągnął go do jednego z boksów i zniknął w mroku stajni.

Christopher nie mógł dłużej czekać. Jednym szybkim ruchem schował nóż i przytroczył puklerz do pasa. Wziął wodze w prawą rękę, włożył nogę w strzemień i podciągnął się na siodło. Jego klacz parsknęła, potrząsnęła łbem i zarżała, drobiaąc w bok. Christopher cmoknął, ściągnął wodze i pogłębił dosiad.

żeby ją uspokoić. Wynter przyszła mu z pomocą, kładąc rękę na krępej szyi konia. Spojrzała w górę na Christophera. Zabrakło im słów. Cóż mogli powiedzieć? Kocham cię? Wkrótce się zobaczymy? Czekaj na mnie? Cóż znaczyły te słowa w ich sytuacji? Wyjeżdża. Nigdy nie wróci. Nie mogli nic na to poradzić.

Koń znów przestąpił z nogi na nogę, próbując się obrócić. Zduszony krzyk dochodzący zza stajni, sprawił, że odwrócili głowy. W mroku dało się słyszeć krótki szczęk metalu, kolejny zduszony wrzask i huk. Wytężyli wzrok i słuch. Spod tylnej ściany stajni wystrzeliła wysoka, zgarbiona sylwetka Raziego i zniknęła za węglem.

Wynter ponaglając zwróciła się do Christophera.

– Jedź! – syknęła i klepnęła jego klacz w łopatkę, zmuszając ją do szybszego kroku. Christopher zrozumiał, o co jej chodziło, i ponaglił zdenerwowanego konia do kłusa. Za nim podążały jedno za drugim pozostałe zwierzęta. Wynter stanęła z boku, by przepuścić obładowanego muła, i patrzyła, jak znikają za zakrętem.

W powietrzu wisały jasne drobinki pyłu. Przez chwilę zapatrzyła się w nie, ale zaraz pomknęła za Christopherem, usiłując go dogonić.

Gdy znalazła się na skraju ujeżdżalni, zamiast biec dalej ścieżką dla koni, skróciła sobie drogę pomiędzy stajniami, pobiegła przez padok i przecisnęła się przez dziurę w cisowym żywopłocie. Biegła teraz na ślepo, instynktownie, jej stopy same leciały w ciemnościach, aż przebiła się przez mroczne ogrody na szeroki dziedziniec główny i zwirową ścieżkę wiodącą do bramy.

Christopher dojeżdżał już do łuku bramy. Zobaczyła zbliżającego się strażnika i usłyszała, że kazał Christopherowi okazać dokumenty. Christopher pochylił się, a strażnik wyciągnął rękę. Nastąpiła dłuższa przerwa w wymianie zdań. Christopher kręcił się w siodle i oglądał do tyłu. Zduśiła



w sobie pragnienie, by podnieść rękę. Strażnik powiedział coś, a Christopher znów odwrócił się w jego stronę.

Podskoczyła i aż zawirowała w miejscu, gdy ktoś przemknął obok niej. Razi z poślizgiem zatrzymał się tuż obok, zdyszany, i złapał ją za ramiona. Z niepokojem obserwowali, jak strażnik odchodzi od konia Christophera i wraca do wartowni. Nastąpiła krótka, przejmująca cisza, a potem dźwięk przeciąganych łańcuchów. Cienie pod łukiem bramy przecięła cienka linia szarości, olbrzymie wrota stanęły otworem. Christopher ponaglił konia i wyjechał na zewnątrz, odcinając się od jasnego nieba poranka. Ruszył żwawym kłusem, a gdy wrota zaczęły się zamykać, on już wspinał się po pochyłości wzgórza, w las. Udało się.

Oby nie przydarzyło mu się nic złego – modliła się Wynter.  
– Oby go nie złapali.

Razi oderwał wzrok od niknącej w dali sylwetki Christophera i spojrzął na Wynter. Zmarszczył czoło i przekrzywił głowę, wyraźnie zdezorientowany jej strojem. Wrota zamknęły się z głuchym hukiem. Niebo nad drzewami zaczynało połyskiwać kolorem bladej cytryny. Koguty w stajniach zapiąły.

– Wynter – powiedział. – Czy to nie kurtka Christophera?

Wynter skubnęła ciemny materiał kurtki Christophera, przesunęła palcami po drewnianych guzikach, postawiła kołnierz. Nie miała wątpliwości, że to jego jedyne okrycie wierzchnie, więc zacisnęła powieki z żalem, a zarazem z gorzką samolubną radością, że ma na własność coś, co należało do Christophera, kawałek jego osoby, pachnący nim i ogrzany ciepłem jego ciała.

Razi rozejrzał się niespokojnie, bo niebo stawało się coraz jaśniejsze, a pnie drzew nabierały kształtów. Zacisnął palce na ramieniu Wynter i wciągnął ją w cień lasku.

– Siostrzyczko – szepnął – pozwól, że odprowadzę cię teraz do pokoju. Tu nie jest bezpiecznie.

Bezwiednie skinęła głową, bo myślami wciąż była z Christopherem, ale gdy Razi odwrócił ją w miejscu i zaczął prowadzić do pałacu, dwa zdarzenia sprawiły, że stanęła jak wryta. Najpierw dostrzegła delikatny ruch w poszyciu leśnym. Szybko odwróciła głowę, zanim Razi zdołał zobaczyć, na co patrzy, a serce zabiło jej mocniej.

A potem, gdy Razi położył jej rękę na plecach i mruknął, że powinni się pospieszyć, przed oczami stanął jej Christopher. Przypomniała sobie, jak przez te ostatnie cztery dni, czy nawet dłużej, musiał wbrew swojej woli siedzieć w zamknięciu.

Przyszło jej do głowy, że biedak całkowicie zależał od Raziego, nie wolno mu nawet było wziąć udziału w przygotowaniach do własnej wyprawy. Razi uczynił Christophera swoim więźniem. Znów delikatnie popchnął ją do przodu. Wynter zdała sobie sprawę, że dla niej szykuje ten sam los. Gdyby to zależało od niego, zamknąłby ją w komnatach Lorcana, bezpieczną i całkowicie bezradną, aż do jego wyjazdu. Ale ona uważała, że nie może na to pozwolić. Miała do załatwienia swoje sprawy! Sprawy, o których nie powinien wiedzieć.

Stała więc murem i wyrwała się z jego uścisku.

– Wyn... – powiedział, ale podniosła rękę, by go uciszyć.

Uniosła głowę.

– Dalej pójde sama.

– Ale... – Był całkowicie zaskoczony tym nagłym chłodem.

Przez chwilę rozglądał się niepewnie, a potem jego twarz rozjaśniła się w przebłysku zrozumienia. Pochylił się, by spojrzeć jej błagalnie w twarz. – Och, Wyn – powiedział. – Nie złość się na mnie, proszę cię. On nie mógł tu zostać. Nie rozumiesz? Nie mógł... Nie pozwoliliby mu...

To jakże niesłuszne poczucie winy w jego głosie o mało jej nie rozbroiło. Już chciała go pocieszać, ale powstrzymała się. Ściągnęła surowo twarz. Postanowiła wykorzystać tę błędną interpretację jej motywów. Ciaśniej owinęła się kurtką Christophera.

– Zostaw mnie samą, Razi. Trafię z powrotem.

Nagle jego twarz stężała, w oczach pojawił się lęk. Podeszedł do niej.

– Teraz ty posłuchaj – powiedział, pochylając się nisko i świdrując ją wzrokiem. – Dopiero co powaliłem pięciu gwardzistów mojego ojca. Król nie będzie tym zachwycony i na pewno nie ujdzie mi to na sucho, ale – co gorsza – możliwe, że ich towarzysze też będą chcieli się zemścić. I nie pozwolę, żeby wykorzystali w tym celu ciebie. Nie pozwolę, żebyś ty

musiała płacić za moje czyny! W swoich pokojach jesteś bezpieczna i właśnie tam zamierzam cię umieścić. Przestań więc zachowywać się jak uparty bachor i rób, co ci każę!

Na dźwięk tych jakże znajomych tonów Wynter wyprostowała się. Razi miał nad nią przewagę wzrostu, siły i urodzenia, i właśnie to dało się słyszeć w jego głosie. Spojrzała ostrzegawczo, dając mu do zrozumienia, że jej nie może tak traktować. Nigdy, przenigdy nie pozwoliłaby, żeby stał się taki jak Jonathon, przynajmniej nie w jej obecności, nie dla przyjaciół. Po chwili zauważyła, że jego oczy złagodniały; widocznie zdał sobie sprawę, że nie zachowuje się jak należy, że wisi nad nią złowieszczo, że grozi drobnej kobiecie w koszuli nocnej i szlafroku, zdanej na jego łaskę i niełaskę. Odsunął się. Jego ręce, nagle pozbawione zajęcia i zagubione, zwisły bezwładnie.

Wyciągnęła rękę.

– Razi – powiedziała cicho i miękko, a on zerknął na nią kątem oka. – Obiecuję ci, że będę na siebie uważać. Po prostu muszę przez chwilę pobyć sama. Pospaceruję sobie wśród cisów, może przejdę się aleją kasztanową, a potem od razu wrócę do pokoju, dobrze?

Stał bezradny, a Wynter krajało się serce, gdy patrzyła na niego. Nie opuszczała ręki i zaczęła się wolno odwracać, wciąż wpatrzona w jego twarz.

– Idź odpocząć, Razi. Proszę cię. Jesteś wykończony. Odpocznij... zobaczymy się później.

Odeszła szybkim krokiem, trzymając się cienia i nie wychodząc spomiędzy drzew. W rogu ogrodu, tam gdzie mogła schować się za żywopłotem i całkowicie zniknąć mu z oczu, odwróciła się. Wciąż stał pod drzewami. Patrzył w przeciwnym kierunku, ponad murami, na wzgórze i niewielki kawałek puszczy widoczny na tle porannego nieba. Wyglądał jak zagubiona dusza z zaświatów, opuszczona i samotna. Wynter zacisnęła zęby i zmusiła się, żeby odwrócić wzrok.

Nad wilgotną trawą zaczęła się unosić mgiełka. Świat oblekał się szarością. Niebo rozświetliło wschodzące słońce. Trzymała się żywopłotów i murów, by nie zwracać na siebie uwagi. Wbrew temu, co powiedziała Raziemu, ludzie Jonathona napawali ją prawdziwym strachem, a myśl, że mogłaby paść ofiarą ich gniewu, była przerażająca. Wciąż czuła chłód poranka, więc zapięła kurtkę Christophera pod brodę i szła dalej.

W końcu dotarła w odpowiednie miejsce, ciche, ustronne, ale na tyle otwarte, że nikt nie mógłby podejść jej zniecacka. Wtuliła dłonie pod pachy i przystanęła pod żółtym gołębnikiem. Nie musiała długo czekać. Rudy kot nonszalancko wychynął z mroku cisów i przeciągnął się z westchnieniem. Ziewnął leniwie i parsknął, strosząc się z niezadowolaniem, jakby Wynter przerwała mu wyjątkowo przyjemną drzemkę, jakby chciał już mieć to wszystko za sobą.

To ty do mnie przyszedłeś! – pomyślała z irytacją, ale powściągnęła język i uzbroiła się w cierpliwość. Kot w końcu przewrócił oczami i wskazał łebkiem aleję kasztanów.

– Duch czeka – powiedział. – Nie może zamarudzić tu za długo, więc sugeruję, żebyś się pospieszyła.

Wynter zaklęła niecierpliwie i zdusiła w sobie chęć kopnięcia kota jak najdalej, przez całą długość dziedzińca. Co sił w nogach popędziła w alejkę Rory'ego.

– Rory! – wołała przez zęby, z poślizgiem zatrzymując się na ścieżce zarzuconej liśćmi. – Rory! Jestem! – Jeśli mnie złapią, już po mnie. Czekaj mnie stryczek! Powiesz mi! Mimo to jeszcze raz krzyknęła: – Rory!

Przez chwilę nic się nie działo, ale potem poczuła to charakterystyczne mrowienie skóry i dziwne rozszczepianie światła, sygnalizujące pojawienie się ducha. Gdy zmaterializował się jej tuż przed oczami, zachwiała się, wstrząśnięta, i zrobiła kilka kroków do tyłu. Był w strasznym stanie.

– Rory! – jęknęła.

Falował przed nią, najwyraźniej trudno mu było ją dostrzec, skupić na niej wzrok. Jego postać w kilku miejscach zionęła pustką, fragmenty upiornego ciała po prostu się rozwiały, zniknęły, a to, co z niego zostało, migotało i się rozmywało. Zgarbił się i zakołysał z boku na bok, aż znów stanął na nogi. Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem, zamrugał, znów spojrzął, usiłował się skupić. Wreszcie zdawało się, że ją zobaczył.

– Dziecko – powiedział głosem jak skrzydło ćmy na szybie.  
– Szukam twego ojca...

– Nie, Rory! – krzyknęła gwałtownie Wynter. – Mój ojciec jest zbyt chory! Masz załatwić sprawę ze mną! Rozumiesz? Przekaż wieści mnie!

Rory niepewnie zmarszczył czoło. Zgubił wątek rozmowy, a jego spojrzenie powędrowało w lewo, powieki zmrużyły się, głowa opadła. Zaczął tracić kształt.

– Rory! – zawołała i głośno klasnęła w dłonie.

Postać Rory'ego znów się wyostrzyła, zaczął świdrować ją wzrokiem.

– On się nie ruszy! – krzyknął, jakby dopiero co obudził się z koszmaru. Skoncentrował się na Wynter, patrzył jej prosto w oczy, a ona westchnęła głośno, czując, jak jej kręgosłup prostuje się nienaturalnie. Rory, w akcie desperacji, koncentrował się za bardzo. Odczuwała to na sobie. Wydawało jej się, że przepływa przez nią lodowata woda zamarzająca w środku. Jej ciało zapomniało o oddychaniu, a serce zabiło nierówno. Wykrztusiła z siebie: „Przestań!” i próbowała podnieść rękę.

– On się nie ruszy... – powtórzył Rory rozpaczliwie i zniknął. Wynter, nareszcie uwolniona od tego straszliwego badawczego spojrzenia, padła na kolana i wbiła palce w liście, usiłując na nowo zaczerpnąć tchu w zmrożone płuca. Rory zmateriałizował się kilka metrów dalej, ale teraz słaby i zgarbiony. Nie patrzył na nią, tylko unosił się w cieniu, rękoma obejmując brzuch, z opuszczoną głową.

Nagle za plecami Wynter rozległo się kocie syknięcie, ostre i przepelnione strachem.

– Żołnierze! Już tu prawie są!

Gwałtownie i bezmyślnie rzuciła się do ucieczki, w bok. Rory zniknął. Padła na brzuch i zagrzebała się w gnijących liściach, ukryta wśród poskręcanych gałęzi i gęstych laurów. Dziękowała Bogu za kurtkę Christophera. Bez niej stanowiłaby wyraźny biały kształt wśród mroku poszycia leśnego. Starła się wcisnąć głębiej w krzaki, ukryć dół białej koszuli i szlafroka. Przyłożyła twarz do ziemi i zamarła, gdy trzech żołnierzy, zataczając się, nadeszło z lasu i stanęło niepewnie tuż obok niej. Ich wysokie buty głęboko zapadały się w liście i z ulgą stwierdziła, że zatarty wszelkie ślady jej wcześniejszej bytności na ścieżce.

Byli to trzech gwardziści Jonathona. Jeden z nich, wsparty na ramieniu kolegi, z trudem zachowywał przytomność; nogi się pod nim uginały, głowa mu ciążyła. Trzeci z mężczyzn, pewnie dowódca, poszedł kilka kroków naprzód, badawczym spojrzeniem omiótł drzewa i zawrócił, chwycił rannego pod drugie ramię, pomagając koledze go prowadzić.

– Graham nadchodzi – warknął, a wszyscy w trójkę przesunęli się nieco do przodu i przystanęli. Ich ranny towarzysz wisiał między nimi bezwładnie, od czasu do czasu leciutko pojękując. – Ani śladu Normana. A niech to.

– Ale Hadryczyka ani widu, ani słychu.

Dowódca zaklął, gdy z lasu wykuśtykał czwarty mężczyzna, krzycząc:

– Dopadliście go? Dopadliście szczyła?

Pozostali warknęli coś przecząco, a Wynter wsunęła się głębiej w trawę i liście, nim stanął tuż obok niej, a jego buty znalazły się zaledwie o centymetry od jej twarzy.

– Cholera – jęknął – ktoś mnie walnął po głowie...

– To ten Arab.

Żołdacy znów zaczęli powarkiwać.

– Zabiję sukinsyna! – krzyknął gwałtownie nowy.

Dowódca kopnął go w piszczel.

– Mówisz o królewiczu, następcy tronu, Graham, więc uważaj na język!

Graham wrzasnął i złapał się za nogę.

– Co z niego za królewicz, psiajucha! – mruknął boleśnie.

– To Alberon jest następcą! W dupie mam, ile razy król temu zaprzeczy, taka jest najprawdziwsza prawda.

Wynter pomyślała, że Razi musiał go zdrowo zdzielić po głowie, skoro sądził, że może się w ten sposób zwracać do swojego dowódcy.

Jakby słysząc jej myśli, dowódca rzucił rannego w ramiona drugiego z żołnierzy i wymierzył Grahamowi siarczysty policzek. Graham zatoczył się i poleciał w krzaki laurowe, o mało nie stając Wynter na dłoni, ale w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Powstrzymała się, żeby nie krzyknąć ani nie podskoczyć, tylko mocniej przycisnęła policzek do ziemi. W ustach poczuła krew i zdała sobie sprawę, że przygryzła wargę. Zamarła, co wymagało od niej niehumanitarnego wysiłku.

– Arab jest następcą tronu – warknął dowódca, pochylając się złowieszczo nad swoim żołnierzem. – I może ci obić mordę tak samo jak król, a ty nie piśniesz ani słowa. Pojmujesz? – Buty dowódcy prawie stykały się z butami żołnierza. Musiał krzyknąć mu prosto w twarz. – Jeśli Arab każe ci podskakiwać, psiakrew, chcę tylko usłyszeć: „Tak jest, Wasza Wysokość! Jak wysoko, Wasza Wysokość?”. Rozumiemy się, Graham?

– Tak jest – odpowiedział cicho żołnierz.

Dowódca jeszcze przez chwilę wisiał nad nim złowieszczo, ale odstąpił.

– Nie frasuj się, chłopcze – powiedział mu na pocieszenie.

– Król zemści się na nim w twoim imieniu. Nigdy nas nie zawiedzie.



Wynter wolno zacisnęła palce na zimnych liściach. Ze strachu, także o Raziego, żołądek podchodził jej do gardła.

– Myślicie, panie, że Hadryjczyk się wymknął?

– Tak – powiedział z namysłem dowódca. – Tak myślę.

– Odwrócił się, więc Wynter założyła, że patrzy w kierunku wzgórz. – Nieważne – szepnął. – Nasi w lesie i tak go dopadną...

– My też powinniśmy za nim ruszyć, panie.

– Nie. Najpierw zaprowadźcie Lionela do lekarza, potem odszukajcie Normana. Ja muszę zdać relację królowi.

Skierował się z powrotem do pałacu. Pozostali nie ruszyli się z miejsc, a dowódca rzucił im na odchodnym: – A gdybyście natknęli się na Araba, nie zabijajcie go... słyszycie?

Obaj mężczyźni odburknęli bez przekonania „Tak jest”. Dowódca potruchnął do pałacu.

– Jakże tam zabójstwo, jeśli spadnie mu się ze schodów – mruknął Graham.

– Pewnie, albo utopi w poidle dla koni... z takimi jak on nigdy nic nie wiadomo.

Mamrocząc coś pod nosem, powarkując do siebie buntowniczo, obaj mężczyźni ruszyli w kierunku kwatery doktora Mercury’ego. Ciężko obute stopy rannego wlokły się po ziemi, dwie głębokie koleiny w liściach znaczyły ich trasę wśród drzew.

Żołnierze szybko zniknęli jej z oczu, ale Wynter nie mogła się zdobyć, by wyjść z kryjówek. Z ogromnym wysiłkiem udało jej się zmusić ręce i nogi do posłuszeństwa, a gdy wreszcie usiadła na liściach, miała trudności, żeby wstać, bo nogi się pod nią uginały.

Rory obserwował ją ze swojej alejki. Wstała i zwróciła się do niego. Twarz i ręce miała brudne, we włosach liście, a koszulę umazaną mchem i gliną.

– Gdzie jest Alberon, Rory?

– Ten, który wie... on się nie ruszy. Jest poskręcany i jeszcze nie wie, że nie żyje.

– Nie wie, że nie żyje? Czy to jakiś duch, Rory?

Zastanowiła się. Niektóre duchy nawiedzały tylko ściśle określone miejsca.

– Czy ja mogłabym pójść do niego?

Rory patrzył na nią niepewnie. Zaczął się przesuwac, nie poruszając nogami, jak puch unoszony przez wiatr. Był przezroczystry jak mgła, niewyraźny i nieostry.

– Inni... – szepnął nieuważnie. – Są przeciwni...

– Dokąd muszę iść, Rory? Żeby się z nim spotkać?

Rory podniósł oczy, patrząc ponad drzewami na coś, czego Wynter nie mogła dostrzec.

– Inni...

– Tak, Rory. Inni są przeciwni... – Starala się nie dać po sobie poznać zniecierpliwienia. Bóg jeden wie, ile Rory musiał zapłacić za sprzeciwianie się „innym” – kimkolwiek byli.

– Ale ja muszę porozmawiać z tym człowiekiem. Muszę odnaleźć Alberona, Rory! Pomóż mi!

Skierował na nią wzrok, a Wynter starała się nie wzdrygnąć, gdy zafalował w jej stronę, błędząc oczami po jej twarzy. Podpłynął bardzo blisko. Migotał jak powierzchnia jeziora, rysy jego twarzy przemieszczały się płynnie, co zapewne nie wróżyło mu nic dobrego.

Czy duchy mogą umierać? Jeśli mogą, to pewnie tak to właśnie wygląda – pomyślała.

Rory zbliżył się do jej twarzy. To wciąż była jego twarz, łagodna, inteligentna, smutna twarz dawnego towarzysza jej dziecięcych zabaw. Ale z takiej odległości, gdy patrzył na nią tak natarczywie, Wynter po raz pierwszy w życiu poczuła od niego zapach grobu. Słyszała, jak pod jego skórą toczy się niewidzialna, ale namacalna dla duszy, walka, oślizgłe ruchy, wszystko to, co dzieje się z ciałem po śmierci. Czula, że gdyby

wyężyła wzrok, dostrzegłaby rozkład buzujący tuż pod powierzchnią.

– Rory... – szepnęła, przerażona. – Co ci się stało?

– Powstrzymam ich... – westchnął. – Gdy będziesz z nim rozmawiać... ale nie uda mi się odwrócić ich uwagi na dłużej, więc gdy krzyknę, żebyś uciekała, musisz uciekać! Szybko i daleko. Rozumiesz?

Wynter bez słowa pokiwała głową.

Duch zakołysał się lekko jak liść na wodzie.

– Dzisiaj – wyszeptał. – Gdy świat stanie w miejscu... Spotkamy się tam. – Zaczął znikać, więc w panice próbowała go pochwycić.

– Rory! Gdzie? Gdzie się spotkamy? Gdzie?

Znow się skupił, patrząc na nią zaskoczony.

– Przecież to jasne, że w lochu ... Nie może opuścić krzesła... nie rozumie, że teraz jest wolny.

Wynter poczuła zimny dreszcz. Odruchowo zrobiła dwa kroki do tyłu i odwróciła głowę, mrużąc powieki.

– Rory – szepnęła. – Masz na myśli... tego chłopaka? Tego zamachowca?

– Poskręcane go Człowieka! Tak... Skatowanego Człowieka.

Rory był wyczerpany, jego głos ledwo dawało się słyszeć.

– Dzisiaj – westchnął – gdy świat stanie w miejscu, tam się spotkamy... spróbuję... odwrócić uwagę... innych.

Odwrócił się, znużony, i rozpląnął w powietrzu. Jego słowa wciąż niosły się echem, jak to zwykle słowa duchów.

– A ja cię tam zaprowadzę i przyprowadzę z powrotem – powiedział kot, spoglądając na zamek. Wynter podskoczyła, przerażona. Nie wiedziała, że on wciąż tu jest. Kot zmrużył drwiąco oczy i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Na Wielkiego Łowcę, dziewczyno! Postaraj się nie trząść jak osika! Nie rób z siebie ofiary!

# *Radujmy się i śmiejemy, póki możemy*

*J* dobrze się spisali?  
Wynter westchnęła.

– Tak, tato. Dobrze się spisali. – Nie podnosiła wzroku znad trzymanej w rękach kartki. Wiedziała, że Lorcan mówi, aby mówić. To przecież jasne, że chłopcy Pascala dobrze się spisali. Spisali się znakomicie. Nigdy nie miała wątpliwości, że będzie inaczej. To przecież dlatego Lorcan wybrał właśnie ich. Nie mogła jednak nie zauważyć, że nie spytał ją o wygląd biblioteki.

Westchnęła, złożyła papier i oparła ręce na kolanach.

Biblioteka wyglądała okropnie. Zwłaszcza dla osoby znającej się na rzeczy tak jak Wynter. Wszystkie te wydłubane miejsca rzucały się w oczy na tle przepięknych płaskorzeźb. Gdziekolwiek spojrzeć, świeciły puste, nagie łaty. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tego wspomnienia.

Gdy rano zjawiła się w bibliotece, była zaskoczona, że czeka na nią tylko Pascal. Zamyślony patrzył przez okno. Wynter przełękła się, że chłopcom przytrafiło się coś strasznego, ale Pascal tylko uśmiechnął się smutno i zatoczył ręką szerokie koło.

– No cóż. Skończyliśmy.

Rozejrzała się, zaskoczona. Nie zdawała sobie sprawy, jak szybko prace się posuwały. Uświadomiła sobie, że w ciągu ostatnich kilku dni większość czasu spędziła na gapieniu się przez okno, podczas gdy wokół niej robota wrzała.

A teraz wszystko było już gotowe – dewastacja dzieła jej ojca dobiegła końca.

Znów spojrzała na trzymaną w rękach kartkę, rozłożyła ją jeszcze raz i przebiegła po niej wzrokiem, jakby w ten sposób chciała wymazać z pamięci obraz tego strasznego zniszczenia.

Lorcan, wsparty na poduszkach, zerkał na nią kątem oka. Siedziała po turecku, wciąż w stroju do pracy, w drugim końcu jego łóżka. Wracając z biblioteki, narzędzia zostawiła pod drzwiami i bez słowa wdrapała się na łóżko ojca. Skrzyżowała nogi, oparła głowę o wezłowie i zamknęła oczy. Siedziała tak, milcząca i odległa, dopóki biedny Marcello nie pożegnał się dyskretnie i nie wyszedł. Dopiero wtedy, gdy znaleźli się sami, otworzyła oczy. Lorcan westchnął ciężko, uśmiechnął się i kiwnął głową.

Wynter znów zerknęła znad kartki, a ojciec ostrożnie przesunął się niżej i stękając, ułożył na poduszkach. Cały dzień próbował jak najmniej siedzieć w łóżku i teraz boleśnie odczuwał tego skutki. Zamknął oczy. Wcale nie wyglądał na zaskoczonego, gdy powiedziała, że biblioteka jest już gotowa.

Wbiła wzrok w kartkę, po raz kolejny odczytując staranne, wyraźne nuty, podziwiając wyczelowane pięciolinie. Nigdy wcześniej nie pomyślała, z jakim trudem przychodziło Christopherowi utrzymanie w ręku pióra. Musiał się nad tym mocno namęczyć. „Bardzo skuteczna zemsta”, powiedział kiedyś. „Pomyślana tak, żeby odebrać mi wszystko, czym jestem”.

Był to starannie sporządzony zapis nutowy – trzy zwrotki. Duet na dwa flety podłużne: altowy i sopranowy. Partia niższego rejestru była wolna, stateczna i rytmiczna, piękna w swojej prostocie i efektowna. A nad nią rozbrzmiewała w idealnej harmonii skoczna, wręcz roześmiana melodia. Jak rwący potok płynący przez leśne ostępy, połączenie wzniosłości i radości. Utwór nosił tytuł *Lorcan*, a nuty Christopher musiał zostać pod jego szklanką tuż przed wyjściem.

Nie mogła patrzeć na nie dłużej, bo czuła, że za chwilę się rozklei. Złożyła kartkę i podała ją ojcu, który spoglądając za okno, wsunął ją po prostu pod poduszkę.

Pozostał im jeszcze tylko jeden dzień, tylko jutro. Pojutrze będzie musiała go opuścić. Mieli sobie tyle do powiedzenia, ale żadne z nich jakoś nie znajdowało właściwych słów. Może jutro. Tak – postanowiła. – Jutro powie mu wszystko to, co chciałaby mu powiedzieć, popłynie z niej wartki strumień słów.

– Może jutro – szepnął Lorcan, wciąż spoglądając przez okno – uda mi się pospacerować po gaju pomarańczowym. – Te słowa były dokładnym odzwierciedleniem myśli Wynter, więc pokiwała głową, zbyt poruszona, by się odezwać.

Niebo miało kolor sinoczerwony niczym rana. Lorcan patrzył, jak chmury ciemnieją, jak ich jasne brzegi tracą wyrazistość. Zamknął oczy z lekkim grymasem może bólu, a może smutku. Odwrócił głowę w jej stronę, otworzył zielone oczy i wyraźnie się zawahał. Rozchylił usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie oboje zamarli, wyteżyli słuch i rozpromienili się w jednakowych uśmiechach, słysząc delikatne skrobanie w sekretne drzwi. Razi!

Lorcan dźwignął się, żeby usiąść. Skinieniem głowy nakazał Wynter otworzyć, a sam wygładził kołdrę i przeczesał włosy palcami, w radosnym wyczekiwaniu uśmiechając się od ucha do ucha. Razi stał na progu, jakby nie wiedział, czy jest mile widziany. Pod pachą trzymał jakąś teczkę, stał

zgarbiony, żeby zmieścić się w drzwiach. Uśmiechnął się niepewnie.

– Witaj, Wyn – powiedział. – Mogę... mogę wejść?

Na widok nowych siniaków Wynter zrzęła mina. Weszła do korytarzyka i delikatnie otoczyła go ramionami.

– Witaj, Razi – szepnęła. – Martwiliśmy się o ciebie. – Nie chciała ścisnąć go zbyt mocno, ale on i tak wciągnął głośno powietrze, zamarł i ostrożnie wyswobodził się z jej ramion.

Cały czas trzymał ją jednak za rękę, na której, kłaniając się, złożył pełen galanterii pocałunek.

– Niepotrzebnie się martwiliście. Jestem niezastąpiony, pamiętasz?

Na widok posiniaczonej twarzy Raziego i jego sztywnego, ostrożnego kroku Lorcan przestał się uśmiechać. Razi jednak starał się okazywać radość, nikt więc nic nie powiedział, gdy skrzywił się, siadając w fotelu przy łóżku Lorcana.

Położył teczkę na kołdrze.

– Przyniosłem to specjalnie dla ciebie, przyjacielu. Wiem, że ci się spodoba. – Z błyszczącymi oczami przesunął teczkę w stronę Lorcana i kiwnął głową, ponaglając go, żeby otworzył.

– Kazałem zrobić kopie w Maroku. Jedną przywiozłem do biblioteki ojca, ale ta... – nieśmiało spojrzął Lorcanowi w twarz. – ta jest twoja. I uwierz mi, tłumaczenie jest doskonałe.

Lorcan przesunął ręką po gładkiej skórzanej okładce i z nieskrywaną przyjemnością zerknął na Wynter. Uśmiechnęła się i, zaintrygowana, przysiadła na łóżku. Niecierpliwie przygryzł wargi i rozwiązał troczki. W środku ukazała się książka w przepięknej oprawie. Westchnął, patrząc na nią z podziwem. Rozkłożył ją na kolanach i wolno przewracał kartki.

– *Księga zmyślnych urządzeń mechanicznych* – przeczytał i pograżył się w misternych rycinach, a Razi zaczął je cicho objaśniać i pokazywać mu coraz to nowe fragmenty tekstu, coraz to nowe ilustracje.

– Oryginał liczy sobie ze trzysta lat, jego autorem jest Badi' al-Zaman al-Jazari, fascynujący człowiek. Inżynier i wynalazca... – Razi spojrział na Lorcana. – Zupełnie tak jak ty. – Uśmiechnęli się do siebie, a Lorcana znów pochłonęła książka.

– Niesłychane – wymruczał. – Trzysta lat?

– Owszem.

Cała trójka pochyliła się nad kartami księgi, a Wynter wskazała na piękną ilustrację przedstawiającą perskie koła wodne.

– To przychodzi mi na myśl instalację, którą zaprojektowałeś dla Shirkena, tato. Pamiętasz?

– Tak – mruknął Lorcan, przewracając stronę.

– Tata obmyślił cały system kanalizacyjny w pałacu Shirkena. Za sprawą urządzenia, które nazwał pompą, do wszystkich pomieszczeń dochodziła woda.

Razi, zafascynowany, otworzył szerzej oczy. Już miał zadać jakieś pytanie, gdy Lorcan odezwał się cierpko, nie podnosząc wzroku znad książki.

– Nie było mi dane ujrzeć gotowego dzieła. Jon wezwał mnie z powrotem, zanim zdążyłem objąć kontrolę nad pracami. Popatrz! – Obrócił stronę, żeby Razi mógł obejrzyć projekt jakiejś skomplikowanej konstrukcji.

Razi jednak nie patrzył w książkę, tylko na Lorcana. Zdawał się nad czymś zastanawiać, a w końcu powiedział:

– A wracając do al-Jazariego, wiele z jego wynalazków nigdy nie ujrzało światła dziennego, sam tego chciał. – Lorcan zamarł i zerknął na Raziego. – Uważał, że są zbyt... niebezpieczne... dla ludzkości.

Lorcan wyprostował się i zamknął książkę. Jego twarz spochmurniała. Razi uniósł dłonie i uśmiechnął się.

– Lorcan. Nie myśl, że próbuję cię ciągnąć za język. Po prostu mówię. Al-Jazari był interesującym, inteligentnym człowiekiem. A do tego przyzwoitym. Wszystko, co po sobie



pozostawił, wyszło rodzajowi ludzkiemu na dobre. Ludzi takich jak on, jak ty, jest naprawdę niewiele. Tylko to chciałem rzec. – Rozłożył ręce i przechylił głowę. – Tylko to.

Lorcan zmieszał się, a Wynter wbiła wzrok w swoje dłonie. Nastąpiła niezręczna, pełna napięcia cisza. W końcu Razi poklepał Lorcana po ręce.

– Dlaczego tak trudno nam słuchać, gdy ludzie mówią o nas dobrze? – wyszeptał.

Lorcan chwycił go za rękę.

– Chciałbyś... – spytał ochryple – chciałbyś zobaczyć plany kanalizacji pałacu Shirkena? I może projekt, który stworzyłam dla Tamaranda? Wpadłem na pomysł, że wodę z jego pól można odprowadzać za pomocą wzmocnionych...

– Jutro wyjeżdżam, Lorcanie.

Wynter właśnie zaczęła schodzić z łóżka, by przynieść teczkę ojca, ale zamarła. Osunęła się na podłogę przerażona, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. W oczach Lorcana zauważyła strach. Jutro! Nie! – przeraziła się. Jeszcze nie była gotowa. Nie była gotowa, by wyjeżdżać. Miała nadzieję, że został im przynajmniej jeszcze jeden dzień! Chociaż tyle, chociaż tyle! Lorcan patrzył na nią przerażonymi i zażawionymi oczami.

– Och, Razi – szepnęła. – Dlaczego? Myślałam...

Odwrócił się sztywno, skrzywił z bólu i chwycił za klatkę piersiową.

– Razi – zaniepokoił się Lorcan. – Co ci się stało? – Położył mu dłoń na głowie.

Ku ich zaskoczeniu Razi zaśmiał się, ale też pochylił do przodu, wciąż obejmując się ramionami. Lorcan zaczął gładzić go po włosach, jakby Razi był dzieckiem, które trzeba utulić.

– Nic takiego – rzucił lekko Razi. – Ludzie ojca szukali papierów Christophera nieco zbyt gorliwie.

Odetchnął głęboko.

– I znaleźli je? Ludzie twojego ojca są też w lesie i...

Spojrzał na nią badawczo.

– Już ich tam nie ma – odparł.

Zimna pewność w jego głosie sprawiła, że ciarki przebiegły jej po plecach. Znow zamknął oczy i skulił się. Lorcan cały czas głaskał go po włosach. Razi podniósł głowę i spojrzał na Wynter, a ona dostrzegła w jego oczach smutek, który sama też odczuwała.

– Jutro wyjeżdżam – westchnął. – Dłużej nie mogę tu zostać. Nie wytrzymam.

– I pewnie nie ma sensu, żebym kolejny raz prosił cię o zabranie ze sobą mojej córki? – spytał Lorcan.

Na te słowa Wynter drgnęła i spojrzała badawczo na Lorcana, ale on wydawał się nieprzejednany.

Razi westchnął i pokręcił głową.

– Proszę cię, przyjacielu, przestań już. Proszę. W ten sposób tylko sprowadziłbym na nią śmierć. Wynter będzie bezpieczniejsza tutaj, z dala ode mnie. Z dala od mojego przekłętego towarzystwa.

Lorcan zadrżał, a jego ręka zsunęła się na plecy Raziego.

Wynter z ulgą zacisnęła powieki. Ucieszyła się, że przynajmniej jeden kłopot ma z głowy. Jakiż to byłby koszmar, gdyby Razi się zgodził. Wciąż bała się jednak o jego bezpieczeństwo, zwłaszcza że poszukiwania papierów Christophera nadal trwały.

– A co z tymi dokumentami? Czy są bezpieczne? Na szlaku o wiele trudniej będzie ci je ukryć.

Razi znow zarechotał. Wstał wolno i ostrożnie wrócił na fotel. Twarz mu promieniała, uśmiechnął się radośnie i rozsiadł na poduszkach.

– Ja ich nie mam! – Zaśmiał się, widząc ich miny. – Och, dajcie spokój! Naprawdę myślicie, że mógłbym posłać przyjaciela w świat bez dokumentów? I to przyjaciela, który nosi

piętno niewolnika? Dajcie spokój. Ma je Christopher! – wykrzyknął, gdy w dalszym ciągu nie okazywali śladów zrozumienia. – Są w jego kufrze. Znajdzie je, gdy tylko postanowi się przebrać.

Lorcan głośno wciągnął powietrze. A więc to był blef. Szalony i niebezpieczny blef. Który się opłacił. Ale teraz Razi musiał ponownie zaskoczyć ojca. Musiał wyjechać najszybciej, jak to było możliwe, zanim sprytny król zorientuje się, że as, którego trzymał Razi, był tylko iluzją.

Wynter pomyślała, że z tych samych powodów również ona powinna wyjechać wcześniej. Zrezygnowana, opadła na brzeg łóżka. Razi nachylił się i poklepał ją po ręce. Był całkowicie nieświadomy, jakie znaczenie dla niej miałby jego wcześniejszy wyjazd.

– No, siostrzyczko! – powiedział cicho. – Nie dąsaj się! To zaledwie jeden dzień. – Uśmiechnął się, a ona spojrzała na ojca. Miał smutek w oczach, ale starał się przybrać maskę obojętności.

– No cóż – wychrypiał Lorcan, otrząsnąwszy się. – Mielibyście ochotę na wino? Bo ja tak! – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Gest ten zdawał się mówić: Cóż możemy począć? Radujmy się i śmiejmy, póki możemy. I nie myślmy o jutrze.

Razi wstał zadowolony.

– Przyniosę twoją teczkę? Mogę? – zwrócił się do Lorcana, który skinął głową i machnął ręką w kierunku kufra. Razi przykucnął przy Wynter, spojrzał jej w oczy i potrząsnął za ramię. – Hej! Panno Bolesna! Zechciałabyś posłać pazia po wino? – spytał, a jego oczy dopowiedziały: Proszę, nie pogrążajmy się jeszcze w żałobie, jeszcze nie dzisiaj. – Wynter? – powtórzył. – Napiłabyś się wina?

Oderwała się od ponurych myśli i skupiła wzrok na jego twarzy, znajdującej się teraz tak blisko. Zalała ją fala czułości

i współczucia. W odruchu serca chwyciła jego dłonie i ucałowała w oba policzki, a potem oparła czoło o jego czoło. Poczowała, jak jego oddech przyspiesza od tłumionych łkań, jak z trudem usiłuje się odsunąć.

– Pewnie miałbyś też ochotę na jakieś ciastka? – spytała, wciąż trzymając go za ręce.

Oczy Raziego podeszły łzami, twarz mu posmutniała.

– Tak – powiedział łamiącym się głosem. – Ciastka też.

– Tarty z konfiturą! – wychrypiął Lorcan.

– A jakże! – krzyknęła z udanym zniecierpliwieniem. – Ech, wy, mężczyźni i wasze słodkości! – Odepchnęła Raziego, który wstał i uklęknął przy kufrze Lorcana. Przez chwilę trwał w bezruchu, skrywając twarz, a potem otworzył wieko i wyjął manuskrypty.

W drzwiach sypialni Wynter przystanęła, żeby spojrzeć na nich jeszcze raz. Lorcan powoli odsuwał kołdrę i sięgał po szlafrok. Mrugnął do niej i ruszając samymi wargami, powiedział bezgłośnie: Wstanę sobie na chwilę. Z rozdrażnieniem pokręciła głową, ale nie próbowała go powstrzymać, gdy wsuwał ręce w rękawy i z wysiłkiem stawał na nogach. Z największą koncentracją obrał cel i rzucił się w kierunku kominka. Razi krzyknął zaskoczony, gdy olbrzym padł bezwładnie na stojący nieopodal paleniska fotel. Jego widok bardzo go rozbawił.

Duże dziecko! – pomyślała z czułością i odwróciła się do wyjścia.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Wszyscy zamarli.

– Pozbądźmy się tego natręta! – krzyknął Lorcan. – Kimkolwiek jest!

Razi, zaniepokojony, z tęczką na kolanach, spojrzął na Wynter, która postanowiła: Nieważne, kto przyszedł – jakiś posłaniec, radny czy strażnik – dzisiaj nikt tu nie wejdzie. Cicho podkrađła się do drzwi. Znów rozległo się pukanie, teraz nieco głośniejsze.

na wizyty!

Razi poszedł w jej ślady i teraz stał w pokoju wypoczynkowym i nasłuchiwał. Oboje zadrżeli, słysząc jakże znajomy głos króla.

– Otwieraj, Wielmożna Obrończyni. Pragniemy rozmówić się z twoim ojcem.

Jonathon mówił cicho, najwyraźniej przysunął twarz pod same drzwi.

Wynter z rozpaczą na twarzy odwróciła się do Raziego, który skulił się w sobie, poruszony do głębi. Wyglądał jak zbity pies. Odwrócił się i skierował do sypialni Lorcana.

Nie! Nie, nie. Czy odbiorą mu nawet to? Jego ostatnią noc? Jego pożegnanie? – pomyślała. Nie wiedziała, co robić. Jakże mogła odmówić królowi?

– Ja... chwileczkę, Wasza Królewska Mość... nie jestem ubrana.

– Byle szybko.

Pobiegła do pokoju Lorcana. Razi padł na kolana do jego stóp, ramionami otoczył go w pasie, głowę skrył na jego piersi. Lorcan gładził go po włosach, a policzkiem tulił się do jego głowy.

– Ciiii – szeptał bezradnie Lorcan. – Ciii...

Król zapukał znowu. Tym razem stanowczo.

– Razi! – krzyknęła cicho Wynter. Gdy usiłowała wyrwać go z ramion Lorcana, czuła, że po policzkach ciekną jej łzy.

– Razi! – zawołała błagalnie. – Proszę cię! – Wtedy zdała sobie sprawę, że Lorcan też nie chce go puścić i trzyma z całych sił, więc poddała się. Rzuciła się na Raziego i oparła policzek o jego plecy, unoszące się w szybkim oddechu.

Nagle Razi odepchnął oboje. Dosłownie strząsnął ich ramiona i zerwał się na równe nogi. Jego zapłakana twarz lśniła w świetle płomieni. Odwrócił się i wypadł z pokoju. Akurat

odwrócił się z wściekłością i rzucił nienawistne spojrzenie w kierunku drzwi, zaciskając pięści. Nigdy wcześniej Wynter nie widziała w jego twarzy aż takiej nienawiści.

– Razi – syknął Lorcan.

Natychmiast odwrócił się w jego stronę. Bezradnie rozłożył ręce. W oczach miał smutek i zagubienie.

I takim właśnie Lorcan widział go po raz ostatni. Razi zniknął.

Gdy tylko otworzyła drzwi, Jonathon wślizgnął się do środka i dokładnie zamknął je za sobą. Obrzucił Wynter badawczym spojrzeniem, zmarszczył czoło na widok jej potarganych włosów i zapuchniętych oczu. Wyraźnie dolatywał od niego zapach wina. Zrobiła krok do tyłu. Nigdy nie ufała pijakom.

Król, mimo że kroki stawiał niepewnie, twarz mu pocizerwieniała, a oczy podpuchły, umysł miał przytomny i bystry. Stał w miejscu, lekko się kołysząc, i zajął do pokoju Lorcana.

– Nie śpi? – spytał cicho.

Wynter kiwnęła głową, trzymając się na dystans. Czuła żal. Pomyślała: Czego, do diabła, chcesz? Czy chociaż dzisiaj nie mógłbyś zostawić nas w spokoju?

Przez chwilę król miał niepewną minę, wzdychał głęboko. Uderzyło ją, że przebiegł palcami po włosach tak, jak robił to Razi. Spodziewała się po nim złości, że kazała mu tak długo czekać, a przecież domyślał się, że wcale nie musiała się ubierać. Jonathon zaś wydawał się nieśmiały i niepewny. Nie wiedziała, jak się zachować.

Wreszcie najwyraźniej powziął jakieś postanowienie, bo ku jej ogromnemu zaskoczeniu poklepał ją po ramieniu, przeszedł w stronę pokoju Lorcana i oparł się o framugę drzwi.

– Lorcan! – zawołał, wahając się, czy wejść dalej.

– Czego chcesz, Jonathonie?

Ochrypli głos Lorcana był mimo wszystko wyraźny.

Król opuścił głowę, światło kominka ustroiło go w płomienną koronę.

– Pozwól mi wejść, bracie. Chcę z tobą pomówić.

Ten pozornie szczerzy błagalny ton wzbudził w Wynter nieufność. Zastanawiam się – pomyślała – czy naprawdę byś wyszedł, gdyby ojciec nie chciał cię wpuścić? Lorcan chyba zastanawiał się nad tym samym, bo nastąpiła długa, ciężka cisza, a król wciąż stał w drzwiach i czekał. Wreszcie usłyszała:

– Jestem zmęczony, Wasza Królewska Mość. Może innym razem.

Król wyprostował się i spojrzał na Lorcana. Wynter wstrzymała oddech w oczekiwaniu na wybuch. Ale Jonathon tylko zamarł w bezruchu. Potem opuścił głowę i odwrócił się do wyjścia.

Gdy zbliżał się do niej, stała jak sparaliżowana. On jednak ciężkim krokiem wyminął ją i bez słowa odryglował drzwi. Już stał na progu, gdy dobiegł go okrzyk Lorcana.

– Jon!

Zatrzymał się, widać było, że nasłuchuje. Nastąpiła kolejna dłuższa pauza, po czym Lorcan dodał cicho:

– Wracaj tutaj.

Jonathon z powrotem wszedł do środka, zamknął i zaryglował drzwi. Po drodze wziął jeden z ciężkich foteli i zaniósł go do pokoju Lorcana.

Wynter przez chwilę kręciła się pod drzwiami, łąpała okiem na króla, który niezdarnie ustawił fotel przed Lorcanem i usiadł ciężko. Spojrzała na ojca i czekała, co jej każe. Siedział zgarbiony we własnym fotelu, z ponurą twarzą. Wcześniej zdążył otrzeć łzy i zarzucić potargane włosy na plecy. W jego oczach nie tliła się już nawet iskra ciepła. Zerknął na córkę.



– Wejdz, Wynter – powiedział. – Siadaj.

Jonathon spojrział na nią przez potężne ramię, bynajmniej nie zachwycony takim obrotem spraw. Jednak nie protestował, gdy przeszła przez pokój i przycupnęła na łóżku.

– Jeszcze nic nie jadłam, ojcie – powiedziała. – Możliwe, że za jakiś czas będę musiała pójść do kuchni.

Lorcan spojrział jej prosto w oczy i pojął w lot. Miała do załatwienia sprawy, które, jak zakładał, tyczyły się jej wcześniejszego wyjazdu. Kiwnął głową.

– Jak tylko zgłodniejesz, kochanie, nie krępuj się. Ale możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz.

– Dziękuję, ojcie.

Teraz Lorcan całą uwagę skierował na króla, twarz miał jak z marmuru. Jonathon odwzajemnił mu się tym samym. Przez chwilę obaj spoglądali na siebie bez śladu przyjaźni.

Jonathon pierwszy odwrócił wzrok. Zamknął oczy i pokręcił głową. Spojrzął w ogień, zdawał się nad czymś zastanawiać. Z ociąganiem sięgnął za pazuchę i wydobył złożoną kartkę papieru. Przez chwilę ścisnął ją w garści, jakby rozstanie z nią przychodziło mu z trudem. Potem nachylił się nad dzielącą ich przepaścią, żeby wręczyć ją Lorcanowi.

Lorcan zmarszczył czoło, jakby się bał, że kartka go ugryzie, ale Jonathon machnął nią niecierpliwie i wcisnął mu ją do ręki.

– Na miłość boską! – burknął w końcu. – Weź to wreszcie, do cholery!

Lorcan wziął papier z kwaśną miną. Rozłożył go i przebiegł wzrokiem po piśmie. Mina mu zrzędała, Wynter spostrzegła, że czyta dokument jeszcze raz, i jeszcze raz. Jego spojrzenie straciło ostrość, opuścił kartkę i przez chwilę wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Potem spojrział na Jonathona z nową podejrzliwością.

Król wydał z siebie rozpaczliwy jęk i podniósł rękę, jakby chciał odeprzeć zarzut.

– Och, bracie... – powiedział, umykając wzrokiem w bok.  
– W pełni zasługuję na to spojrzenie... ale miej nade mną  
litość, proszę cię. Przysięgam ci, że nie żądam niczego w za-  
mian. Jest twoja. Wszystko jest twoje – wymamrotał. – Za  
późno, wiem, ale chcę, żebyś zdążył się nią nacieszyć.

Wynter słyszała w tej przemowie skutki nadużycia alko-  
holu, i to ją niepokoiło. Ludzie pijani są zawsze tacy nieprzewi-  
dywalni i dziwni. Wyprostowała się i nieufnie zsunęła z łóżka,  
zaniepokojona wyrazem twarzy Lorcana. Stała, obserwując  
walkę, jaką toczyły ze sobą jego sprzeczne emocje. Wyglądał,  
jakby miał się rozpłakać, wybuchnąć, poderwać się i powalić  
Jonathona na ziemię. Jego oddech był przyspieszony, policzki  
zrobiły się czerwone. W końcu, nie spuszcżając króla z oczu,  
wyciągnął rękę i podał papier córce. Na krótką chwilę padł  
na niego blask kominka, widać było płynne pismo Jonathona  
podświetlone od tyłu przez ogień.

Wzięła dokument. Oczywiście była to licencja. Podpisana  
i opatrzona pieczęcią, wszystko tak, jak powinno być. Licencja,  
udzielona z dobrej woli, za darmo, Bóg jeden wie, z jakiego  
powodu. Przeczytała, kartka drżała jej w dłoni, i spojrzała  
gniewnie na Jonathona, który wciąż siedział bez ruchu, pa-  
trząc w ogień.

– Dziękujemy Waszej Królewskiej Mości – wycodziła – za  
ten akt łaski i szczodropliwości, za to, że zechciałeś udzielić  
mojemu ojcu licencji do uprawiania zawodu. Szkoda jednak,  
że nie znalazłeś w sobie tej dobroci przed wpędzeniem go  
w chorobę z przepracowania.

– Jonathon, czy to oznacza, że życzysz sobie, abym wyje-  
chał?

Na te ochryple słowa Wynter złapała ojca za ramię: Och,  
tylko nie to! Przecież chyba nie chcesz go wyrzucić? Nie w tym  
stanie! I nie teraz, kiedy ja zostawiam go na twoją łaskę i nie-  
łaskę?

Jonathon spojrział na swojego dawnego przyjaciela. Na jego twarzy malował się ogromny ból. Bez słowa zaprzeczył ruchem głowy. Wydawał się szukać czegoś na bladej, skrytej w cieniu twarzy Lorcana, ale znalazł tylko wyrzut.

– Przyjacielu – wydusił z siebie w końcu – czyżbym stał się aż takim potworem, że właśnie tego się po mnie spodziewasz?

Lorcan nie odpowiedział, ale jego twarz nieco złagodniała. Wynter zachodziła w głowę, co ojciec myśli. Ona widziała w Jonathonie człowieka, który okrutnie potraktował Raziego, o mały włos nie pozbawił życia Christophera i który zmusił Alberona do ucieczki jak lisa poszczutego psami. Spojrzała w zarumienioną od wina twarz króla i dostrzegła w niej tylko rozpasanie i dziecinną potrzebę rozgrzeszenia.

Jonathon przekrzywił głowę, skupiając całą uwagę na Lorcanie, a w jego cichym głosie słychać było rozpacz.

– Dzisiaj Razi pobił do nieprzytomności pięciu moich ludzi. I to nie wszystko... podejrzewam, że kazał zabić trzech innych... stacjonowali w lesie i ślad po nich zaginął. – Jonathon zamilkł, z niedowierzaniem kręcąc głową i patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby wciąż nie był w stanie tego pojąć. – Razi to zrobił – wyszeptał. – Mój Razi.

Lorcan nie miał litości dla króla.

– Jonathon, przecież zawsze wiedziałeś, do czego ten chłopak jest zdolny w obronie tych, których kocha. Czego się, do diabła, spodziewał po tym wszystkim?

– Ale jakież ja miałem wybór! – wykrzyknął. – Powiedz mi, Lorcanie, co mógłbym uczynić inaczej. Powiedz mi, jak to teraz odkręcić, skoro wszystko już pędzi własnym pędem? – pytał głęboko poruszony.

– Nie mogę, przyjacielu – powiedział cicho Lorcan – bo wciąż nie wiem, co tak naprawdę zrobisz.

Jonathon zaśmiał się gorzko i uniósł rękę.

– Jeśli nie liczyć uciemnienia poddanych i zniszczenia

życia moim cudownym chłopcom... Co zrobiłem poza tym?  
– Popatrzyl na Lorcana uważnie. – Jeśli nie liczyć tego, że o mało nie wpędziłem mojego dobrego przyjaciela do grobu, bo mu nie ufałem... – Przygryzł wargi, oczy mu błyszczały. Bezradnie machnął ręką. – Przepraszam, bracie. Nie mam pojęcia, jak to przetrwamy. I za to właśnie przepraszam.

Zapadła cisza. Lorcan nieco się pochylił do przodu. Spojrzał dawnemu przyjacielowi w twarz. Jego płytki oddech bardzo Wynter niepokoił. Przesunęła rękę z jego ramienia na plecy.

– Może – powiedział ochryple Lorcan – może jeszcze nie jest za późno? Gdybyś przebaczył Alberonowi, odwołał *mortuus...*

Jonathon wyprostował się w fotelu, kręcąc głową.

– Lorcan, czy ty naprawdę myślisz, że doprowadziłbym do tego wszystkiego, gdybym nie miał pewności co do zamiarów Alberona? Ten chłopak wziął się na mnie. Planuje zamach stanu. Nie ma co do tego wątpliwości. Wraz z Oliverem przyjmuje w swoim obozie wysłanników i negocjuje ze wszystkimi skłóconymi frakcjami, które ostrzą sobie zęby na to kruche państwo. – Spojrzał w ogień szeroko otwartymi oczami. – Zbiorą odpowiednią ilość popleczników i za pomocą twojej maszyny spróbują odebrać mi królestwo. – Znow pokręcił głową, westchnął i zamknął oczy. – Jestem w potrzasku. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Nic, poza zabiciem Alberona i zniszczeniem biednego Raziego przez usadzenie go na jego miejscu.

– Za pomocą mojej... Mają maszynę? – Lorcan ścisnął poręcze fotela, a Wynter poczuła, jak cały się trzęsie.

– Ojczy, nie denerwuj się.

– Nie! – krzyknął król. – Nie mają maszyny. Została tylko jedna, jest... – zerknął na Wynter – pod moją opieką. Lorcan – kontynuował, wpatrując się w przyjaciela – użyłem twojej maszyny, żeby zdusić powstanie! Oliver też tam był... należał do załogi.

Lorcan jęknął i opadł na oparcie fotela. Jonathon wydawał się z siebie zadowolony.

– Och, nie martw się. To nie była żadna bitwa. Nie ostał się nikt, kto mógłby rozpuścić język. Zupełnie tak jak poprzednio... zasadzka. Kto żył, zmarł w ciągu paru minut. – Lorcan znowu jęknął i zaczął się kołysać w fotelu. Jonathon patrzył na niego chłodno.

– A załoga – syknął Lorcan. – Co stało się z załogą?

– Nie licząc mnie i Olivera? Wszyscy moi ludzie...

Lorcan podniósł głowę, by spojrzeć na niego błagalnym wzrokiem.

– Jon... Jon... czy ty?

Jonathon uniósł się lekko w fotelu zniecierpliwiony i znowu usiadł, wznosząc ręce do góry:

– Wciąż żyją – przekonywał. – Wszyscy. Dziewięć osób, moja gwardia przyboczna. Prędzej zginą, niż zdradzą. – Zapatrzył się w ogień. – Ale Oliver – wycedził przez zęby – Oliver...

Nagle Lorcan zerwał się jak oparzony. Odepchnął od siebie Wynter, sycząc ze złością:

– Wyjdź stąd! Ale już! Wyjdź!

– O, tak – stwierdził Jonathon z pogardą. – Nie możemy pozwolić, by mała Moorehawke'ówna splamiła się słuchaniem o podobnych bezeceństwach, czyż nie? Niech Kingssonowie się martwią, niech ryzykują życiem, pies ich trącał. Ale twoje najdroższe maleństwo musi pozostać czyste i nieskalane jak ta lilia.

– Jonathonie – powiedział błagalnie Lorcan, otaczając Wynter ramieniem. – Och, Jonathonie... proszę cię. Nie...

– Co nie? – Jonathon pochylił się w fotelu, atakując wzrokiem przyjaciela. – Co nie, Lorcanie? Oliver chce użyć twojej maszyny do poszerzenia granic królestwa. Chce wyprodukować tuziny takich maszyn! – Popatrzył badawczo w twarz Lorcana i zdawał się sycić przerażeniem, jakie wywołały jego słowa. – Wykradł twoje

plany – ciągnął. – Ma setki papierowych pocisków i każdej frakcji obiecuje teraz maszynę na własność! – Nagle uderzył się w pierś, a głos mu się załamał. – Poświęcam moich chłopców, Lorcanie. Czasem myślę, że poświęcam moją przeklętą duszę, żeby tylko temu zapobiec. – Po jego twarzy pociekły łzy, ale nie było na niej ani śladu łagodności, tylko wściekłość i gorycz. Dźgnął Lorcanę palcem, mówiąc: – Ty ją stworzyłeś, do cholery! To ty zrobiłeś to przeklęte urządzenie! A teraz siedzisz sobie jakby nigdy nic i mówisz mi, że to nie twoja wina! Ani się waż mówić, że to nie twoja wina!

– Ale Jon... – Lorcan uniósł ręce, głos miał wciąż błagalny. – Przecież mówiłeś, że zostały zniszczone! Obiecałeś! Wrzuciliśmy pociski do rzeki! Kazałeś mi spalić plany, jedyne plany, tak mi przynajmniej mówiłeś. Na Boga, Jon! Czy to było jedno wielkie kłamstwo? Wszystko, co uczyniliśmy... ludzie, których... żeby tylko to pogrzebać! I to było kłamstwo? Ale przysięgliśmy sobie, Jon... przysięgliśmy. To miał być koniec.

Król zdawał się oszołomiony. Z powrotem zapadł się w fotelu.

– No cóż... – wymamrotał – ... ale nie jest.

Nastała długa, ciężka cisza. Wynter bała się poruszyć, by żaden z nich nie przypomniał sobie o jej obecności i nie postanowił wyrzucić jej z pokoju. Ramię ojca, który do tej pory obejmował ją opiekuńczo, opadło ciężko, a jego trupioblade dłonie leżały bezwładnie na kolanach. Siedział w fotelu zgarbiony, wyglądał, jakby cała energia go opuściła.

Jonathon wpatrywał się w ogień, ręce wspierał luźno na poręczach, wydawał się nieobecny. Gdy w końcu przemówił, był bardzo spokojny i zamyślony. W jego głosie nie pozostał nawet ślad dawnej goryczy i pogardy.

– Dokonałeś na Północy wielkiego dzieła, Lorcanie. Bez ciebie nie wiedziałbym, co począć. Przez cały ten czas trzymałeś te

psy krótko i nie pozwoliłeś im skoczyć mi do gardła. – Zerknął na Lorcan, ale ten nie podnosił głowy. Jonathon zaczął przypatrywać mu się badawczo, podparłszy brodę. – Bez twojej maszyny to przekłete powstanie zebrałoby o wiele obfitsze żniwo – i w ludziach, i w zasobach, a na to nie mogliśmy sobie pozwolić. Ocaliłeś moje królestwo... kolejny raz. Byłeś wiernym i lojalnym poddanym. I nieocenionym przyjacielem. – Lorcan wciąż nie podnosił głowy. Choć skrywał twarz w dłoni, Wynter słyszała jego oddech, wolny i głęboki, jakby spał. Spojrzał na niego ukradkiem. Patrzył na czubki butów Jonathona. – Przepraszam, że w ciebie wątpiłem – ciągnął król. – Żałuję, że po powrocie zapędziłem cię do takiej harówki. Żałuję...

– Wypchaj się swoimi żałami – burknął cicho Lorcan. – Nie życzę sobie słuchać o twoich żalach, twojej wdzięczności ani twoich odczuciach. Nawet nie chcę na ciebie patrzeć. Chcę tylko, żebyś zostawił mnie w spokoju.

Jonathon uśmiechnął się.

– Cóż, ty zawsze mogłeś sobie pozwolić na luksus posiadania ideałów, przyjacielu. – Uniósł się z fotela i chwiejnie stanął na nogi. – Natomiast ja... – Zaśmiał się gorzko. – Ja muszę zabijać przyjaciół, sprzeniewierzać się własnym zasadom i rzucać synów na ofiarny stos racji stanu. – Przez chwilę usiłował odzyskać równowagę, po czym zatoczył się w kierunku drzwi. – Bo ja... – Na odchodnym rozłożył ręce w teatralnym geście. – Ja jestem królem, do diaska!

Chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój wypoczynkowy, odryglował zamek i wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Lorcan wciąż siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wynter przyklękła u jego boku i dopiero wtedy odezwał się, nie patrząc na nią:

– Zamknij drzwi, kochanie.

– Tato, ja...

Gdy wciąż się wahała, zacisnął dłonie w pięści, więc tylko westchnęła i poszła.

Zrobiło się już ciemno, salon oświetlał tylko ostry prostokąt otwartych drzwi na korytarz. Gdy przechodziła przez pokój, kątem oka dostrzegła błysk i zatrzymała się gwałtownie, z sercem bijącym jak oszalałe. W mroku dostrzegła rudego kota, jego oczy i biała pierś połyskiwały w mroku, przywodząc na myśl upiorną poświatę z lochu, a jego ogon nieustannie falował. Nic nie mówił. Przechylił głowę na bok i wyczekująco otworzył oczy szerzej. I co? – mówiło to spojrzenie. – Nie zamierzam sterczeć tu całą noc.

Wynter oddetchnęła głęboko i uniosła rękę do ust. Cicho – nakazała mu gestem. – Zaczekaj.

Zamknęła drzwi i wróciła do pokoju ojca, cały czas spoglądając na kota. Zatrzymała się na progu i posłała mu kolejne spojrzenie: Zaczekaj!

Lorcan nie ruszył się z miejsca. Patrzył przed siebie z ponurą miną, zaciśniętymi zębami i pięściami złożonymi na kolanach. Uklękła u jego stóp. Cały czas miała przed oczami kota, który czeka i się niecierpliwi.

– Tato – powiedziała cicho. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiedział. Wzięła go za rękę. Był bardzo zimny, roztarła mu rękę, zaglądając w twarz. Zdawał się tego nie zauważać.

Nie potrafiła ogarnąć tego wszystkiego rozumem. Ta maszyna, czymkolwiek była, wydawała się jej darem niebios. Przecież wszystko, co mogło położyć rychły kres walkom, było chyba dobre? – zastanawiała się. – Przecież bitwy toczy się kosztem setek, czasem tysięcy ludzkich istnień. Ludzi miażdży się kulami armatnimi, dziurawi strzałami z łuków, siecze mieczami i halabardami. Przebija pikami i lancami, bije, łamie i masakruje, tratuje krzyczących końskimi kopytami. A jeśli



ojciec – myślała – stworzył coś, jakąś broń, która kładzie temu kres... cóż, to tym lepiej! Niech Jonathon produkuje ją na setki i uzbroi w nią całe królestwo! Gdyby to zależało od niej, z całą pewnością tak by postąpiła.

Lorcana natomiast ten pomysł przerażał. Nie mogła tego pojąć. Co prawda wolał, żeby wojen nie było, nigdy jednak nie cofał się przed użyciem koniecznej siły. Sam za młodu też służyła z waleczności. Na początku powstania, zanim posłano go na Północ, razem z Jonathonem obmyślał nad mapami strategię wojenne, posyłał setki ludzi na pewną śmierć. Czemu więc nie chciał dopuścić myśli, że stworzona przez niego maszyna może obronić królestwo, które ukochał?

A Jonathon? Jonathona Wynter rozumiała o wiele lepiej. Obawiał się, że maszyna zostanie użyta przeciwko niemu... Może chciał zachować ją dla siebie i dlatego starał się, aby wszelki słuch po niej zginął? Ale w takim razie, dlaczego zgodził się, żeby ją zniszczyć? Tak potężne narzędzie! Nic z tego nie rozumiała... Tym bardziej zapragnęła odszukać Alberona i uzyskać jakieś odpowiedzi.

Lorcan syknął, a Wynter ocknęła się z zamyślenia. Wyglądał, jakby coś go bolało, i usiłował delikatnie uwolnić się z jej uścisku. Zdała sobie sprawę, że przez cały czas ugniatała jego palce niczym ciasto.

– Och, tato! Przepraszam.

Był nieobecny duchem i poruszony.

– Rano będzie tego żałował – mamrotał. – Gdy wino wywietrzeje mu z głowy.

– Cóż, teraz już ci jej nie odbierze, tato! Teraz jest już tylko twoja!

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, a po chwili zdał sobie sprawę, że córka ma na myśli licencję.

– Nie o tym mówię, kochanie. Będzie żałował, że mówił o tym przy tobie. To nie da mu spokoju... będzie się czuł zagrożony.

Wiedząc, że zdemaskował się w twoich oczach. – Patrzył na nią z obawą. – Tym bardziej powinnaś wyjechać. Gdy tylko Razi odjedzie, musisz ruszyć za nim. Nie wahaj się, bo jeszcze go zgubisz... – Spojrzał jej prosto w oczy i lekko nią potrząsnął, by podkreślić wagę swoich słów. – Nie... wahaj się!

– A co będzie z tobą, tato?

– Ze mną? Ja jestem już skończony. Ale nie pozwolę ci spłonąć w pożarze, który sam wzniciłem. Jedź! Ruszaj za Razim do Padwy! Proś go o azyl, on nigdy nie odeśle cię z powrotem, to mogę ci obiecać. Żyj szczęśliwie, malutka... – Uniósł brwi i uśmiechnął się krzywo. – Czyż król właśnie nie ofiarował ci najlepszej licencji pod słońcem? – Pogłaskał ją po włosach i czule przekrzywił głowę. – Z twoim talentem, dziewczyno, nie może ci się nie udać.

– Och, tato, proszę cię. – Nie mogła na niego spojrzeć, nie chciała widzieć tej pełnej determinacji nadziei w jego oczach, mając świadomość, że zamierza go oszukać. Nagle zamarła. Na parapecie zobaczyła kota. Niecierpliwie wyszczerzył zęby i posłał jej mordercze spojrzenie.

– Wynter? – Lorcan dotknął jej ręki. – Kochanie?

Spojrzała ojcu prosto w oczy i zalała się łzami. Ujął jej policzek w dłoń, kciukiem otarł łzy.

– Kochanie – szepnął. – Czy moglibyśmy... czy moglibyśmy poudawać?

Na te słowa zaniósła się jeszcze większym płaczem i szybko spuściła głowę, by otrzeć policzki. Udawanie nie leżało w naturze Moorehawke'ów, co do tego nie było wątpliwości. Podniosła twarz i wzięła go za rękę.

– Tak, tato. Co chciałbyś poudawać?

Ścisnął jej dłoń.

– Udawajmy, że jutro wcale nie musimy się pożegnać. – Nagle zabrakło jej tchu. Lorcan z nadzieją patrzył na nią. – Udawajmy, że jedziesz do Helmsford, sprawdzić partię drewna. Że wrócisz

za tydzień. Że za tydzień znowu się zobaczymy. Wynter, możemy tak zrobić?

Mimo że mocno zaciskała zęby, podbródek nie przestawał jej drżeć, a łzy wróciły ze zdwojoną siłą, spływały po twarzy i kapały z brody. Lorcan z błagalnym jęknięciem ujął jej twarz w obie dłonie i otarł policzki. Odsunął jej włosy z czoła i z determinacją zaciskając usta, znów otarł jej łzy.

– Udawajmy, kochanie – mruknął. – Proszę cię. Udawajmy...

– Tak, tato! – Chwyciła go za ręce, odsunęła je od swojej twarzy i trzymała mocno, żeby przestał już gorączkowo ocierać jej łzy. – Tak. Helmsford. Drewno. Tydzień. Tak.

Twarz mu się wyciągnęła i Wynter przez chwilę myślała, że sam nie będzie potrafił zrobić tego, o co ją prosi. W końcu jednak zacisnął usta i skinął oschle głową.

– Muszę się położyć, kochanie – powiedział. – Poślę Marcellowi wiadomość, żeby przyszedł jutro z samego rana i pomógł mi przyszykować się do śniadania przed twoim... twoim...

Kiwnęła głową.

– Musisz odpocząć – powiedziała. – A ja muszę porozmawiać z Marni. – Lorcan zamarł, napięcie wyostrzyło jego twarz. Uspokajająco poklepała go po ręce. – Będę uważała, tato. I trzymała się publicznych korytarzy. – Zerknęła znacząco na kota, który na te słowa wyniośle oddalił się do salonu. – Obiecuję, żadnych podchodów, tato. Nic mi nie będzie.

Kiwnął głową, a ten gest zaufania o mało nie złamał jej serca.

Pociągając nosem, otrząsnęła się i starannie odepchnęła wszystkie kotłujące się w niej emocje. Zacisnęła zęby, podparła Lorcana ramieniem i pomogła mu wstać. Z jej pomocą pokuśtykał wolno do łóżka, odrętwiały i obolały. Osunął się na poduszki ciężko jak kamień. Przez chwilę jeszcze trzymał ją

siebie.

Zamykając za sobą drzwi, Wynter jeszcze raz na niego spoj-  
rzała. Z udręczonym wyrazem twarzy wpatrywał się w ogień,  
a ręce zaciskał na piersi. Nie zanościło się, że w najbliższej przy-  
szłości zaśnie.

Postała jeszcze chwilę i poszła do swojego pokoju po sztylet.  
Do sakiewki wsunęła świecę, krzesiwo i hubkę. Wychodząc,  
chwyciła jeszcze mapę Christophera i schowała ją na piersi  
obok listu Raziego, który na każdym kroku dodawał jej otu-  
chy. W ostatniej chwili zarzuciła na tunikę kurtkę Christophera  
i wreszcie poszła stawić czoła kotu.

Gdy przekroczyła próg salonu, kot zareagował z wściek-  
łością:

– Niespieszno ci, co? – syknął. – Ty tam sobie urządzasz po-  
gaduszki, a lata lecą. Wzięła głęboki wdech i zacisnęła pięści.

– Pospieszmy się więc – odparła. – Zanim rozsypiesz się ze  
starości.

– Musisz znaleźć mi jakieś inne wejście do sekretnych kory-  
tarzy. Mój ojciec nie może usłyszeć, że wymykam się tajnymi  
drzwiami.

Poprowadził ją korytarzami i po krótkiej chwili gładko  
zniknął za jednym z gobelinów. Wsunęła się za nim. Szybko  
wymacała kinkiet w kształcie cherubina i przekręciła główkę.  
Rozsunęły się niewielkie drzwiczki, a Wynter weszła w za-  
kurzoną czerń tajnych przejść, starannie zasuważąc za sobą  
płyte.

Kot zwinnie wskoczył jej na ramię i zaczął wprost do ucha  
instruować ją, jak ma iść. Wynter ruszyła krętym szlakiem  
przez mrok z boleśnie ściśniętym gardłem.

Wyciągnij rękę i lekko popchnij płytę po prawej stronie. Zrobiła to, co nakazał kot, a płyta ustąpiła pod jej palcami, przesunęła się do przodu i w bok. Wciąż było ciemno jak w grobie, ale powietrze stało się nieco świeższe i zimniejsze. Wyszła z korytarzyka. Nic nie widziała. Oparła się o ścianę, co dodawało jej otuchy, przesunęła dłońmi po kamiennych ścianach z obu stron i podniosła ręce, by wyczuć pod palcami nisko sklepiony sufit podziemnego przejścia.

Po chwili się zorientowała, że są na miejscu. To był właśnie ten niski korytarzyk, w którym po raz pierwszy usłyszała jęki torturowanego zamachowca. Zamarła i cała zamieniła się w słuch, spodziewając się upiornych krzyków. Wokół panowała jednak cisza, jedynymi dźwiękami były jej własny ciężki, nierówny oddech i dzikie walenie serca.

Ciemność stanowiła dobry znak – oznaczała, że nigdzie nie palą się pochodnie, czyli że nikogo tu nie ma, przynajmniej żadnego człowieka. Znowu nadstawiła uszu. Żałowała, że nie może uspokoić oddechu, żeby lepiej słyszeć, ale była zbyt przerażona i nie mogła przestać dyszeć. W drodze do lochu przyszło jej do głowy, że może tu spotkać również duchy inkwizytorów. Duchy, dla których zadawanie bólu to chleb powszedni. Na tę myśl ugięły się pod nią kolana, musiała przytrzymać się ściany.

kowo. Przypomniała jej się cierpka riposta Christophera: Powiedz to mielonce, którą parę dni temu zostawiliśmy w lochu. Zaciśnięła powieki i pomyślała: Och, zamknij się, Christopherze. Duchy zwykle nie robią nikomu krzywdy. Nie robią...

Kot zaczął niecierpliwie wiercić się na jej ramieniu.

– Planujesz, panna, drzemkę? – spytał ostro. – Mam skoczyć po coś do jedzenia i wrócić, jak będziesz gotowa?

Ten naburmuszony, sarkastyczny ton zmusił ją, by wziąć się w garść. Odsunęła się od ściany, opadła ostrożnie na kolana i zaczęła grzebać w sakiewce, szukając krzesiwa i świecy. Kot prychnął zniecierpliwiony i zeskoczył jej z ramienia. Wynter nagle poczuła, jak bardzo kojąca była jego obecność. Zamarła w pół ruchu i zduśiła w sobie jęk przerażenia na myśl, że mógłby ją zostawić samą. Nasłuchiwała przez chwilę, wyężdżając wzrok, z rękoma zaciśniętymi na pudełeczku z hubką. Żaden dźwięk nie wskazywał na to, by kot nadal znajdował się gdzieś w pobliżu. Opuścił ją.

Do diabła z tym przeklętikiem – pomyślała, dodając sobie animuszu. Postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji i go nie zawoła. Ze złością wzięła się za krzesanie ognia. Iskierka na chwilę rozświetliła mrok niczym miniaturowa błyskawica, ale hubka nie zajęła się ogniem. Przygryzła wargę i uderzyła kolejny raz, i jeszcze jeden. Jaskrawe rozbłyski zostawiały pod jej powiekami świetlne blizny, zamrugała, by rozproszyć czerwone ślady. No, dalej – pomyślała, szykując się do kolejnego uderzenia. – Proszę.

Następna iskra trafiła na hubkę, pochyliła więc głowę i zaczęła delikatnie dmuchać, aż niewielki kopczyk zajął się ogniem. Drżącą dłońią zapaliła świecę i podniosła ją nad głowę. Świeca i rozpałka rzucały wokół drżące kręgi światła.

Z ulgą odkryła, że kot stoi tuż obok i łypie na nią ze złością.

– Coś podobnego – powiedział pogardliwie. – Ten wasz gatunek! Nie możecie się obejść bez tych rekwizytów. – Pokręcił głową i wkroczył w ciemność.

Wynter zacisnęła zęby, pochowała swoje rzeczy i zdeptała resztki dogasającego ognia. Podniosła świecę jeszcze wyżej i ruszyła za kotem maszerującym z arogancko podniesionym ogonem.

Stanęli u szczytu schodów i niepewnie spojrzeli w dół, gdzie mieściła się sala tortur. Powietrze na klatce schodowej zdawało się wirować w migotliwym świetle świecy.

– Zaczekam na ciebie tutaj – mruknął cicho. – To, co masz do załatwienia w Czarnym Pokoju, to... to nie moja sprawa. – I usiadł sztywno na kamiennej posadzce, ze wzrokiem wbitym w wirującą mroczną otchłań w dole schodów.

Wielkie dzięki – pomyślała – Wielkie dzięki za taką pomoc. Podeszła do drzwi, za którymi usłyszała szepty. Płynące słowa zdawały się wypełniać całe pomieszczenie, niczym żyjąca istota. Żyjąca nie tyle w powietrzu, ile próbująca załęgnąć się w Wynter. Słowa syczały i wdzierały się do środka, wwiercały w mózg. Wpełzały pod ubranie i przebiegały po żebrach. Wiły się pod skórą zimne i podstępne.

W rosące przerażenie wdarło się, jasne i czyste wspomnienie głosu Christophera: Widziałeś kiedy wydłubane oko?

Wynter aż się cofnęła odruchowo i zaczęła drzeć na całym ciele. Trzęsąca się świeca oblewała jej uniesioną rękę gorącym woskiem.

Każde z szeptanych słów było jasne i wyraźne, choć głos, który je wypowiadał, dławił się bólem i strachem. To modlitwa – pomyślała Wynter zasłuchana z szeroko otwartymi oczami. Próbowwała zebrać się na odwagę i nacisnąć klamkę, a duże krople wosku opadały jej na włosy i i ręce.

– *Ave Maria* – mówił błagalnie rozgorączkowany głos – *gratia plena, Dominus tecum...* – Słowa nabrały prędkości, jakby

w obawie przed zatrzymaniem – ... *benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Iesus*. – Przecież żadna ziemską istota nie mogła mówić tak szybko, a zarazem tak wyraźnie. Wynter zaczęło się kręcić w głowie. – *Sancta Maria* – szeptał głos, jego żalosne błagania wzbity się teraz na nowe szczyty rozpacz – *Mater Dei ora pro nobis peccatoribus, nunc et in hora mortis nostrae. Amen*. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Po „amen” nie było żadnej przerwy, żadnego upiornego wdechu. Głos po prostu ciągnął modlitwę od początku, znów zaczynając od: *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum...* Wzrastała wysokość i tempo. Desperacja była wręcz namacalna: *benedicta tu in mulieribus!* – wykrzyknął, jakby same te słowa potrafiły go ocalić ...*et benedictus fructus ventris tui, Iesus*.

Nad nimi znów przebił się głos Christophera, spokojnie relacjonujący ostatnie godziny biedaka: Potem wzięli rozgrzane do czerwoności żelazo... Wąchałeś to kiedy? Swąd ciała wypalanego gorącym żelazem?

Wynter zatkała sobie ucho wolną ręką i zrobiła krok w tył, kręcąc głową. Nie potrafiła tam wejść. Nie mogła tam wejść. To było coś, czemu po prostu nie umiała stawić czoła. Jej serce zaczęło bić tak gwałtownie, że bała się, iż za chwilę zemdleje. Nie mogłaby spojrzeć na źródło tej przerażająco brzmiącej modlitwy. Nie mogła. Brakowało jej odwagi...

– Dziecko...

Wrzasnęła i obróciła się w miejscu, rozpryskując wosk szerokim kołem. Świeca zamigotała i przygasła, ale na szczęście znów rozbłysła, gdy Wynter przywarła do ściany. Ze strachu przed oczami miała czarne plamy, a nogi zrobiły jej się jak z waty. Bojąc się, że naprawdę zemdleje, krzyknęła, by wyrzucić z siebie nagromadzone lęki i oczyścić głowę.

Na schodach obok niej stał Rory, jego przezroczyta twarz



wyrażała troskę. Wynter uniosła przed sobą świecę jak broń. Dopiero po dłuższej chwili udało jej się opuścić drżącą rękę i wyprostować przygarbione ze strachu plecy.

– Dziecko – powtórzył, a jego głos był o wiele mniej wyraźny niż głos godnej politowania duszy uwięzionej za drzwiami. – Musisz się pospieszyć... inni... – spojrzał za siebie wolno i z wysiłkiem. Ledwo stał, właściwie wisiał zgarbiony ze spuszczonej głową. Wynter pomyślała, że gdyby nie był duchem, oparłby się o ścianę.

Uniosła rękę, jakby chciała mu ją podać, poruszona jego okropnym stanem. Na usta cisnęły jej się słowa: Nie możemy tego zrobić. Ale Rory odwrócił się z mozołem, nie patrząc na nią, i machnął ręką w kierunku drzwi. Usłyszała zgrzyt ciężkiego mechanizmu w zamku, drzwi otwały się bezszelestnie. Rory wślizgnął się w ciemność, a Wynter, niewiele myśląc, niemal wbrew własnej woli, za nim.

Stanął tuż za drzwiami i patrzył w stronę krzesła, na jego twarzy malowało się bolesne współczucie. Gorączkowe modlitwy ustąpiły cichemu zawodzeniu: *nunc et in hora mortis nostrae... nunc et in hora mortis nostrae...* Westchnienia i szepty odbijały się od ścian. Każdy centymetr jej ciała drżał i nie mogła się zmusić, by oderwać wzrok od Rory'ego.

– Muszę już iść... – wyszeptał, spoglądając na nią łagodnie. – Bądź dla niego dobra. Za dużo wycierpiał i nie może się stąd wydostać. – Nagle jęknął i obejrzał się za siebie. – Muszę iść! – krzyknął, chwytając się za brzuch. Potruchtał w przeciwną stronę końca pomieszczenia. – Nie zapomnij, ... szybko i daleko... jak tylko ci powiem... biegnij... – i zniknął. Bez żadnego wysiłku przeszedł przez ścianę sali tortur.

Nie spuszczała wzroku z niknącej fosforyzującej poświaty, znaczącej trasę Rory'ego. Wpatrywała się w nią, aż zupełnie zgąsła, i dopiero wtedy spojrzała na szepczącego mężczyznę.

Z początku stanowił tylko mglisty zarys. Migotliwą sylwetkę

człowieka rozkrzyżowanego na krześle, uwiązanego do czarnych poręczy. Jednak gdy zaczęła przypatrywać się dokładniej, stopniowo nabrał kształtów i zaczęły się pojawiać szczegóły, aż musiała odwrócić wzrok, bojąc się, że zwymiotuje.

– Mario...? – szeptał. – Mario...? – Wynter pomyślała, że wciąż się modli. Nagle zdała sobie sprawę, że mężczyzna kręci głową, starając się ją odnaleźć. – Mario? – szepnął znowu i wtedy dostrzegła czarne dziury po zębach, które wyrwali inkwizytorzy. Musiał usłyszeć jej lękliwe kroki na zapiaszczonej posadzce, bo zwrócił ku niej puste oczodoły i podązał za nią głową. – Mario... skrzywdzili mnie...

Ręka trzęsała się jej tak mocno, że świeca zaczęła gasnąć, postawiła więc ją na rogu stołu. Jej światło padło na straszliwe narzędzia, których użyto przeciwko temu biedakowi. Odwróciła wzrok i zacisnęła dłonie z przerażenia i rozpacz. Razi tu był – pomyślała. – Razi na to pozwolili. Boże, miej nas w swojej opiece.

– Mario! – krzyknął nagle duch, a Wynter aż podskoczyła. – Mario! Och, proszę cię... kochanie, nie idź...

Nie mogła znieść tej strasznej desperacji w jego głosie, więc podeszła bliżej, unosząc rękę, jakby mogła go dotknąć i jakoś mu ulżyć.

– Jestem tutaj – skłamała. – To... to już koniec... jesteś... jesteś... – spojrzała badawczo w jego udręczoną twarz i wiedziała, że to wcale nie koniec. Nie dla niego. Postanowiła przestać udawać, że jest jego Marią. – Jak się nazywasz? – spytała cicho.

Odwrócił głowę w jej stronę, z trudem wyciągając szyję, przekonany, że wciąż trzymają ją skórzane paski. Słowa płynące z jego okrutnie zmasakrowanych ust powinny brzmieć bełkotliwie, niewyraźnie, ale wcale takie nie były. Głos miał ciepły i wyzuty z wszelkiej nadziei.

– Mario...? Kochanie...? Tak strasznie wyglądam? Nie poznajesz mnie? – Głowa opadła mu w tył, usta rozwarły się

w jęku rozpaczy. – Och, wypuście mnie – powiedział błagalnie. – Och, Matko Boska, wysłuchaj mnie. Uwolnij mnie. Uwolnij mnie... – Znów zaczął się modlić. Głowa kiwała mu się na boki, jego puste oczodoły były niczym studnie lśniącej ciemności. Nagle naprężył się jak struna mimo niewidzialnych więzów i wrzasnął. Po małym pomieszczeniu rozniósł się nagle zapach ognia i palonego mięsa, buchnął z taką siłą, że Wynter zakryła usta i nos dłońmi i załkała.

Za ścianą dało się słyszeć niskie, buczące zawodzenie, a pod podeszwami butów wyczuła nieznaczne wibracje. Rozejrzała się z lękiem, ale nic nie zobaczyła. Zrozumiała jednak, że musi się spieszyć.

– Jak się nazywasz? – spytała jeszcze raz, ale duch zarzucił głowę i szarpnął się, a po jego udręczonej twarzy spływały strużki krwi. – Jak się nazywasz? – powtórzyła z naciskiem, choć nie wiedziała dlaczego. – Powiedz mi, a ja przekażę wiadomość Marii!

– Marii!

– Tak! Powiedz mi. Powiedz, jak mam przekazać Marii wiadomość. Gdzie ona jest? W obozie? Z Jego Królewską Wysockością? W obozie?

– W obozie... tak... jest w obozie. Jest z innymi... Mario...

Wibrowało już wszystko wokół, aż Wynter jeżyły się włosy, w uszach jej szumiało, a w zębach świdrowało. Zawodzenie z zewnątrz przeniosło się do środka. Kamienie ścian zyskały obrysy z fosforyzujących iskierek i strumyczków.

Duch wciągnął głośno powietrze i zaczął się trząść, a jego pięty i połamane dłonie uderzały w to okropne krzesło.

Wynter ze wszystkich sił starała się, by jej głos brzmiał cicho i miękko. Nie chciała zachowywać się jak inkwizytor, choć pokusa krzyczenia, łapania i potrząsania była wręcz nie do odparcia.

– Powiedz mi, gdzie ona jest, a ja dopilnuję, żeby dostała twoją...

– Jest w obozie...

– W którym obozie? Tyle ich jest..., w którym obozie jest Maria?

Próbował odwrócić do niej twarz, ale podrygiwał i trząsał się tak mocno, że tył jego głowy rytmicznie uderzał o oparcie krzesła.

– Dolina Indirie... w... dolinie Indirie... z Oliverem... z Comberczykami... ona... ghhhh... – dalsze słowa utonęły w bulgocie czarnej lśniącej krwi, która napłynęła mu do ust. Wynter odskoczyła do tyłu.

Teraz cała sala połyskiwała fosforem. Upiorna poświata omiatała ściany. Jej zachłanne pędy sięgały sufitu. Zawodzenie ustąpiło odgłosom bitwy. Krzyki, rzenie koni, charakterystyczny odgłos odpalanych zamków lontowych, jeden po drugim, tak szybko, niesamowicie szybko, że brzmiały jak wybuchy sztucznych ogni.

Duch naprężył nieistniejące więzy, wygiął się w łuk, tak że czarne krzesła dotykały tylko jego głowa i pięty.

– Mario! – wrzasnął. – Powiedz... Mario! – Po każdym słowie z jego ust wydobywała się fontanna krwi. Zapach krwi i prochu, dymu i palonego mięsa był nie do zniesienia.

Wynter porwała ze stołu świecę i rzuciła się w tył, zakrywając usta dłonią. Dolina Indirie – powtarzała w myślach. – Dolina Indirie. Nie zapomnij...

Przez przeciwległą ścianę do sali wbiegł Rory Shearing. Zatoczył się w jej stronę, trzymając za brzuch, a na jego twarzy malował się wyraz krańcowej agonii. Jego usta otwierały się w niemym krzyku, machał do niej ramionami: Uciekaj! UCIEKAJ!

Przez ścianę za nim przechodziła połyskliwa mgła, wypełniając całe pomieszczenie, od podłogi po sufit, wirującą

bezustannie masą. Napływała wolną falą, niosąc ze sobą ostry smród prochu i ciężkie odgłosy odpalanych zamków lontowych. Rory chwiejnie wyszedł jej naprzeciw, ale był zbyt słaby i niezdarny, więc wzbierający odmet uniósł go z ziemi. Ryknął z bólu, głowa opadła mu do tyłu. Rozłożył bezradnie ręce i nogi i tak dryfował po migotliwej powierzchni – jak człowiek na fali bólu. Fala wciągała go w głąb, wypełniała zielonym roztańczonym światłem, a potem rozszarpała na strzępy. Widząc to, Wynter krzyknęła:

– Nie! Rory! – Ale Rory’ego już nie było, zginął w masie wzbierającego światła, jego rozpaczliwy krzyk szybko nikt wśród coraz głośniejszych odgłosów bitwy.

Światło nadal podkładało się coraz bliżej mężczyzny. Roziskrzonymi palcami przesunęło po czarnym krześle, wyciągając zarys jego ciała. Krzyknął ze strachu, gdy upiorna zieleni wpełzła mu do oczu i rozbłysła na wargach, uwolniła z więzów i uniosła w powietrze. Odwrócił głowę w stronę Wynter, która wciąż usiłowała się wycofać.

– Powiedz jej... – zawył. – Powiedz Marii... powiedz, że jej Isaac pozostał wierny. Powiedz jej... – Wtedy on też został wciągnięty we wzbierającą falę i wolno, wśród krzyku, rozrywany na strzępy.

Wynter, posuwając się tyłem, potknęła się na schodach i upadła. Nawałnica światła cały czas zmierzała w jej stronę, odwróciła się więc i na czworakach pomknęła po schodach w górę.

Świeca zgasła, resztę schodów Wynter pokonała więc w całkowitych ciemnościach. Wystrzeliła w górę niczym łosoś usiłujący pokonać tamę, ale znów się potknęła i upadła. Wrzeszcząc przeraźliwie, aż zabrakło jej tchu, sunęła brzuchem po posadzce. Zadrapała sobie brodę i otarła ręce do krwi. Stopami zaczęła szukać oparcia, dłonie wyrzuciła przed siebie, by wy czuć, gdzie się znajduje. Pozbierała się i ruszyła do przodu,

kucając, ale po jakimś metrze trafiła głową w ścianę. Zatoczyła się do tyłu, ale po chwili znów pobiegła w ciemność.

Zielona poświata przybierała na sile, wtaczała się po schodach i płynęła korytarzem, oświetlając go. Odgłosy bitwy narastały, ciągle fajerwerki odpalanych zamków lontowych coraz głośniej rozrywały powietrze.

Wynter znów się poślizgnęła i upadła, a zanim stanęła na nogi, przez chwilę musiała się czołgać. Korytarz skręcał, teraz znalazła się na wąskiej, spiralnej klatce schodowej. Zaczęła się wspinać na czworakach w górę, w górę, w górę.

Na schodach rozbłysło zielone światło. Wiedziała już, że zmierza za nią. Schody były bardzo strome. Wspinała się dalej. Wtedy poświata wezbrała, a Wynter wydała z siebie zdławiony okrzyk strachu, bo zdała sobie sprawę, że przed nią nie ucieknie. Czowała, że już napływa zza węgła, że już ją ma!

Fosforyzujący pęd owinął się wokół jej kostki i stopa jej zdrętwiała.

Krzyknęła i padła na ziemię, straciwszy władzę w nogach. Brzuchem i klatką piersiową boleśnie uderzała o ostre krawędzie stopni. Upiorny ogień dosięgnął jej drugiej nogi, a odrętwienie przesunęło się powyżej kolan. Nie poddawała się jednak, rozpaczliwie próbując poderwać się w górę, ręka za ręką. Słyszała, jak buty na zdrętwiałych nogach uderzają o kolejne stopnie.

Była zbyt przerażona, by patrzeć w dół, ale czowała, że jej ciało poniżej pasa robi się zimne i drętwieje. Nagle jej kręgosłup przeszło mocne strzyknięcie, a przez brzuch przeszło silne ukłucie, jakby ktoś wbił jej w lędźwie sopel lodu. Bezskutecznie usiłowała podźwignąć się z kamiennych schodów.

Nie! Nie! – buntowała się. – Nie chcę umierać! Tato! Tato! Pomóż mi!

Zielone iskry otoczyły jej wyciągnięte ręce, tańczyły po palcach. Jej piersi szorowały o posadzkę i boleśnie zahaczały

o kolejne stopnie, gdy zaczęła tyłem zjeżdżać w buczące, parzące jak pokrzywa objęcia fosforyzującego światła.

– Taaatooo!!! – krzyknęła.

Wtedy światła zgasły, odgłosy bitwy ucichły i coś zdyszana Wynter cisnęła twarzą w dół na zapiaszczone schody. Leżała nieruchomo, oczekując kolejnego ataku, oddech jej uwiązł w gardle. Wolno odwróciła głowę, przesuwając policzkiem po posadzce. Zapanowała cisza. Żadnej upiornej poświaty, żadnego dźwięku. Napływ się skończył. Przez chwilę po prostu leżała, wpatrzona w ciemność, i czekała, aż krew z powrotem napłynie jej do nóg. Potem przesunęła palcami po szorstkiej powierzchni posadzki i ze zdziwieniem stwierdziła, że jej świeca leży tuż obok. Chwyciła ją ręką, ciesząc się jej ciepłem, i wolno przyciągnęła do siebie. Poczowała, że jej serce się uspokaja. Spróbowała więc zebrać siły, by przewrócić się na bok.

Coś poruszyło się na stopniach nad jej głową, ale była zbyt wyczerpana, by się bać. Ruch na stopniu przy swojej twarzy raczej wyczuła, niż usłyszała, i otworzyła oczy, by spojrzeć w ciemność jeszcze raz.

– Kocie, to ty? – szepnęła.

– Tak. – Wynter jeszcze nigdy nie słyszała kota, który mówiłby tak cienkim i przerażonym głosikiem.

– Nic... ci nie jest? – spytała.

Nie odpowiedział. Zamiast tego Wynter poczuła na twarzy coś ciepłego i szorstkiego, niezbyt przyjemnego, i zdała sobie sprawę, że polizał ją po policzku. Wetknął głowę pod jej rękę i zwinął się w małą, ciepłą kulkę. Wynter otuliła go ramieniem, a kot schował wtedy głowę pod jej brodę. Zamruczał. Leżeli tak przez chwilę przytuleni, milczący i roztrzęsieni, mruganiem rozpraszając ciemność.

W końcu Wynter odzyskała władzę w nogach, wstała sztywno i zaczęła wolno wspinać się po schodach.

Przez całą krętą drogę z lochów kot trzymał się tuż obok, a potem zostawił ją na środku galerii. Po prostu rozplynął się w ciemności bez słowa pożegnania, w jednej chwili był, a w następnej już go nie było, i resztę drogi musiała pokonać sama, chwiejąc się i zataczając.



Wynter obudził dźwięk dzwonu na wieży. Gdy otworzyła oczy, od razu pomyślała o Rorym. Dzwon odezwał się jeszcze dwa razy i teraz przyszło jej na myśl, że to już trzecia kwarta! Razi wyjedzie w południe. Sama też wyjedzie w południe. Nie zostało jej nawet sześciu godzin.

Usiłowała pozbierać myśli. Sześć godzin! Mniej niż sześć godzin i trzeba będzie opuścić ojca. Martwiła się, że Lorcan zostanie sam i że ona też zostanie sama na tym świecie. Oszołomiona, z szeroko otwartymi oczami, obolała na całym ciele, zsunęła się z łóżka. Przez chwilę stała, chwielejąc się. Krew spłynęła jej do nóg, a w oczach pojawiły się mroczki. Usiadła w fotelu, próbując nadać myślom jakiś sensowny bieg. Pomyślała, że powinna obudzić ojca, razem mogliby...

Nagle usłyszała dochodzący zza zamkniętych drzwi cichy głos Marcella Tuttego. Serce jej zaczęło mocniej bić, gdy usłyszała w odpowiedzi śmiech Lorcana i jego niepewne kroki. Pewnie szli na śniadanie – domyśliła się. Jakież to był dla niego wysiłek, ta prosta droga z pokoju do pokoju. Wynter wiedziała, że robi to dla niej, żeby razem mogli spędzić przy stole trochę czasu.

Mimo że była wykończona, wszystko ją bolało, a w głowie jej szumiało stado much, z radością pomyślała o wspólnym

posiłku. Otworzyła drzwi. Gdy weszła do salonu, Marcello akurat pomagał ojcu usiąść. Lorcan wspierał się o blat, a Marcello jedną ręką przytrzymał go, a drugą podsuwał mu krzesło. Gdy dostrzegli Wynter, całkowicie zamarli i obaj wlepili w nią przerażony wzrok.

Marcello wykrzyknął:

– Och! *Signorina!*

Twarz Lorcana pociemniała niebezpiecznie, gdy zauważył jej brudne ubranie, otarty podbródek i posiniaczoną twarz.

– Kto ci to, u diabła, zrobił? – spytał.

Ich wzburzenie dotarło do niej dopiero po chwili, najpierw zauważyła mnóstwo świec, wazon z żółtymi różami i pięknie nakryty stół. Dostrzegła wykrochmaloną białą koszulę ojca, oficjalny kaftan i spodnie, wypastowane buty. Miał rozpuszczone, lśniące włosy, które opadały mu swobodnie na ramiona. Wciąż był jednak blady jak trup, miał zapadnięte oczy i policzki, a jego krzepkie ramiona aż drżały z wysiłku. Mimo to prezentował się imponująco. Spojrzała w jego przerażoną twarz i od razu wiedziała, że atmosfera podczas tego starannie przygotowanego pożegnania nie będzie miła, i to z jej winy. Postanowiła działać. I to natychmiast.

Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i zamrugała szybko, by rozwiać mgłę wyczerpania, która wciąż spowijała jej umysł. Odchrząknęła i zmusiła się do śmiechu.

– Schowajcie miecze i zsiądźcie z rumaków, panowie – powiedziała cierpko i dodała z uśmiechem: – Sama to sobie zrobiłam.

Patrzyli na nią niepewnie, więc zademonstrowała podarte na kolanach spodnie i plamy sadzy na tunice, wyjaśniając:

– Świeca mi zgasła na tylnych schodach, a ja zachowałam się, muszę przyznać, nieodpowiedzialnie. – Posłała im zawadiacki uśmiech spod potarganej grzywki. – Przekoziołkowałam kilka stopni, zanim zdołałam się pozbierać. Całe szczęście, że nie skręciłam sobie karku!

Lorcan spoglądał na nią badawczo. Marcello położył mu rękę na ramieniu i szepnął po włosku, że krzesło czeka.

Wynter oblizwała wargi i spojrzała ojcu prosto w oczy: No, dalej, tato. Udajemy, pamiętasz? Udawajmy!

– Może usiądziesz, tato? – rzuciła lekko. – A ja pójdę się ogarnąć. Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Lorcan znów zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Z wyraźnym wysiłkiem powściągnął gniew. Patrzyła na niego błagalnie, więc wyprostował lekko plecy i gestem dłoni i skinieniem głowy wyraził zgodę.

Sam z pomocą Marcella zasiadł za stołem. Przysunął sobie serwetkę i uśmiechnął się szeroko.

– Lepiej się pospiesz, panna – powiedział – bo zostaną ci tylko skorupki i resztki masła.

Zmrużyła oczy i uniosła rękę, kierując palec w stronę ojca:

– Nie będzie mnie tylko chwilę. Niczego nie ruszaj!

Gdy przechodziła przez pokój wypoczynkowy, usłyszała, jak Marcello przeprosza Lorcaną, że musi ich opuścić. Stała w drzwiach sypialni, patrząc, jak wychodzi na korytarz. Podejrzewała, że Marcello doskonale zdaje sobie sprawę, co się święci, ale postanowił udawać, że wierzy we wszystko, co Lorcan naopowiadał mu o tym niezwykłym śniadaniu. Może powiedział, że to jej urodziny albo jakaś inna wyjątkowa okazja. Tak czy inaczej, była wdzięczna temu małemu Włochowi za dyskrecję.

Oparła się o framugę, patrząc, jak zamyka za sobą drzwi, a on akurat podniósł oczy i zauważył ją. Zatrzymał się. Twarz mu złagodniała, brwi ściągnęły się współczująco i kiwnął głową. Marcello delikatnie zamknął za sobą drzwi, a Wynter weszła do swojego pokoju.

Zwinęła włosy na czubku głowy, rozebrała się i napełniła miskę letnią wodą. Namydliła gąbkę i zaczęła szorować się od stóp do głów. Każdy ruch był precyzyjny i opanowany. Jej

terminacją.

Opłukała ciało. Osuszyła, szorując ręcznikiem, aż poczuła w skórze mrowienie. Wyczyściła paznokcie. Wyszorowała zęby proszkiem. Z kufra matki wybrała jasnorożową suknię z ciemniejszą lamówką i koszulę. Uczesała włosy, które niczym ciemnorudy welon opadły jej na plecy. Umyję je później – pomyślała – zanim wyjadę. Kto to wie, kiedy znów będzie okazja, żeby je umyć.

Martwiła się śladami, które pozostały na jej twarzy po nocnej eskapadzie. Nie chciała, aby ojciec je widział. Nic nie mogła jednak zrobić. Zamknęła oczy, usta jej drżały, zacisnęła pięści. Odwróciła się i pomaszerowała do salonu.

Gdy stanęła w drzwiach, Lorcan uśmiechnął się i z galanterią udał, że chce wstać. Wynter uniosła rękę i dała mu łaskawie znak, że może siedzieć. Skłonił grzecznie głowę i usiadł z powrotem, jakby tylko ona powstrzymywała go przed zerwaniem się na równe nogi i odsunięciem jej krzesła.

Zajęła swoje miejsce. Przysunęła sobie serwetkę i głośno westchnęła, wyrażając zadowolenie i aprobatę. Nie była jednak pewna, czy będzie w stanie cokolwiek przełknąć.

– Jakie to wszystko piękne, tato! – Jej szczerzy uśmiech potwierdzał te słowa. – Bardzo ci dziękuję.

Lorcan odwzajemnił uśmiech i atmosfera nieco zelżała.

Zajęli się jedzeniem, rozmawiali przy tym niefrasobliwie o muzyce i książkach. Lorcan po raz kolejny opowiadał anegdotki ze swojej młodości.

Wynter wstała od stołu pierwsza i sprzątnęła wszystko poza kawą i filiżankami. Wystawiła tacę za drzwi, a gdy wróciła do pokoju, Lorcan odsunął się od stołu i przestawił krzesło bokiem, żeby wyprostować nogi. Nasypał do kawy cukru i nalewał śmietanki. Wynter wyjrzała przez okno. Był już późny poranek. Po jasnyniebieskim niebie sunęły małe chmurki.

broda zaczęła jej drżeć. Zaciśnęła więc zęby i dłonie. Daj spokój! – nakazała sobie. – Daj spokój!

Po chwili uspokoiła się i przeszła przez pokój, gasząc świecc. Powietrze wypełniał zapach dymiących knotów. Lorcan podniósł wzrok, bo dopiero teraz dotarło do niego, co robiła jego córka. Wyjrzał przez okno, a Wynter oparła dłoń na jego szerokim ramieniu i pochyliła się, by zgasić ostatnią świecę.

– Tej nie gaś, kochanie. – Lorcan położył dłoń na jej ręce. – Tę jedną zostaw. – Głos mu drżał.

Całym ciężarem ciała wsparła się na blacie stołu i spuściła głowę. Lorcan ścisnął jej rękę, wpatrując się w płomień świecy. Pokręcił głową. Odwrócił wzrok.

– Myślałem... – wyszeptał – myślałem, że... że będę na siłach, by pospacerować po... po... Nie dokończył, bo dzwonił na wieży wybił czwartą kwartę. Jeszcze cztery godziny. Lorcan rozpaczliwie rozejrzał się po pokoju. Nie wiedział, co powiedzieć. Wynter osunęła się na ziemię i oparła głowę na kolanach ojca. Objęła go w pasie, wsuwając ręce pod rozpięty kaftan. Lorcan położył wielką dłoń na jej głowie, odchylił się w fotelu i spojrzał w okno. Zrobiła to samo z policzkiem opartym o jego kolano. Gładził ją po włosach. Razem patrzyli, jak małe chmurki suną po porannym niebie, i po prostu przestali odczuwać upływ czasu. Gdy wybiła piąta kwarta, wciąż siedzieli nieporuszeni i w ciszy.

Lorcan pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Czas, żebyś zaczęła się szykować, malutka. No, już, kochanie. Już czas. Masz robotę.

Nie ruszała się, więc zaczął ją delikatnie odsuwać, aż musiała usiąść i puścić jego koszulę. Odgarnął jej włosy z twarzy.

– Idź.

Wstała i z ociąganiem poszła do swojego pokoju.

Większość zapasów czekała na nią za murami pałacu. Ich gromadzeniem i pakowaniem przez ostatnich kilka dni

zajmowała się Marni. Koń też już tam był – objęty kwarantanną pod pozorem tajemniczej choroby, która tłumaczyła konieczność odłączenia go od drogocennych arabów Razięgo. Osiodłany i objuczony czekał na nią w stajni niewielkiej karczmy, pół godziny drogi od pałacu.

Jedyne, co jej pozostawało, to spakować przybory toaletowe, pas podróży, ubrania na zmianę, środki na wypadek gdyby nadeszły jej dni oraz mapy. Mapy były z tego wszystkiego najważniejsze. Aż do wczorajszej nocy nie miała pojęcia, dokąd powinna wyruszyć. Będzie musiała je wnikliwie przestudiować.

Stała chwilę na środku pokoju, aż wreszcie z ciężkim sercem postanowiła wyjść. Do salonu wróciła całkiem zmieniona. Umyła włosy i upięła je ciasno. Miała na sobie spodnie i długie buty, koszulę i tunikę. Włożyła też kurtkę Christophera. Na jej plecach wisiał słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Liścik Razięgo, noszony tuż przy sercu, szeleścił przy każdym oddechu, obok niego wisiał na łańcuchu medalion cechowy, ukryty pod koszulą. Cały jej dobytek, łącznie z odznakami cechowymi, mieścił się w plecaku. Miała pieniądze, broń, ale wewnętrznie ciągle nie była gotowa.

Lorcan spojrział jej w oczy. Nie wygłosił swoim zwyczajem litanii ostrzeżeń: W tłumie uważaj na sakiewkę. Wystarczy ci pieniędzy? Masz leki na kolkę? Pamiętaj, żeby sztylet zawsze był pod ręką. Zamiast tego tylko patrzył na nią zbolałymi oczami, ściskając poręczę krzesła tak mocno, aż palce mu zbieleły. Dzwon na wieży wybił pół kwarty cieni, czas im się skończył.

– Musisz już iść, malutka.

Na te słowa pokręciła tylko głową.

Nie! – Zdecydowała nagle i zaczęła majstrować coś przy plecaku. – Nie zrobię tego! Nie zostawię tego kochanego człowieka i wszystkiego. Nie zostawię tego dla jakiejś polityki. Zostanę. Zostanę, do cholery – myślała zrozpaczona.

Nie mogła sobie poradzić z wiązaniami. Stęknęła z frustracji i zaczęła rozpinąć pas podróżny.

Lorcan wolno uniósł się z fotela. Wyczuła, że chwiejnym krokiem idzie wokół stołu w jej stronę.

– Nie, tato! – powiedziała, odwracając głowę w bok. – Nie! – i niezdarnie pociągnęła za klamrę pasa.

Lorcan stanął tuż przy niej. Otoczył ją ramieniem, opierając się o stół. Schowała głowę w jego koszuli. Czowała, jak drży. Złożył policzek na jej głowie, wtedy Wynter pomyślała, że pozwoli jej zostać.

– Och, tato... – zaczęła z wdzięcznością, unosząc ręce, by objąć go za szyję. Jednak jego uścisk stał się jeszcze mocniejszy, ręce Wynter zostały uwiecznione. Z jękiem odepchnął się od stołu i oboje znaleźli się bliżej drzwi. Lorcan oparł się o nie ręką. Przez chwilę dyszał ciężko. Wynter wciąż uczipiona jego piersi, bezradna jak lalka, poczuła, jak szybko i nierówno bije jego serce.

– Tato! – powiedziała błagalnie. – Nie! – Odwróciła twarz, usiłując wyrwać się z jego stanowczego uścisku. – Tato! Proszę! – Trzymał ją zbyt blisko, by mogła zobaczyć jego twarz.

– Tato! Tato! Proszę!

Poczuła, jak jego oddech przyspiesza. Zmienił nieco pozycję, by oprzeć się ramieniem o framugę. Wynter usłyszała straszliwy dźwięk odryglowywanych drzwi.

– Tato! – zawodziła. – Proszę!

Na jej zwróconą w górę twarz spadła łza, a potem kolejna. Skapywały cieką strużką i spadały jej na oczy, na policzki. Załkała. Lorcan ostatkiem sił otworzył drzwi.

Uchylił je tylko trochę. Wypuścił Wynter ze swojego uścisku, a potem wypchnął ją na korytarz.

– Nie! Nie! – krzyczała, chwytając się rozpaczliwie jego koszuli. Ale on był nieugięty. Już zaczął zamykać drzwi. Dłoń Wynter zsunęła się z jego ramienia na łokieć. I wtedy wyswobodził rękę i zamknął jej drzwi przed nosem.

Zasunął zasuwę. Przekręcił klucz w zamku.

Przywarła do drzwi, po policzkach płynęły jej łzy. Słuchała. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

– Tato – szepnęła. – Tato.

– Proszę... – powiedział cicho, zduszonym głosem, jakby też przysunął twarz do drzwi.

Zamknęła oczy i załkała.

– Proszę... – powtórzył. – Idź...

Kiwnęła głową.

– Do widzenia, tato – szepnęła. – Kocham cię.

Z pokoju nie dobiegł już żaden dźwięk. Przycisnęła ucho do drzwi i usłyszała cichy, bardzo cichy szelest, jakby ktoś przesunął ręką po drewnie.

Wolno, zmuszając się do każdego kolejnego ruchu, odsunęła się od drzwi. Potem opuściła głowę i zrezygnowana odeszła.



Stała, wpatrując się w kotłującą się kolejkę ludzi czekających, aż wartownik bramy skrupulatnie sprawdzi ich przepustki. Słońce grzało niemiłosiernie. Słomkowy kapelusz Wynter rzucał ostry cień na jej twarz pozbawioną wyrazu. Aby nie zostać rozpoznaną, ukryła swe charakterystyczne włosy pod ciemnym kapturem. Nogawkami spodni owinęła drogie buty do jazdy konnej. Była teraz zwykłą służącą w stroju podróżnym, cierpliwie czekającą na swoją kolej, a konkretnie dziewczyną nazwiskiem Madge Butterfield, młodszą podkuchenną, wyposażoną – dzięki Marni – we wszelkie stosowne dokumenty zaświadczone, że została zwolniona z pracy, by wrócić do domu i zająć się chorą matką.

W bramie – jak na letnie południe – panował wyjątkowy tłok. Wokół unosiły się tumany kurzu. Większość czekających zakrywała twarze, by nie wdychać pyłu wzbijanego przez niecierpliwe stopy, kopyta zwierząt i koła wozów. Ludzie już od rana spieszyli z pałacu w kierunku miasteczka na dwudniowy jarmark. Wynter przypuszczała, że Razi specjalnie wybrał ten właśnie dzień, by wydostać się z zamku. Miała mu towarzyszyć nieliczna świta, najprawdopodobniej w przebraniu. A gdy znajdzie się za murami, po prostu rozpłynie się w wiecznym chaosie drogi portowej.

Żwirową dróżką nadchodziła niewielka grupka saraceńskich kobiet i chłopców pogrążonych w rozmowie. W pierwszej chwili pomyślała, że przybyli, by pożegnać Raziego, i to ją zaskoczyło. Jak większość mieszkańców królestwa Jonathona, Saraceni nie bardzo wiedzieli, jak traktować młodego następcę tronu. Podobnie jak cała reszta, korzyli się przed jego pozycją i władzą, ale wielu z nich traktowało go z rezerwą, nazywając „księciem, który się nie modli”.

Zobaczyła, jak zajmują miejsca na końcu kolejki, i zdała sobie sprawę, że oni też szykują się do wyjazdu. A zatem – stwierdziła – pielgrzymka albo rodzinny wyjazd na jakąś uroczystość, na przykład ślub. Kobiety trajkotały radośnie, mężczyźni śmiali się i przepychali, ich twarze były zakryte przed wszechobecnym pyłem. Jedna osoba dołączyła do reszty nieco później. Był to mężczyzna, dobiegł zdyszany, otulając twarz kefią. Dostał cichą burę za spóźnienie i stanął obok pozostałych mężczyzn, chyląc głowę pod naporem dobroduszych docinków. Ich radosna rodzinna zażyłość wywoływała w Wynter uczucie rozpacz. Gdy kolejka ruszyła, odwróciła głowę, by już na nich nie patrzeć.

Na widok nadjeżdżającej królewskiej świty wszyscy zamilkli. Konie zatrzymały się pod bramą, a Wynter schowała się w tłumie i spod runda kapelusza obserwowała nowo przybyłych.

W samym środku grupki dobrze uzbrojonych mężczyzn jechał Razi, królewsko wyniosły i władczy. Miał na sobie ulubioną beduińską szatę, a jego głowę i twarz chroniła od słońca i pyłu bładoniebieska kefia. Widać było tylko piękne, zmrużone oczy. Jego koń przestępował z nogi na nogę, paraskał i potrzasał głową. Razi patrzył gdzieś przed siebie, jakby nic go nie obchodziło. Jeden z jego ludzi zmierzał z dokumentami w stronę wartowni. Odsłonił twarz, a Wynter rozpoznała w nim Simona De Rochelle'a. Poczowała ulgę, ale po

chwili pojawił się lekki niepokój. Dobrze, że Razi nie musi podróżować pod wątpliwą opieką nienawistnych ludzi Jonathona – pomyślała – ale z drugiej strony – De Rochelle? Ten wyrachowany jak kot pochlebca? Zerknęła na Raziego, a serce jej się ścisnęło.

De Rochelle wziął papiery od strażnika i wsiadł na konia. Cały rząd wartowników wyprężył się na baczność i zaszalutował, ale Razi, popędzając konia, nie spojrzął nawet w ich stronę. Królewskie konie niespiesznie załomotały kopytami na moście i jeden za drugim ruszyły pod górę.

Wynter podała wartownikowi dokumenty, wciąż wpatrując się w grupkę jeźdźców pokonujących wzniesienie. Wartownik niedbałym ruchem oddał jej papiery i zajął się następnym w kolejce. Minęła bramę i ruszyła żwawym krokiem. Nie oglądała się. Ale gdy zeszła z rozkołysanych bali mostu i ruszyła pylistą drogą do miasteczka, maleńka cząstka jej serca zaczęła krwawić.

Mając jeźdźców Raziego cały czas w zasięgu wzroku, dotarła do karczmy. Weszła na dziedziniec stajni i zaczęła rozglądać się za siostrzeńcem Marni. Nie dałoby się go z nikim pomylić. Wyglądał zupełnie jak Marni, tyle że z brodą. Akurat siłował się z upartym wieprzem, który nie chciał wejść do chlewika. Podchwyciła jego wzrok i wykonała specjalny gest Marni, żeby wiedział, kogo ma przed sobą. Kiwnął lekko głową i zniknął w stajni, po czym wrócił z Ozkarem, który parskał radośnie, widząc i czując swoją panią.

– Grzeczny konik – szepnęła, klepiąc go po szyi i pocierając po chrapach, z których wyrastały pojedyncze włosy. – Dobry konik.

Stwierdziła, że jest wypoczęty i na pewno nie stał w siodle dłużej niż dziesięć minut. Z wdzięcznością kiwnęła głową rudemu olbrzymowi, a on z poważną miną splótł dłonie, by podsadzić ją w górę.

Gdy znalazła się w siodle i cmoknęła, by ruszyć z miejsca, położył dłoń na szyi konia i odezwał się cichym głosem:

– Ciotuchna prosili, żebyśta na siebie uważali, panienko, i żebyśta się nie wygłupiali. – Zarumienił się na te słowa, ale Wynter posłała mu promienny uśmiech.

– Przekażcie ciotce, że ją kocham, dobry człowieku, i powiedzcie jej, że do końca życia mam u niej dług wdzięczności... – zawahała się – i poproście ją... poproście ją, żeby opiekowała się moim ojcem.

Pokiwał poważnie głową, a Wynter pognęła Ozkara na drogę.

Patrzyła na odległą sylwetkę Raziego i na powiększającą się odległość między nimi. Zgodnie z planami ojca powinna podążać za wlokącą się świtą Raziego przez całą drogę portową, a potem przez dobry kawałek drogi na Padwę. Po trzech tygodniach podróży, gdy znaleźliby się już w sercu gór, nie byłoby strachu, że Razi odeśle ją z powrotem. Miała zdać się na jego łaskę, prosić o azyl i resztę drogi do Padwy pokonać razem z nim, i pod jego opieką rozpocząć nowe życie.

Patrzyła, jak Razi pogania swojego konia przez tłum. Jego bladoniebieska kefia stanowiła wyraźną plamę koloru wśród tumanów żółtego pyłu unoszących się nad drogą. Dławił ją strach o Raziego podróżującego samotnie, otoczonego ludźmi, którym nie ufał, ku życiu, nad którym nie miał najmniejszej kontroli. Zamknęła oczy, tłumiąc w sobie pragnienie ruszenia za nim, i zawróciła konia pod prąd głównego nurtu podróży, z powrotem w kierunku pałacu.

Dziesięć minut później przystanęła na rozdrożu i spojrzała na cienką wstążkę drogi prowadzącej w lewo. Ruch na niej był znikomy, wiała się przez pastwiska i pięła pod górę, na wzgórze, po czym znikwała w gęstym lesie. Wynter już niemal słyszała, jak bandyci i rozbójnicy, którzy właśnie zwąchali samotnie podróżującą kobietę, gotowia się do czynu. Wzięła głęboki wdech

i zerknęła w kierunku drogi do miasteczka. Raziego nie było już widać, odjechał – może na zawsze. Na horyzoncie za plecami miała pałac. Tam, w samym jego trującym centrum, leżał ojciec, opuszczony, oszukany i cierpiący, zdany na łaskę i niełaskę swojego nieprzewidywalnego przyjaciela króla. Spojrzała w stronę zamku, próbując sobie wyobrazić ojca.

Jeszcze nie jest za późno – coś szepnęło jej kusząco. – Jeszcze możesz zawrócić. Po prostu skieruj konia w jedną z tych dwóch dróg, a będziesz bezpieczna, otoczona troskliwą opieką. Nie będziesz sama.

Spojrzała jeszcze raz w stronę pałacu. Tłum się przersedzał, większość podróżnych była już w drodze na jarmark. Wkrótce po raz pierwszy w życiu zdana będzie tylko na siebie. Czuła, że nie nadaje się do tego zadania – jest za słaba i za młoda.

Spojrzała na swoje drżące dłonie. Nie mogę tego zrobić, nie mogę – powtarzała. Ale wbrew tym myślom ponagliła konia, a on posłusznie wyminął ostatnich maruderów i zszedł z głównego traktu na nierówną ścieżkę prowadzącą w góry.

Kilka osób odwróciło się, by popatrzeć na ciemno odzianą kobietę, która obrała ten samotny szlak. Niektórzy współczuli jej i pewnie zastanawiali się, co ta dziewczyna wyprawia. Czy ona oszalała? Kobiety robiły znak krzyża albo dotykały się kciukiem do czoła, albo wykonywały jakiś inny znak chroniący je przed podobną koniecznością. Bo która chciałaby znaleźć się na takiej drodze, z dala od ludzi cnotliwych i prawych, zmierzać ku głuszom rojącym się od rzezimieszków? Kilka przystanęło, nie mogąc oderwać wzroku od oddalającej się kłusem młodej kobiety. Wynter miała jednak dobre tempo i szybko zniknęła na krętej ścieżce, wchłonięta przez zdradliwe głębie lasów pełnych rozbójników i wilków.



# Spis treści

<i>Milczący kot</i>	5
<i>Duch Shoaringa</i>	12
<i>Razi</i>	18
<i>Bożeczolny kocur</i>	30
<i>Pod okiem króla</i>	44
<i>Szwankująca machina</i>	54
<i>Niobezpieczeństwa subtelności</i>	66
<i>Straszna uczta</i>	80
<i>Zamachowiec</i>	89
<i>Tortury</i>	104
<i>Polowanie na muchy</i>	116
<i>Mortuus in vita</i>	123
<i>Sakroty</i>	134
<i>Szach królowi</i>	149
<i>Ciosła i król</i>	161
<i>Szantaż</i>	171
<i>Cona do zapłaconia</i>	184
<i>Próba sił</i>	197

<i>Królewski dystans</i>	213
<i>Partyjka</i>	224
<i>Droga wolna</i>	234
<i>Przypadki beznadziejno</i>	247
<i>Dawno dzieje</i>	256
<i>Ludzie obrońcy Tronu</i>	264
<i>Nowa siedziba</i>	275
<i>Dokumenty</i>	285
<i>Jasny plan</i>	297
<i>Pierwszy krok</i>	304
<i>Straszkany przyjaciel</i>	313
<i>Kolejna straszna uczta</i>	321
<i>Zbuntowany duch</i>	329
<i>Pierwsze pożegnanie</i>	341
<i>Ucieczka</i>	350
<i>Poskręcany człowiek</i>	359
<i>Radujmy się i śmiejmy, póki możemy</i>	369
<i>Bez odwrotu</i>	380
<i>Szept w ciemnościach</i>	394
<i>Udawajmy</i>	406
<i>Niebezpieczny szlak</i>	414